



**PETER
ROBINSON**

**niebezpieczny
chłopak**

**PETER
ROBINSON**

**niebezpieczny
chłopak**

Z języka angielskiego przełożył
Marcin Roszkowski



WYDAWNICTWO
SOWA KRAKÓW

Pod koniec sierpnia przesiąknięta wilgocią wiejska okolica Yorkshire mieniła się zielenią i złotem, skąpana w błękicie nieba i bieli obłoków. Bóg jeden wie, jak rolnicy zdolali skosić siano i zebrać je w bele, kiedy od wielu dni bez przerwy lało. A jednak w jakiś sposób tego dokonali i pola usłane były okrągłymi stogami. Traktory w jasnych kolorach terkotały na polach, orząc ziemię, która przybierała ciemnobrązową barwę. Zapach niedawnych żniw mieszał się z nadchodzącym chłodem. Na wrzosowiskach purpurowo kwitły wrzosy. Linie telegraficzne wzdłuż dróg obsiadły jaskółki szykujące się do lotu do Republiki Południowej Afryki.

Jadąc do pracy w poniedziałkowy rano, Annie Cabbot bardzo chciała wyruszyć razem z nimi. Kilka dni na sawannie sprawiłoby jej ogromną radość, płynącą z fotografowania i szkicowania żyraf, zebra, lampartów, lwów oraz słoni. Potem wybrałaby się do Winelands, żeby zakosztować kuchni i nocnego życia Kapsztadu.

Ale nie to było jej pisane. Wykorzystała już cały urlop oprócz kilku dni, jakie planowała wziąć sobie w długi bożonarodzeniowy weekend. Poza tym nie było jej stać na podróż do RPA. Finanse ledwie pozwalały na krótki wypad do Blackpool. Szczęściary z tych jaskółek. Na pół mili przed dużym rondem na południowych obrzeżach Eastvale zaczął się korek. Kiedy Annie dotarła wreszcie na tyle blisko, aby zobaczyć jego przyczynę – stłuczkę, była już spóźniona do pracy. Na miejscu pojawił się już radiowóz, więc z czystym sumieniem pozostawiła za sobą umundurowanych policjantów, którzy musieli okiełznać dwóch rozwścieczonych, krzyczących i wygrażających sobie pięściami kierowców. Korki nie były jej zmartwieniem.

Annie przebijiała się przez zatłkane ulice dookoła kampusu uniwersyteckiego. Objuczeni przerzuconymi przez ramię torbami studenci letnich kursów spieszyli przez park na poranne wykłady. Skrzyła w długą i wąską ulicę, wzdłuż której ciągnęły się trzypiętrowe wiktoriańskie kamienice z cegły. Większość z nich zamieszkiwali studenci. Annie dotarła do Market Street. Wjechawszy na rynek, skrzyła w wąską uliczkę między budynkami i zaparkowała przed komisariatem. Od frontu budynek wykończono w stylu Tudorów. Przywitała się z kilkoma znajomymi policjantami, którzy wymknęli się na szybkiego dymka, przesunęła kartę przez czytnik i weszła do wnętrza Western Area Headquarters.

Kiedy przechodziła przez pokój brygady do zwalczania poważnych przestępstw, powitało ją kilku znajomych. Geraldine Masterson, młodszy detektyw na okresie próbnym, powiedziała, że Winsome Jackman i Doug Wilson już przesłuchują świadków wypadku na Lyndgarth Road, do którego doszło zeszłej nocy. Doug zyskał sobie przydomek „Harry Potter”, a to dlatego, że był uderzająco podobny do Daniela Radcliffe’a.

W wyniku potrącenia przez samochód dwoje nastolatków wylądowało w szpitalu. Kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku, policja znalazła w domu, gdzie zaszył się, żałując, że siadł za kółko po jednym głębszym.

Annie ledwie zaczęła przekopywać się przez stos dokumentacji na biurku, kiedy zadzwonił telefon. Odłożyła długopis i sięgnęła po słuchawkę:

– Detektyw Cabbot.

Dzwonił sierżant z recepcji.

– Jest gość do inspektora Banksa. – Po drugiej stronie zapadła cisza, kiedy policjant rozmawiał z gościem. – Pani ma na nazwisko Doyle. Juliet Doyle. Mówi, że zna inspektora osobiście i że to pilna sprawa.

Annie westchnęła.

– Dobrze, przyślij ją na górę. Może do gabinetu Banksa, tam jest spokojniej niż tutaj.

– Tak jest.

Annie zamknęła grubą teczkę statystyk kryminalnych i ruszyła korytarzem do gabinetu Banksa. Ilekroć musiała do niego zajrzeć, denerwowała się bardziej, niż kiedy jeździła odbierać pocztę czy podlewać kwiaty w domu jego właściciela. W całkowitej ciszy pokoju nieobecność Banksa była jeszcze trudniejsza do zniesienia. Biurko stało puste, jeśli nie liczyć komputera, którego nie włączano od wieków. Na półce obok kolekcji książek Kingsleya Amisa, którą kupił na pchlim targu tuż przed wyjazdem, stał radiomagnetofon. Annie odsunęła monitor, aby móc bez przeszkód obserwować gościa. Młody policjant zapukał do drzwi i wpuścił do gabinetu kobietę.

– Myślałam, że to miejsce pracy Alana – powiedziała Juliet Doyle. – Na drzwiach jest plakietka z jego nazwiskiem. Kim pani jest? Nie chcę być nieuprzejma, ale muszę porozmawiać z nim osobiście.

Annie widziała, że kobieta jest zdenerwowana – jej ruchy były gwałtowne i nieopanowane. Rozglądała się jak strwożony ptak.

– Detektyw Banks jest na wakacjach – wyjaśniła, wstając z fotela i wyciągając rękę na przywitanie. – Jestem detektyw Annie Cabbot. W czym mogę pomóc?

– Sama nie wiem... Spodziewałam się rozmawiać z Alanem. To wszystko jest... – Juliet zaczęła gmerać przy łańcuszku na szyi. Zwieszał się z niego ciężki wisior ze złota i nefrytu.

Kobieta miała ponad czterdzieści lat, była dobrze ubrana. Konfekcji nie szukała w Swainsdale Center, a raczej w Harrogate czy York. Miała długie blond włosy, które przechodziły w brąz, delikatny makijaż i była wystarczająco atrakcyjna, aby nie wstydzić się odsłoniętego dekoltu. Spódnica sięgała do połowy kolan, odsłaniając zgrabne nogi. Stroju dopełniał ciemny zamszowy żakiet, elegancko skrojony na kształt klepsydry. Annie

pomyślała, że być może Banksa i kobietę coś łączyło lub może ona chciała, aby tak było.

– Proszę spocząć – powiedziała Annie.

Juliet zawahała się, ale przysiadła na krawędzi krzesła naprzeciwko.

– Możemy coś dla pani zrobić czy to sprawa osobista?

– Właśnie dlatego chciałam porozmawiać z Alanem – powiedziała. – To skomplikowane i widzi pani... Kiedy Alan wróci?

– Jest na urlopie do końca przyszłego tygodnia.

Juliet zamyśliła się na dłuższą chwilę, znowu obwijając łańcuszek dookoła palca.

Chyba rozważała, czy sprawa może aż tak długo czekać.

– Kawy? Herbaty? – spytała Annie.

– Nie, dziękuję.

– Nie zdołam pomóc, nie wiedząc, o co chodzi. Mówi pani, że to sprawa osobista, ale powinna się nią zająć policja?

Juliet skinęła głową.

– Właśnie w tym tkwi problem. Alan by mnie zrozumiał.

Kobieta przestała się bawić łańcuszkiem, ale zaczęła obracać pierścionek z dużym diamentem, który nosiła na środkowym palcu lewej dłoni. Paznokcie miała krótkie i pomalowane na różowo.

– Może spróbuje pani porozmawiać ze mną – podjęła Annie. – W czym tkwi problem?

Proszę śmiało mówić.

– Alan wiedziałby, co zrobić.

Annie odchyliła się do tyłu i splotła dłonie za głową. Zapowiadało się na długą i trudną rozmowę.

– Może zaczniemy od tego, że powie mi pani, co łączy panią z detektywem Bankssem?

Juliet wyglądała na zaskoczoną.

– Nie jesteśmy w żadnym związku.

– Chodziło mi raczej o to, jak się poznaliście.

– Och, tak. Przepraszam, jesteśmy sąsiadami. Przynajmniej byliśmy...

Annie doskonale wiedziała, że w pobliżu domu Banksa w Gratly nie było sąsiadów. Zapewne Juliet Doyle wspominała o czasach, kiedy policjant mieszkał na Laburnum Way, niedaleko posterunku na Market Street. Ale to było dziesięć lat temu. Utrzymywali ze sobą kontakt od tak dawna? Czy o czymś nie wiedziała?

– Kiedy to było?

– Był jeszcze z Sandrą. Nadal uważam, że to bardzo smutne, w jakich okolicznościach się rozstali. Stanowili dobraną parę.

– Tak – odparła Annie. Spotkała Sandrę kilka razy, i to nigdy nie było miłe

doświadczenie.

– Cóż – mówiła dalej Juliet. – Byliśmy sąsiadami i przyjaciółmi, dlatego pomyślałam, że potrafi mi pomóc.

– Pani Doyle – powiedziała Annie – jeśli to sprawa dla policji, powinna mi pani wszystko opowiedzieć. Czy ma pani kłopoty?

Juliet podskoczyła, jakby ktoś niespodziewanie poklepał ją po ramieniu.

– Kłopoty? Nie, skądże!

– W takim razie o co chodzi?

Juliet rozejrzała się po gabinecie, jakby podejrzewając, że Banks może się kryć za którąś z szafek.

– Naprawdę nie ma go w pracy?

– Naprawdę. Przecież mówiłam, wyjechał na wakacje.

Juliet znowu okręciła pierścionek dookoła palca i milczała. Cisza się przedłużała i Annie już chciała zaproponować, że odprowadzi ją do drzwi.

– Chodzi o Erin.

– Erin?

– Tak, naszą córkę. To znaczy, moją i męża, Patricka. On powiedział, żebym przyszła. Siedzi z nią w domu.

– Czy Erin ma kłopoty?

– Boję się, że tak. Wie pani, do czego są zdolne dzieci, prawda? Ma pani własne?

– Nie.

– Rozumiem. Łatwo obwiniać rodziców o całe zło, jak to robią w prasie czy telewizji, ale kiedy nie wie pani... – Juliet nie dokończyła.

– Poproszę, aby zaparzone nam herbaty – powiedziała Annie. Tradycyjne angielskie panaceum, pomyślała. Zadzwoiła do sekretariatu i poprosiła o dzbanek. Oczekiwanie pozwoli kupić trochę czasu i nawet jeśli pani Doyle nie chciała się napić, Annie miała chęć na herbatę. Podobnie jak na czekoladowe herbatniki, które może podadzą.

– Erin mieszka w Leeds, w Headingley – mówiła Juliet. – Choć to nie gniazdo rozpusty, na miano porządnej dzielnicy też nie zasługuje.

– W każdym dużym mieście są okolice, gdzie trzeba uważać – odparła Annie. – Jeśli problem tkwi w Leeds, tutaj, w North Yorkshire, nic z nim nie zrobimy.

– Nie, nie. To nie tak. Pani nie rozumie.

Oczywiście, że nie, pomyślała Annie. Musiałabym być wróżką, żeby cokolwiek pojąć.

– Proszę mówić.

Rozmowę przerwało pukanie. Podano herbatę, niestety bez ciastek. Gdyby Juliet Doyle nie siedziała po drugiej stronie biurka, Annie zapewne poprosiłaby o herbatniki lub

żartem skomentowała ich brak, ale to nie był dobry moment na przekomarzanie się.

– Erin to dobra dziewczyna. Boję się, że wpadła w złe towarzystwo. – Juliet przyjęła filiżankę od Annie, posłodziła herbatę i naląła drżącymi dłońmi trochę mleka.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia cztery.

– Pracuje?

– Tak. Jest kelnerką w przyjemnej restauracji. Mieści się w „The Calls”, tam gdzie modne hotele czy lofty portowe. Nieźle zarabia, ale...

– Nie takiego życia dla niej chcieliście?

– Nie z dyplomem z psychologii.

– Mamy trudne czasy. Może trzyma się tej pracy, czekając, aż znajdzie dobrą posadę?

– Nie wydaje mi się, ale...

– Dlaczego?

– Cóż. Uważam, że marnuje czas. Minęły dwa lata, odkąd skończyła studia. Brała też urlop dziekański.

– Ma chłopaka?

– Chyba tak. Nigdy go nie spotkaliśmy ani nie opowiadała o nim zbyt wiele. Zazwyczaj do siebie dzwoniły czy wysyłały SMS-y. Wie pani, jacy są młodzi, nie lubią, kiedy rodzice się wtrącają, chyba że sami czegoś potrzebują.

– Mają swoje tajemnice – przytaknęła Annie.

– Jest już dorosła. W jej wieku byłam mężatką.

– Czasy się zmieniły. Dzieciom nie spieszy się do opuszczania rodzinnego gniazda.

– Erin nie jest pasożytem, jeśli o to pani chodzi. Wyprowadziła się, kiedy tylko miała ku temu okazję. Nie mogliśmy jej zatrzymać.

– Co się dzieje w takim razie? – Cierpliwość Annie była na wyczerpaniu. Czyżby chodziło o przemoc domową? Zaczynała żałować, że zamiast zostawić sprawę Banksowi, dała się w nią wciągnąć. – Dlaczego pani przyszła? Co miałyby dla pani zrobić Alan?

Juliet zeszywniała.

– On wiedziałby, co robić, prawda?

– Ale z czym? – Annie prawie wykrzyczała te słowa, nie była w stanie opanować głosu.

– Z pistoletem – odparła Juliet Doyle. Pochyliła głowę i powtórzyła tak cicho, że tylko Annie mogła ją usłyszeć. – Erin ma pistolet.

– Proszę opowiedzieć, jak do tego doszło – odezwała się nadinspektor Catherine Gervaise. Siedziała na krawędzi biurka z rękoma splecionymi na piersiach, górując nad Annie i Juliet. Annie czuła się jak niegrzeczna uczennica, która wylądowała na dywaniku u dyrektorki szkoły. Gervaise potrafiła sprawić takie wrażenie, kiedy chciała. Annie

otworzyła notes i czekała z długopisem w ręku. Niezależnie od tego, jak się sprawa potoczy, czekała ją masa papierkowej roboty.

– Sprzątałam w pokoju córki – zaczęła Juliet. – Mówię szczerze. Nie myszkowałam w jej rzeczach. Erin była na parterze, oglądała telewizję śniadaniową. Lubię, gdy w domu panuje porządek. Przyszła kolej na sprzątanie piętra. Nie robiłam nic złego.

– Erin nadal z państwem mieszka? – spytała Gervaise.

– Nie. Mówiłam panie Cabbot, że wyprowadziła się do Leeds.

– Zechce pani podać jej adres?

– Oczywiście – odparła Juliet i wyrecytowała adres w Headingley, który Annie zapisała w notesie. Okolica był jej znana i kojarzyła ulicę.

– Co robi w Eastvale?

– Cóż... nie mówiła, dlaczego przyjechała.

– A coś w ogóle powiedziała?

– Chciała trochę pobyc w domu. Sądziłam, że rozstała się z chłopakiem lub coś podobnego.

– Spytała pani, co się stało?

– Tak, ale jak zwykle powiedziała mi, że to jej sprawa. Zazwyczaj nie jest niemiła. Wychowaliśmy ją na uprzejmą dziewczynę, która szanuje starszych, ale kiedy rozmawialiśmy, była rozzłoszczona. Pomyślałam, że jeśli dam jej trochę czasu, sama powie, co się stało. Zazwyczaj tak się działo.

– Jesteście sobie bliskie?

– Nie powiedziałabym, żebyśmy były bardzo zżyte, ale lubię myśleć, że cieszę się jej zaufaniem i może mi się zwierzyć. Dlatego byłam w takim szoku, gdy znalazłam w jej pokoju broń.

– Co pani wie o jej chłopaku?

– Tylko tyle, ile opowiedziała o nim przez telefon.

– Jak ma na imię?

– Geoff, ale nie znam nazwiska. Młodzi mówią teraz do siebie tylko po imieniu, czyż nie?

– Od jak dawna się z nim spotyka?

– Około sześciu miesięcy.

– Sądzi pani, że ma na nią zły wpływ?

– Wręcz przeciwnie. Z tego co mówiła, to miły chłopak, który nieźle radzi sobie w życiu. Jest inny od jej dotychczasowych przyjaciół, akademickich niedojd. Erin bardzo się zmieniła pod jego wpływem.

– Na przykład?

– Zaczęła się porządnie ubierać. W ogóle jest inna. Bardzo długo wyglądała jak typowa studentka, a na urodzinach ojca pojawiła się w letniej sukience ze ślicznym wisiorkiem w kształcie serca na łańcuszku. Nigdy nie nosiła biżuterii, chyba że tanie plastikowe koraliki. Zrobiła porządek z włosami, widać, że była u fryzjera, i to dobrego.

– Kiedy to było?

– Trzynastego lipca.

– Czy wie pani, czym zajmuje się Geoff?

– Chyba sprzedają i marketingiem. Wiem tylko tyle... ach, miał służbowe auto. Bmw.

– Skarb nie chłopak – powiedziała Gervaise. – Jaka Erin była po powrocie do domu?

Jak się zachowywała? Mówiła pani, że miała zły humor.

– Tak. Wydawała się taka wyciszona, nieobecna. Była milcząca i oschła.

– Czy to do niej podobne?

– Nie. Zazwyczaj normalnie się z nią rozmawia. Zawsze taka była, nawet wesoła.

Często się uśmiecha, czasem żartuje. Ale ostatnio zachowywała się jak odludek, siedziała w swoim pokoju.

– Prosiła panią o pomoc?

Juliet zmarszczyła brwi.

– W jakim sensie?

– Dowolnym. Mówię o wszystkim. Może ma jakiś problem?

– Myśli pani, że zaszła w ciążę?

– Istnieje taka możliwość – odparła Gervaise. – Ale nie to miałam na myśli. Sądzi pani, że zwierzyłaby się z takiego sekretu?

– Mam nadzieję.

– Od jak dawna Erin jest w Eastvale?

– Od piątku rano. Zawsze trzymamy dla niej wolny pokój, na wszelki wypadek. Nic w nim nie zmienialiśmy, tylko go uprzątnęliśmy.

– Rodzice często tak robią – powiedziała Gervaise. – To pomaga oswoić się ze świadomością, że dziecko opuściło dom. Czasami trudno się z tym pogodzić.

Annie wiedziała, że nadinspektor sama ma dwójkę dzieci, choć widząc ją w prążkowanej spódnicy, białej koszuli i marynarce zapiętej pod szyję, trudno było w to uwierzyć.

– Wiem – przytaknęła Juliet.

– Czy odniosła pani wrażenie, że to dłuższa wizyta niż tylko odwiedziny u rodziców?

– Tak.

– To pierwszy raz, kiedy córka zostaje u państwa na dłużej, odkąd się wyprowadziła?

– Tak.

Gervaise zamilkła na chwilę.

– Niech mi pani opowie o pistolecie.

– Został schowany w szafie, w głębi, bez stawania na krześle czy drabinie nie można by go zobaczyć. Był zawinięty w ścierkę. Erin pewnie myślała, że nigdy go tam nie znajdzie. Nie wzięła pod uwagę, że będę sprzątać.

– Gdyby nie pani zamiłowanie do porządku, nikt by go nie znalazł – powiedziała Gervaise. – Dobrze pani postąpiła, pani Doyle.

– Sama nie wiem – odparła, kręcąc głową. – Czuję się jak Judasz... Wydałam własną córkę. Co się z nią stanie?

Annie nie wiedziała, co myśleć o Juliet Doyle. Z jednej strony kobieta oddawała w ręce policji własne dziecko. Niezależnie od tego, czy zdawała sobie sprawę z wymiaru kary, Annie wiedziała, że Erin grozi pięć lat więzienia za posiadanie broni bez zezwolenia. Mimo protestów przeciwko surowości wymiaru sprawiedliwości sędziowie wymierzali karę bez skrupułów. Mimo okoliczności łagodzących związanych z jej dobrym zachowaniem i tym, że nie popełniła dotąd żadnego przestępstwa, Erin Doyle groziła odsiadką bez możliwości zawieszenia kary lub zamiany na prace społeczne. Juliet najprawdopodobniej nie podejrzewała, jaki los czeka córkę. Nie istniał jednak żaden dowód na to, że Erin Doyle popełniła jakiegokolwiek przestępstwo.

– To bardzo poważna sprawa – ciągnęła Gervaise. – Broń palna jest szczególnie niebezpieczna. Im więcej jej przechwycimy, tym bezpieczniejsi są ludzie.

Annie wiedziała, że była to zwykła gadka, która miała uspić wyrzuty sumienia Juliet. Kobieta chyba żałowała, że opowiedziała o swoim kłopotcie, i zaczynała się martwić. Być może pomyślała, że zdołałaby uporać się z problemem sama lub z pomocą męża. Wyrzuciliby broń do rzeki, odbyli z Erin poważną rozmowę i byłoby po kłopotcie. Po części miałyby rację, przyznała w duchu Annie.

Nieważne, jak mocno popierała kontrolę broni czy zgadzała się z wykładnią policji, nie potrafiła sobie wyobrazić, aby matka doniosła na własne dziecko. Obywatelska postawa Juliet była godna pochwały, ale z drugiej strony jej postępowanie wywoływało niesmak. Annie nie miała dzieci, była jednak pewna, że nigdy swojego by nie wydała. Choć straciła matkę bardzo wcześnie, przypuszczała, że ona także nie zdecydowałaby się na taki krok. Również ojciec by jej nie zdradził, skończyłoby się na trudnej rozmowie i ciśnięciu pistoletu do morza. Jednakże Juliet Doyle przyszła na komisariat, szukając pomocy Banksa. Bez dwóch zdań miała nadzieję, że on załatwi tę sprawę po cichu i w odpowiedni sposób.

– Co teraz będzie? – spytała Juliet.

Gervaise zsunęła się z biurka i usiadła na fotelu. Nie wyglądała już tak groźnie i Annie

wyczuła, że napięcie w pokoju zelżało.

– Musimy postępować według procedur – wyjaśniła Gervaise. – Gdzie w tej chwili znajduje się broń?

– W naszym domu, w kuchni. Patrick jej pilnuje. Pomyśleliśmy, że to kiepski pomysł przynosić ją tutaj. Trzęsę się na myśl o tym, że mogłabym ją mieć przy sobie.

– A co z pani córką?

– Jest z mężem. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej: oni zaczekają, a ja porozmawiam z Alanem i...

– Była pani sąsiadką detektywa Banksa? – spytała Gervaise. – Proszę się nie martwić, załatwimy wszystko jak należy. Wiem, że w takich sytuacjach znajoma osoba jest pomocna, ale proszę nam zaufać. Mamy wspólny cel. Czy jest pani pewna, że to prawdziwa broń? Pewnie nie zdaje sobie pani sprawy, jak realistyczne bywają repliki.

– Patrick powiedział, że to prawdziwy pistolet. Należał do szkolnego klubu strzeleckiego. Ja się nie znam na takich rzeczach.

– Sprawdził, czy jest naładowana?

– Mówił, że tak. Obchodził się z nią bardzo ostrożnie.

– Doskonale – powiedziała Gervaise. – Rozładował ją?

– Nie. Powiedział, że należy ją zostawić do przybycia policji, żeby nie zacierać śladów.

Cudownie, pomyślała Annie. Kolejni ludzie, którzy naoglądali się za dużo *Kryminalnych zagadek*. Naładowana broń oznaczała, że trzeba wezwać jednostkę wsparcia. Tak będzie lepiej, skoro Patrick Doyle siedział w domu z naładowanym pistoletem. Ludzie w takich sytuacjach rzadko działają racjonalnie. Nie co dzień w sypialni córki znajduje się nabity pistolet.

– Czy mąż powiedział, co to za rodzaj broni?

– Wspomniał, że to pistolet półautomatyczny. Chyba się nie mylę?

Annie nie знаła się na szczegółach technicznych, ale wiedziała, że amunicja wprowadzana była do komory z magazynka, a nie bębna. Mieściło się w nim kilkanaście sztuk amunicji. Broń wystrzeliwała pociski za każdorazowym pociągnięciem spustu.

– O której wyszła pani z domu? – spytała Gervaise. – Czy kiedy opuszczała pani dom, córka i mąż byli w kuchni? Broń leżała na stole?

– Tak.

– Zawinięta w szmatkę?

– Tak. Patrick zabezpieczył ją po tym, jak skończył oglądać.

– Jak zachowywała się Erin?

– Była rozzłoszczona. Płakała, chyba się wystraszyła.

– Pytała pani, skąd ma broń?

– Oczywiście, ale nic nie powiedziała.

Gervaise zagryzła wargę i zastanawiała się przez chwilę. Spojrzała na Annie, wstała i powiedziała:

– Dziękuję, pani Doyle. Zadzwoń teraz do osób, które zajmą się znalezioną bronią. To nasz priorytet. Musimy usunąć zagrożenie z pani domu. Mamy odpowiednie procedury na taki wypadek.

Sięgnęła po telefon i połączyła się z sierżantem w recepcji. Juliet spojrzała na Annie:

– Zostanie pani ze mną? – spytała proszącym tonem.

– Obawiam się, że detektyw Cabbot będzie potrzebna – powiedziała Gervaise. – Jest jedynym starszym oficerem na posterunku. Proszę się nie obawiać, znajdziemy pani miłe miejsce w kantynie.

– Nie mogę wrócić do domu?

– Jeszcze nie – rzekła Gervaise. – Najpierw musimy zabrać broń.

– Może pojedę z wami?

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Gervaise położyła delikatnie dłoń na ramieniu Juliet. – Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

– Zadzwoń chociaż do męża?

– Wiem, że zabrzmiałoby głupio, ale nie możemy pozwolić na kontakt do chwili zabezpieczenia broni.

– Ale co w tym złego, że chcę go zawiadomić?

Bardzo dużo, odparła w myślach Annie. Mogło dojść do kłótni pomiędzy ojcem a rozszłoszczoną córką. Z nerwami napiętymi jak postronki i naładowaną bronią na stole kuchennym konsekwencje mogły okazać się fatalne. Nim Gervaise zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Stała w nich funkcjonariusz Smithies, która wyprowadziła protestującą panią Doyle.

Gervaise skinęła na Annie.

– Zrobimy to według zasad. Nie życzę sobie żadnych wypadków czy pośpiechu z naładowaną bronią na mojej zmianie, jasne?

– Tak jest. Mam sporządzić notatkę i wezwać jednostkę wsparcia?

– Tak. Niech ktoś z naszych sprawdzi rodzinę Doyle'ów, w szczególności Erin. Z pozoru wszystko wygląda normalnie, ale nie chcę żadnych niespodzianek. Skontaktuję się z McLaughlinem, on na pewno przekaze informacje zastępcy komendanta. Zawiadomię policję w Leeds, niech przeszukają mieszkanie Erin. Wątpię, aby handlowała bronią, ale musimy się przekonać. Do roboty, im dłużej zwlekamy, tym większa szansa, że coś pójdzie nie tak.

Annie uczestniczyła już w podobnej akcji. Kilka lat wcześniej w Londynie brała udział

w dwóch. Pierwsze wejście poszło gładko, drugie zakończyło się katastrofą. Doszło do strzelaniny, dwóch ludzi zginęło. Tym razem dziwnie się czuła. Znajdowali się niedaleko komisariatu naprzeciwko dawnego, podmiejskiego mieszkania Banksa. Okolica wyglądała zwyczajnie. Przez kwietnik wędrował czarny kot, ludzie wracali z torbami pełnymi zakupów i z zaciekawieniem przyglądali się zamieszaniu.

Annie i Gervaise siedziały w nieoznakowanym radiowozie, czekając na przybycie jednostki wsparcia. To był moment, kiedy Annie żałowała, że nie pali papierosów. Mogłaby w jakiś sposób skrócić dłuzące się minuty. Zamiast tego po raz kolejny omiotła spojrzeniem okrągłe okna, ogródki, zwirowe ścieżki i krótko przystrzyżone trawniki. Jakże trudno było sobie wyobrazić Banksa, który mieszkał tutaj jako przykładna głowa szczęśliwej rodziny. Dla niej był zawsze typem samotnika, nawet kiedy łączył ich przelotny romans. Teraz w ogóle nie potrafiła go sobie wyobrazić. Banks się zmienił, jakby zostało naruszone coś stanowiącego o jego osobowości. Czy kiedykolwiek uda się to naprawić?

Przy skrzyżowaniu z Market Street zaparkowały dwa volvo T5. W każdym z radiowozów znajdowało się dwóch funkcjonariuszy jednostki wsparcia w kamizelkach kuloodpornych i hełmach. Byli uzbrojeni po zęby: pałki, kajdanki, gaz łzawiący, paralizatory i, co najważniejsze, pistolety Glock. Chroniły ich kamizelki kuloodporne, a w razie poważnego oporu mogli sięgnąć po broń automatyczną. W schowku każdego z samochodów znajdowały się pistolety maszynowe MP5 Heckler & Koch oraz okazały arsenał dodatkowego uzbrojenia.

Laburnum Way była ślepą uliczką długości około stu metrów. Radiowozy praktycznie odcięły ewentualną drogę ucieczki. Zaparkowane u wylotu już przyciągały uwagę gapiów obserwujących je z okien.

Policjanci z jednostki wsparcia zostali zapoznani przez Juliet Doyle z rozkładem pomieszczeń, na wypadek gdyby musieli siłą wejść do środka. Nikt nie spodziewał się, że do tego dojdzie, zarówno Patrick, jak i Erin wiedzieli przecież, że Juliet poszła na policję, i spodziewali się przybycia funkcjonariuszy.

Annie przypuszczała, że w jednostce wsparcia służyła kobieta, ale nie miała pewności. Kamizelka i ekwipunek uniemożliwiały rozpoznanie. Kolejny samochód zaparkował w uliczce. Wysiadł z niego Mike Trethowan, nadinspektor jednostki wsparcia, także w pełnym rynsztunku. Zanim podszedł do Annie, zamienił kilka słów z podkomendnymi.

– Coś nowego? – spytał, gdy już znalazł się przy ich radiowozie.

– Nie – odparła Gervaise. – Według naszych informacji siedzą w domu i czekają.

– Gdzie jest kuchnia?

– Z tyłu. Trzeba wejść w korytarz i skręcić w prawo.

Nadinspektor pokiwał głową, odetchnął głęboko i skinął na swój oddział.

Jak na razie sytuacja wyglądała dobrze: nie doszło do strzelaniny czy wzięcia zakładników. Procedura w takich sytuacjach była prosta. Nikt nie zamierzał użyć broni, która znajdowała się pod kontrolą ojca dziewczyny. Umundurowani funkcjonariusze mieli więc zapukać do drzwi i poprosić Erin oraz Patricka, aby spokojnie wyszli. Kiedy się zastosują, zostaną poproszeni o oddanie broni i odsunięcie się na bezpieczną odległość. Wtedy pozostanie tylko zabezpieczyć pistolet. W domu było cicho.

Kłopoty zaczęły się w momencie, gdy nikt nie otworzył drzwi. Podczas odbierania broni wszyscy są niecierpliwi, ale nawet Annie musiała przyznać, że sprawy toczyły się wolno. Upłynęło sporo czasu od chwili, gdy nadinspektor Trethowan odesłał mundurowych i kazał swoim ludziom otoczyć dom. Nawet niedołązny staruszek zdążyłby podejść i otworzyć drzwi. Annie zerknęła na Gervaise, która siedziała spięta. Szczęki miała zaciśnięte, usta przypominały cienką czerwoną linię.

Kiedy nikt nie odpowiedział na wezwanie, policjanci użyli tarana. Z drzwi posypały się drzazgi i dwóch funkcjonariuszy wpadło do domu, czyniąc tyle hałasu, ile to możliwe. Zapadła cisza, kiedy znikli z pola widzenia, a moment później Annie usłyszała stłumiony krzyk i dziwne cykanie, jakby w trawie grały świerszcze. Chwilę później rozległy się krzyki, wrzaski i huk.

W jednej chwili wyskoczyły z Gervaise z samochodu i popędziły do ogrodu, ale Trethowan uniósł ostrzegawczo dłoń i sam wszedł do domu. Annie usłyszała, że druga para policjantów włamuje się przez tylne drzwi. Z wnętrza domu dobiegł hurgot wywracanego krzesła czy stołu oraz kolejny krzyk. Tym razem wrzeszczał ktoś inny niż poprzednio.

Serce Annie waliło tak szybko i mocno, że bała się, iż wyskoczy jej z piersi. Cała się trzęsła. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund nic się nie działo. Wewnątrz domu zapadła cisza, dobiegał zeń tylko odgłos kroków i trzaskających drzwi. Na koniec ze środka wyszedł Trethowan i dwóch policjantów. Skierowali się w stronę samochodów.

– Co się stało? – spytała Gervaise, kiedy ją mijali.

Trethowan pokręcił tylko głową. Annie nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy skrytej za osłoną ochronną.

Pół minuty później ktoś krzyknął, że teren zabezpieczono, i kolejny policjant wyszedł z domu, niosąc zawinięty w serwetkę pistolet. Oto sprawca zamieszania, pomyślała Annie. Taka niewielka rzecz, a tak śmiertcionośna. Na obrusie wydrukowana była mapa Yorkshire Dales. Na końcu wnętrza domu opuściła dwójka funkcjonariuszy prowadząca zakutą w kajdanki, miotającą się i krzyczącą Erin Doyle. Jej przekleństwa zagłuszył sygnał karetki nadjeżdżającej od Market Street.

– O cholera – powiedziała Gervaise. – Mamy kłopoty.

Książka dla none none

– No dobrze – powiedział Ron McLaughlin, kiedy wszyscy zebrali się w sali odpraw komendy głównej rejonu zachodniego. – Dom na Laburnum Way został zabezpieczony, Erin Doyle jest w areszcie, a Juliet Doyle w szpitalu u boku męża. Nie muszę chyba mówić, panie i panowie, że mamy spory kłopot.

McLaughlin zorganizował spotkanie, aby ustalić, co zaszło podczas przejęcia broni i jakie kroki należy podjąć. Atmosfera w zatłoczonej sali była ciężka. Choć jak na razie media nie zainteresowały się sprawą, Annie wiedziała, że na horyzoncie zbierają się ciemne chmury.

Ubrani tylko w szare koszulki i bojówki funkcjonariusze jednostki wsparcia wyglądali tak, jakby wyszli prosto z siłowni. Annie miała rację, wśród nich była kobieta. Spotkała ją kilka razy na komisariacie w Newby Wiske i choć zamieniły kilka słów, nie wiedziała, że tamta należy do jednostki specjalnej. W policji służyło niewiele kobiet i skoro dziewczyna należała do jednostki wsparcia, oznaczało to, że musi być dobra. Trening był ciężki, a wymagania wysokie. Policjantka miała krótkie, nastroszone i ciemne włosy, sercowatą twarz, duże oczy, niewielkie usta i oliwkową cerę. Jej ramiona i barki były muskularne, jakby intensywnie podnosiła ciężary. Dziewczyna spojrzała na Annie, która posłała jej uśmiech. Policjantka odpowiedziała smutnym spojrzeniem i odwróciła się.

Jeden z członków zespołu, młodzik, którego Annie nie знаła, był chyba bledszy od reszty zgromadzonych. Nerwowo przygryzał końcówkę długopisu. Dłoń, w której go trzymał, drżała. Jasne było, że to on pociągnął za spust. Wyniósł też z domu pistolet. Choć wyglądał na niecałe siedemnaście lat, musiał mieć ponad dwadzieścia, żeby ukończyć szkolenie i testy psychologiczne, wymagane do służby w jednostce wsparcia.

– Sądzę, że wiecie, co się teraz będzie działo – powiedział McLaughlin, kiedy wszyscy zajęli miejsca. – Przekazuję głos nadinspektorowi Chambersowi z wydziału spraw wewnętrznych. Nakreśli nam ogólny obraz sytuacji i później podyskutujemy nad jej dalszym rozwojem. Reg?

Chambers odchrząknął, odchylił się do tyłu na krześle i położył długopis na notatniku. Guziki koszuli na jego brzuchu i klatce piersiowej o mało nie wystrzeliły. Annie pomyślała, że wygląda jak żywcem wyjęty z powieści Dickensa. Miała okazję współpracować z nim przez kilka tygodni i szybko pojęła, dlaczego w każdym amerykańskim serialu kryminalnym funkcjonariuszy wydziału spraw wewnętrznych nazywano „szczurami”.

– Dziękuję – powiedział Chambers. – Zacznijmy od ustalenia kilku faktów, dobrze? Kto wezwał wsparcie? – Chambers mówił z udawanym akcentem z wyższych sfer.

– Ja – odparła Gervaise. – Otrzymaliśmy zawiadomienie o sztuce nielegalnej broni znalezionej w sypialni Erin Doyle w domu jej rodziców przy Laburnum Way. Panna Doyle została z ojcem, a matka złożyła zawiadomienie.

– Godne pochwały – mruknął Chambers, coś notując. – Czy mogliśmy podejrzewać, że komukolwiek grozi niebezpieczeństwo?

– Nie – odpowiedziała Gervaise.

– A to, że broń może w ogóle stanowić zagrożenie?

– Naładowany pistolet zawsze oznacza niebezpieczeństwo. W tym wypadku nie mieliśmy podstaw, aby podejrzewać, że Erin czy Patrick Doyle będą chcieli jej użyć. Wiedzieli, że Juliet Doyle poszła na posterunek, aby zgłosić znalezienie pistoletu, i spodziewali się wizyty policji.

Chambers podrapał się po nosie i kaszlnął.

– Rozumiem, że córka była zła na rodziców, którzy znaleźli pistolet w jej pokoju?

– Oczywiście – przytaknęła Gervaise.

– I nie pomyślałaś, że może obawiać się konsekwencji? Nie sądziłaś, że użyje broni, aby uciec?

Gervaise ostrożnie dobierała słowa.

– Nie wydaje mi się, aby była świadoma jakichkolwiek następstw – odparła. – Większość ludzi nie zdaje sobie z nich sprawy. Nie przypuszczają, że zrobili coś złego, przechowując broń, bez względu na to, jak ją zdobyli. Wątpię, aby była świadoma, że dopuszcza się poważnego przestępstwa. Zapewne myślała, że podziękujemy jej, bo broń nie trafiła na ulice. Jeśli w ogóle o niej wiedziała.

– Co to ma znaczyć? – spytał Chambers.

– Chcę wskazać, że na tym etapie postępowania nie sposób stwierdzić, że Erin Doyle miała jakieś powiązania z bronią, którą jej matka znalazła w szafie.

– Sugerujesz, że ktoś inny ją tam umieścił?

– Mówię, że na razie nie wiemy, kto ją tam ukrył – odparła Gervaise. Annie słyszała po jej głosie, że przełożona próbuje trzymać nerwy na wodzy.

– Sierżant Heggerty miał służbę na recepcji. Mówił, że pani Doyle chciała się widzieć z głównym inspektorem Banksem, tak? – spytał Chambers, zerkając na Annie. Wiedziała doskonale, że Banks i Chambers nie znosili się i kilkakrotnie ostro ścierali, zwłaszcza od chwili, kiedy po reorganizacji wydział Chambersa przeniesiono do komendy głównej hrabstwa.

– Inspektor Banks to jeden z moich najlepszych ludzi – odparła Gervaise. – Obecnie jest na zasłużonym urlopie.

– Dogląda kwiatków? – rzucił ze zjadliwym uśmiechem Chambers. – Wszyscy

wiemy, że ostatnio przestał brać lekarstwa.

– Zasłużone wakacje – wtrąciła Gervaise. – Detektyw Cabbot powiedziała, że pani Doyle rzeczywiście pytała o inspektora Banksa. Do czego zmierzasz?

Chambers zmrużył oczy i spojrzał na Annie.

– Czy to prawda?

– Tak.

– Dlaczego pytała akurat o niego?

– Byli sąsiadami i pozostali przyjaciółmi nawet po tym, jak inspektor Banks się wyprowadził.

– Dlaczego pytała właśnie o niego?

Annie zaczęła się wiercić na krześle.

– Sądzę, że inspektor Banks wiedziałby, jak rozwiązać problem, i zadbałby o to, aby nikomu nie stała się krzywda.

– A czy procedury nie to właśnie mają zapewnić?

– Z całym szacunkiem, ale nie jestem tu, aby komentować procedury. Mam za to pewność, że cokolwiek inspektor Banks by zrobił, byłoby zgodne z prawem.

– Chciałbym podzielać pani przekonanie – odparł Chambers z drwiącym uśmiechem.

– Cóż, nie dowiemy się tego, prawda? – odcięła się Annie. – Nie było go na miejscu, więc to czcze domysły.

– Wystarczy, detektyw Cabbot – powiedział Chambers.

Annie rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– A więc Patrick i Erin Doyle spodziewali się, że do drzwi zapuka przyjaciel rodziny, zrobi pouczający wykład dziewczynie, a potem zabierze broń i problem zniknie?

– Nie powiedziałabym tego – przerwała mu Annie. – Trudno nam zakładać, czego się spodziewali. Nie mamy podstaw, aby przypuszczać, że inspektor Banks naruszyłby prawo czy procedury, aby chronić Erin Doyle przed konsekwencjami, jakie grożą jej za przestępstwo, które być może popełniła.

– Nie mamy tej pewności, detektyw Cabbot. Nie było go na miejscu. – Annie teraz zdała sobie sprawę, że Chambers miał zawsze taki wyraz twarzy, jakby poczuł lub przełknął coś obrzydliwego. Jego skóra była gładka i błyszcząca jak różowy plastik, z którego robi się lalki. Usta miał czerwone, mięsiste i wilgotne. Annie miała ochotę pokazać mu język, ale powstrzymała się. Takie zachowanie byłoby głupie. Zamiast tego uśmiechnęła się promiennie i pociągnęła łyk gorzkiej letniej kawy.

– Reg, takie przypuszczenia nigdzie nas nie zaprowadzą – przerwał McLaughlin. Annie podejrzewała, że wiedział oniechęci Chambersa do Banksa. – Nie interesuje nas to, co mogłoby się stać w innej sytuacji. Na pewno nie dzisiaj.

– Oczywiście, sir – odparł Chambers, rzucając szybkie spojrzenie Annie. – Przepraszam. Chciałem odtworzyć ogólny bieg wypadków. Czy ktoś dzwonił do Doyle'ów, próbował rozmawiać z ojcem i ocenić sytuację?

– Uważaliśmy, że taki ruch może wprowadzić niepotrzebne zamieszanie – odparła po chwili milczenia Gervaise. – Pani Doyle powiedziała, że jej córka była zdenerwowana i razem z ojcem czekała na inspektora Banksa.

Chambers uniósł brwi.

– Sądziłem, że tak się postępuje według procedur, zamiast od razu wysłać jednostkę wsparcia?

– Przejdźmy do samego incydentu, Reg – powiedział McLaughlin.

– Oczywiście – odparł Chambers i obrócił się ku młodemu policjantowi. – Posterunkowy Warburton, zechcecie opisać swoimi słowami to, do czego doszło na Laburnum Way? Proszę mówić krótko i trzymać się faktów. Bez upiększania.

– Oczywiście, sir – odparł Warburton, prostując się tak, jakby był w stanie usiąść na baczność. Zaczął opisywać, jak jego drużyna czekała, kiedy miejscowi policjanci zapukali do drzwi i poprosili o wpuszczenie do środka.

– Nikt nie odpowiadał na pukanie, prawda?

– Nikt, sir.

– Ile czasu upłynęło od pukania do wyważenia drzwi?

– Trudno mi powiedzieć, poczucie czasu w takich sytuacjach bywa zaburzone.

– Zdaję sobie z tego sprawę i z wpływu stresu – odparł Chambers. – Proszę powiedzieć ogólnie: sekundy, minuty, godziny?

– Najwyżej kilka minut.

– Minut? Rozumiem. To sporo czasu.

– Tak, sir.

– Czy podczas oczekiwania słyszeliście coś?

– O co pan pyta?

– Dźwięki ze środka. Jakieś głosy, może krzyki czy sprzeczkę?

– Wydaje mi się, że w pewnym momencie było coś takiego. To była rozmowa, sir.

– Kłótnia?

– Nie umiem powiedzieć, sir. Dźwięki były przytłumione.

– Ale to mogły być podniesione głosy?

– Tak mi się wydaje, ale brak mi pewności.

– Dobrze. Co się działo później?

– Kiedy stało się jasne, że nikt nie zamierza nam otworzyć drzwi, uznaliśmy, że trzeba je wyważyć. Postanowiliśmy tak z funkcjonariuszką Powell. W środku mogło się wiele

wydarzyć, na przykład dziewczyna mogła trzymać ojca na muszce. Albo nawet go postrzelić.

– Nikt nie podaje w wątpliwość twojej decyzji, synu – odparł Chambers. – Co prawda pismaki mogą ją przedstawić w złym świetle...

– Uważam, że działałem zgodnie z prawem, sir, oraz tym, czego mnie uczono. Postąpiłbym tak samo...

– Dobrze, dobrze. Proszę nam oszczędzić usprawiedliwień, posterunkowy. Co się wydarzyło po wejściu do domu? Sforsowaliście drzwi frontowe razem z funkcjonariuszką Nerys Powell, prawda? – Chambers spojrzał na dziewczynę i Annie od razu zorientowała się, jak bardzo nie w smak mu była obecność kobiety w jednostce wsparcia. Obydwoje stacjonowali w komendzie głównej, więc zapewne dochodziło między nimi do śpięć.

– Tak, sir – odparł Warburton. – Zgodnie z poleceniami weszliśmy do budynku z funkcjonariuszką Powell.

Nerys posłała mu smutny uśmiech.

– Co się zdarzyło później?

– W korytarzu było ciemno.

– Mieliście latarkę, posterunkowy? – spytał McLaughlin.

– Tak, sir. Przy pasku.

– Włączoną?

– Nie – odparł po chwili milczenia Warburton. – Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie miałem na to czasu. Włączyłem światło w przedpokoju, ale żarówka była przepalona.

– Co było dalej?

Warburton upił łyk wody i przetarł twarz dłońmi.

– Kiedy weszliśmy do korytarza, otworzyły się drzwi po prawej. Z odprawy wiedziałem, że tam jest kuchnia. Mieli w niej czekać pan Doyle i jego córka. Tam znajdowała się broń. Zauważyłem postać, w zasadzie ciemną sylwetkę. Mogę przysiąc, że wymachiwała czymś, pomyślałem, że to miecz. Chciała się na nas rzucić. Było ciemno, jak mówiłem, nasze oczy nie zdążyły przywyknąć do mroku i nie zapaliliśmy jeszcze latarek. Wiedzieliśmy, że w tamtym pomieszczeniu jest naładowany pistolet, więc... więc zareagowałem tak, jak postąpiłby każdy funkcjonariusz.

– Użyliście broni?

– Paralizatora. Tak postępuje się wobec człowieka uzbrojonego w miecz czy nóż.

– Waszym zadaniem było odebranie broni palnej, która znajdowała się w posiadaniu Erin Doyle, nie jej ojca.

– Tak, sir, ale mógł ją zabrać.

– I użyć przeciwko policjantowi, tak? Trzymajmy się faktów, posterunkowy. Mówiliście

o mieczu, a tymczasem to była zwykła laska.

– Tak, można to tak określić – wyjąkał Warburton.

– „Można to tak określić?” Ciekaw jestem, jak inaczej byście to opisali. Czy pan Doyle miał powód, aby rzucić się na was z mieczem? Albo chociażby z laską?

– Nie, sir. My... Ja zareagowałem na okoliczności. Postąpiłem właściwie, według tego, jak nas szkolono. Nie było czasu na dywagacje. A może postanowił bronić córki? Mógł zdać sobie sprawę, że zostanie aresztowana i pójdzie do więzienia. Jest prawdopodobne, że poczuł się zagrożony, bo sytuacja potoczyła się inaczej, niż się spodziewał. Nie wiem, sir. Reagowałem na zaistniałą sytuację.

– Tak wtedy myśleliście czy to wynik analizy po wydarzeniach?

– Nie mogę powiedzieć, abym pomyślał o tym w trakcie zajścia. W sytuacji stresowej działa się zgodnie z nawykami wpojonymi podczas szkolenia. Nie ma czasu na rozmyślanie. Na to przychodzi pora później.

– Gdzie celowaliście?

– W klatkę piersiową. To najbardziej masywna część ciała. Nie chcemy, aby paralizator zabił człowieka.

– Wiem, ale dochodziło do takich wypadków. Nie wiecie, że obecnie zaleca się celowanie w ramiona lub nogi?

– Sir, było ciemno, czułem się zagrożony i nie chciałem spudłować.

Chambers odchrząknął.

– Posterunkowy, czy wiecie, dlaczego tak długo nikt z domowników nie odpowiadał i musieliście wyłamać drzwi?

– Nie, sir.

– Wiedzieliście, że pan Doyle oczekiwał inspektora Banksa, przyjaciela rodziny, który miał odebrać broń.

– Nie, sir, nie wiedziałem.

– Czy zdawaliście sobie sprawę, że pan Doyle chodził o lasce, ponieważ niedawno przebył operację kolana?

– Nie, sir – odparł po raz kolejny Warburton i spojrzał na swojego przełożonego. Nadinspektor Trethowan skinął zachęcająco głową. Miał około pięćdziesięciu lat, postawę wojskowego i czerwoną cerę. Annie podejrzewała, że to kwestia wysokiego ciśnienia. Ale zawsze był chłodny i opanowany, więc może po prostu szybko się opalał. – Nie otrzymaliśmy takiej informacji podczas odprawy.

Chambers spojrzał na Gervaise.

– Rozumiem, że nie wiedziałaś o tym, Catherine?

– Nie. Juliet Doyle nie wspomniała słowem o tym, że mąż porusza się o lasce. Była

zbyt przejęta córką.

– Powody są nieistotne. Liczy się fakt, że taka informacja powinna się pojawić w trakcie odprawy. Była kluczowa. Nie można wysyłać oddziału bez zapoznania go z sytuacją. Informacja lub jej brak może oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Gervaise splotła ramiona na piersi. Annie chciała rzucić kąśliwą uwagę, że Tony'emu Blairowi brak informacji nie przeszkodził w wysłaniu żołnierzy do Iraku, ale zachowała komentarz dla siebie. To była oznaka dorosłości: nie pokazała języka Chambersowi i nie docięła mu, kiedy miała okazję.

Policjant odłożył długopis. Kartka z notatnika pokryta była chwiejnymi literami, ale Annie miała wrażenie, że większość z nich tworzy zwykłe szlaczki.

– Na razie skończyliśmy – powiedział. – Niemniej pozostało jeszcze wiele rzeczy do wyjaśnienia i pytań bez odpowiedzi. Śledztwo dopiero się zaczyna.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedziała Gervaise.

– Tak? – Chambers uniósł brwi.

Gervaise zignorowała go i zwróciła się do McLaughlina:

– Chcielibyśmy prosić o zezwolenie na przesłuchanie Erin Doyle. Zanim zacznie się zamieszanie.

– Nie wydaje mi się, aby... – burknął Chambers.

– Może być kłopot – przerwał mu McLaughlin, spoglądając to na Chambersa, to na Gervaise. – Użycie paralizatora będzie zajściem badanym przez twój wydział, Reg. Bez wątpienia Komisja Zażaleń będzie w tej sprawie naciskała. – Chambers skinął twierdząco głową. – Z drugiej strony nadal pozostaje nierozwiązany problem broni, z której powodu jednostka wsparcia znalazła się w domu Doyle'ów. Zgodzisz się, Reg, że mamy tutaj do czynienia z dwoma odrębnymi śledztwami. Musimy jak najszybciej dowiedzieć się, skąd pochodzi pistolet i jak się znalazł u dziewczyny. Nie ma nikogo lepiej przygotowanego do tego zadania niż nasz zespół, prawda?

– Chodzi o protokół.

– Protokół nakazuje, aby postępowanie funkcjonariuszy Warburtona i Powell oraz reszty jednostki wsparcia zbadał niezależny zespół. Te same zasady jednak nie wymagają, aby sprawą broni zajmował się ktoś spoza naszego wydziału. Musimy zdobyć niepodważalny dowód łączący Erin z pistoletem.

– Wiemy, że tak jest, sir.

– Zdaję sobie sprawę – odparł McLaughlin. Spojrzał na Gervaise. – Gdzie teraz znajduje się broń?

– W Birminghamie, badają ją balistycy.

McLaughlin skinął głową.

– Chcę być obecny podczas przesłuchań związanych z tą sprawą. Niezależnie od tego, czy wezmą w nich udział członkowie jednostki wsparcia, czy ktokolwiek inny związany ze sprawą – zażądał Chambers.

– Widzisz, Reg – odparł McLaughlin, pozwalając sobie na drwiący uśmieszek. – Już tropisz aferę. Mylą ci się sprawy. A mamy dwie, różne. Pierwsza to użycie paralizatora przez funkcjonariusza na służbie, a druga to posiadanie naładowanego pistoletu bez zezwolenia. Chcę wiedzieć, skąd broń wzięła się w sypialni tej dziewczyny i czy użyto jej do popełnienia przestępstwa. Zdaję sobie sprawę, że między sprawami zachodzi powiązanie, funkcjonariuszy wysłano, aby ją odzyskali, ale broni nie użyto. Nikt nie odniósł rany postrzałowej, prawda? Pistolet pozostał zawinięty od chwili, kiedy funkcjonariuszka Powell wyniosła go z domu, do momentu gdy został wysłany do Birminghamu. Łańcuch zdarzeń jest wyraźny i nieprzerwany.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – powiedziała Gervaise. – Kiedy tylko media dowiedzą się o sprawie, zacznie się cyrk. Nie będzie chodziło tylko o użycie paralizatora czy naładowany pistolet, dziennikarze będą drażnić każdy temat. Sprawy bardzo się skomplikują, będzie dochodzenie wewnętrzne, raport rządowy...

– Tak, tak – powiedział McLaughlin, pocierając skronie. – Catherine, wiem, co nas czeka. Podobnie zdaję sobie sprawę, że z nadinspektorem Chambersem mamy odmienne zdanie. Ale to ja tu dowodzę i nie widzę przeciwwskazań, abyście przesłuchali Erin Doyle. Przynajmniej dopóki będziecie rozmawiać w obecności jej adwokata i ograniczycie się do tematu broni.

– A co z moim wnioskiem? Chcę być obecny podczas przesłuchania – wtrącił Chambers, próbując ratować twarz.

Zanim McLaughlin mu odpowiedział, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Annie wiedziała, że nikomu nie było wolno przeszkadzać w spotkaniu, stąd nie zdziwiła jej gburowata reakcja Chambersa:

– O co chodzi?

W uchylonych drzwiach pojawiła się twarz Harry’ego Pottera. Malował się na niej ponury wyraz.

– Przepraszam, że przeszkadzam, madame – powiedział, wyraźnie mając na myśli Gervaise. – Pomyślałem, że chciałaby pani wiedzieć. Dostaliśmy telefon ze szpitala, Patrick Doyle zmarł dziesięć minut temu. Bardzo mi przykro.

Kiedy Tracy Banks wróciła do domu o wpół do szóstej wieczorem, była spocona, zmęczona i w paskudnym humorze. Korek na Otley Road ciągnął się od Original Oak i krótka podróż autobusem zajęła jej ponad godzinę. W księgarni dzień także upłynął w nerwowej atmosferze. Mieli gościć znanego pisarza kryminałów i większość dnia

spędziła przy telefonie, obdzwaniając hurtownie i niesolidne wydawnictwa, ściągając w ostatniej chwili jego książki, które miały być dostarczone kilka dni temu. W sumie to nie był mój problem, pomyślała, wzruszając ramionami. Do licha z tym, niech się martwi Shauna, kierowniczką popołudniowej zmiany. To przecież ona po spotkaniu wybierze się na obiad i drinka z pisarzem i jego przyjaciółmi. Tracy miała jedynie ochotę na jointa oraz odrobinę ciszy i spokoju. Liczyła na to, że Erin nadal siedzi u rodziców. Życie bez niej było prostsze, o czym przekonała się w weekend. Nie potrzebowała kolejnych problemów.

Choć ogród zarósł chwastami, to dom wyglądał równie imponująco jak zawsze. Tracy zawsze o tym myślała, kiedy szła ścieżką ku ozdobionej oknami piaskowej fasadzie. Do dyspozycji miały trzy sypialnie, po jednej dla każdej ze współlokatorek, wspólną łazienkę i ubikację oraz salon. Z racji jego rozmiarów i nieszczelnych okien ogrzewanie go zimą kosztowało fortunę. Kuchnia była dość duża, aby jeść w niej wspólne posiłki, choć rzadko miały do tego okazję.

Na szczęście Tracy, Rose i Erin potrafiły żyć zgodnie, choć trudno było o trzy bardziej różne charaktery. Erin była niezdarna i niedbała. Gdziekolwiek szła, zostawiała po sobie bałagan. Rose, typ mola książkowego, była porządna i czysta, ale nie zauważała nieładu, jaki niekiedy panował dookoła. Żyła w swoim własnym świecie i była w nim szczęśliwa. Tracy miałyby kłopot z opisaniem samej siebie. Może powiedziałyby, że ostatnimi czasy jest ciągle zła bez konkretnej przyczyny i po trosze niezadowolona z toru, którym biegło jej życie. „Po trosze” było złym określeniem. „Bardzo” pasowało znacznie lepiej. Poza tym koniec z Tracy, od tej pory była Francescą.

Pomimo różnic żyły zgodnie, choć to właśnie Tracy najczęściej sprzątała. Nie robiła tego, bo kochała porządek i czystość, po prostu ktoś musiał to zrobić. Rozmawiały o tym wiele razy, dziewczyny obiecywały poprawę, a kończyło się jak zwykle. Choć Rose czasami się starała, kiedy zauważyła bałagan.

Rose była nowa. Wprowadziła się na miejsce Jasmine, która cztery miesiące temu wyszła za mąż. Tracy poznała Erin, gdy przeniosła się z rodzicami do Eastvale i zamieszkały po przeciwnych stronach ulicy. Były w tym samym wieku: razem chodziły do szkoły i na studia. Obydwie wylądowały w Leeds, gdzie wiodły życie, jakiego ani one, ani ich rodzice by dla nich nie wybrali.

Rose podskoczyła na fotelu, kiedy Tracy weszła do pokoju. Szybko zgasła papierosa. Wewnątrz domu panował absolutny zakaz palenia, na dymka wychodziło się do ogrodu. Tracy od razu poznała, że wydarzyło się coś złego. Kryzys emocjonalny był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

– Co jest? – spytała.

Rose zaczęła krążyć po pokoju. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała.

– Była policja.

– Policja? Czego chcieli?

Rose stanęła i spojrzała na Tracy.

– Przeszukać dom.

– Chyba nie znaleźli...

– Nie, uspokój się. Kręcili się po pokoju Erin.

– Dlaczego? Powiedzieli, czego szukają?

– Nie.

– Chryste. – Tracy westchnęła, przeczesując dłonią włosy. Ruszyła do kuchni i powiedziała: – Muszę zapalić skręta.

– Będzie kłopot! – zawołała za nią Rose.

– O czym ty mówisz?

– Nie zapalisz. Spuściłam trawę w toalecie.

– Co zrobiłaś? Rose, to było co najmniej pół uncji najlepszego zioła. Co ty sobie...?

– Mogli przeszukać kuchnię i zajrzeć do słoików. Nie było cię w domu, więc nie wiesz, jak to jest, gdy gliny myszkują po kątach i zadają pytania. Patrzyli tak, jakby podejrzewali, że ich okłamuję i coś ukrywam.

O, doprawdy? – pomyślała Tracy. – Mieszkałam z kimś takim przez dwadzieścia lat. Ale Rose nie musiała o tym wiedzieć. Tracy powiedziała jej, że ma na imię Francesca, a Tracy to przyzwisko. Nie przyznała się, że jej ojciec jest policjantem. Pozwoliła myśleć, że to emerytowany gryziپیórek. Jak dziedziczka fortuny udająca zwykłą dziewczynę, aby sprawdzić, kto szczerze ją pokocha, nie mówiła, że jej brat to słynny Brian Banks, gitarzysta Blue Lamps, których najnowszy album królował na listach przebojów. Mówiło się nawet, że zdobędą Mercury Prize. Erin rzecz jasna znała prawdę, bo wychowywały się razem, ale przyrzekła strzec sekretów Tracy, uważając to za fajne i zabawne.

– Chryste. – Tracy ponownie westchnęła. Ukryła twarz w dłoniach i wyszeptwała. – Pół uncji najlepszej trawy. Wiesz, ile kosztowała?

– Strzel sobie drinka – podsunęła radośnie Rose. – Mamy jeszcze trochę dzinu.

– Nie chcę pieprzonego dzinu. – Prawdę mówiąc, Tracy nie lubiła alkoholu i piła tylko dlatego, że znajomi tak robili. Często kończyło się to pijacką eskapadą po centrum miasta i nocą spędzoną w łóżku z jakimś typem, na którego normalnie by nie spojrzała. Wszyscy pili dziwne kolorowe drinki, które mieszały w głowach. Tracy wolała jointy, po których nie męczyły ją nudności, niekiedy brała ecstazy. To były nieszkodliwe przyjemności.

– Posłuchaj, bardzo przepraszam, ale się bałam. Drżałam jak osika i spanikowałam. Też byś się przestraszyła na moim miejscu. Jestem pewna, że widzieli, jak się trzęsę, i podejrzewali, że coś ukrywam. Gdy tylko wyszli, spuściłam trawę w kiblu. Przepraszam,

ale zawsze mogli wrócić.

– Dobra, nieważne – odparła Tracy, zmieniając temat. – Zapomnijmy o tym. Zadawali pytania?

– Interesowała ich Erin. Pytali o bzdury: czy ma chłopaka, czym się zajmuje, kto jeszcze z nami mieszka.

– Dlaczego jej szukali? Pytali cię, gdzie teraz jest?

– Nie.

– Wspomniałaś o mnie?

– Musiałam. Sami by się bez trudu zorientowali.

– Mówiłaś o Jaffie?

– Powiedziałam, że jest chłopakiem Erin. Czemu miałam tego nie robić?

– Chryste. Podałaś jego adres?

– Przecież go nie znam. Wiem tylko, że mieszka nad kanałem. Sądzisz, że ten nalot to przez niego?

– A dlaczego miałby być przez niego?

– Nie wiem – odparła Rose. – Wiem, że go lubisz, ale dla mnie zawsze był zbyt cwaniaczkowaty. Fajne ciuchy, samochód, biżuteria i rolex. Skąd ma tyle forsy? Nie dziwię się, że policja go szuka. Jest w nim coś takiego... Coś mi nie gra. Myślę, że handluje prochami.

– Może – mruknęła Tracy. Sama z początku tak myślała o Jaffie, ale wpadł jej w oko i nie dbała o to, czy sprzedawał prochy. Ale rzeczywiście zawsze miał przy sobie kokę czy trawę. Poza tym był pewny siebie, a taka postawa pociągała Tracy. Kręcił ją i w tym tkwił problem. Był przystojny, bystry, czarujący i trochę niegrzeczny. No i prowadził się z Erin.

Być może wizyta glin miała coś wspólnego z Jaffem. Jeśli tak, to musiała go ostrzec. Niech wie, co się stało. Istniała spora szansa, że zdoła się z nim skontaktować, zanim znajdzie go policja. Co, do cholery, zrobiła ta głupia Erin? Cokolwiek to było, nadal musiała być w Eastvale, w domu rodziców. Rose z pewnością skierowała tam policję. Tracy miała tylko nadzieję, że sprawa nie uderzy w jej ojca, a potem przypomniała sobie, że wyjechał gdzieś daleko, żeby lizać rany po nieszczęśliwym romansie. Nie wiedziała dokładnie, gdzie jest, ale miał wrócić pod koniec przyszłego tygodnia.

– Powiedzieli coś jeszcze? – spytała.

Rose zmarszczyła brwi.

– Tylko że mieli nakaz przeszukania domu. Pokazali mi go, ale nie miałam szansy, aby dokładnie przeczytać. Równie dobrze mogło to być coś innego. Jeden z nich szperał po kuchni i zaglądał do szuflad, ale bez przekonania. Tak jak mówiłam, byli głównie

zainteresowani Erin. Nie pozwolili mi iść na górę. Dzięki Bogu nie grzebali w słoikach. Byłam przerażona, że zaczną zbierać próbki lub wywęszą bazylię.

– Zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobili – powiedziała Tracy. – Jeśli szukali narkotyków, można by pomyśleć, że tam właśnie by zajrzeli, prawda? Trudno o lepszą skrytkę niż słoik z bazylią.

Rose wzruszyła ramionami.

– Może nie chodziło im o prochy, a o coś innego? To nie wyglądało jak nalot antynarkotykowy. Oczywiście nie wiem, jak wygląda takie przeszukanie, ale nie mieli psów tropiących i wydawało mi się, że działają nieco w pośpiechu. To tak, jakby szukali czegoś w konkretnego w pokoju Erin. Dlaczego nie zadzwonisz do niej do domu? Masz jej numer, prawda?

Tracy skinęła głową. Znała numer na pamięć. Wiedziała również, że telefon w domu Doyle'ów wyświetlał numery połączeń przychodzących i zapamiętywał je. Wtedy uświadomiła sobie, że to bez znaczenia. Policja już tutaj była. Wiedzieli, gdzie mieszkała i z kim, znali więc także nazwisko Tracy i jej prawdziwe imię. Nikogo nie zdziwi, jeśli zadzwoni do jej domu i spyta, co się dzieje z Erin.

Może rodzice powiedzą, co się stało.

– Byłaś tu w piątek rano, kiedy wpadła po swoje rzeczy? – spytała Tracy. – Jak się zachowywała? Nie mówiła czegoś, co miałaś przekazać?

– Nie. Była po prostu wkurzona, to wszystko. Nie powiedziała nic oprócz tego, że jedzie do rodziców na kilka dni, i wybiegła.

To brzmiało, jakby Erin wpadła w kłopoty, pomyślała Tracy. Poszła do holu, podniosła słuchawkę i wykręciła domowy numer Erin. Telefon zadzwonił raz, a następnie ktoś odebrał. Usłyszała męski głos.

– Halo? – powiedział Tracy. – Czy to pan Doyle?

– Kto mówi?

– Czy to pan, panie Doyle, ojciec Erin?

– Nie wiem, z kim rozmawiam. Proszę się przedstawić.

Tracy odłożyła słuchawkę. To nie był Patrick Doyle, a ton głosu policjanta potrafiła rozpoznać bez omyłki. Ale co gliniarz robił w domu rodziców Erin? Co się z nimi stało? Tracy poczuła, jak gdzieś wewnątrz rodzi się niepokój i rozlewa po całym ciele niczym zimowy chłód. Musiało się stać coś złego i nie tylko Erin była w to zamieszana. Chwyciła czarną skórzaną kurtkę i torbę ze stojaka, zajrzała do pokoju i zawołała:

– Wychodzę na trochę, Rose! Nic się nie martw, dobra?

– Francesca, nie możesz mnie tak zostawić! Boję się, a co, jeśli...

Protesty Rose ucięło trzaśnięcie drzwi. Tracy uśmiechnęła się do siebie. Rose nie

mówiła do niej. Przecież nie nazywała się Francesca. Erin Doyle wyglądała żałośnie, skulona na krześle w gabinecie nadinspektor Gervaise. Miała popielatoblond włosy, opadające luźnymi kosmykami na ramiona, ślady łez na policzkach, worki pod zaczerwienionymi oczyma i była bardzo blada. Na twarzy malował się ponury wyraz, a paznokcie poobgryzała do skóry. Juliet Doyle powiedziała, że w ciągu ostatniego półrocza wygład Erin znacznie się poprawił. Teraz nie sposób było w to uwierzyć.

Pani Doyle zatrzymała się u Harriet Weaver, sąsiadki z Laburnum Way. Stosunki pomiędzy matką a córką były tak napięte, że Erin musiała nocować w innym miejscu. Odpowiednie lokum miała znaleźć Patricia Yu pełniąca funkcję mediatora rodzinnego. Ona także będzie pośredniczyła w kontaktach Doyle'ów z policją. Jej pomoc okaże się potrzebna, ponieważ po przesłuchaniu Erin zostanie zwolniona. Po tym, co się stało z jej ojcem, policja nie mogła jej aresztować. Media rozpętałyby burzę, a sama Annie uznała, że byłoby nieludzko trzymać w celi dziewczynę, która dopiero co straciła ojca, nawet gdyby podczas przesłuchania wypłynęły obciążające ją fakty.

Nadinspektor Gervaise i McLaughlin zgodzili się, aby rozmowa odbyła się w jej biurze. Kilka godzin wcześniej w sali przesłuchań Erin została poinformowana, że jej ojciec nie żyje. W gabinecie znajdowały się cztery osoby. Gervaise i McLaughlin utknęli na spotkaniu z zastępcą komendanta, więc naprzeciwko Erin siedziała właśnie Annie. Obok dziewczyny zajęła miejsce jej prawniczka, Irene Lightholm, oraz nadinspektor Chambers, któremu pozwolono przysłuchiwać się rozmowie. Annie miała tylko nadzieję, że nie będzie przeszkadzał. To samo tyczyło się Irene, która niczym jastrząb przysiadła na brzegu krzesła. Jej wydatny nos tylko potęgował to wrażenie. Sztywny notatnik położyła na szarej sukience, która opinała chude udo.

Annie zastępowała Gervaise i w jej imieniu miała przeprowadzić przesłuchanie. Ustalono, że będzie dotyczyło wyłącznie broni. Nie wolno było poruszać żadnych kwestii związanych ze śmiercią Patricka Doyle'a czy działań podjętych przez jednostkę wsparcia. Zadanie było trudne i niewdzięczne. McLaughlin miał rację, mówiąc, że sprawy były ze sobą powiązane. Annie miała wrażenie, że wszystkie okoliczności są przeciwko niej: dziewczyna była na skraju załamania, nadgorliwa prawniczka czekała na jeden błąd, a Chambers wszędzie wietrzył zdradę. Pozostawało ich ignorować. Musiała się skupić na Erin, być spokojna i robić swoje. Mając za sobą formalności, zaczęła mówić:

– Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca, Erin. – Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła tępo na blat biurka i obgryzała paznokcie. – Erin? Musimy porozmawiać. Wiem, że jesteś zła i chciałabyś być z mamą, ale czy możesz odpowiedzieć na kilka pytań? Potem będziesz mogła do niej wrócić.

Erin wymamrotała coś pod nosem. Nadal obgryzała paznokcie i nie sposób było

zrozumieć, co mówiła.

– Nie dosłyszałam.

– Nie chcę się widzieć z matką.

– Ja bym chciała zobaczyć moją – powiedziała Annie. Gdybym jeszcze ją miała, dodała w myślach.

– Zakapowała mnie – fuknęła Erin.

Splotła dłonie na podolku i wykręcała palce. W dalszym ciągu wbijała wzrok w biurko.

Głos miała zachrypnięty i trudno było zrozumieć, co mówi.

– Zrobiła to, co uważała za słuszne – powiedziała Annie.

– Ty tak twierdzisz.

– Erin, nie o tym chciałam porozmawiać. Wiem, że czujesz się zraniona i pokrzywdzona. Chcę, żebyś opowiedziała mi o broni.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Skąd ją masz?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dlaczego przyniosłaś ją do domu i ukryłaś w szafie?

Erin wzruszyła ramionami i wróciła do obgryzania paznokci.

– Kto ci dał pistolet, Erin?

– Nikt.

– Musiałaś go od kogoś dostać. A może sama go kupiłaś?

Erin nie odpowiedziała.

– Kogoś chronisz?

– Nie, skąd to pytanie?

Annie wiedziała, że ta rozmowa prowadzi donikąd. Ostatnie wydarzenia były jeszcze zbyt świeże i w głowie dziewczyny musiał panować kompletny chaos. Najlepiej byłoby zameldować ją w hotelu, który znajdzie dla niej Patricia Yu, i dać spokój. Ale musiała być uparta.

– Czy to ktoś z Leeds?

Brak odpowiedzi.

– Może twój chłopak?

– Nie mam żadnego.

– Co ty mówisz – wtrącił Chambers, usiłując brzmieć dobrotliwie. – Taka ładna dziewczyna jak ty? Na pewno kogoś masz.

Zdaniem Annie ostatnie słowa zabrzmiały jak podryw starego zboreźnika.

Erin zbyła pytanie milczeniem. Jej wygląd i mowa ciała zdradzały, że fatalnie się czuje, i na pewno nie uważała siebie za „piękną młodą dziewczynę”. Annie rzuciła

Chambersowi chłodne spojrzenie i pytała dalej.

– Masz kogoś. Nazywa się Geoff, prawda? Chcesz, żebyśmy zawiadomili go, że tu jesteś? – Erin spojrzała dziwnie na Annie, ale ta ciągnęła: – Czy to on dał ci broń? Dlatego nie chcesz o nim rozmawiać?

Erin nadal milczała.

– Boisz się go? O to chodzi? Ja bym się bała kogoś, kto trzyma w domu naładowany pistolet.

– Nic nie rozumiesz.

– Więc pomóż mi. Chcę zrozumieć.

Zero reakcji.

– To nas do niczego nie doprowadzi! – wybuchnął Chambers.

– Ja to zrobiłam – wymamrotała Erin. Jej głos wzniósł się niewiele ponad szept.

W dalszym ciągu nie patrzyła na ludzi w pokoju.

– Co zrobiłaś, Erin? Wzięłaś broń do domu? – spytała Annie. Pochyliła się w stronę dziewczyny, aby wyraźniej ją słyszeć. Nie było potrzeby, Erin wyprostowała się i spojrzała jej w oczy. Powiedziała wyraźnym, choć drżącym głosem:

– Nie. Zabiłam go – odparła. – Mojego ojca. To wszystko moja wina.

– Momencik! – Chambers aż podskoczył na krześle. Rzucił spojrzenie Irene Lightholm, która siedziała na brzegu krzesła i jak urzeczona wpatrywała się w swoją klientkę, zamiast ją uciszyć.

Erin nie zwracała uwagi ani na jedno, ani na drugie. Annie czuła, że dziewczyna chce z siebie coś wyrzucić, zanim straci kontrolę. Nie dbała o to, z kim rozmawia. Po prostu musiała powiedzieć, co jej leżało na sercu.

– To wszystko moja wina. Tata zginął przeze mnie. – Erin powiodła wzrokiem po Chambersie i prawniczce. – Usłyszeliśmy łomotanie do drzwi. Tata poprosił, żebym otworzyła. Bolało go kolano i ze zdenerwowania czuł klucie w klatce piersiowej. Miał chorobę wieńcową... Ja... ja powiedziałam, żeby się odpiardolił. Krzyczałam, że może mnie oddać gestapo, jeśli chce, ale nie otworzę drzwi. – Erin ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– To moja wina – wyłkała przez łzy. – Boże, wybacz mi. Zabiłam go. Mojego tatę. To wszystko moja wina.

Irene Lightholm wreszcie się odezwała.

– Chyba jest jasne, że moja klientka jest w szoku po śmierci ojca. Nie postawiono jej zarzutów i nie ma powodów do oskarżenia. W tej sytuacji uważam, że nasza rozmowa dobiegła końca. Proszę o zwolnienie Erin.

– Zgadza się – odparł Chambers. – Koniec rozmowy.

Annie zastanawiała się, czy Chambers zdaje sobie sprawę, że bierze stronę obrońcy potencjalnej oskarżonej. Zignorowawszy prawniczkę i policjanta, obesza biurko i objęła Erin. Spodziewała się oporu, odepchnięcia czy napadu złości. Zamiast tego dziewczyna przytuliła się do Annie i wybuchła szlochem.

Książka dla none none

Jaff miał mieszkanie z jedną sypialnią i balkonem na Granary Wharf, niedaleko rzeki Aire i kanału Liverpool-Leeds. Tracy nigdy tam nie była, ale kiedy wracały z nocnej eskapady, Erin wskazała jej przebudowany magazyn z restauracją na parterze. Całkiem elegancką. Ludzie siedzieli w ogródkach pod parasolami, reklamującymi Campari czy Stella Artois, popijali wino i rozmawiali skąpani w wieczornym świetle. Tracy nacisnęła klawisz domofonu obok nazwiska Jaffa.

Szybko odebrał. Chyba był zadowolony, słysząc, że to Tracy. Otworzył drzwi, wjechała windą na trzecie piętro. Powitał ją w drzwiach i wprowadził do dużego pokoju z aneksem kuchennym, który służył za jadalnię i salon. Przez okno wpadało światło i można było obejrzyć niewielki balkon. W mieszkaniu panował bałagan: wszędzie wały się gazety, czasopisma, płyty CD, puste kartonowe kubki i szklanki. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, a dywan znaczyły plamy po kawie i winie. Jego kolory: niebieski i zielony, były zbyt ciemne jak na gust Tracy. Na półce nad telewizorem stało kilka zdjęć w ramkach. BBC nadawało właśnie wiadomości o szóstej. Fotografie przedstawiały Jaffa w egzotycznych miejscach, ale uwagę Tracy zwróciło zdjęcie pięknej kobiety w eleganckim sari. Miała złotawą skórę, długie, lśniące czarne włosy, wystające kości policzkowe, duże oczy i idealnie prosty nos. Dla Tracy wyglądała jak modelka. Czyżby to dawna dziewczyna Jaffa?

– Przepraszam za bajzel – powiedział Jaff. – Sprzątaczką przyjdzie dopiero we wtorek.
 – Nie ma za co – odparła Tracy, uśmiechając się. – Sama nie należę do przesadnie porządnych. Kim jest ta piękność na zdjęciu? – spytała.

Jaff spojrzał na półkę.

– To moja mama.

– Niemożliwe. Bujasz – odparła Tracy.

– Mówię prawdę. Miała trzydzieści sześć lat, kiedy zrobiono to zdjęcie. Zmarła cztery lata później.

– Bardzo mi przykro.

– Stare dzieje. Była niezwykłą kobietą. Wychowywała się w slumsach Dhaki, a została jedną z największych gwiazd Bollywood swoich czasów. – Kiedy mówił, w jego głosie dało się słyszeć chrypę, jakby wezbrały w nim uczucia. – Przepraszam. Nadal trudno mi o niej mówić. Wyjdźmy na zewnątrz.

– Dobrze. Rozumiem.

Na wpół opróżniona butelka piwa i popielniczka pełna niedopałków świadczyły, że Jaff spędzał wieczór na balkonie. Usiadł na leżaku, Tracy zajęła drugi.

– Miło cię widzieć, skarbie – powiedział, muskając jej ramię. – Miałem do ciebie zadzwonić, jak się sprawy uspokoją. Musiałem wyjechać na weekend. Interesy. Byłem w Londynie i Amsterdamie. Wróciłem dosłownie godzinę temu. Napijesz się czegoś?

Tracy przytaknęła bardziej z grzeczności niż z pragnienia. Jaff znikł w mieszkaniu i zrobił jej dzin z tonikiem. Spoglądała na miasto rozciągające się za torami kolejowymi. Leeds bardzo się zmieniło, odkąd przyjechała studiować. Upłynęło więcej lat, niż chciała przyznać. Patrzyła na nieruchome żurawie pośród odległych budynków, których nie dokończono z braku funduszy. Z bliska wyglądały tak, jak je sobie wyobrażała – były brzydkie i ciasne. Jak na jej gust, tory kolejowe ciągnęły się zbyt blisko. To chyba normalne. Jeden z duktów wodnych wił się niczym wstążka brudnej, stęchłej wody. Pełno w nim było plastikowych butelek, opakowań po jedzeniu i innych odpadków, o których pochodzeniu wolała nie myśleć. Pomimo to dookoła ciągle coś się działo. Dzielnica przypominała wielki plac budowy. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak będzie wyglądał ten miszmasz kamienic i nowych budynków, kiedy zostaną ukończone. Jeśli wystarczy funduszy. Tracy wątpiła, aby planiści projektowali perspektywicznie.

Choć wieczór był ciepły, nie zdejmowała kurtki. Chłód o tej porze roku zakradał się podstępnie po zmroku. Jaff wrócił z jej drinkiem i usiadł na swoim miejscu. Tracy nie zdążyła się przebrać po powrocie z pracy, więc czuła się jak brzydkie kaczątko przy Jaffie, który jak zwykle ubrany był w markowe džinsy i luźną białą koszulę, która mocno kontrastowała z jego oliwkową erą. Tracy znowu złapała się na tym, że podziwia jego długie rzęsy, lśniące czarne włosy, gładką cerę, szczupłe ciało, brązowe oczy i sposób, w jaki się poruszał. Był przystojny, piękny niczym kot, ale pod żadnym pozorem nie zniewieściały. Tracy wyczuwała, że jako wróg byłby śmiertelnie niebezpieczny, w jego spojrzeniu dostrzegała twardość, ale także wesołość i inteligencję. Połączenie i kontrast tych cech bardzo ją pociągały.

Stuknął swoją szklanką o jej i wzniosł toast:

– Twoje zdrowie.

– Dzięki – odparła Tracy.

– Byłaś w Amsterdamie?

– Nie. Ale odwiedziłam Londyn. Mieszkałam tam nawet.

– Amsterdam to wspaniałe miasto. Dużo kanałów i fajne kluby: „Melkweg”, „Paradiso”. Zachwyciły mnie i oświeciły zarazem. W kawiarni możesz kupić grzybki, usiąść, zapalić zioło i posłuchać muzyki.

– Fajnie – odparła Tracy. – Kiedyś spróbuję.

– Jasne. Powiedz, co cię sprowadza. Masz jakąś sprawę czy wpadłaś mnie odwiedzić?

Tracy pochyliła się ku niemu i zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewna, ale chyba stało się coś złego. Była u nas dzisiaj policja i przeszukała dom. Szczególnie interesowali się Erin.

Jaff wyprostował się.

– Jak to? Szukali Erin? Dlaczego?

– Nie wiem. Byłam w pracy i zastali tylko Rose. Wiesz dobrze, jaka ona jest, mogła coś pokręcić. Pytali ją o przyjaciół Erin. Czy miała chłopaka, kto ją odwiedzał.

– Powiedziała im coś?

– Wspomniała twoje imię, ale nie znała adresu. Powiedziała tylko, że mieszkasz nad kanałem. Była przerażona, Jaff. Ale to nie wszystko.

– Co jeszcze?

– Zadzwoiłam do rodziców Erin i odebrał ktoś obcy. Myślę, że to gliniarz.

– Czemu tak sądzisz?

Tracy nie mogła mu wyjaśnić, że dorastała, słysząc charakterystyczny ton i sposób mówienia mundurowych. Dla Jaffa była Francescą. Nie wiedział, że jej ojciec był policjantem.

– Takie odniosłam wrażenie. Gadał jak policjant. Wiesz, o co chodzi?

Jaff spojrział na zegarek i wstał z krzesła.

– Zobaczmy, czy mówią coś w wiadomościach. Pewnie już się zaczęły.

Tracy poszła za nim do pokoju. Jaff zrzucił na podłogę stertę gazet i usiadł obok siebie na sofie. Nie usłyszeli nic ciekawego, ale tuż przed pogodą pokazano materiał nakręcony z amatorskiej kamery czy telefonu komórkowego. Obraz był ziarnisty, lektor mówił bez sensu. Wyjaśnił tylko tyle, że policja dokonała przeszukania w Eastvale. Tracy z przerażeniem obserwowała nader znaną okolicę Laburnum Way. Rozpoznawała wszystkie domy, mogła wymienić, kto pod którym numerem mieszkał.

Kiedy wiadomości się skończyły, wiedzieli tylko samo co wcześniej. Dziennikarze nie wspomnieli o przyczynie akcji policyjnej ani o Erin, czy tym bardziej rewizji w Leeds.

– Co się dzieje? – spytała Tracy.

Jaff wyłączył telewizor.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale nie podoba mi się to. Ubrojeni gliniarze? Po co? Wygląda na poważną sprawę. Erin była w domu rodziców?

– W czwartek nie wróciła na noc – wyjaśniła Tracy. – Pomyślałam, że... no wiesz, że została u ciebie. W piątek wpadła po kilka rzeczy i pojechała na jakiś czas do domu. Tak przynajmniej powiedziała. Rozmawiała z Rose

Jaff zaczął krążyć po pokoju.

– Była u mnie w czwartek w nocy. Spała tutaj, tak to nazwijmy. Przyszła i zasnęła na kanapie. Nie byliśmy w nastroju do rozmów. Pokłóciliśmy się.

– O to, co się działo wcześniej?

– Po części. Skumulowało się wiele rzeczy. Stała się zaborcza. Nie znoszę, kiedy ktoś się czepia.

– Co się stało?

– Musiałem wcześniej wstać, jechałem do Londynu. Kiedy wychodziłem, jeszcze spała.

– Jaff nagle zamilkł. Coś mu przyszło do głowy. – Zostawiłem ją samą. Poczekaj chwileczkę, dobrze?

Tracy skinęła głową. Jaff wybiegł do sypialni, ale wrócił zaraz, jeszcze bardziej wzburzony niż poprzednio.

– Cholera! Głupia dziwka!

– Co się stało? – spytała Tracy, czując, że i ona wpada w panikę.

– Muszę stąd zniknąć. Mogą się tu zjawić w każdej chwili. Co za idiotka. Sama nie wie, w co się wpakowała.

– O co chodzi? Czego szukali w jej domu?

Jaff odwrócił się do niej i delikatnie musnął dłonią włosy Tracy. Poczula, jak przechodzi ją dreszcz.

– Zadajesz za dużo pytań, jakbyś była policjantką. Nie jesteś gliną, prawda? Ale by mnie podeszli, gdyby podesłali taką ślicznotkę.

– Nie bądź głupi.

Uśmiechnął się tylko, błyskając bielą zębów.

– Dobrze – odparł i znikł w sypialni.

– Powiesz mi, co się dzieje?! – zawołała za nim Tracy.

– Od razu – rzucił, wyglądając przez drzwi. – Jak tylko sam się zorientuję. Nie miałem kontaktu z Erin od ostatniego piątku, a sama wiesz, co się działo w czwartkową noc.

Tracy oblała się wstydliwym rumieńcem.

– Przepraszam, to moja wina.

– Mówiłem, że od jakiegoś czasu zanosilo się na taką awanturę. To była kropla, która przepełniła czarę. Teraz to bez znaczenia, nie powinienem był zostawiać Erin samej. Patrz, co narobiła. Głupia dziwka. Wzięła coś, co należy do mnie. To... bardzo cenna rzecz. Muszę zniknąć i na jakiś czas się przyczaić. Na pewno do chwili, kiedy będę wiedział, co i jak. Pakuję się. Poczekasz na mnie?

– Oczywiście. Jeśli mogę ci jakoś pomóc...

Tracy wróciła na balkon i zaczęła sączyć dzin z tonikiem, wpatrując się w oleisty kanał. Grupa ludzi pod parasolem śmiała się głośno. Drink smakował tak dobrze jak nigdy. Czemu Jaff poprosił, aby poczekała? Czy chciał, aby pojechała razem z nim? Może do Londynu. Pomysł z jednej strony ją przeraził, a z drugiej wydawał się bardzo

ekscytujący. Ale przecież nie mogła rzucić wszystkiego i wyjechać. W sumie dlaczego nie? Co ją mogło spotkać w Leeds? Jakie miała perspektywy, jaką przyszłość? Trzymać się kiepskiej pracy w księgarni? Życ dla roztrzepanej matki i ojca, który nigdy nie dorósł? Poza tym czuła się odpowiedzialna za to, co wydarzyło się między Erin a Jaffem. Nadal nie rozumiała, co go tak zirytowało i co takiego zabrała ze sobą Erin.

Jaff błyskawicznie się spakował. Po pięciu minutach wrócił do salonu. Tracy także weszła do środka. Upewnili się, że wszystkie urządzenia są wyłączone, niedopałki zgaszone, przesuwne drzwi na balkon zamknięte.

– Gdzie zamierzasz jechać? – spytała Tracy.

– Szczerze mówiąc, pojęcia nie mam – odparł. – Muszę zniknąć na jakiś czas i poczekać, aż burza ucichnie. Na twoim miejscu wróciłbym do domu. Ta sprawa cię nie dotyczy.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje. Poza tym znam miejsce, gdzie moglibyśmy pojechać. Jeśli chcesz.

– Naprawdę? Gdzie?

– Domek mojego taty. Mam klucz. Nie wróci do następnego poniedziałku, czyli mamy cały tydzień. Możemy się zatrzymać choć na kilka dni, aż będziesz wiedział, co robić. Nikt nie będzie nas tam szukał.

Jaff zamyślił się na chwilę i odparł:

– Dobrze. Jeśli uważasz, że to dobre miejsce, to się zgadzam. Najpierw wpadniemy do Vica, muszę zabrać kilka rzeczy. Pożyczymy od niego samochód. Nie będzie miał nic przeciwko, swój zostawię w jego garażu. W ten sposób nikt nas nie namierzy. W sumie niezły plan. Gdzie jest ten domek?

– W Gratly.

– Gdzie to?

– W Dales. To niewielka odosobniona chatka.

– Wspaniale – odparł Jaff, klepiąc ją po ramionach. – Na co czekamy, maleńka? W drogę.

Cienie wydłużały się, kiedy Annie szła Laburnum Way. Wiedziała, że nie powinna się tu zjawiać. Ryzykowała gniew Chambersa, reperkusje ze strony Gervaise i McLaughlina, ale musiała porozmawiać z Juliet, zanim straci możliwość dowiedzenia się kilku szczegółów.

Powinna była wrócić do domu kilka godzin temu albo chociaż podlać kwiaty w domku Banksa czy odebrać jego pocztę. Zamiast tego siedziała w „High Moon” na Market Street niedaleko Laburnum Way, popijała gorzkie piwo Daleside i niechętnie jadła wegetariański makaron, który zamówiła zamiast ryby i frytek. Zmiana przyzwyczajzeń wymagała bardzo

silnej woli. Pocięszała się tylko, że frytki i ryba podawane w pubie nie byłyby tak smaczne jak te ze sklepu obok domu. Kiedy skończyła jeść, uznała, że skoro jest tak niedaleko Laburnum Way, wpadnie tam i zobaczy, jak się sprawy mają. Erin nocowała w domku nieopodal zamku i nie zamierzała zbliżyć się do matki. Kwiatki Banksa wytrzymają jeszcze dzień lub dwa, a jeśli czekały na niego jakieś paczki, były to zapewne płyty zamówione przez Amazon. Listonosz zostawiał je zwykle za kubłem na śmieci.

Na Laburnum Way wciąż roilo się od policji. Stały tam radiowozy i nieoznakowane samochody. Policjanci po cywilnemu pilnowali, aby dziennikarze nie zbliżali się do miejsca tragedii. Dwóch z nich – jeden z gazety, drugi z telewizji – rozpoznało Annie, ale odmówiła komentarzy.

Harriet Weaver uchyliła drzwi kilka sekund po tym, jak Annie wdusiła przycisk dzwonka.

– Annie, to ty? – spytała. – Jesteś przyjaciółką Alana. Proszę, wejdz. – Kiedy zamknęła za nią drzwi, od razu zablokowała je łańcuchem. – Nigdy dość ostrożności z tymi pismakami – powiedziała. – Musieliśmy odłączyć telefon.

Annie ruszyła w głąb mieszkania, a Harriet pieczołowicie zamykała zamki. Spotkały się już wcześniej za pośrednictwem Banksa, ale nie znały zbyt blisko. Harriet miała około pięćdziesięciu lat i niedawno przeszła na emeryturę. Pracowała jako kierownca obwoźnej biblioteki w Dales. Annie pamiętała, że mąż Harriet, David, miał coś wspólnego z komputerami i Banks uważał go za potwornego nudziarza. Annie nigdy go nie spotkała. David i Harriet byli wujostwem Sophii i to przez nich na jakimś rodzinnym obiedzie poznał ją Banks. Mówił Annie, że kiedy mieszkał w sąsiedztwie z Sandrą i dziećmi, Harriet pierwsza przywitała ich jako sąsiadów. Sophia odwiedzała ciotkę przez lata, zapewne od czasów, kiedy była na studiach czy nawet uczyła się w szkole. Annie zdała sobie sprawę, że zastanawia się, czy już wtedy mu wpadła w oko? W tamtych czasach miał około trzydziestu lat, a więc to niewykluczone. Kiedy Annie miała siedemnaście lat, przez krótki okres spotykała się z trzydziestoletnim mężczyzną. Romans zakończył się, gdy jej ojciec o wszystkim się dowiedział. Cóż, upomniała samą siebie, nie czas na takie dywagacje. Nie miało to sensu. Ciekawe, co na temat romansu Sophii i Banksa myślała Harriet i jej mąż? Pewnie starali się unikać tematu.

– Wchodź, wchodź – zachęcała Harriet, wprowadzając ją do salonu. Jego lwią część zajmowały kanapa i dwa fotele oraz duży telewizor.

– Właśnie zmywałam – wyjaśniła. – David dostał nagłe zlecenie, a Juliet jest na piętrze i odpoczywa. Biedactwo, jest u kresu wytrzymałości. Co za potworny dzień.

– Wie pani, co się stało? – spytała Annie.

– Mniej więcej. Juliet nie była zbyt rozmowna. Sądzę, że jeszcze się nie otrząsnęła.

Jak mogę ci pomóc, kochana?

– Po pierwsze, nie powinno mnie tu w ogóle być. Niezależna komisja odwoławcza z naszym wydziałem wewnętrznym będą badały sprawę Patricka Doyle’a.

– To zrozumiałe. Słyszałam o takich postępowaniach. Nie martw się, nikomu nic nie powiem.

– Wspaniale. Wielu z nich widziało, jak tu szłam, ale nie zaprzęтали sobie tym głowy. W każdym razie jestem tutaj nieoficjalnie. Naprawdę. Chciałam się upewnić, jak się sprawy mają i jak się trzyma Juliet. No i pomyślałam o pani. Czuję się w części odpowiedzialna za to, do czego tutaj doszło. To ja rozmawiałam rano z Juliet i byłam na zewnątrz, kiedy doszło do tragedii.

– Ale to nie twoja wina – odparła Harriet. – Jestem pewna, że zrobiłaś wszystko jak należy. W każdym razie Juliet odpoczywa. To był dla niej koszmarne dzień. Patrick nie żyje, Erin się do niej nie odzywa. Biedna Juliet nie wie, co ze sobą począć. Lekarze podali jej łagodny środek uspokajający. – Harriet ze smutkiem pokręciła głową. – Musi upłynąć wiele czasu, zanim się pogodzą. Juliet obwinia Erin o śmierć Patricka. Jestem pewna, że Erin też ma wyrzuty sumienia, ale pewnie uważa, że Juliet ją wydała. Jej własna matka doniosła na policję...

– To bardzo zagadkowa sprawa. Dobrze, że przygarnęła pani Juliet.

– A dokąd miałyby się udać? Ma siostrę w Durham i może do niej pojedzie, ale na razie... Wiesz może, jak długo nie będzie mogła wrócić do domu?

– Przykro mi – odparła Annie. – Nie mam pojęcia.

– Dni? Tygodnie? Miesiące?

– Wiem, że niekiedy badanie domu trwa tygodnie, ale wątpię, aby tak było tym razem. Sprawa jest dość prosta. Mówię o postępowaniu, bo szkody psychiczne są ogromne.

– A więc myślisz, że to potrwa kilka dni?

– Tak.

– Ależ jestem roztrzępana. Zamęczam cię pytaniami i nie zaproponowałam nawet nic do picia. Masz ochotę na filiżankę herbaty? Kubek kawy? Może coś mocniejszego?

– Wystarczy herbata – odparła Annie. – Wracam samochodem do Harkside.

– Daj mi chwilkę. Czuj się jak u siebie.

Annie rozsiadła się na kanapie, a Harriet parzyła herbatę w kuchni. Czajnik musiał stać na gazie, ponieważ wróciła po chwili. Na tacy niosła czajniczek i dwie filiżanki ustawione na spodeczkach. Kiedy postawiła ją na niskim stoliku, do salonu weszła Juliet Doyle. Miała na sobie długi zielony szlafrok, który ciągnął się aż do czarnych kapci. Oczy kobiety były opuchnięte od płaczu i tabletek nasennych, a skóra blada i wysuszona.

– Kim pani jest? – spytała, gdy zobaczyła Annie. – Ach, już pamiętam.

Annie wstała.

– Chciałam się dowiedzieć, jak się pani czuje.

– A jak powinnam się czuć w takich okolicznościach? Powinna pani wiedzieć najlepiej.

To miała być prosta sprawa.

– Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało – odparła Annie. – Mamy procedury i musimy ich przestrzegać. – Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, jak głupio one brzmią.

– Te pani procedury zabiły mojego męża.

Annie wiedziała, że to nieprawda. Na śmierć Paticka Doyle'a złożyło się wiele czynników, ale nieludzko byłoby wdawać się w kłótnię z kobietą, która właśnie straciła męża. Annie czuła się coraz bardziej winna z powodu tej sytuacji: wyrzuty sumienia dopadły ją, kiedy rozmawiała z Erin, a teraz jeszcze się pogłębiły. Rodziła się w niej złość na Warburtona i resztę jego grupy, że postawili ją w tak niezręcznej sytuacji. To był schorowany człowiek, poruszający się o lasce i mający kłopoty z sercem. Jak ktokolwiek mógł ją pomylić z mieczem, nawet w półmroku powstałym po błysnięciu przepalanej żarówki? Annie zacisnęła wargi, tłumiąc poczucie winy.

– Bardzo mi przykro. – Usiadła z powrotem na kanapie i wzięła do ręki talerzyk, na którym stała filiżanka herbaty.

– Cukru? – spytała Harriet.

– Nie, dziękuję.

– Juliet, masz na coś ochotę? Napijesz się herbaty?

Juliet zdołała się słabo uśmiechnąć.

– Może filiżankę gorącej czekolady, jeśli masz?

– Oczywiście – odparła Harriet, rzucając niespokojne spojrzenie Annie. Ta skinęła lekko głową i gospodyni poszła do kuchni.

Juliet usiadła na kanapie i owinęła się szczelniej szlafrokiem.

– Czego pani chce? – spytała.

– Niczego – odparła Annie.

– Nie mogę uwierzyć, że to się zdarzyło dzisiaj. Mam wrażenie, jakby wieki minęły.

– Żałoba tak się objawia.

Juliet rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Skąd pani może o tym widzieć? Nie czuję nawet żalu. Sama nie wiem, co czuję, to przez lekarstwa. – Roześmiała się gorzko. – Mój mąż nie żyje, a ja nic nie czuję.

– To minie – odparła Annie. *A kiedy tak się stanie, będziesz żałowała.*

– Co chce pani jeszcze wiedzieć?

– Mam jedno czy dwa pytania. Naprawdę przyszedłam zobaczyć, jak się pani czuje. Może

pani pomóc Erin, nie postawiono jej jeszcze żadnych zarzutów.

– Co pani ma na myśli?

– Chodzi o broń. Pozostaje dla nas zagadką. Nie wiemy, jak się znalazła w szafie ani czy należała do Erin. Będziemy wnikliwie badać tę sprawę i może nam pani pomóc. Być może uda się uniknąć oskarżenia.

– Ale ja nie wiem, skąd się tam wzięła ani do kogo należała. Poza tym, czemu miałabym pomagać Erin? Jest odpowiedzialna za to... za to, co się stało.

– Ale nadal jest pani córką. – Do pokoju wróciła Harriet, niosąc na tacy parujący kubek z gorącą czekoladą. Uważnie spojrzała na Annie, ale ta uspokajająco skinęła głową, zachęcając, aby gospodyni została w salonie. – Powiedziała pani, że to sprawka chłopaka Erin, Geoffa. Proszę opowiedzieć o nim coś jeszcze.

– Powiedziałam wszystko, co wiem. Sądzi pani, że i on jest w to zamieszany?

– To jedyne wytłumaczenie. Trudno mi uwierzyć, że broń należała do Erin.

– Ale Geoff? Miał dobrą, stabilną pracę. Był takim miłym chłopcem. Miał dobry wpływ na Erin.

– Mówiła pani. Czy Erin miewała jakieś kłopoty z chłopakami?

– Zawsze jacyś się kręcili dookoła. Ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu, ale niezmiennie wybierała sobie nieodpowiedniego. Takiego, z którym były problemy.

– Skądś to znam – odparła z uśmiechem Annie. – Więc może to sprawka któregoś z byłych chłopaków. Zna pani jakieś nazwiska?

Juliet dotknęła palcami skroni.

– Nie przypomnę sobie teraz. Później spróbuję pomyśleć, obiecuję.

– O nic więcej nie proszę. Te informacje mogą pomóc Erin. – Odstawiła filiżankę, wstała z kanapy i wygładziła spódnice. – Pani Weaver, dziękuję za herbatę, a pani, pani Doyle, za poświęcony czas. Muszę już iść.

– Proszę mówić mi Harriet. Miło było cię gościć. Odprowadzę cię do drzwi.

Juliet Doyle nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo, spoglądając w pustkę. Kubek z gorącą czekoladą trzymała przy ustach.

Harriet odprowadziła Annie do drzwi.

– Przepraszam za Juliet, ale jest kompletnie załamana.

– Rozumiem – odparła Annie. – Proszę mi wierzyć, nie przyszłam jej przesłuchiwać.

Otworzyła drzwi. Na zewnątrz zapadał już zmrok, a powietrze było chłodne.

– Możesz porozmawiać z Tracy Banks – powiedziała Harriet.

Annie zatrzymała się na progu.

– Tracy Banks?

– Tak. To córka Alana i Sandry. Mieszka w Leeds z Erin i jeszcze jedną dziewczyną.

Tak przynajmniej było kiedyś, bo od wieków jej nie widziałam. Nie wiedziałaś o tym?

– Nie. Inspektor Banks nie opowiada o swojej rodzinie zbyt często – wymamrotała Annie. – Juliet też słowem nie wspomniała.

– Nie dziwię się, w jej stanie. Choć na pozór jest opanowana i spokojna, to bardzo wrażliwa osoba. Nie wiem, jak bym zareagowała, gdybym we własnym domu znalazła broń. Nie sądzę, żebym myślała racjonalnie.

– Rozumiem. To niecodzienna sytuacja.

– Znam obydwie rodziny od dawna. Erin i Tracy były przyjaciółkami od najmłodszych lat. Przypominały papużki nierozłączki.

– Naprawdę? – powiedziała Annie, intensywnie zastanawiając się, jak wykorzystać tę informację. – Bardzo dziękuję. Spróbuję skontaktować się z Tracy.

Idąc alejką, spojrzała na zegarek. Było zbyt późno, aby jechać do Leeds. Mogła się tam wybrać jutro po pracy. Złoży zwyczajną wizytę, upewni się, że wszystko w porządku, żeby nie niepokoić Banksa przed powrotem.

– Zaparkuj po drugiej stronie garażu – powiedziała Tracy, wskazując przed siebie. – Drzewa zasłonią samochód i nikt go nie wypatrzy, choć mało kto tutaj zagląda.

Było już prawie ciemno. Światła reflektorów przecinały ciemność, rzucając blask na gęstwinę drzew za domkiem i garażem.

– A niech mnie – odparł Jaff. – To naprawdę odludzie. Jak twój ojciec tutaj wytrzymuje? Zwariowałbym na jego miejscu.

– Lubi być sam. To smutne, prawda? – Wysiedli z samochodu i stali bez ruchu, nasłuchując. Do ich uszu docierał jedynie plusk przepływającego opodal Gratly Beck, odgłosy zwierząt czy pohukiwanie sowy. Tracy lubiła szum wodospadu. Kojarzył się z czasami, kiedy odwiedzała ojca w letnie wakacje i siadywali w ogrodzie, rozmawiając do późna. Gdzieś w tle grał Miles Davis lub śpiewała Billie Holiday, a oni rozmawiali. Tracy uniosła głowę i zobaczyła stado nietoperzy przecinających niebo. Uznała, że nie będzie o nich mówić, nie wiedziała, czy Jaff się ich nie boi. Ludzie mają dziwne fobie, ale Tracy nietoperze nie przeszkadzały.

Jaff przydepnął niedopałek i sięgnął po torbę leżącą na tylnym siedzeniu. Wyglądała na ciężką i Tracy zastanawiała się, co w niej jest.

– Idziemy? – spytała.

Skinął głową.

Tracy odszukała klucze w kieszeni. Ojciec zainstalował nowy system alarmowy, ale na wszelki wypadek podał jej kod. Kiedy tylko otworzyła drzwi, wstukała numer, światełka zrobiły się zielone i brzęczenie ustało. Zamknęła drzwi i zapaliła lampkę na stoliku obok wejścia. Zawsze uważała, że to dziwne, iż drzwi frontowe prowadziły od razu do gabinetu,

gdzie pracował przy komputerze lub czytał akta. Kiedyś był tutaj salon, ale po pożarze ojciec zmienił rozkład pomieszczeń. Z tyłu domu dobudował pokój dla siebie oraz oranżerię. Teraz zapewne tam spędzał więcej czasu, czytając i słuchając muzyki. Drzwi po lewej od kominka prowadziły do prywatnego królestwa ojca, a te po prawej – do wąskich schodów. Na ich końcu znajdowały się sypialnie. Za drzwiami naprzeciwko kryła się kuchnia i tam poszli z Jaffem. Tracy wiedziała, że lodówka będzie pusta, więc po drodze kupili hinduskie potrawy na wynos. Dawno już ostygły, ale od czego jest mikrofalówka.

Jaff wyciągnął komórkę i spojrzała na wyświetlacz.

– Masz telefon? – spytał Tracy.

– Oczywiście.

– Daj mi go – powiedział, wyciągając rękę.

– Czemu?

– Chcę coś zobaczyć. Proszę.

Zdziwiona Tracy zaczęła grzebać w torebce, aż znalazła telefon. Podała go Jaffowi.

– Jest na abonament?

– Tak.

– Tak myślałem. Wiesz, że mogą cię przez niego namierzyć?

– Nie myślałam o tym – odparła, splatając ramiona na piersi. – Nigdy się tym nie przejmowałam.

Jaff posłał jej dziwny uśmiech.

– Od teraz musisz. – Wyłączył telefon i wrzucił go do torby. – Jesteśmy zbiegami.

– Chwila moment – rzuciła Tracy, wyciągając dłoń po aparat. – Potrzebuję go.

– A właśnie, że nie – odparł Jaff, trzymając torbę za sobą. – Cisza radiowa. W razie czego skorzystamy z tego aparatu. Wziąłem go od Vica. To „palnik”.

– Słucham?

– Oglądałaś *Prawo ulicy*?

– Nie. Próbowалам, ale nie polubiłam bohaterów. Nie ma sensu oglądać serialu, kiedy wszyscy cię drażnią.

Jaff roześmiał się.

– Można na to spojrzeć i tak, choć nigdy o tym nie myślałem. W każdym razie możemy z niego zadzwonić, a potem bez żalu się go pozbyć. To aparat na kartę, nie można go powiązać ani z Vikiem, ani ze mną.

Tracy była zirytowana tym, że Jaff odebrał jej komórkę. Erin zawsze żartowała, że dla Tracy jest równie ważna jak tlen czy woda. Ale z drugiej strony było coś ekscytującego w tym, jak Jaff zarządził ciszę radiową i nazwał ich „zbiegami”. Nie uczestniczyła jeszcze w czymś takim. Zawsze była grzeczną i porządną dziewczynką.

– Co to ma za znaczenie? – powiedziała. – Przecież tutaj i tak nie ma zasięgu.

– Jest, uwierz mi. – Jaff wyciągnął rękę i przesunął dłonią po policzku Tracy. Szybko pocałował ją w usta i spytał: – Czy twój ojciec ma jakieś płyty z muzyką?

– Same starocie – odparła Tracy, czując, jak przechodzi ją dreszcz. – Pop z lat sześćdziesiątych i jazz. Do tego trochę opery.

– Nie mam nic przeciwko Milesowi Davisowi czy Pucciniemu. Gdzie je trzyma?

Tracy zaprowadziła go do pokoju ojca. Znajdowały się w nim płaski telewizor, zestaw kina domowego i półki uginające się od płyt CD i DVD.

– Całe pomieszczenie jest zaprojektowane pod kątem rozchodzenia się dźwięku – powiedziała. – To dziwactwo ojca.

– Całkiem fajne – odparł Jaff, podchodząc do półki z płytami. Zaczął je wyjmować całymi garściami. Spoglądał na tytuł, rzucał komentarz i ciskał opakowanie na ziemię. W końcu znalazł coś, co przypadło mu do gustu. Wsunął płytę do odtwarzacza, a Tracy rozpoznała ją od pierwszych taktów. *My Morning Jacket Evil Urges*. Erin słuchała jej bez przerwy w Headingley. Skąd ta płyta wzięła się w zbiorach ojca? Kiedy nie słuchał opery czy jazzu, lubował się w popie z lat sześćdziesiątych. Jego gust muzyczny zatrzymał się w tamtej epoce. Może płyta miała coś wspólnego z Sophią, ostatnią miłostką ojca, która słuchała bardziej współczesnej muzyki?

– Jest coś do picia? – spytał Jaff, kiedy wrócili do kuchni.

– Trochę wina – odparła Tracy, zaglądając do lodówki w poszukiwaniu piwa. Niestety, zawiodła się, więc zajrzała do barku. – No i to.

– Słodki Jezu – powiedział Jaff. – Twój ojciec lubi gorzałę. I ma dobry gust – dodał, przyglądając się butelce whisky Highland Park. – Zostawimy ją na deser.

Jaff przeszedł do oranżerii i uklękł obok stojaka na wino.

– Stonewell Shiraz, Barolo, Ripasso, Châteauneuf-du-Pape. Nieźle, nieźle. Żadnych tanich popłuczyn. Coraz bardziej lubię twojego ojca. Czym się zajmuje?

– Jest emerytowanym pracownikiem służby cywilnej. Głównie jeździ na wycieczki. Część wina należała do wujka Raya – wyjaśniła Tracy. – Był bogaty, a kiedy zmarł, zawartość piwniczki trafiła do taty, podobnie jak część pieniędzy.

Odszukała korkociąg i podała go Jaffowi. Kiedy ona podgrzewała jedzenie w mikrofalówce, on otworzył butelkę Châteauneuf-du-Pape. Tracy nie wiedziała, czy wino pasuje do jarzynowej samosy, kurczaka tikka masala i pieczywa naan, ale postanowiła zaryzykować. Jaff nalał po dużym kieliszku i usadowił się przy stoliku śniadaniowym, skręcając jointa. Kiedy skończył, oblizał krawędź bibuły, wsadził go do ust i zapalił. Tracy uśmiechnęła się pod nosem. I pomyśleć, że palili trawę w domu jej ojca! Podeszła do Jaffa i podała jej skręta. Zaciągnęła się i stwierdziła, że to mocny towar. Świat w przyjemny

sposób zawirował. Pociągnęła łyk wina i zakrztusiła się. Kiedy przełknęła i uspokoiła się, powiedziała:

– Kolacja będzie zaraz gotowa. Chcesz zjeść w oranżerii? To fajne miejsce i dobrze słyszeć muzykę.

– Jasne – odparł Jaff. Zaciągnął się i znów podał jej skręta. Ułożył się wygodniej i włączył niewielki telewizorek. – Ale najpierw przekonajmy się, co mówią w telewizji.

Akurat leciały wiadomości o dziesiątej. Relacjonowano wydarzenia z Eastvale i tym razem dziennikarze wiedzieli już więcej na temat wydarzeń. Jaff ustawił głośniej, aby słyszeli spikera. Tracy najpierw zobaczyła znajome okolice Laburnum Way. Podjazd był zastawiony furgonetkami i radiowozami. Wszystko wskazywało na to, że policja weszła do domu numer 12, gdzie mieszkali rodzice Erin. Za piętnaście jedenasta doszło tam do incydentu związanego z przypadkowym wystrzałem broni. Jedna osoba, najprawdopodobniej właściciel, została przewieziona karetką do Eastvale General Infirmary. Nie udzielono więcej informacji na temat samej broni, stanu rannego oraz okoliczności zdarzenia, ale policja zapowiedziała konferencję prasową na rano następnego dnia. Nie wspomniano słowem o Erin ani o Jaffie. Jeden z sąsiadów powiedział, że widział, jak policjanci wynosili przedmiot podobny do pistoletu, zawinięty w serwetę. Tracy miała wrażenie, jakby w tle zobaczyła inspektor Annie Cabbot rozmawiającą z jakimś mundurowym. Spośród wszystkich przyjaciółek ojca, z jakimi spotykał się od rozstania z matką, ją lubiła najbardziej.

– Cholera jasna – powiedział Jaff, wyłączając telewizor. – Tak jak myślałem. Znaleźli pistolet.

– Pistolet? – zdziwiła się Tracy.

Jaff puścił jej pytanie mimo uszu.

Mikrofalówka brzęczykiem dała znać, że jedzenie jest już gotowe. Zabrali pojemniki z obiadem i kieliszki z winem, zeszli do oranżerii i usiedli w wiklinowych fotelach. Z głośników, które Banks zamontował na patio, sączyła się muzyka. *Librarian*, rozpoznała utwór Tracy.

– Smaczne – powiedział Jaff, zajadając się kurczakiem i plackiem naan. – Jestem głodny. – Zauważyła, że wziął z kuchni serwetkę i wsadził ją za kołnierzyk koszuli, aby sos nie poplamił koszuli. Może o porządek w mieszkaniu nie dbał, ale o czystość ubrania już tak. Czemu się dziwić, wyglądał świetnie w tej białej koszuli. Jednym haustem skończył wino i powiedział:

– Przynies butelkę z kuchni, dobrze? Możemy ją wykończyć.

Tracy roześmiała się i pokręciła głową. Minęło sporo czasu, odkąd mężczyzna wydawał jej polecenia, i zapomniała, że to lubi. Posłusznie wróciła do kuchni po butelkę.

– Wpakowałaś nas w niezłe tarapaty – powiedział Jaff, kiedy wróciła.

– O czym mówisz? – spytała. – Nie zrobiłam niczego, to Erin narozrabiała. Co to za pistolet, o którym mówisz? Co się dzieje?

– W zasadzie to jest twoja wina.

Tracy wskazała na siebie palcem i zapytała:

– Jak to moja?

– Wszystko zaczęło się w czwartkową noc. Pamiętasz, co się działo.

Rzeczywiście, pierwsze kłopoty zaczęły się w zeszłym tygodniu, kiedy Erin pojechała do domu. Była potwornie zazdrosna o Jaffa i podejrzewała, że wpadł w oko Tracy. To oczywiście nieprawda, choć uważała, że jest bardzo przystojny.

W czwartkową noc wybrali się do klubu. Upaleni trawą i na esce bawili się do późna. Erin poszła do toalety, a Tracy tańczyła z Jaffem wolny kawałek. Przytuliła się, czuła jego ciepło, narkotyki sprawiły, że atmosfera zrobiła się podniecająca. Przyłgnęła do niego i jakoś tak samo wyszło. Zaczęli się całować na parkiecie w blasku świateł i kuli disco. Nagle poczuła, że ktoś szarpie ją za rękę. To była Erin i oczywiście piekliła się na całego. Coś krzyczała, uderzyła Tracy w twarz, nazywając zdzirą i suką, a potem uciekła.

Jaff wybiegł za nią, zostawiając Tracy na parkiecie. Ludzie się gapili, a ona poczuła się głupio. Było jej wstyd, zarumieniła się. Seksowny nastrój prysł jak bańka mydlana. Zabrała swoją torbę i pobiegła za nimi, ale nigdzie nie było śladu ani Erin, ani Jaffa. Znikli w którejś z bocznych alejek odchodzących od Vicar Lane. Zmęczona i zagubiona poszła na postój i wróciła taksówką do domu. Padła na łóżko i spała niespokojnie. Erin nie wróciła na noc, nie widziała jej też rankiem, kiedy dźwignęła się z łóżka i powlokła do pracy. Tracy nie myślała o niej. Uznała, że pogodziła się z Jaffem i spędziła noc u niego. Nadal zamierzała wyjaśnić sprawę i przeprosić, tłumacząc wszystko wpływem trawki, muzyki, prochów i alkoholu.

Kiedy wróciła do domu w piątek po pracy, Rose powiedziała, że Erin spakowała swoje rzeczy i wyjechała do rodziców. Tracy zadzwoniła do niej, ale koleżanka nie chciała rozmawiać. Powiedziała tylko, że zerwała z Jaffem, i to wina Tracy.

– To był tylko pocałunek – powiedziała do Jaffa. – Nie sądzisz, że Erin przesadziła?

– Owszem, ale to nam nie pomoże. Widzisz, do czego doszło.

– Do niczego strasznego. Nawet o tobie nie wspomnieli.

– Nie chcą mnie spłoszyć.

– Ale co się tak naprawdę dzieje? – spytała Tracy. – Co ci grozi? Skąd Erin miała pistolet? Należał do jej ojca? Jego chyba ranili?

– Nalej jeszcze wina i wszystko ci opowiem.

Tracy zrobiła, jak kazał.

– Broń była moja – powiedział Jaff. – A dzięki kochanej Erin wpadła w ręce policji.

– Słucham?

Jaff milczał przez chwilę.

– Broń należała do mnie. Reporterka miała rację, mówiąc o przedmiocie zawiniętym w serwetkę. Z domu wyniesiono pistolet.

– Był zarejestrowany?

– Oczywiście, że nie. W tym kraju nie można już legalnie mieć broni.

– Czemu Erin go zabrała?

Jaff przecesał dłonią włosy.

– Nie wiem. Może żeby mnie wkurzyć, zrobić mi na złość. Zwinęła go dzień po kłótni, kiedy zostawiłem ją samą w mieszkaniu.

– Nie zauważyłeś, że znikł?

– Nie bawię się nim każdego dnia. Poza tym wyjechałem na weekend w interesach i zorientowałem się dopiero wtedy, kiedy mi o wszystkim opowiedziałaś.

– Skąd go masz? Po co ci pistolet?

Jaff zasłonił uszy dłońmi.

– Nie przesłuchuj mnie. Zadajesz zbyt dużo pytań naraz. To nie ma znaczenia. Dostałem go w ramach przysługi od starego kumpla. Liczy się to, że policja znalazła pistolet, a Erin pewnie wszystko już wypaplała. Niech ją szlag. Sądzisz, że policja wpadnie na to, aby cię tu szukać?

– Nikt nas tu nie wyśledzi, jesteście bezpieczni. Po co mieliby mnie szukać? Nie martw się. Erin cię nie wyda.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu...

– Doceniam twoją lojalność względem przyjaciółki, zwłaszcza po tym, co zaszło. Kłopot w tym, że w obecnych czasach od razu wsadzają do paki za samą chęć posiadania broni. Co byś zrobiła, gdyby prokurator dał ci wybór: idziesz siedzieć albo powiesz, skąd masz gnata?

– Nie wyda cię. Co zamierzasz zrobić?

– Muszę pomyśleć. Mam pewne kontakty na południu, ale potrzebuję czasu, żeby je uruchomić. Teraz zamierzam zapalić kolejnego skręta. Podasz nam highland park? Skończyliśmy wino, czas na coś lepszego.

Tracy wróciła do kuchni. Oparła się o lodówkę i chwyciła za głowę. Trawka zadziałała, cały świat wirował. Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Co ona, u licha, robiła? Ukochana córeczka tatusia praktycznie włamała się do jego domu, piła na umór i zadawała z człowiekiem, którego ledwie znała. Co gorsza, pod jego wpływem najlepsza

przyjaciółka ukradła pistolet i uciekła z nim. Jakim cudem wpakowała się w takie kłopoty? Wszystko było takie dziwne.

Z drugiej strony to nie ona była ulubienicą ojca. Odkąd skończyła studia, liczył się tylko Brian. Brian to, Brian tamto. Brian i jego Blue Lamps. Mój syn jest gwiazdorem rocka, a Tracy z jej bezużytecznym dyplomem i marną pracą niech zgnije. Prawda była taka, że bardzo rzadko wymieniali się SMS-ami, dzwonili jeszcze rzadziej, a od lipca zeszłego roku nie odwiedziła ojca ani razu.

Tracy czuła się gorsza. Kiedy ona odrabiała prace domowe i uczyła się po nocach, inne dzieciaki, o których było wiadomo, że i tak znajdą dobrą pracę czy pójdą do świetnej uczelni, nazywały ją kujonem. Brian tymczasem odkładał wszystko na ostatnią chwilę, spisywał zadania od kolegów, a potem rzucił szkołę, żeby założyć zespół. Tracy robiła wszystko jak należy, więc dlaczego ojciec bardziej kochał Briana? Chrzanić go. Czekala ją przygoda i niech wszystko inne diabli wezmą. Jeszcze im pokaże.

Grzmotnęła pięścią w lodówkę i zabrała ze stolika highland park. Pociągnęła łyk i poczuła pieczenie w przełyku. Po drodze zgarnęła dwie szklanki i wróciła do oranżerii.

Książka dla none none

Kobieta próbująca wino uśmiechnęła się do Banksa. Widział ją już wczoraj i zdawało mu się, że była sama. Teraz rozmawiała ze starszym małżeństwem z Lansing w stanie Michigan. Zamienił z nimi kilka słów dzień wcześniej. Tak, zdecydowanie spoglądała w jego stronę, jakby prosiła o ratunek.

Banks odwzajemnił uśmiech i podszedł.

Mężczyzna miał na imię Bob i pracował przy maszynach rolniczych. Zobaczywszy Banksa, powiedział:

– Toż to mój stary kumpel Al. Miło cię znowu widzieć.

Banks przywitał się z Bobem i jego żoną Betsy. Miał nadzieję, że przedstawią go nieznamomej, która stała ze wzrokiem utkwionym w pusty kieliszek po winie. W jej urodzie było coś egzotycznego, ale Banks nie potrafił powiedzieć, skąd mogła pochodzić ani ile miała lat. Jej czarne włosy opadały na ramiona, a wokół migdałowych oczu próżno było szukać zmarszczek.

– Poznaj Teresę – powiedział Bob. – Przyjechała z Bostonu.

Teresa spojrzała na Banksa i podała mu dłoń. Uścisnął ją. Jej skóra była miękka i jedwabista, ale uścisk pewny i mocny. Na palcach miała kilka pierścionków, a na przegubie dłoni srebrną bransoletkę, ładnie komponującą się z kolczykami.

– Miło mi cię poznać – powiedział Banks.

– Mnie również – odparła.

– Napijecie się czegoś? Zaszło mi w gardle.

Bob i Betsy odmówili, Teresa wręczyła mu kieliszek i poprosiła:

– Nalej mi sauvignon blanc, z łaski swojej. – Szkło było ciepłe od jej dłoni, a Banks zauważył delikatny ślad szminki na brzegu.

Hotel nazywał to degustacją win, ale Banks traktował ją jako wymówkę do wychylenia kilku kieliszków przed obiadem, okazję do poznania ludzi i tanią reklamę dla producenta alkoholu. Nikt nie rozmawiał na temat smaku czy bukietu, nie prowadził notatek na arkuszach degustacyjnych. Była to drobna atrakcja ze strony hotelu, podobnie jak tarocistka, która sama popijała wino, niedbale wróżąc z kart na stołku. Jej klientem był nerwowy, ubrany w krótkie szerokie spodniki człowiek o skołtunionej brodzie.

Ameryka przypadła Banksowi do gustu. Wiele czasu spędził w angielskich pubach, słuchając, jak jego przyjaciele narzekają na Amerykanów, którzy okazali się wdzięcznym obiektem żartów. Za granicą mogli wydawać się ignorantami, jednak nie bardziej niż Brytyjczycy czy Niemcy. Na swoim terenie stawali się zadziwiający ze swoimi obiadami rodzinnymi, przydrożnymi barami dla kierowców, w których grały miejscowe kapele

country, wykwiutnymi miejskimi restauracjami, barami czy hotelami. Co najważniejsze, wiedzieli, jak dobrze obsługiwać klienta. Choćby barmanka, odebrała od niego kieliszki, napełniła nowe, podała je z uśmiechem, pytając, czy dobrze się bawi. Może nie była szczerą, ale Banks mógł z łatwością uwierzyć, że to ją naprawdę obchodzi. Niekiedy jeden uśmiech wiele zmienia. W angielskim pubie miały do wyboru czerwone wino lub białe, słodkie albo wytrawne, a na „cześć” odpowiedziano by mu burknięciem. Z kieliszkami pinot noir i sauvignon blanc wrócił do znajomych, ostrożnie klucząc pośród tłumu.

– Słuchajcie – powiedział Bob, spoglądając na zegarek. – Bardzo was przepraszamy, ale zostanieie sami. Musimy lecieć, przedstawienie zaczyna się za pół godziny.

Po tych słowach znikli. Banks podał Teresie kieliszek i chociaż było gwarno, pomiędzy nimi zapadła niezręczna cisza. Teresa była ubrana w sukienkę bez ramion o kwiecistym wzorze. Podkreślała jej wąską talię i kończyła się tuż za kolanami. Na szyi miała kolbę z kolorowych kulek, a we włosy, za prawym uchem, wpięła różowy kwiat. Jej cera była nieskazitelna i gładka, nos drobny i prosty, usta pełne i lekko skierowane ku górze.

Banks mógł się założyć, że w jej żyłach płynęła krew przodków z Tajlandii lub Wietnamu, ale nie umiał zgadnąć, skąd dokładnie pochodzili. Choć Teresa wyglądała na kobietę, która dużo się śmieje, otaczała ją także aura melancholii czy nawet smutku. Miał do tego nosa, biorąc pod uwagę jego ostatnie przeżycia, choć i tak sprawy przybrały lepszy obrót.

– Bardzo miły hotel, prawda? – powiedziała Teresa, popijając wino.

– Tak – zgodził się Banks, przesuując spojrzeniem po śródziemnomorskim wystroju. Terakota była ciepła, osłonięte lampki na stolikach rzucały przyćmione światło, sufit przyozdobiony rzeźbami, gzymsami, malowidłami i wprawionymi w mur lustrami. Stali obok obrazu, który przedstawiał Ziemię spoczywającą pośród wielu owoców i liści na tle pustynnego krajobrazu. Monaco to naprawdę dobry hotel, przyznał w duchu Banks. Dodatkowo miał tę zaletę, że znajdował się w jednym z najciekawszych amerykańskich miast, jakie odwiedził podczas dwuipółtygodniowego rejsu – San Francisco. Banks uwielbiał miasta, w których mógł udać się na długi spacer, a tu godzinami był w stanie włóczyć się po wzgórzach. Pierwszego dnia miał za sobą wycieczkę trolejbusem oraz spacer po nabrzeżach mostu Golden Gate. Ukoronowaniem tej wyprawy był kieliszek martini na Top of the Mark, skąd podziwiał światła Bay Area. Na kolejny dzień zaplanował spacer po Fisherman’s Wharf i wjechanie na Coit Tower, skąd musiał rozciągać się cudowny widok.

– Na jak długo przyjechałaś? – spytał Teresę.

– Zostaję do środy.

– Ja także – powiedział.

– Jesteś Anglikiem, prawda?

– Tak. Miło, że nie pomyliłaś mnie z Australijczykiem czy Nowozelandczykiem. Nie mam nic przeciwko nim, ale czasem tak się zdarza, co nie bardzo mi pasuje.

– Nie musiałam zgadywać. Mój dziadek przybył z Anglii, z Hull.

– Doprawdy? Znam tę miejscowość. Szczerze mówiąc, mieszkam niedaleko. Mogę spytać, po czym poznałaś, że jestem Anglikiem?

Teresa się roześmiała.

– A dzięki czemu dziewczyna z moją urodą mogłaby mieć krewnych w Hull? Nie śmieję się, proszę. Oczywiście prowadzili chińską restaurację. – Banksowi zabrakło słów. – Powinieneś zobaczyć własną minę. Żartuję. Mój dziadek był marynarzem. W jakiś sposób znalazł się na pokładzie francuskiego frachtowca. Wiele razy żeglował na Daleki Wschód i w końcu osiedlił się w Wietnamie. Płynie we mnie domieszka krwi brytyjskiej. Po części pochodzę z Hull.

Banks pochylił się ku niej i powiedział cichym głosem:

– Na twoim miejscu nie chwaliłbym się tym na prawo i lewo. Wiesz, co mawiano o ludziach z Hell, Hull i Halifaksu? – Uderzył go przyjemny zapach jej perfum. Był delikatny, słodki i pobrzmiwała w nim nuta jaśminu.

– Nie, powiedz mi.

– To był złodziejski paciorek: „Od Hell, Hull i Halifaksu racz wybawić nas, Panie”. W szesnastym wieku mieściło się tam wyjątkowo paskudne więzienie, a w Halifaksie wieszano ludzi. Jeśli chodzi o Hell, piekło mówi samo za siebie.

Teresa wybuchła śmiechem.

– Wy, Anglicy, umiecie zaskoczyć. Nigdy nie byłam w tamtych okolicach, ale chciałabym je odwiedzić.

Banks nie potrafił wymyślić powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć odwiedzić Hull. Miasteczko nie znajdowało się na liście atrakcji turystycznych, ale lubił jego port, surowy urok i rzeczowych mieszkańców. Drużyna piłkarska z Hull grała w Premier League, a to w dzisiejszych czasach było osiągnięcie na północnym wschodzie.

– Może któregoś dnia ci się uda? – powiedział. – Wybacz bezpośrednie pytanie, ale... przyjechałaś sama?

Przez chwilę zdawało mu się, że Teresa oblała się rumieńcem. Odwróciła spojrzenie, machnęła dłonią i powiedziała:

– Tak... Przepraszam, ale to skomplikowana historia.

– Może opowiesz mi ją przy obiedzie? Nie mam żadnych planów na wieczór i jestem świetnym słuchaczem.

Teresa położyła dłoń na piersi.

– Bardzo przepraszam. Ale mam... bardzo bym chciała, ale nie mogę. Muszę gdzieś pójść.

– Oczywiście – odparł Banks, zawstydzony sytuacją. – Rozumiem.

Teresa położyła dłoń na jego ramieniu.

– To nie tak, jak myślisz. Jestem umówiona z synem, jego żoną i ich dziećmi. Dlatego przyjechałam do San Francisco. W sumie muszę się spieszyć. Potrzebowałam jeszcze jednego drinka przed spotkaniem z tymi potworami. Mówię o wnukach.

Banks uważał, że była zbyt młoda, aby mieć wnuki, ale postanowił trzymać język za zębami.

– Jasne.

– Ale może spotkamy się jutro – zaproponowała. – Jeśli nadal jesteś... no wiesz.

– Świetnie – powiedział Banks. – Piękne zakończenie wakacji.

– To prawda – dodała, opróżniając kieliszek. Odstawiła go na stolik i wyjęła kilka drażetek miętowych z torebki. Zauważyła spojrzenie Banksa i dodała: – Zazwyczaj nie piję tyle, ale przy dzieciach i synowej robię się nerwowa. Ona jest przesadnie religijna. Jej ojciec to pastor baptystów, więc nie ma się co dziwić. Spotkamy się tutaj?

– Dobrze – powiedział Banks. – O siódmej? Chcesz, abym zarezerwował stolik?

– Ja to zrobię. Znam tutejsze knajpki.

– Świetnie. A więc do jutra.

Teresa wyszła, a Banks został sam. Tarocistka posłała mu konspiracyjny uśmiech i przez chwilę zastanawiał się, czy nie skorzystać z jej usług. Nie, to by go tylko mocniej przybiło albo dało mu fałszywą nadzieję. Odwzajemnił uśmiech, dopił wino i ruszył w miasto.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył na rogu Taylor, była bezdomna w zaułku. Zwymiotowała i pokuśtykała dalej, a z góry zleciały trzy gołębie, które od razu zaczęły ciekawie dziobać pozostałości. Niestety, w tych okolicach był to częsty widok. Śladem Banksa, idącego wzdłuż Geary, włókł się bezdomny Murzyn w podartych łachmanach, przez pół kwartału wykrzykujący w jego stronę, jacy to źli dla niego byli biali. Równie dobrze mógłbym być w Londynie, myślał Banks. Widoki były takie same, aż dotarł do Union Square. Zobaczył trolejbus z ludźmi uczepionymi schodków i boków. Śmiali się i pokrzykiwali, jadąc, a dzwonek dźwięczał ogłuszająco. Banks przeciął plac i zagłębił się w labirynt uliczek, krążąc po nich bez celu. Prędzej czy później znajdzie jakiś miły bar, w którym spędzi wieczór.

Sala konferencyjna w komendzie głównej, gdzie przedstawiciele policji spotykali się z prasą, wyróżniała się podwyższeniem, z którego funkcjonariusze odpowiadali na pytania lub przekazywali oświadczenia. W sali zgromadzono tyle drewnianych krzeseł, ile się dało.

Annie i nadinspektor Gervaise wielokrotnie powtarzały oświadczenie. Pomagał im McLaughlin, wskazując, co powinny wyraźnie zaakcentować, a co dyskretnie pominąć. Annie miała nadzieję, że uda się zdementować kilka plotek i zapobiec wybuchowi afery, która niczym pożar mogła szybko wymknąć się spod kontroli. W głębi duszy była przekonana, że jest na to za późno.

Śmierć Patricka Doyle'a już przysporzyła sporo kłopotów. Nie chodziło nawet o to, że doszło do niej w wyniku akcji policyjnej, ale o strzał z paralizatora. W szpitalu okazało się, że mężczyzna dwa lata wcześniej przeszedł zawał serca. Choć brał zalecone przez lekarza środki, a wyniki jego EKG i echa serca były dobre, to pewne uszkodzenia pozostały niezaleczone. Warburton i Powell powinni wiedzieć o stanie jego zdrowia, zanim wyposażono ich w paralizatory. Kiedy tylko prasa zwęszy temat, zacznie się awantura. Temat paralizatorów zawsze podnosił sprzedaż.

Oprócz dziennikarzy lokalnych tytułów pojawili się reporterzy z ważniejszych gazet ogólnokrajowych: „Mail”, „Sun”, „Guardian”, „Telegraph”, „Express”, „Times”, „Independent”, „Mirror”. Poza nimi zauważono kilku pisarzy kryminałów czy powieści sensacyjnych, szukających inspiracji bądź informacji.

W niewielkiej sali panowały gwar i harmider, kiedy McLaughlin wyszedł na podium. Annie i Gervaise stanęły w bocznym wejściu, obserwując, jak będzie sobie radził. Choć pomieszczenie było na tyle małe, że mikrofony okazywały się niepotrzebne, to zainstalowano je, aby nagrać oświadczenie. Kamerzyści dyskretnie ustawili się ze swoim sprzętem w kącie.

Annie rozglądała się po sali. Zauważyła kilka znajomych twarzy, których część widziała wczoraj na Laburnum Way. Oparła się o ścianę i pociągnęła łyk kawy z kubka, który przezornie zabrała ze sobą. McLaughlin odchrząknął, a dziennikarze zajęli miejsca.

– Wczoraj o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć rano policja odpowiedziała na wezwanie, zgodnie z którym na Laburnum Way znajdowała się naładowana broń. Jednostka wsparcia nie została wpuszczona do środka przez mieszkańców, dlatego użyto siły. Podczas interwencji jedna osoba została porażona paralizatorem. Mężczyzna zmarł w Eastvale General Infirmary w wyniku komplikacji. W domu znaleziono jedną sztukę naładowanej broni. Rozumiem, że macie państwo mnóstwo pytań, jednak nie mogę odpowiedzieć na wszystkie ze względu na delikatną naturę sprawy.

Na całej sali podniosły się ręce, a pierwszy zadał pytanie dziennikarz z „Daily Mail”.

– Rozumiem, że pan Patrick Doyle był właścicielem domu, o którym mówimy. Czy był obecny podczas ataku? Czy to on zmarł? Jeśli tak, jak do tego doszło?

– Nie zgadzam się ze słowem „atak”, jest nieadekwatne do sytuacji – odparł McLaughlin. – Funkcjonariusze działali w stanie potencjalnego zagrożenia. Chciałbym

udzielić jak najdokładniejszej odpowiedzi. Widzę, że sporo państwo wiecie. Tak, pan Patrick Doyle był właścicielem domu na Laburnum Way dwanaście. Pozostawał w nim, kiedy jednostka wsparcia weszła do środka, i został ranny po wystrzale z paralizatora. Zmarł w szpitalu w wyniku komplikacji niezwiązanych ze sprawą.

Przez salę przeszedł szmer i kolejne ręce powędrowały w górę. McLaughlin wybrał dziennikarza z jednej z lokalnych gazet.

– Słucham, Ted?

Ted Whitelaw z „Eastvale Gazette” wstał.

– Wspomniał pan o obrażeniach niezwiązanych ze sprawą. Czy śmierć pana Doyle’a została spowodowana przez porażenie paralizatorem?

– W tej chwili nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie.

– Nie może pan czy nie chce?! – krzyknął ktoś z sali.

McLaughlin zignorował krzykacza i powiedział:

– Jeszcze nie przeprowadzono sekcji – odparł spokojnie. – Do czasu otrzymania jej wyników nie chcę wypowiadać się na temat przyczyny zgonu pana Doyle’a.

– Czyli nie wyklucza pan śmiertelnego porażenia? – dążył Whitelaw. – Paralizatory stanowią poważne zagrożenie.

– To nie czas ani miejsce na dyskusję – skwitował McLaughlin. – Musimy się wstrzymać z dywagacjami do ogłoszenia wyników sekcji zwłok.

– Śmierć w wyniku użycia paralizatora wiąże się z zażywaniem leków lub chorobami serca. Czy pan Doyle miał problemy z jednym bądź z drugim?

– Patrick Doyle miał zawał serca dwa lata temu – przyznał McLaughlin. – Według lekarzy był w świetnej formie.

– Czy funkcjonariusze, którzy weszli do jego domu, wiedzieli o jego chorobie?

– Nie, nie zostali poinformowani – przyznał McLaughlin.

– Dlaczego?

– Nie chcę się bawić w przypuszczenia. Sprawa będzie wyjaśniana.

– Czy policja zdawała sobie sprawę ze stanu zdrowia pana Doyle’a?

McLaughlin milczał. Whitelaw za to nie odpuszczał:

– Czy można uznać, że paralizator mógł przyczynić się do śmierci pana Doyle’a?

– To był nieszczęśliwy wypadek i zostanie bardzo dokładnie przebadany. Ted, zadałeś już dość pytań, daj szansę innym.

Whitelaw zajął z powrotem swoje miejsce, uśmiechnął się z wyższością i zaczął szybko notować.

– Powiedział pan, że zajście będzie dokładnie zbadane – rzekł dziennikarz z „Daily Mirror”. – Przez kogo?

– Działania funkcjonariuszy bada nadinspektor Chambers z wydziału wewnętrznego.

Zgodnie z protokołem pomagać mu będzie niezależna komisja odwoławcza policji.

– Czyli to będzie dochodzenie policyjne? – upewniła się reporterka z „Guardiana”.

– Z tego co wiem, Maureen – odparł McLaughlin – policja jest najbardziej kompetentna w tego typu sprawach. Kto miałby ją zastąpić? Bibliotekarz? Miejscowy antykwariusz? Staruszka, która dokarmia koty? – Im bardziej McLaughlin był poirytowany, tym wyraźniejszy stawał się jego szkocki akcent.

Dziennikarka uśmiechnęła się.

– Chodziło mi raczej o to, że po raz kolejny policja bada działania policji – odparła i usiadła.

McLaughlin rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego pytającego. Nie musiał szukać długo.

– Len, słucham.

Len Jepson pisał dla „Yorkshire Post”.

– Moje pytanie będzie proste. Dlaczego uzbrojona jednostka wsparcia weszła przed południem z użyciem siły do zwyczajnego domu w spokojnej dzielnicy?

Przez salę przetoczył się śmiech.

– Jak powiedziałem w oświadczeniu, otrzymaliśmy wiarygodne doniesienie, że w domu znajduje się naładowana broń – odparł McLaughlin. – Kiedy funkcjonariusze nie zostali wpuszczeni do środka, wezwaliśmy wsparcie. To standardowa procedura, Len, powinienesz wiedzieć.

– Ilu policjantów brało udział w akcji? – zapytał reporter z „Independent”.

– Czterech. Dwóch przy drzwiach frontowych i dwóch przy tylnych. Nic niezwykłego. – Kolejna ręka znalazła się w górze. – Tak, Carol?

– Wspomniał pan w oświadczeniu, że z domu wyniesiono naładowaną broń. Czy była używana?

– Podczas akcji nie padł żaden strzał.

– Do kogo należała?

– Tego nie wiemy.

– Gdzie znajduje się teraz? – zapytał ktoś inny.

– Została wysłana do laboratorium kryminalistycznego w Birminghamie, gdzie jest poddawana badaniom.

– Jak znalazła się w domu?

– To kwestia, w której toczy się dochodzenie.

– Czy ma związek z Erin Doyle?

– Przykro mi, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. – Podniosły się kolejne ręce.

McLaughlin wybrał dziennikarkę z „Darlington & Stockton News”. – Tak, Jessico?

– Ma pan dość lewicowe poglądy na sprawy, które zaprzęają opinię publiczną, takie jak segregacja rasowa, przeludnienie więzień czy wykorzystywanie siły przez policję. Czy może pan powiedzieć czytelnikom, co osobiście sądzi pan na temat tej sprawy?

McLaughlin uśmiechnął się nieznacznie. Annie wiedziała, że przezywano go Czerwonym Ronem i choć oficjalnie nie lubił tego przydomku, to w skrytości ducha był z niego dumny. Ojciec McLaughlina pracował po wojnie w stoczni w Glasgow, był związkowcem z przekonań i część socjalistycznych przekonań przekazał synowi.

– Moje osobiste zdanie nic w tej sprawie nie znaczy. Ważne jest to, że nieszczęśliwie zginął człowiek, jego rodzina jest pogrążona w żałobie i prosiłbym to uszanować.

– A czy pan to robi? Czy to prawda, że nękaliście i przesłuchiwaliście wczoraj rodzinę Erin Doyle?

– Nie mogę mówić o szczegółach toczącego się śledztwa, ale zapewniam, że z naszej strony nie doszło do żadnego nękania.

W sali zapanowały harmider i szuranie. Przez hałas przebił się głos Luke’a Stafforda z „Sun”.

– Jaki jest udział Erin Doyle w tej sprawie? Broń należała do niej czy do Patricka Doyle’a?

– Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie, śledztwo nadal się toczy.

– Ale jest podejrzana? Sąsiedzi widzieli, jak wyprowadzacie ją w kajdankach – naciskał Stafford. – Czy to prawda, że zadawała się z podejrzanym towarzystwem w Leeds? Handlarzami narkotyków i tym podobnymi?

Annie od razu zauważyła, że McLaughlin nie znał tej informacji. Jakiś reporter musiał samemu zrobić rozeznanie.

– Nie mogę udzielić komentarza, panie Stafford, ale jeśli dysponuje pan informacjami w tej sprawie, jestem pewien, że jako praworządny obywatel podzieli się pan nimi z policją. – McLaughlin wstał i dodał: – Na dziś to koniec. Bardzo dziękuję za przybycie.

Annie zdawała sobie sprawę, że dziennikarze nie byli zadowoleni. Łaknęli krwi, a ledwie poczuli jej zapach. Bóg jeden wiedział, co napiszą.

McLaughlin także nie wyglądał na zadowolonego. Wychodząc z sali, pochylił się ku Annie i Gervaise, po czym rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Co to ma znaczyć? Co wiemy o życiu Erin Dyle w Leeds?

– Na razie nic, sir – odparła Gervaise. – Dopiero zaczynamy śledztwo.

– Pismaki nas wyprzedziły, więc zabierzcie się do pracy. Dowiedzcie się, o co chodzi. Chcę rezultatów, i to natychmiast. Macie wiedzieć wszystko i być pierwsi.

– Tak jest – odparła Gervaise. Kiedy McLaughlin znikł, spojrziała na Annie i rzuciła: –

Za godzinę w moim biurze.

Robi się ciekawie, pomyślała Annie. Zamierzała sama pojechać do Leeds po godzinach, ale teraz ten trop stał się oficjalną częścią dochodzenia. Powinna powiedzieć Gervaise, że Erin Doyle i Tracy Banks były współlokatorkami. Prawda wyjdzie na jaw już wkrótce. Annie uważała jednak, że z sentymentu wobec Banksa powinna chronić jego córkę przed kłopotami, jeśli to możliwe. Musiała postępować ostrożnie i milczeć do chwili, kiedy lepiej zrozumie, na czym polega problem.

Oczywiście doszło do nieuniknionego. Tracy i Jaff przebalowali większość nocy, najpierw osuszając butelkę highland park i paląc skręty w oranżerii, śmiejąc się i słuchając Animal Collective, Fleet Foxes i My Morning Jacket, a potem oglądając filmy na DVD. Wybrali którąś z części przygód Jasona Bourne'a. Film był jednym wielkim pościgiem, przerywanym tylko strzelaninami i bijatykami. Jaff porzrzucał dookoła płyty, które mu się nie podobały, i Tracy pamiętała opakowania chrząszczące pod stopami, kiedy szli na piętro. Potem wszystko było niewyraźne i rozmyte.

Obudziła się o wpół do jedenastej. Leżała nago w sypialni dla gości, przykryta kołdrą, a Jaffa nie było w pokoju. Głowa jej pękała, ale kiedy Tracy się skupiła, przypomniała sobie, do czego doszło zeszłej nocy.

Zabrali ze sobą butelkę whisky i dotoczyli się do sypialni ojca, gdzie padli na łóżko. Jaff zaczął ją całować, a jego dłonie krążyły po jej ciele. Trochę się opierała i chyba nawet powiedziała, aby przestał, bo kiepsko się czuje, ale nie zwracał uwagi. Tracy dziwnie się czuła, myśląc, że będzie to robiła na łóżku ojca. Whisky i wino nie służyły jej ani trochę, ale Jaff dobierał się coraz mocniej. Zdjął z niej bluzkę i zaczął rozpinać dzinsy. Ściągał je, kiedy... tak, kiedy zwymiotowała.

W ostatniej chwili odwróciła się i zwróciła za łóżko. Pomyślała nawet, że to ostudzi Jaffa, zwłaszcza że wymknęła się do łazienki umyć zęby i przepłukać usta. Kiedy wróciła do sypialni, w zapiętej bluzce i spodniach, leżał na łóżku, nagi, uśmiechnięty i gotowy. Zaczął dobierać się do niej od nowa. Tracy nie miała siły się opierać i chociaż miała zawroty głowy, chyba też tego chciała. Bała się, że uzna ją za cnotkę, a jego zapędy w gruncie rzeczy sprawiały jej przyjemność. Czuła się już trochę lepiej i nabrała ochoty na harce. Ostatecznie czy nie fantazjowała na temat seksu z Jaffem? Nawet całowała się z nim na parkiecie. Tracy miała świadomość, że wiele dziewczyn chętnie by się z nią zamieniło. No i robili to w sypialni ojca.

W zasadzie nie pamiętała, jak to było. Jaff szybko skończył, choć sporo wypił, i po kilku minutach zasnął obok. Kiedy Tracy upewniła się, że śpi na dobre, wymknęła się i przeniosła do sypialni dla gości. Tam nocowała, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny. Tutaj obudziła się rankiem. Słońce świeciło jej prosto w oczy, a głosy ptaków rozbrzmiewały

w uszach. Zapomniała zaciągnąć zasłony. Z początku nie pamiętała, gdzie jest, ale atak paniki ustąpił, kiedy przypomniała sobie, co się działo i gdzie są jej ubrania.

Wróciła do sypialni Banksa i się ubrała. W domu panowała cisza, nigdzie nie było ani śladu Jaffa. Poszła do łazienki i się umyła, a następnie łyknęła kilka tabletek przeciwbólowych. Potem zeszła na dół i cicho zawołała Jaffa. Znalazła go w oranżerii, zwiniętego w kłębek w wiklinowym fotelu. Na stoliku obok stała szklanka do połowy wypełniona whisky i popielniczka, z której wysypywał się popiół. Wyglądał jak anioł: miał długie rzęsy, lekko rozchylone, wilgotne usta i cicho postękiwał przez sen. Miała ochotę go pocałować, ale nie chciała go budzić.

Jak najciszej zaparzyła herbatę i przygotowała tosty. Potem nabrała wody do miski i ze szmatką w dłoni powędrowała do sypialni posprzątać po sobie. Dobrze, że podłoga była drewniana, a nie leżała na niej wykładzina dywanowa. Zaczerwieniła się ze wstydu. Jak mogła dopuścić do czegoś takiego? Na koniec zeszła do pokoju ojca, ale nie wiedziała, od czego zacząć sprzątanie, więc wróciła, żeby napić się herbaty.

Wtedy przypomniała sobie o komórce. Mogłaby ją odzyskać, kiedy Jaff śpi. Pamiętała, że zabronił jej używać. W sumie chyba miał rację. Słyszała, że ludzi można zlokalizować po sygnale emitowanym przez telefon. Ojciec wspominał kiedyś o tym. Jaff także wyglądał na takiego, który wiedział, co mówi. Choć z drugiej strony lepiej by się czuła, mając telefon przy sobie. Nie włączałyby go, więc co złego mogłoby się stać? Jaff nie miałby nic przeciwko.

Już miała otworzyć jego torbę, którą zostawił na stoliku, kiedy Jaff wszedł do kuchni, przecierając oczy, ziewając i przeciągając się. Może później, pomyślała Tracy.

– Dzień dobry. – powiedziała. – Chcesz herbaty?

Jaff burknął coś. Należał raczej do tych, którzy rano są nie w sosie. Mimo to zaparzyła herbatę. Jaff posłodził swoją dwiema łyżeczkami cukru i zalał mlekiem. Mruknął tylko, że wolałby kawę, więc posłusznie ją zaparzyła.

Kiedy Jaff wypił, spytał:

– Umieram z głodu. Mamy coś do jedzenia?

Tracy przeszukała i lodówkę, i zamrażarkę, nie mówiąc o szafkach. Znalazła kilka puszek fasoli, trochę zup w proszku i nic więcej. Na śniadanie zjedli więc fasolę.

– Jeśli zamierzamy tutaj zostać, musimy zrobić jakieś zakupy.

– Kiedy wraca twój ojciec?

– W następny poniedziałek. Zastanowiłeś się, co dalej?

– W pewnym sensie.

– I?

– Zostaniemy tutaj tak długo, jak to bezpieczne, do końca tygodnia, i pozwolimy

sytuacji się uspokoić – powiedział Jaff. – To miłe i ciche miejsce, z dala od ludzi, którzy zadają niewygodne pytania. Nikt mnie nie będzie tutaj szukał. A nawet jeśli, ty im powiesz, że wszystko w porządku i nie mają się czym martwić. To dom twojego ojca, masz prawo w nim mieszkać, no nie? Mamy sporo filmów do obejrzenia, jest woda, dopisało nam szczęście.

– Nie możemy tu tkwić wiecznie – powiedziała Tracy, myśląc o tym, do czego może jeszcze dojść. Ekscesy zeszłej nocy nie mogły trwać wiecznie.

– Wiem, maleńka – odparł Jaff, przesuwał dłońią po jej włosach, policzku i piersi. – Muszę uruchomić kilka znajomości. Mam kumpla ze studiów. Mieszka w Clapham, pomoże nam zdobyć paszporty. Potrzebuję czasu, żeby wykonać parę telefonów i wszystko ustawić. Taka pomoc kosztuje, ale dzięki kryjówce spokojnie poczekamy. Jak wszystko poustawiam, pojedziemy do Londynu, a stamtąd za kanał. Wtedy będziemy wolni.

– Nie dzisiaj – odparła Tracy. – Jest ten cały Interpol, Europol i Bóg wie co jeszcze. Widziałam program w telewizji.

– Nie martw się za bardzo i nie marudź, mała. Jeśli ktoś chce zniknąć, da radę to zrobić.

– A ty wiesz jak?

– Zaufaj mi. Mogłabyś też zmienić kolor szminki na różowy. Nie podoba mi się ten ciemnoczerwony. Tak samo paznokcie. Wyglądają jak u lafiryndy. I fryzura. Wolałem, kiedy nie miałaś kolorowych pasemek.

– Farbę łatwo spłukać – powiedziała Tracy. Dotknęła włosów i oblizwała wargi, spoglądając na paznokcie. Nie była pewna, czy chce wszystko zmieniać i rzucać dla wygnania z Jaffem. W sumie nie znała go aż tak dobrze ani nie zrobiła niczego złego. To nie ona uciekała. Szczerze mówiąc, nie wiedziała, co i dlaczego robi. Na razie była winna bałaganu w domku ojca i pijaństwa. Ale Tracy postanowiła skoncentrować się na tu i teraz. Na głębsze refleksje przyjdzie czas później.

Nie tak daleko od domu, w osiemnastowiecznym zamku na północno-zachodnim krańcu Ripon „Farmer” George Fanthorpe wyglądał przez okno, podziwiając okolicę, i słuchał informacji. W szybie widział swoją poczerwieniałą, poznaczoną bruzdami twarz, zaokrąglone ramiona i gęste, kręcone, ale też siwiejące włosy. W oddali, za odbiciem, był ogród, jego duma i radość. Spoglądał na równo przystrzyżone trawniki, huśtawki, zjeżdżalnię i równoważnię dla dzieci. Dalej znajdowały się ozdobne żywopłoty, żuźlowe ścieżki, fontanny, kwietniki i zielniki, tak lubiane przez Zenovię. Dzisiejszy dzień spędzała na zakupach w Yorku.

Ogród otaczał wysoki mur, w większej części porośnięty bluszczem i zasłonięty drzewami. Tam, gdzie ogród łagodnie opadał, roślinność odsłaniała panoramę pagórków

Wensleydale, za wzgórzem Masham. Dziś były szare i piętrzyły się ku niebu jeden za drugim, każdy wyższy od poprzedniego. Fanthorpe uwielbiał ten widok i mógł go podziwiać godzinami. Był jeszcze piękniejszy od panoramy, jaka rozciągała się z sypialni, i nie ograniczały go ściany. Niestety, mury były konieczne. Ich zwieńczenie wysypano tłuczonym szkłem. „Farmer” Fanthorpe miał wrogów.

Szarość okolicy doskonale oddawała nastrój tego popołudnia. Na dalekich rubieżach imperium działały się rzeczy, które Fanthorpe’owi się nie podobały. I to bardzo. Zawsze szczyił się, że działa po cichu i bez rozgłosu, ale wieści, jakie przywiózł Darren, zburzyły spokój i dobre samopoczucie. Co najmniej.

– Jesteś pewien, że to dziewczyna Jaffa? – spytał, na wpeł odwracając się od okna.

– Tak – przytaknął Darren.

Stał wyprostowany, z rękoma splecionymi z tyłu.

Fanthorpe wiedział, że Darren nie był panikarzem, nie przesadzał i nie przejmował się drobiazgami. Zachowywał spokój nawet w obliczu problemów. Zwłaszcza tych nieprzewidzianych. Rozumiał wartość logicznego myślenia.

– Znaleźli broń w jej domu?

– W domu jej rodziców. Tak podano w wiadomościach.

– Tylko pistolet. Nie wspomnieli o...

– Tylko broń. Gliny poraziły paralizatorem ojca. Zmarł.

Fanthorpe odwrócił się od okna i podszedł do Darrena.

– Co za pech. Takie kłopoty to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy. Zdajesz sobie sprawę. Negocjacje z Rosjanami idą po naszej myśli, a Litwini tańczą, jak im zagramy. Nawet z Albańczykami się udało. Co ten idiota sobie myślał, dając gnata swojej cizi? Gdzie on się podziewa? Powinien wrócić z towarem. Miał być wieczorem, do kurwy nędzy.

– Nie wiem, gdzie jest – odparł Darren. – Może nie dał jej broni, a wzięła ją sama. Mogła też zwędzić towar. Gliny nic nie mówiły. Co mamy zrobić?

– Ciaran przyjechał z tobą?

– Czeka w samochodzie.

Fanthorpe zaczął krążyć po pokoju, intensywnie myśląc. Nie zamierzał robić niczego, co mogłoby zwrócić na niego uwagę. W jego zawodzie każdy przejaw zainteresowania był bardzo niepożądany. Fanthorpe zajmował się nielegalnymi interesami na dużą skalę: czarnym rynkiem, przemytem, zaspokajaniem popytu na narkotyki, praniem brudnych pieniędzy, handlem kradzionymi limuzynami czy sutenerstwem. Jego córki uczyły się w najlepszych szkołach hrabstwa, piękna serbska żona nie musiała trudzić się pracą, a Fanthorpe chciał, aby wszystko dalej tak wyglądało. Cenił sobie spokój domowego ogniska.

Zawsze zadziwiała go umiejętność Darrena do trwania w bezruchu, kiedy oczekiwał na polecenia. Nawet nie mrugał.

– To były poranne wiadomości?

– Tak.

– Czy wspomniano Jaffa z imienia?

– Jeszcze nie. Może dziewczyna nie puściła pary z ust.

– To kwestia czasu – mruknął Fanthorpe. – Zawsze zaczynają gadać.

– Została wypuszczona. Możemy ją dorwać, zanim...

Fanthorpe uniósł dłonie.

– Nie – powiedział. – Doceniam starania, Darren, naprawdę. Jeśli ktokolwiek dałby radę to zrobić, to Ciaran, ale to zbyt ryzykowne. Wiem, że w przeszłości robiliśmy podobne rzeczy z problematycznymi świadkami, ale tym razem to nieopłacalne. Jak nie ona wyda Jaffa, to ktoś inny. Takich jak on nie upilnujesz. Za bardzo lubią się popisywać, szastać forszą. Wiesz, jakie są dzisiejsze dzieciaki – kluby, knajpy. Zaczynają paplać, plotka krąży. Jak nie ona go wyda, to ktoś inny.

– Co robimy?

– Zaczynaj od sprawdzenia mieszkania Jaffa. Wiesz, gdzie to jest. Ta elegancka dzielnica w Leeds. Tutaj masz klucz. Jaff powinien mi coś oddać i chciałbym to dostać. Może usłyszał, co się stało z tą jego lalunią, i dał drapaką. Wie, co to oznacza, ale... Rozejrzyj się. Dobrze?

Darren schował klucz do kieszeni. Nie pytał, skąd Fanthorpe go miał, to było bez znaczenia.

– Bez kłopotu, szefie. Co potem?

– Znajdź Jaffa. Nie jest tak twardy, za jakiego się uważa. Kiedy gliniarze go dopadną, a to jedynie kwestia czasu, zacznij gadać. Jeśli już tego nie zrobił. Mogą mu zaoferować układ, a wie o nas za dużo. O wiele za dużo. – Fanthorpe pokręcił głową. – Sam nie mogę uwierzyć, co mówię. Wiesz, że praktycznie był moim wspólnikiem? Traktowałem chłopaka jak syna, którego nigdy nie miałem. Patrz, jak mi odpłacił.

– Nie mamy powodu przypuszczać, że zrobił coś przeciwko nam.

Twarz Fanthorpe'a poczerwieniała ze złości.

– Przyprawił mnie o pieprzoną niestrawność. To na początek. Pozwolił, aby ten zasrany pistolet wpadł w ręce policji, to po drugie! A wszystko przez jakąś cizję! Jakby nie dość tego, znikł bez wieści. Stracił wiarygodność.

– Co mamy zrobić? – spytał Darren.

– Upewnij się, że wszystkie problemy skończą się na Jaffie. Czy istnieją jakieś ślady, które mogą go z nami łączyć?

– Co najwyżej bardzo słabe. Plotki, pogłoski, nic, z czym byśmy sobie nie poradzili.

Fanthorpe skinął głową.

– Tak myślałem. Pogłoski i plotki będą niczym pierdnięcie w czasie burzy, ale mogą narobić smrodu. Upewnij się, że na Jaffie sprawa się skończy.

– Tak jest.

– Znajdź go i zamień z nim kilka słów. Nie chcę go tutaj widzieć. Zabierz go w odludne miejsce i dowiedz się, co jest grane. Daj się wyszaleć Ciaranowi. Pewnie już go nosi, za długo nie spuszczaaliśmy go ze smyczy. Wydobądź z Jaffa, ile dasz radę, przywieź moje rzeczy i daj znać, jak już wszystko załatwisz. Wtedy wydam ci dalsze polecenia. Dasz sobie radę? – Darren rzucił mu urażone spojrzenie, jakby chciał spytać, dlaczego Fanthorpe powątpiewa w jego umiejętności. – Oczywiście, że tak. – Fanthorpe poklepał go po ramieniu. – Zuch chłopak, nigdy mnie nie zawiodłeś. Pamiętaj, sprawa ma się kończyć na Jaffie. Najpierw odzyskaj moje rzeczy, a potem... – Zamilkł na chwilę i przesunął dłonią po gardle. – Zamknij sprawę.

Książka dla none none

Z racji stopnia nadinspektor Gervaise zajmowała gabinet, w którym wcześniej urzędował jej poprzednik, Gristhorpe. Annie stwierdziła, że pomieszczenie było mniej zagracone, bardziej przestrzenne, surowe, jaśniejsze i wpadało do niego więcej świeżego powietrza. Kilka warstw jasnoniebieskiej farby na ścianach zdziało cuda. Na półkach stały akta prowadzonych spraw zamiast oprawionej w skórę klasyki, którą zbierał Gristhorpe. Pomiedzy teczkami tu i ówdzie stały puchary za osiągnięcia szermiercze i statuetki z konkursów konnych, a gdzieś widoczne były fotografie rodzinne oprawione w srebrne ramki. Na uporządkowanym biurku leżał otwarty MacBook. Zza okna dobiegały miejskie hałasy: terkot samochodowych silników, głosy dzieci wołających do siebie przez plac, trzask zamykanych drzwi ciężarówki. Oprócz nich do gabinetu wpadało świeże powietrze, niosące ze sobą aromat ciepłego pieczywa z piekarni Pete'a.

– Siadaj, Annie – powiedziała Gervaise. – Poprosiłam o herbatę. Masz ochotę na earl grey?

– Tak – odparła Annie. Usiadła, zakładając nogę na nogę, i odchyliła się na oparciu.

Gervaise bawiła się klipssem biurowym, otwierając go i zamykając. Jej kształtne usta pozostawały zaciśnięte. Spojrzała na Annie i zapytała:

– Podoba mi się ten odcień blond. Czemu go wybrałaś?

– Sama nie wiem. Blondynki mają więcej zabawy z życia. – Annie nie była pewna, czy nowa fryzura jej pasowała. Obcięła włosy, żeby zmienić wygląd, ale pasemka były dla niej czymś nowym. Cały czas nie mogła do nich przywyknąć.

– I jak? To prawda?

– Nie w tej chwili.

– Rozumiem cię. – Gervaise odłożyła klips. Annie zauważyła, że kobieta skaleczyła się w czubek palca wskazującego. – Posłuchaj, różnie pomiędzy nami bywało, ale bardzo cię lubię, Annie. Chcę, żebyś była tego świadoma. Lubię cię, choć często byłaś bardziej lojalna wobec detektywa Banksa niż reszty wydziału, pomimo zasad i zdrowego rozsądku. Chciałabym na tej sympatii zbudować nasze stosunki. Co u ciebie słychać?

– A o co pytasz?

– O nic szczególnego. To zwyczajne pytanie: jak sobie dajesz radę, co porabiasz?

– Wszystko w porządku, madame.

– Powiedziałybyś mi, gdyby tak nie było.

– Raczej nie.

– Nie zasłużyłam jeszcze na twoje zaufanie?

– To nie tak... – Annie chciała coś powiedzieć, ale nagle zamilkła.

– Mów, proszę.

Annie pokręciła tylko głową.

– Chyba domyślam się, o co chodzi – powiedziała Gervaise. – Nie jestem tutaj długo, ale zauważyłam, że ty i Alan... detektyw Banks, jesteście sobie bliscy i...

– To nie tak, jak pani myśli. Nie wdaliśmy się w żaden nieodpowiedni związek, który naruszałby...

– Nie tak szybko! – Gervaise uniosła dłoń, uspokajając Annie. – „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka zbyt wiele”.^[1] Ale nie o to pytałam, nie interesuje mnie twoje życie prywatne. O, jest herbata. Wejdz, Sharon. Postaw tacę, dziękuję.

Funkcjonariuszka weszła do gabinetu, postawiła tacę z herbatą, uśmiechnęła się i wyszła

– Pozwólmy jej się zaparzyć, dobrze? – powiedziała Gervaise. – Potem będę udawała matkę. Chodziło mi raczej o to, że pasujecie do siebie pod względem profesjonalnym. Wiem, że raz na jakiś czas sprawy przyjmują niespodziewany obrót, szczególnie z inspektorem Banksem w pobliżu, co nie wygląda dobrze na papierze. Ale te prowadzone przez ciebie zostały rozwiązane. Macie świetne rezultaty. Obydwoje.

– Dziękuję.

Gervaise pochyliła się do przodu i złączyła dłonie leżące na blacie biurka. Smużka krwi rozsmarowała się na knykciach lewej. Diamentowy pierścionek zaręczynowy zalśnił w promieniach słońca.

– Powiem otwarcie, martwię się o Alana. Spędza mi sen z powiek od zeszłej wiosny i tej sprawy z MI5. Coś się w nim zmieniło. Dochodzą mnie różne... plotki. Rozumiem, że rozstał się ze swoją przyjaciółką?

– Z Sophią. Tak, to prawda. – Annie nigdy jej nie polubiła. Od początku uważała, że trafnie ocenia dziewczynę jako próżną, samolubną, która nie pragnęła niczego innego jak uwielbienia i poklasku. Sophia potrzebowała ich, żywiła się nimi, a zauroczenie starszego przystojnego mężczyzny takiego jak Banks mile lechtało jej ego. Tak było przez jakiś czas, aż na horyzoncie pojawił się ktoś inny, kto pisał dla niej wiersze i piosenki. Sophia uwielbiała grać rolę muzy. Annie nie mogła tego powiedzieć Gervaise. Zabrzmiałoby to tak, jakby była zazdrosna, co po części było prawdą. Kiedy Banks rozstał się z Sophią, odsunął się od ludzi i Annie coraz częściej wracała myślami do wspólnie spędzonego czasu. Byli parą; czy mogliby do siebie wrócić? Czy powinna spróbować? A może wręcz przeciwnie, może powinna postarać się o przeniesienie do innego hrabstwa, żeby nie pracowali razem? Sęk w tym, że nie potrafiła pracować z Banksem i jednocześnie go kochać.

– Czy to wszystko?

Annie ocknęła się z zamyślenia.

– Przepraszam?

– Pytałam, czy są jakieś inne powody, aby się o niego martwić. Nie chcę, abyś zawiodła jego zaufanie, zdradzając mi prywatne sekrety, ale martwię się o niego. O ciebie także, stanowimy zespół.

– Nie, nie wydaje mi się – odparła Annie. – Nic nie przychodzi mi na myśl. Przynajmniej nic mi nie mówił. Po prostu...

– Tak? – Gervaise pochyliła się jeszcze bardziej do przodu.

– Nie, nic. Sama odniosłam podobne wrażenie jak pani. Jakby coś go dręczyło. Dotarł do końca jakiejś drogi czy coś w tym stylu. Nie zwierzał mi się z problemów, może sam szuka nowego początku?

– W takim razie oby go znalazł. Kiedy dokładnie ma wrócić do pracy? Miałam gdzieś zapisane. W poniedziałek, tak?

– Tak.

Gervaise zaczęła porządkować i tak poukładane papiery i wtedy zauważyła krew. Sięgnęła po chusteczkę i wytarła ją. Stuknęła w klawisze komputera i powiedziała:

– Do tego jeszcze sprawa Doyle'ów. Nie chciałabym, aby Banks wpadł w sam środek zamieszania. Szczególnie że ich znał.

– Nic mu nie będzie – odparła Annie, choć sama nie była tego taka pewna. – To odporny gość. Cokolwiek się zdarzy, da sobie radę, nie powinniśmy martwić się na zapas.

– Sądzę, że i tak mamy dużo problemów na głowie.

– Co zamierzamy zrobić?

– To, co zostało powiedziane. Będziemy współpracować z nadinspektorem Chambersem i jego zespołem. Musimy uważać, żeby nie nadepnąć im na odcisk. Z tego co wiem, z Greater Manchester ma przyjechać kilku śledczych wydziału wewnętrznego i zająć się tą sprawą. Trethowan będzie nadal badał miejsce przestępstwa w domu Doyle'ów.

– A my?

– Naszym zadaniem pozostaje wyjaśnienie zagadki broni, którą znaleźliśmy u Erin Doyle. Lub raczej którą znaleźliśmy w jej sypialni. Nie mamy jak dotąd dowodów, że to ona ją ukryła. – Gervaise spojrzała na zegarek. – Wydaje mi się, że wstępny raport kryminalistyczny na temat pistoletu powinniśmy otrzymać jeszcze dziś. Będę monitorowała tę sprawę, a ty zostaniesz moją prawą ręką. To oznacza, że będziecie mieli z Winsome i Harrym Potterem sporo pracy. Pomoże wam funkcjonariuszka Masterson. Czas, żeby zaczęła się wdrażać. Będę zapewne zajęta spotkaniami i dyskusjami oraz cholerną robotą papierkową, więc nie pomogę zbyt wiele. Aha, nie chcę żadnych skarg ze strony rodziny czy nadinspektora Chambersa. Wyraziłam się dość jasno?

– Tak.

– Czy wyznaczyła pani kuratora rodzinnego?

– Tak, Patricię Yu. Skończyła wymagane kursy i ma ponadroczne doświadczenie.

– Doskonale. Proszę działać bardzo ostrożnie i stale mnie informować. Regularne raporty. – Gervaise stuknęła dłonią w biurko. – Składane bezpośrednio do mnie.

– Oczywiście – odparła Annie i wstała, szykując się do wyjścia.

– Annie? – Annie odwróciła się od drzwi i uniosła brwi zdziwiona. – Miej się na baczności. Podobnie jak ty nie ufam Chambersowi. W żadnej sprawie, szczególnie związanej z Banksem. Wiesz, o czym mówię.

– Tak. Bardzo dobrze.

Było już po południu, kiedy Tracy zdołała wymusić na Jaffie wyprawę do Eastvale. Ociągał się tak bardzo, że zaproponowała, iż sama pojedzie i zrobi zakupy. W sumie wolała wybrać się do miasta bez niego, ale Jaff nie pozwolił. Powiedział, że nie może oddalać się od niego poza zasięg wzroku. „Cóż za przywiązanie”, rzuciła, ale chyba nie wychwycił nuty sarkazmu.

Okolice Swainsdale roily się od turystów. Na drogach było pełno samochodów i nikt nie zwracał uwagi na srebrnego ford focusa Vica. Jaff jechał ostrożnie, minimalnie przekraczając limit prędkości, podobnie jak wszyscy inni kierowcy. W pewnym momencie musieli zwolnić, bo drogę blokował traktor. Jaff tak przeklinał, że Tracy zaczęła się śmiać.

– To niebywałe – powiedziała. – Zupełnie jakbyś nigdy wcześniej nie wyjeżdżał na wieś.

Jaff także się rozchmurzył.

– Widywałem gorsze drogi – odparł. – Jeśli chodzi o traktory i przyczepy kempingowe, zgadzam się z Clarksonem.

Niebo się zachmurzyło, kiedy dojechali do Eastvale. Zaparkowali na płatnym parkingu pod Swainsdale Center i ruchomymi schodami wjechali do części sklepowej. Tracy przez chwilę martwiła się, że spotka kogoś znajomego, ale odegnała od siebie tę myśl. Nikt nie wiedział o tym, co zaszło między nią a Jaffem, ani o tym, że się ukrywali.

Tracy niekiedy zastanawiała się, czy ktoś w okolicy jeszcze pracuje. Sytuacja ekonomiczna była zła, wielu ludzi nie miało pracy i pieniędzy, a pomimo to o każdej porze dnia i nocy w centrum handlowym było tłoczno. Po co tutaj przychodzili, żeby podziwiać towary, na jakie ich nie stać? To głupie. Większość mijanych była w takim wieku, że powinni pracować. Racja, po sklepach krążyło wiele matek z dziećmi, niektóre pchały wózki, inne prowadziły je za rękę, ale większość klientów nie wyglądała ani na uczniów, ani na emerytów.

Szybko wmieszali się w tłum. Kupili gazety w kiosku i kilka płyt CD oraz DVD, Jaff wybrał dla siebie trzy białe koszulki Hugo Bossa i parę szykownych dżinsów.

– Też byś coś sobie kupiła, dziecinko – powiedział. – Ciuchy ze sklepów z odzieżą używaną za bardzo ci nie pasują.

Tracy poczuła ukłucie bólu. Racja, ubierała się w rzeczy z drugiej ręki, ale nikt jeszcze nie powiedział, że źle wygląda. Przecież nie kupowała rzeczy, które wyrzuciła jakaś babcia, czy podartych łachów. Jaff zaprowadził ją do sklepu Levi'sa, gdzie kupił jej niebieską bluzkę z jedwabiu, ciemnoczerwoną spódnicę i top w tym samym kolorze oraz kilka drogich podkoszulków w różnych kolorach. Na koniec zafundował jej skórzaną kurteczkę, którą mogła zastąpić dżinsową, jaką nosiła na co dzień. Jaff jej nie znosił, więc od razu wylądowała w koszu.

Kiedy Tracy się przebrała, od razu poczuła się lepiej. Teraz naprawdę była Francescą. Spoglądając w lustro przymierzalni, stwierdziła, że lepiej będzie, jeśli zmyje pasemka. Zrobi to po powrocie do domku ojca. Tracy była naturalną blondynką po matce i miała ciemne brwi. Dzięki krótkiej nastroszonej fryzurze i dobrym ciuchom bardziej przypominała młodą pracownicę korporacji niż studentkę. Ten nowy wygląd przypadł jej do gustu. Zadziwiająco, jak dobry gust miał Jaff, nawet w kwestii jej ubrań. W dodatku kupił jej seksowną bieliznę i torebkę Gucciego na wszystkie drobiazgi, które od wieków nosiła w płóciennej. Stara torba szybko wylądowała w śmietniku.

Tracy musiała kupić szampon, odżywkę, różową szminkę i cień do powiek, który przypadł Jaffowi do gustu. Oprócz tego potrzebowała zmywacza do paznokci, szczoteczki i pasty do zębów. W torbie, którą zabrała z Leeds, nie miała nic z tych rzeczy i musiała używać przyborów ojca.

Skierowali się do drogerii, gdzie zrobiła zakupy. Kiedy chciała zapłacić kartą, Jaff chwycił ją za nadgarstek i syknął:

– Co ty, u licha, robisz? Zwariowałaś czy co?

– Nie mam już gotówki, Jaff – zaprotestowała. – Potrzebuję tych rzeczy, jak mam za nie zapłacić?

– Nie możesz używać kart – powiedział Jaff, rozglądając się czujnie dookoła. – Transakcje można wyśledzić, to jedna z pierwszych rzeczy, jakie będą robili. Chyba nie doceniasz powagi sytuacji.

– Ale ty płaciłeś swoją.

– To firmowa. Nie da się prześledzić związku między mną a nią.

– Ale dlaczego... Nieważne. – Tracy zdała sobie sprawę, że nie przywykła do myślenia jak zbieg. Może faktycznie nie traktowała sytuacji na serio. Być może wręcz nie chciała pojąć wszystkich komplikacji, jednak w obecnej chwili musiała się trzymać Jaffa. Była

pewna, że już wkrótce sytuacja się uspokoi i wszystko wróci do normy, ale na razie musiała grać według narzuconych reguł.

– Przecież mnie nikt nie szuka.

– To nie ma znaczenia. Niedługo zaczną. Musimy być ostrożni, dziecinko, jasne? Masz, to nie są drogie zakupy. – Jaff rzucił jej krzywy uśmiech i wyciągnął z kieszeni zwitek dwudziestofuntowych banknotów. Podał jej gotówkę i powiedział: – Powinno wystarczyć. Zatrzymaj resztę na wypadek, gdybyś musiała kupić coś jeszcze. Nie myśl nawet o używaniu kart. Jeśli potrzebujesz czegoś, najpierw mi powiedz.

Tracy wzięła pieniądze. Wiedziała, że lepiej nie pytać, skąd Jaff je ma, podobnie jak nie chciała znać odpowiedzi na pytanie, po co mu karta kredytowa, której nie można wyśledzić. Zakupy sprawiły, że czuła zawroty głowy. Z jednej strony była przestraszona, z drugiej podekscytowana.

Na koniec pojechali do Tesco, gdzie kupili cały wózek gotowych obiadów. Można je było wrzucić do mikrofalówki i przygotować bez kłopotu. Wzięli pizzę, tartę, kurczaka z curry, jajka, chleb, bekon, mleko, czekoladę w tabliczkach i herbatniki, a także fasolę w puszkach, ser i paczkowaną wędlinę do kanapek. Jedzenia powinno wystarczyć do końca tygodnia. Wina nie kupowali, Jaff powiedział, że piwniczka ojca Tracy jest aż nadto dobrze wyposażona.

Wrócili do samochodu i zapakowali sprawunki do bagażnika.

– Fajnie – powiedziała Tracy. – Co teraz robimy?

– Jestem głodny – odparł Jaff. – Chcesz pójść do pubu na obiad?

– Jasne – przytaknęła. – Znajdziemy jakiś po drodze.

Spoglądała nad dachem samochodu na tarasowe ogrody i rzekę, która spływała po kamienistym korycie u stóp zamku po prawej. Pamiętała, jak przychodziła tu z ojcem, kiedy była mała. Spacerowali obok urwiska i mocno trzymała go za rękę, bojąc się, że spadnie. Kiedyś spytała, jak to się dzieje, że na kamienistym zboczu rosną kwiatki. Odpowiedział, że to wierzbówka kiprzyca, kwiat znany z tego, że potrafi wyrosnąć na pogorzelsku. Tracy pomyślała, że to śmieszna nazwa dla tak silnej i zaciętej rośliny. Kiedy indziej wiatr wiał tak mocno, że Tracy bała się, iż zwieje ich do rzeki. Ojciec powiedział, że nigdy jej nie puści i nigdy tego nie zrobił. Aż do teraz. Kiedy Tracy odwróciła się do Jaffa, miała łzy w oczach.

– Co jest? – spytał.

– Wiatr i słońce. Coś mi wpadło do oka. Powinnam była kupić okulary przeciwsłoneczne. Mamy jeszcze opłaconą godzinę parkingu. Chcesz pójść zobaczyć, gdzie mieszka Erin? Widziałeś ulicę wczoraj w wiadomościach, możemy się przekonać, jak sprawa wygląda.

– To blisko?

– Dosyć.

– Jasne, ale bądźmy ostrożni.

Wyszli z centrum na York Road i przeszli przez brukowany plac. Minęli Queen Arms i skręcili w lewo, w Market Street. Tracy była ubrana w nowe lewisy i biały T-shirt. Czuła, jak miękki materiał ocierał się o jej skórę. Minęli posterunek, na którym pracował ojciec, ale nie wspomniała o tym Jaffowi ani słowem. Przed oczyma stanął jej obraz bałaganu, jakiego narobili w domku, i pościeli poplamionej whisky i nie tylko.

Nie uszli daleko, kiedy Jaff zaczął narzekać, że to kawał drogi i że jest głodny. Tracy roześmiała się.

– Typowy mieszczuch. Pewnie nigdzie nie chodzisz na piechotę?

– Po to wymyślono samochody. Daleko jeszcze?

– Za tym przejściem dla pieszych.

Zbliżali się do Laburnum Way, dla bezpieczeństwa idąc po przeciwnej stronie Market Street. Od razu widać było, że policja nie skończyła dochodzenia. Choć uliczka nie była zablokowana i ludzie mogli swobodnie nią chodzić, to wokoło parkowały radiowozy. Stały tak, aby utrudnić wjazd i uniemożliwić ciekawskim podglądanie tego, co się dzieje w domu Doyle'ów. Bramę i drzwi, które do niego prowadziły, przecinała żółta taśma. Erin dostrzegła błękit mundurów. Przed drzwiami stała policja. Jaff i Tracy objęli się jak zakochana para. Na ich oczach z domu wyszła dwójka ludzi w białych ochraniaczach i fartuchach. Tracy zdała sobie sprawę, że ktoś z policjantów może ją rozpoznać, i przestraszyła się. Po chwili jednak opanowała się: w nowej fryzurze i ubraniu była odmieniona nie do poznania. Poza tym nikt jej nie ścigał i nikt nie wiedział, kim jest Jaff, nawet jeśli go szukano. Prawda była taka, że nie zwracano na nich uwagi. W telewizji wszystko wyglądało inaczej, pomyślała.

– Jezu Chryste – powiedział Jaff, przyspieszając kroku. – Naprawdę tutaj mieszka? To poważnie wygląda.

– Znaleźli broń – wytknęła mu Tracy. – To gruba sprawa. Takie rzeczy nie zdarzają się często w dzielnicy klasy średniej.

– Pewnie tak – mruknął Jaff. – Strasznie dużo tutaj okien i wszędzie pełno glin. Po co ich tyle?

Tracy mogła mu dokładnie wyjaśnić, co było zadaniem któregoś z policjantów i jak długo będą na miejscu zdarzenia, ale ugryzła się w język.

– Skąd mam wiedzieć? Możemy wrócić inną trasą, jeśli chcesz. – Poprowadziła go dalej ulicą i skręciła w lewo, kierując się do York Road, w okolice kampusu. – To dłuższa droga, ale ominiemy policję – powiedziała. – W sumie to nie wiemy, czy ktokolwiek cię szuka,

prawda?

– Będą – odparł Jaff. – Jeśli nie robią tego teraz, zaczną niedługo. Nawet jeśli Erin będzie milczeć, ktoś inny zacznie mówić. Dotrą do jej przyjaciół, ludzi z pracy, znajomych z klubów. Ktoś puści farbę. Musimy zachować ostrożność. – Jaff rozejrzał się dookoła i dał jej kuksańca. – Zabierajmy się stąd. Wracajmy do samochodu i pojedźmy zjeść gdzieś poza miasto. Im dalej stąd, tym bezpieczniej.

Banks spacerował wzdłuż Fisherman's Wharf. Tego ranka słońce świeciło jasno, a on zajadał się ciastkami krabowymi w pikantnym czerwonym sosie. Za jego plecami wznosił się most Golden Gate. Banks obserwował statki wiozące turystów do Alcatraz i zastanawiał się, czy i on nie powinien się tam wybrać. Raczej nie, zdecydował po chwili. Może i była to atrakcja turystyczna, ale nie dla niego. Zwiedzanie więzienia i pobyt w celi Ala Capone nie przemawiały do niego. Wakacje miały być sposobem na oderwanie się od codzienności, taką przynajmniej miał nadzieję. Wiedział dobrze, że od swoich problemów nie ucieknie, podążą za nim, dokądkolwiek się uda. Ale zmiana otoczenia i czas na rozmyślanie były pierwszym krokiem do zaleczenia ran. Miał nadzieję, że wycieczka zapewni mu nowe doznania, doświadczenia lub chociaż go zainspiruje. W najgorszym razie pozostanie po niej kolejny folder na komputerze, pełen zdjęć, na które więcej nie spojrzy.

W dalszym ciągu nie potrafił poradzić sobie ze wspomnieniami wybuchu bomby w Londynie i śmiercią niewinnego człowieka. Budził się w nocy, czując zapach dymu i krwi. W uszach dzwięczały mu krzyki rannych, gdy kładł się spać. Pamiętał, jak spoglądał na zakrwawione ciało na masce porsche, kiedy policjanci mówili, że i tak wszystko skończyło się w miarę dobrze. Nie potrafił zapomnieć deszczu, krwi i łez, które spływały po jego twarzy podczas długiej drogi powrotnej do domu. Czy sprawy mogły potoczyć się innym torem? Powinien zrobić coś inaczej? Być może. Ale przeszłości nie mógł już zmienić. Co się stało, to się nie odstanie. Przed przeszłością nie mógł uciec do Ameryki.

Do tego jeszcze zdrada Sophii. Obraz jej i jakiegoś mężczyzny przy stoliku w winiarni wrył mu się w pamięć. Jeszcze bardziej to, jak tamten trzymał dłoń na jej pośladku, kiedy pospiesznie otwierała drzwi, rozglądała się dookoła i wspólnie wślizgiwali się do jej domu.

Jej późniejsze milczenie bolało jeszcze bardziej. Dzwonił, pisał, ale nie odpowiadała. Czuł się tak, jakby wrzucał kamyki do głębokiej ciemnej studni i czekał na plusk, którego nigdy nie słyszał. Czuł pustkę. Sophia powiedziała tylko, że potrzebuje czasu i przestrzeni. Po dwóch miesiącach milczenia przysłała e-mail. Napisała w nim masę banałów, kończąc słowami: „Ruszyłam przed siebie. Ty także powinienes. Życzę wszystkiego dobrego”. List wysłała z BlackBerry, tak mówiła doklejona stopka. Ich

związek zakończył się po cichu. Żadnych fajerwerków, raczej niewypał. List przynajmniej położył kres wszystkim nadziejom, jakie mógłby jeszcze żywić w sprawie Sophii. Czuł dla niej lekką pogardę. Miał wyrzuty, że traktuje tak osobę, którą kiedyś kochał, próbował więc zamienić niechęć w obojętność. Choć tak mógł się zbliżyć do wybaczenia.

Banks oparł się o drewnianą balustradę na molo i skierował wzrok ku górze Tamalpais, nazywanej Śpiącą Dziewicą. Z łatwością dostrzegał jej kształt: długie falujące włosy, zarys piersi, płaski brzuch i uda. Wedle legendy utonęła, płynąc do ukochanego, lub została tu złożona po tym, jak odrzucono jej miłość. Z łez, które wyplakała, utworzyła się zatoka. Banks potoczył spojrzeniem po błękitnych falach i majestatycznym moście. Jego zdaniem był bardziej pomarańczowy niż złoty. Doznał wewnętrznego spokoju, jakiego od dawna nie czuł, i przypomniał sobie wycieczkę na pustynię w Arizonie. To był trzeci lub czwarty dzień wakacji. Zdażył odwiedzić Wielki Kanion i Sedonę, planował samotną podróż z Phoenix do Los Angeles, a potem do San Francisco. Jechał sam i słuchał muzyki z iPod'a podłączonego do samochodowego radia. Captaina Beefhearta, Lucindy Williams i Boba Dylana ze ścieżki dźwiękowej do *Pata Garretta i Billy'ego Kida*. Kiedy usłyszał pierwsze dźwięki oratorium Händla, ustawił głośniej. Z jakiegoś powodu bardzo pasowało do pustyni. Kluczył, to wjeżdżając na Pacific Coast Highway 10, to z niej zjeżdżając, zatrzymując się od czasu do czasu, aby podziwiać atrakcje turystyczne. Wreszcie znalazł kawałek pustyni wyglądający tak, jak to sobie wyobrażał. Kilometrami ciągnęło się pustkowie porośnięte jedynie krzewami, kępami trawy i wysokimi kaktusami. Upał był nie do zniesienia. W świetle zachodzącego słońca widział odległe poszarpane szczyty, pokolorowane warstwami odsłoniętej ziemi. Nieważne, ile przeszedł, zawsze wydawały się tak samo odległe. Na noc zatrzymał się w motelu, który choć nie należał do rodziny Batesów, to mógłby być przez nich prowadzony. Otaczała go niepokojąca atmosfera, ale na szczęście nie towarzyszył mu dom na wzgórzu. Recepcjonista miał sześćdziesiąt lat i był łysym Meksykaninem o sumiastym wąsie. Kiedy się uśmiechnął, Banks zauważył, że mężczyzna nie ma dwóch przednich zębów. W najmniejszym stopniu nie przypominał Normana Batesa, a w okolicy nie było żadnych wypchanych zwierząt. Pokój okazał się niewielki, ale przytulny. W jadalni niedaleko zjadł pyszny stek, choć po dobre wino do niego musiałby chyba udać się w podróż. Zamiast niego zadowolił się butelką taniego kalifornijskiego burgunda. Około drugiej w nocy Banks wybrał się na spacer. Nie mógł zasnąć i wyszedł na zewnątrz. O tej porze na pustyni jest chłodno, ale w lato oznaczało to temperatury, które dla brytyjskiego turysty nadal mieściły się w kategorii przyjemnego ciepła. Banks szybko przekonał się, że nie pomyślał o wietrze, który potrafił zmrozić. Mimo to ruszył w otwartą pustynię. Gwiazdy świeciły tak jasno jak nigdy dotąd. Wydawało się, że są blisko i wystarczy po nie sięgnąć ręką. Po raz kolejny w życiu Banks

żałował, że zna tylko gwiazdozbiory Oriona i Wielkiej Niedźwiedzicy. Obserwował ogrom Drogi Mlecznej i mgławice pomiędzy gwiazdami. Czy to Krab pobłyskiwał nad jego głową? Gdzieś na horyzoncie majaczyły pokruszone górskie szczyty. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czego się spodziewać po tej wyprawie, ale zdał sobie sprawę, że jest to coś nie do opisania słowami, nieskrystalizowanego, ale realnego i możliwego do odnalezienia w tym miejscu. Poczł ekscytację, jakby był o krok od rozwiązania zagadki, objawienia, wielkiego wyjaśnienia. Ktoś kiedyś powiedział, że są takie miejsca na Ziemi, które potrafią zmienić człowieka. Pewnie dlatego masa dzieciaków jeździła w latach sześćdziesiątych do Indii lub Katmandu. To nie musiało być miejsce, mogła być religia, kultura czy nawet okolica: ocean, góry, pustynia, miejsce znane z dzieciństwa lub ze snu. Czasami człowiek nie wiedział, co go zmieniało, ale tak się działo. Był taki sen, który nawiedzał Banksa od dzieciństwa i ciągle mu towarzyszył. Nurkował w wodzie, ale miotał nim prąd, ściągając na dno. Poniżej Alan dostrzegał ciemne zarysy skał. Przerazały go, podobnie jak myśl o tym, co się mogło czaić pomiędzy nimi, w tunelach, które prowadziły do pieczar, gdzie było coraz ciaśniej i mroczniej. Brakowało mu powietrza, płuca kłuły, a sił ubywało z każdą chwilą. Ostatkiem sił wypływał na powierzchnię i jego oczom ukazywała się rajska wyspa. Jaka szkoda, że nie pamiętał, jak wyglądała. Była jednak miejscem szczególnym. Wiedział, że kryła się w niej moc do zaleczenia ran duszy, zmiany charakteru. Jedyne, co pamiętał ze snu, to bolesną podróż, ciemność, strach i cierpienie. Oraz ten błogosławiony moment, kiedy woda przestawała być wodą, a stawała się powietrzem. Kiedy mrok przemieniał się w światło, a biały piasek prowadził do czegoś zielonego i czystego. Banks długo miotał się w ciemności, a tamtej nocy, kiedy czerwony neon hotelu przypominał małą plamkę na horyzoncie, znalazł w końcu swego rodzaju objawienie. Nie był to nagły przebłysk, genialna myśl czy pierwszy krok na drodze do Damaszku. Najpierw zdał sobie sprawę z ciszy, jaka go otaczała. Jeszcze nigdy takiej nie zaznał: żadne liście nie szeleściły, nie słyszał zwierząt, ptaków, szumu samochodów. Czuł tylko zapach ziemi i widział smukłe sylwetki kaktusów, które jakby rozpościerały ramiona. Objawienie przeszło przez niego jak dreszcz radości, niczym lekka bryza w upalny dzień. Coś znalazło wreszcie swoje miejsce i dopasowało się do całości, jak ostatnia cyfra kodu w zamku szyfrowym. To wszystko. Banks nie wiedział, czy ów zamek się otworzył, czy zamknął. Wiedział jednak, że wszystko się ułoży, będzie dobrze, a on da sobie radę. Jego problemy były niczym wobec ziaren piasku pustyni i mnogości gwiazd na niebie. Ich brzemie było nadal z nim, podobnie jak ból po stracie i zdradzie, poczuciu winy i strachu. Raj pozostawał tuż poza zasięgiem dłoni, ale Banks był pewien, że da sobie radę. Może nie w ten sam sposób, w jaki radził sobie do tej pory, ale na pewno jakoś pokona przeciwności. Przyszłość była niepewna, perspektywy niejasne, a koniec zawsze

blisko. Pomyślał wtedy, że jest bardzo, bardzo daleko od domu, ale co dziwne, nie martwił się tym. Banks jeszcze raz potoczył spojrzeniem po ciemnym łańcuchu górskim, odwrócił się i ruszył ku migającej kropce neonu. Resztę nocy przespał jak dziecko i obudziło go dopiero słońce prześwitujące przez zaciągnięte zasłony. Wstał o dziewiątej, zjadł potężne śniadanie złożone z jajecznicy na szynce, potem wymeldował się i ruszył w kierunku Los Angeles. Z głośników samochodu płynęły dźwięki *Slow Jam* Vieux Farka Touré.

Annie zjechała z Headingley niedaleko Otley Road. Z każdą chwilą jej złość i frustracja rosły. Choć godziny szczytu dobiegały końca, nadal miała zły humor. Postanowiła odwiedzić Tracy Banks po południu, wybierając porę, kiedy ludzie już wrócili z pracy, ale jeszcze nie wyszli wieczorem na miasto. Dziewczyna pracowała w księgarni Waterstone na Albion Street, czyli w centrum miasta. Jej godziny pracy nie były regularne. Wstępny raport balistyczny wykazał, że pistolet to Smith & Wesson kalibru dziewięć milimetrów. Automat miał ponad dwadzieścia lat, a numer seryjny spiłowano. Istniały sposoby na jego odczytanie, ale sam proces zajmował trochę czasu. Oficjalny właściciel broni nie był znany. Odnalezienie go w bazie danych National Firearms Forensic Intelligence również trwało. Technicy szukali także odcisków placów, porównując je z zapisami IDENT1. Jeśli śledczy zechcą wiedzieć, czy broni użyto do popełnienia przestępstw, a nie było wątpliwości, że o to zapytają, trzeba będzie wykonać próby strzelnicze i porównać ich wyniki z danymi Integrated Ballistic Identification System. Gdyby wyniki okazały się zachęcające, trzeba będzie porównać amunicję testową z tą, którą odzyskano z miejsca zbrodni. To kolejny raz oznaczało zwłokę. Nadal nie było wiadomo, w jaki sposób broń trafiła w ręce Erin, a ta milczała jak zakłęta. Naturalnym podejrzanym był jej tajemniczy chłopak. Juliet Doyle mówiła o nim jako o Geoffie, ale Rose Preston, współlokatorka Erin, twierdziła, że miał na imię Jaff. Brzmienie było podobne, a o pomyłkę nietrudno, zwłaszcza że nigdzie przy rodzicach Erin się nie podpisywał. Dzięki nawigacji satelitarnej Annie dojechała na miejsce bez przeszkód. Od celu dzieliły ją dwie przecznice, ale i je łatwo pokonała. Oglądając spadzisty dach, mur i bramę, Annie stwierdziła, że dom wyglądał na taki, jaki w okresie międzywojennym wzniosłaby dla siebie dość bogata rodzina. Trawnik zarosły chwasty, a rośliny zdążyły się wgryźć w szczeliny między kamieniami. Kiedy wysiadła z samochodu, zaczęło mżyć. Koniec z letnim słońcem, powiedziała w duchu. Zapukała do drzwi frontowych i po chwili otworzyła je młoda dziewczyna. Annie jej nie znała. Nosiała owalne okulary w czarnej oprawce, krótką spódnicę, czarne rajstopy i koszulkę z logo oznajmującym: „Scars on 45”. Zapewne nazwa jakiegoś zespołu. Dziewczyna miała brązowe włosy związane w kucyk. Annie pokazała legitymację, a Rose Preston wpuściła ją do środka, jakby wizyta funkcjonariusza policji była czymś całkowicie naturalnym.

– Jem obiad – powiedziała. – Mogę dokończyć?

– Oczywiście – odparła Annie, idąc za nią do salonu.

Rose usiadła w fotelu i podkurczyła nogi. Wzięła do ręki talerz i widelec. Jadła makaron, zapewne podgrzewany w mikrofalówce, i oglądała *Emmerdale* w telewizji. Odcinek dopiero się rozpoczął.

– Przepraszam za najście.

– Nie ma problemu, włączyłam, żeby coś grało – odparła Rose. Wzięła z kanapy pilota i nacisnęła przycisk. Chastity Dingle znikła w połowie wściekłej tyrady.

– Sądziłam, że w towarzystwie dwóch dziewczyn zawsze jest gwarno? – powiedziała Annie, przypominając sobie własne czasy studenckie.

– Byłoby, gdyby nie znikły.

– Po to przyjechałam. Szukam Tracy Banks. Wróciła już do domu?

Rose pokręciła głową. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

– Tracy Banks? Nikt taki tu nie mieszka.

Annie potwierdziła adres, choć była pewna, że zapisała go poprawnie. Harriet podała go zeszłego wieczoru, ale mogła pomylić numer. W okolicy mieszkało wielu studentów.

– Jesteś pewna? – spytała.

– Tak. Tutaj mieszka Francesca Banks. Może Tracy to jej siostra?

– Albo drugie imię? – mruknęła Annie. Choć nie wierzyła w to rozwiązanie, istniała taka możliwość. – Ma około stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu, dwadzieścia cztery lata, blond włosy do ramion i ciemne brwi. Ukończyła wydział historii na uniwersytecie w Leeds, pochodzi z Eastvale i pracuje w Waterstone. Wychowywała się z Erin Doyle, drugą z dziewczyn, która tutaj mieszka.

– Mówi pani o Francesce – przytaknęła Rose. – W takim razie ma na drugie imię Tracy. Pewnie dawno jej pani nie widziała, co?

– Co masz na myśli?

– Kilka tygodni temu obcięła włosy i zrobiła sobie kolorowe pasemka: różowe, purpurowe, wie pani. Niewielka zmiana, ale wygląda inaczej. Ma tatuaż i kilka kolczyków.

– Kolczyków?

– Nic strasznego, w brwi i dolnej wardze. – Rose zamilkła i uśmiechnęła się. – Może mieć gdzieś indziej, ale o nich nie wiem. Nie sądzę, aby się zdecydowała.

To nie było podobne do Tracy Banks, jaką знаła Annie. Tamta była młodą i rozsądną osobą, która wytrwale się uczyła i pracowała w księgarni, szukając stałej pracy. Banks był z niej zawsze taki dumny. Cóż, ludzie się zmieniają, a moda i towarzystwo wywierały ogromny wpływ na młodych. Annie też chodziła w podartych dżinsach z agrafką zamiast

kolczyków w uszach. Najbardziej kreatywni i inteligentni ludzie, jakich poznała, nosili zielone irokezy, podarte koszulki i kolczyki w nosach. Pomimo to zmiana stylu Tracy mocno ją zdziwiła. Podobnie jak to nowe, przybrane imię: Francesca. Co to mogło oznaczać? Wstąpiła do sekty?

– Jest w domu? – spytała Annie.

– Nie, wyjechała.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Ja w ogóle mało wiem, nikt mi nic nie mówi.

– Poczekaj, Rose, o czym ty mówisz?

Rose odstawiła talerz na stolik.

– Jestem tu nowa. Erin i Francesca znają się od lat. Wychowywały się razem, a Jasmine wyszła za mąż i się wyprowadziła. Mieszkam tu od kilku tygodni, kiedy Francesca zmieniła fryzurę, i uważam, że jej nie pasuje.

– Czy wiesz, gdzie ona teraz może być?

– Nie.

– Kiedy wyjechała?

– Wczoraj wieczorem.

– Wróciła na noc?

– Nie. Cały dzień byłam w domu, bo jeszcze nie mam pracy.

– Czyli wyszła wczoraj wieczorem i jeszcze nie wróciła?

– Zgadza się. Wróciła z pracy, powiedziałam jej o wizycie policji, spanikowała i wyleciała jak z procy.

– To coś niezwykłego. Czy nocowała już poza domem?

– Zdarzało się. Wie pani, co mam na myśli?

– Zabrała coś ze sobą? Torbę lub cokolwiek. Planowała dłuższą nieobecność w domu?

– Nie. Zrzuciła kurtkę na plecy, chwyciła torbę i tyle ją widziałam. W siatce zmieściłoby się sporo rzeczy, pewnie zawartość szafy.

– Na pewno nie wiesz, dokąd pojechała?

– Co się dzieje z Erin?

– Ma się dobrze i jest pod opieką. Słyszałaś o jej ojcu?

Rose skinęła głową.

– Widziałam w wiadomościach. To straszne. Nie powinni używać paralizatora, to zbyt niebezpieczne. Nawet wobec zwierząt.

– Martwię się o Francescę – powiedziała Annie. – Na pewno nie wiesz, gdzie jest?

– Pewnie pojechała do Jaffa.

– Jaffa?

– To chłopak Erin. Moim zdaniem było coś między nimi. Nie lubię powtarzać plotek, ale Francesca chyba coś do niego miała. Takie rzeczy się widzi. Dziewczyny się nawet pokłóciły.

– Erin i Francesca? Kiedy?

– W zeszłym tygodniu. Tuż przed tym, jak Erin pojechała do rodziny.

– Erin zrobiła się zazdrosna, bo Francesca i Jaff za bardzo się zbliżyli?

– Tak sądzę. Nie mam pewności, ale to prawdopodobne. On jest bardzo przystojny.

Gdyby był moim chłopakiem, byłabym bardzo zazdrosna.

Annie oparła dłonie na kolanach i pochyliła się do przodu.

– To bardzo ważne pytanie, Rose. Z jakiego powodu Tracy czy Francesca tak bardzo się zdenerwowała, że wybiegła i nie wróciła?

– Rozmawiała przez telefon z kimś w domu Erin.

– Z kim?

– Nie wiem, nie powiedziała. Spytała, czy mówi z panem Doyle'em, a potem się rozłączyła i wybiegła.

Jeśli Tracy dzwoniła do domu Doyle'ów wczoraj około dziewiętnastej, najprawdopodobniej jej telefon odebrał jeden z policjantów. Patrick Doyle już nie żył, Juliet przebywała u Harriet Weaver, a Erin niedaleko zamku w wynajętym pokoju. Funkcjonariusz zapytał, kto dzwoni i w jakiej sprawie. Coś wystraszyło Tracy, ale co? Ukrywała coś?

– Rozmawiałaś z nią o Jaffie? – spytała Annie. To był Geoff, o którym mówiła Juliet.

– Tak. Spytała, czy wspomniałam o nim policji.

– Zrobiłaś to?

– Dlaczego miałabym tego nie robić? Nie mam nic do ukrycia.

Ty nie, pomyślała Annie, ale Tracy i Jaff być może tak.

– Czy to jego prawdziwe imię?

– Nie, chyba skrót od Jaffar. Nie znam nazwiska.

– Jest Azjata?

– Nie, z pochodzenia Hindusem.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Na Granary Wharf, ale nie znam dokładnego adresu. To dawny magazyn przerobiony na mieszkania. Na parterze jest restauracja. Przechodziliśmy obok niego, kiedy wynajęłam pokój u dziewczyn. Wyskoczyłyśmy do knajpy w okolicy i Erin pokazała, gdzie mieszka Jaff. Była bardzo dumna, chwaliła się swoim chłopakiem i jego kasą.

– Ma pieniądze?

– Na to wygląda.

Granary Wharf. Modna dzielnica, o której słyszała nawet Annie. Powinna była zadzwonić na posterunek i złożyć Gervaise raport z tego, czego się dowiedziała. Była świadoma faktu, że jeśli to zrobi, straci kontrolę nad sprawą. Jeśli córka Banksa wpadła w tarapaty, Annie chciała sprawdzić, czy nie będzie mogła jej jakoś pomóc. Z Gervaise zaglądającą przez ramię to nie wchodziło w grę.

– Czy mogę rozejrzeć się w pokoju Franceski, skoro już tutaj jestem? – spytała.

– Jasne. Jest na piętrze, po lewej od schodów.

Annie weszła na piętro i otworzyła drzwi. Pokój był dość duży i pomalowany na bladofioletowy kolor. Jego wyposażenie stanowiła rozkładana kanapa, biurko i krzesło, półki z książkami, komoda z szufladami pełnymi bielizny i koszulek oraz szafa wnękowa, w której wisiały sukienki, spódnice, topy i dzinsy.

Obok niewielkiego odtwarzacza leżał stos płyt kompaktowych: Florence and the Machine, Adele, Emmy the Great, Kaiser Chiefs, Arctic Monkeys i The Killers. Z boku stały książki, głównie historyczne. Tracy ukończyła ten kierunek, ale czytywała też współczesne powieści: *Chłopiec z latawcem*, *Zakłęci w czasie*, *Trzynasta opowieść*. Nigdzie nie zobaczyła laptopa czy komórki. Annie była pewna, że Tracy zabrała je ze sobą.

W szafce obok łóżka znalazła przedmioty osobiste: tampony, prezerwatywy, stare recepty i tanią biżuterię. Annie zeszła na dół i zastała Rose oglądającą *Eastenders*.

– Znasz numer do Franceski? – spytała Annie.

– Jasne – odparła Rose i sięgnęła po swój telefon, który leżał na stoliku obok. Przeczytała na głos numer, a Annie zadzwoniła. Nikt nie odebrał. Annie podziękowała Rose i wyszła.

[1] William Szekspir „Hamlet” w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.).

6

Banks siedział w Vesuvio przy stoliku obok drzwi, ale plecami do okna. Popijał anchor steam i oglądał egzemplarz *Sokoła maltańskiego*, który kupił w City Lights naprzeciwko. Choć film należał do jego ulubionych, to nie czytał jeszcze książki. Wprawdzie Hammett opisywał San Francisco lat trzydziestych, to jednak wiele z miejsc zachowało ducha tamtej epoki. Może powinien wybrać się do John's Bar & Grill, gdzie jadał Sam Spade? Banks wyczytał o niej w przewodniku, restauracja nadal działała i była położona niedaleko hotelu.

Na razie postanowił odwiedzić knajpę bitników w Columbus. Stojący przy barze i rozmawiający z barmanką o postrzępionej fryzurze mężczyzna w berecie wyglądał jak żywcem wyjęty z czasów Jacka Kerouaca. Knajpa znajdowała się w wysokim pomieszczeniu i nad główną salą zwieszał się balkon, jednak pozostawał pusty o wczesnej porze. Telewizor za kontuarem wyświetlał abstrakcyjne obrazy. Na ścianach w charakterze dekoracji wisiały oprawione w ramy wycinki ze starych gazet. Banks trafił do baru, idąc z Fisherman's Wharf przez North Beach, gdzie mieściły się włoskie kawiarenki i pałaczkowe wille. Zimne piwo świetnie smakowało.

Los Angeles i dwudniowa jazda Pacific Coast Highway były już ledwie wspomnieniem, wyprawa miała się ku końcowi, ale myśli Banksa dryfowały swobodnie od książki do tej magicznej chwili szczęścia na pustyni. Z początku dziwił się, że owo uczucie było dla niego tak obce i ulotne. Potem zdał sobie sprawę, że tak naprawdę był szczęśliwy w życiu tylko kilka razy, dawno temu, w dzieciństwie. Był zbyt niecierpliwy z natury i jego zadowolenie na ogół szybko mijało. Kiedy uspokajał się na tyle, aby skupić na czymś dłużej, ogarniały go melancholia i smutek, przerywane chwilowymi napadami złości czy irytacji. W jego życiu bywały chwile spokoju, ale zwykle trwały krótko. Nieraz zastanawiał się, czy można by je jakoś zatrzymać i przekuć w coś trwałego. A może taka była natura szczęścia, że przychodziło i odchodziło jak powiew pustynnego wiatru? Czy spokój jest definiowany tylko jego brakiem? A może po prostu taka była jego natura? Zapewne nigdy się nie dowie. W ogóle co to miało za znaczenie?

Wszystko się zmienia i pozostaje jednocześnie takie samo. Objawieniem było to, że żadnego objawienia nie potrzebuje. Aby zmienić swoje życie, musiał zaryzykować, akceptując w ciemno jego nowy kierunek, wartości, prawdy, wzorce zachowań, a nawet ugiąć się przed nowymi autorytetami. Musiałby ślepo uwierzyć, a nie umiał tego zrobić. Przypuszczał, że nawet nie chciał.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak gnieździć się we własnej skórze, czerpiąc szczęście, skąd tylko się dało, piękno z rzeczy, które doń przemawiały, i nie zadrećcać się

porażkami i stratami. A było ich zbyt wiele: Kay, Linda, Sandra, Annie, Michelle, Sophia. Jeśli raz na jakiś czas miał się przez nie roztkliwiać lub robić sentymentalny, niech tak będzie. Pocieszenie znajdował w mądrościach Dylana, Billie Holiday, Nicka Cave'a czy Leonarda Cohena. Ze szklanką whisky lub kieliszkiem wina będzie zasypiał otulony ich poezją o ironii życia i utraconej miłości. Reszta czasu należała do Beethovena, Schuberta, Billa Evansa oraz Miles and Trane.

Banks przeciągnął się niczym kot w słońcu i upił trochę anchor steam. Piwo świetnie smakowało, zapaliłby do niego papierosa. Ale to już była przeszłość. Zarówno dla niego, jak i dla innych klientów. Kerouac i Ginsberg przewracali się w grobach, a Eastvale zdawało się odległe o lata świetlne. Banks zdał sobie sprawę, że zaczyna tęsknić za domem. Może nie za samą pracą, ale za Annie, Gisthorpe'em, Hatchley, a nawet Gervaise czy Harrym Potterem. Byli najbliższymi mu osobami oprócz rodziców, Tracy i Briana, których też mu brakowało. Z nostalgią myślał o domu, swojej kolekcji muzyki i filmów. Niech piekło pochłonie Sophię. Ma własne problemy i musi się z nimi uporać. Dość tego, wszystko wróciło do punktu wyjścia. Ale czekała go jeszcze randka z piękną i intrygującą Teresą.

Dokończył piwo i wyszedł z knajpki. Zauważył tabliczkę z napisem: „Jack Kerouac Alley”. Włączył iPoda i wybrał skoczną wersję koncertową *Scarlet Begonias* Grateful Dead, idealnie nadającą się na piękny poranek w San Francisco. Ruszył przez niższą część Chinatown w kierunku Union Square i dalej, do hotelu.

– Chryste, czego znowu?! – zawołała Rose Preston. Otworzyła drzwi i na progu zobaczyła dwóch mężczyzn. Właśnie oglądała *Holby City*. Lubiła ten serial i nie miała ochoty, aby znowu jej ktoś przeszkadzał. Mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia. – Przepraszam – burknęła Rose. – Wejdźcie, mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

– *Holby City*? – spytał wyższy.

Był barczysty, opalony i ogolony na łyso. Jego towarzysz wyglądał jak albinos, miał bladą cerę, okrągłe ramiona i rudawe włosy.

– Niespecjalnie lubię ten serial. Czasami bywa zbyt ponury, ale jednak czekam na kolejne odcinki. Niestety, przez pracę nie oglądałem wszystkich. W każdym razie... jestem detektyw Sandalwood, a to mój kolega detektyw Watkins. Proszę nie zwracać na niego uwagi.

Sandalwood mignął legitymacją, ale Rose nawet na nią nie spojrzała. W ciągu ostatnich dwóch dni naoglądała się ich dość na całe życie.

– O co chodzi tym razem? – spytała. – Szczerze mówiąc, nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Jestem nowa, prawie nie znam dziewczyn.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „tym razem”?

– Pewnie wie pan, że kilka razy policja już tu była? A może nie rozmawiacie ze sobą?

– Przyznaję, niekiedy mamy problemy z komunikacją – powiedział Sandalwood.

Tymczasem Watkins rozglądał się dookoła, a nawet szperał po pokoju i zaglądał do szuflad.

– Co on robi?

– Proszę nie zwracać uwagi, ma taki nawyk, nie może się powstrzymać przed rozglądaniem. To natręctwo przydaje się w naszej pracy. Mógłbym liczyć na filiżankę herbaty?

– Miałam nadzieję, że to nie zajmie aż tyle czasu.

– Ma niewyparzoną gębę, co? – burknął Watkins.

Jego głos miał w sobie coś piskliwego, jakby ktoś drapał gwoździem po szkolnej tablicy.

– Ej, ej. Nie zaczynaj. Rozejrzyj się po domu, a ja porozmawiam z młodą damą.

Watkins mruknął coś pod nosem i ruszył na górę. Rose słyszała, jak wspina się po schodach.

– Co on sobie myśli? – powiedziała. – Nie wolno wam tak wchodzić i grzebać w cudzych rzeczach. Poproszę pana legitymację.

Kiedy chciała ruszyć za Watkinsem, poczuła, że Sandalwood chwycił ją za rękę. Ból był niespodziewany, całe ramię od razu zdrętwiało.

– Au! – krzyknęła, próbując wyrwać się z uścisku. – Puszczaj!

Sandalwood szarpnął mocno i rzucił ją na fotel.

– Siadaj, młoda damo! – syknął przez zaciśnięte zęby. – I odpowiadaj, gdy pytam.

Najbardziej przerażające było to, że cały czas pozostawał spokojny. Nie drgnął mu ani jeden zbędny mięsień.. Rose poczuła, jak ogarnia ją przerażenie.

– Co wy? Nie jesteście policjantami...

Uderzenie nie było mocne, ale niespodziewane i sprawiło, że Rose zamilkła.

– Morda w kubek – powiedział Sandalwood, dźgając ją krótkim grubym palcem. – Milcz albo zawołam Watkina i dobierze ci się do skóry. On lubi bić ludzi, dla mnie to część pracy.

Nie musiał powtarzać. Rose zaczęła płakać. Ramię ją bolało, czuła klucie w piersi.

– Nie rycz, w niczym ci to nie pomoże.

– Czego chcecie? – spytała, podciągając nogi. Instynktownie zakryła uda, które odsłoniła podwinięta spódnica.

Sandalwood zauważył to i się roześmiał.

– Bez obaw, ślicznotko. Ładna jesteś, ale nie po to przyszliśmy.

Rose zacisnęła pięści. Gdyby miała pistolet, zastrzeliłaby Sandalwooda na miejscu. Słyszała, jak ten drugi, Watkins, szwenda się po piętrze. Był w jej pokoju, grzebał w jej

rzeczach.

– Mam kilka prostych pytań. Odpowiesz na nie i znikamy – rzucił Sandalwood. – Zgoda?

Rose nie odpowiedziała, patrzyła tylko na swoje dłonie i obserwowała, jak bieleją knykcie.

– Zgoda? – powtórzył Sandalwood.

Rose skinęła głową. Chciała tylko, aby już poszli. Lekarze w telewizji próbowali ratować pacjenta. Serial nie był już tak emocjonujący jak kiedyś.

– Gdzie jest Erin Doyle?

– Przecież sami wiecie. Trąbią o tym w telewizji i gazetach. Jest w Eastvale, pewnie w więzieniu.

Sandalwood skinął głową, jakby Rose przeszła właśnie test, któremu ją poddał.

– Słyszałaś o Pakistańcu, który nazywa się Jaff?

– Spotkałam go kilka razy.

– Pukał Erin, tak?

– Spotykali się. Nie musisz być taki chamski.

– Zaczynasz gadać z sensem. Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Nie próbuj kłamać.

– Czemu bym miała? Nie znam go. Widziałam go ze dwa razy, to chłopak Erin.

– Byłaś u niego w domu?

– Nie.

– Wpadliśmy do niego, ale nikogo nie zastaliśmy. Sąsiad mówi, że prysnął z jakąś dziewczyną. Wyglądało na to, że w pośpiechu. Wiesz może, kim była ta laska i co z nim robi?

– Nie.

Wrócił Watkins i pokręcił w milczeniu głową. Pokazał Sandalwoodowi trzy palce. Ten skinął w odpowiedzi i spojrzał na Rose.

– Pan Watkins twierdzi, że mieszkają tu trzy dziewczyny. Kim jest wasza współlokatorka?

– Francesca Banks, ale naprawdę ma na imię Tracy.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Sama nie wiem. – Rose przetarła oczy wierzchem dłoni. Zaczęła płakać. – Boję się.

– Opowiedz mi o Francesce.

– Znała Jaffa. Leciała na niego. Wczoraj wieczorem wyszła z domu i nie wróciła. Idźcie już, proszę.

– Czy to z nią uciekł Jaff? Nie kłam.

– Może. Ma krótkie blond włosy z kolorowymi pasemkami, dzinsy i kurtkę.

– Kolczyk w brwi i dolnej wardze?

– Tak.

Sandalwood zerknął na Watkinsa.

– To ona. Dokąd zwiali?

– Nie wiem – załkała Rose. – Gdzieś pojechali, ale nie mam pojęcia gdzie. To samo powiedziałam tej policjantce. Nie wiem...

– Policjantce.

– Tak, była tu przed wami.

– Nic o żadnej nie wiemy.

– Posłuchajcie, nie wiem, co się tu dzieje. Naprawdę. To nie moja sprawa, Erin siedzi, a ja nie mam pojęcia, gdzie wsiąkli Francesca czy Jaff.

– Masz poważne problemy, młoda damo, ponieważ oprócz ciebie nie ma tu nikogo, kto odpowiedziałby na nasze pytania – powiedział Sandalwood, rozglądając się po pokoju.

– Proszę, nie! – krzyknęła, chowając twarz w dłoniach i zanosząc się płaczem. Ale zamiast ciosu czy szczęku odbezpieczanej broni, których się spodziewała, usłyszała tylko trzask zamykanych drzwi. Poszli sobie? Naprawdę?

Wstała i wyłączyła telewizor, serial stracił swój powab. Zajrzała do każdego pokoju, ale była sama w domu. Intruzi nabałaganili na piętrze, ale poszli sobie na dobre.

Rose miała już wszystkiego dosyć. Pozbierała swoje ubrania i kosmetyki i sprawdziła uważnie, czy nie zostawiła jakichś rzeczy w którymś z pokoiów. Zabrała wszystko. Miała pecha i trafiła na jakieś dwie wariatki, a teraz z tego powodu spadły na nią same kłopoty. Opłatę za czynsz wysła później, na razie musiała się stąd wydostać. Jeśli się pospieszy, zdąży na pociąg lub autobus do Oldham. Wracała do rodziców, w najgorszym wypadku poprosi tatę, żeby ją odebrał. Będzie narzekał i marudził, ale przyjedzie po nią. Wszystko było lepsze od tego domu wariatów. Zatrzasnęła za sobą drzwi, a klucz wrzuciła przez szczelinę na listy.

Annie siedziała po turecku na podłodze salonu. Koncentrowała się na oddechu i przepływie myśli, pozwalając im krążyć swobodnie. Z transu wyrwało ją pukanie do drzwi. Zirytowana spojrzała na zegarek, było po dziesiątej. Kto to mógł być o tej porze? Tak czy inaczej czar prysł. Zirytowana wstała, a kolana zatrzeszczały w proteście. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Za nimi stała funkcjonariuszka Nerys Powell.

– Co tu robisz? – spytała Annie. – Chambers wpadnie w szal, jeśli się o tym dowie.

Nerys uniosła dłonie w przeproszającym geście.

– Wiem o tym, wybacz. Chciałam tylko porozmawiać. Nie ma powodu, żeby

informować o tym Chambersa.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam?
- Mam przyjaciół w kadrach.
- Kogo?
- Przyjaciela.
- Mogę się dowiedzieć, kto to?
- Po co tak mówisz? Co chcesz zrobić?

Annie westchnęła.

– Nic. Nie powinnaś tu przychodzić, to niewłaściwe.

– Czego się boisz? Tego, że ktoś nas razem zobaczy? W takim razie nie powinnaś trzymać mnie na progu. Poza tym nie jesteśmy w Eastvale. Wiem, że już późno, ale byłam wcześniej, tylko nikogo nie zastałam. Potem trochę pobłądziłam i nie mogłam zebrać się na odwagę, żeby wrócić. Ale wypilałam kilka drinków i wzięłam się w garść. Chcę zamienić z tobą kilka słów, nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Sama nie wiem – odparła Annie, przygryzając wargę. Była rozkojarzona, ale przynajmniej Nerys nie wyglądała na pijaną. – Zapraszam, ale na chwilę – powiedziała, odsuwając się od drzwi.

Nerys weszła do pokoju.

- Trochę tu ciasno – powiedziała.
- Ja bym powiedziała, że pokój jest niewielki.
- Poważnie mówiąc, to jest przytulnie – odparła Nerys, śmiejąc się.
- Siadaj, napij się czegoś? Kawy czy herbaty?
- Dziękuję, nie trzeba.
- Na pewno?
- Moje ciało to świątynia.
- Mogę nalać ci wina.
- No dobrze.

Annie poszła do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę pinot grigio. Wizyta Nerys wytrąciła ją z równowagi. Nie powinny rozmawiać, w ogóle się widzieć, ale po wypadkach dzisiejszego dnia Annie była w buntowniczym nastroju. Frustracja bezowocną wizytą u Tracy Banks i zamkniętymi drzwiami Jaffa sprawiły, że nie miała ochoty trzymać się zasad. Oczywiście nikt nic nie widział. Jeden z sąsiadów, zanim trzasnął drzwiami, rzucił, że wszystko już opowiedział policji i nie zamierza się powtarzać.

Doszła do wniosku, że wysłucha, co Nerys ma do powiedzenia. Nigdy nie wiadomo – mówiła do siebie w duchu – czy nie dowiem się czegoś przydatnego. Otworzyła butelkę, wzięła dwa kieliszki i wróciła do pokoju. Powell klęczała obok półki z niewielką kolekcją

płyt. Jej niebieskie dzinsy zsunęły się, odsłaniając część pośladków, ubioru dopełniały lekka, letnia kurteczka i czarny podkoszulek. Nie sposób było nie zauważyć mięśni grających pod materiałem.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytała Annie.

– Niespecjalnie. Ale nie jestem wielbicielką muzyki. Co innego twój szef, jak słyszałam.

– Tak, Alan jest melomanem. Nie znam połowy rzeczy, których on słucha, ale i tak co chwila znajduje jakieś perełki. Choć niekiedy zachwyca się rzeczami, które mnie przyprawiają o ból głowy.

Nerys roześmiała się i przyjęła kieliszek z winem. Usiadła. Annie zauważyła, że Powell była prawie o dziesięć centymetrów niższa od niej, ale mocniej zbudowana. Była ostrzyżona na jeża i miała zielone oczy.

– Zdrówko – powiedziała, wznosząc toast.

– Zdrówko – odparła Annie.

– Twój szef ma niezłą reputację w hrabstwie – powiedziała po chwili.

– Co się o nim mówi?

– Że jest kowbojem. Lubi działać po swojemu.

– Chyba tak. Wszyscy się tak zachowujemy, jeśli uważamy, że mamy rację.

– Jasne, choć mnie brak takiej pewności. Przywykłam do wykonywania rozkazów.

Akademia wpoila mi poczucie dyscypliny.

– Sporo w tym racji. Alan nie potrafiłby się dostosować. Nie przyszłaś tu o nim rozmawiać, prawda?

– W pewnym sensie o nim. – Nerys napiła się jeszcze trochę wina. – Bardzo dobre.

– Jakiś włoski sikacz.

Nerys wstała z fotela i podeszła do obrazu przedstawiającego panoramę zamku Eastvale.

– Ładny – stwierdziła. – Malarz miał talent. Świetnie uchwycił światło w zimowe popołudnie.

– Dziękuję – odparła Annie.

– Ty go namalowałaś? – Nerys patrzyła na nią zaskoczona. – Nigdy bym nie podejrzewała... Naprawdę?

– Tak – odparła Annie, czując, że się rumieni. – Czemu miałabym cię okłamywać i skąd mogłaś wiedzieć, że maluję?

– Masz prawdziwy talent. Myślałaś kiedyś, żeby...

– Nerys, dziękuję za dobre słowa, ale przejdź do rzeczy. Nie chcę być niemila, ale...

– Masz rację. – Powell usiadła i lekko drżącym głosem kontynuowała: – Masz rację.

Jestem po prostu zdenerwowana.

- Dlaczego?
- Jesteś detektywem, a ja zwykłą funkcjonariuszką.
- Nie przesadzaj. Poza tym to ty nosisz broń.
- Nie mam jej przy sobie – odparła, rozkładając ręce. – Chcesz sprawdzić?
- A po co?

Nerys opuściła ramiona. Chyba się trochę rozluźniła. Przeciągnęła palcem po krawędzi kieliszka i spytała:

- Czy to, co powiedziano wczoraj na spotkaniu o pani Doyle i detektywie Banksie, to prawda?
- Tak – odparła Annie. – Kiedyś byli sąsiadami.
- Pojechałby jej pomóc?
- Chyba tak. Ale nie ma co roztrząsać czegoś, co się nie zdarzyło.
- Gdzie wyjechał?
- Do Ameryki. Szmat drogi.
- Szkoda, zaoszczędziłby nam piekła – powiedziała Nerys.
- Chambers tak nie uważa.
- To dupek. – Powell zakryła usta dłonią. – Cholera, nie powinnam tego mówić.

Annie roześmiała się głośno.

- Racja, nie powinnaś, ale trafiłaś w sedno.
- Pracowałaś z nim wcześniej.
- Za dużo o mnie wiesz.
- W takiej sytuacji jak moja staram się dowiedzieć jak najwięcej.
- Przyjaciel z kadr?
- Nie, tym razem z archiwum.
- Proszę, proszę. Masz sporo znajomych.
- Wręcz przeciwnie, i to mój problem. Czuję się bardzo samotna.
- To dziwne. O was z oddziałów specjalnych mówi się, że jesteście bardzo zżyci. Każde z was odpowiada za bezpieczeństwo innego.
- W trakcie akcji tak jest. To część treningu. Tego, co nam się wpaja. Tyle że w życiu prywatnym to nie zawsze się sprawdza. – Nerys pochyliła się do przodu i spojrzała Annie głęboko w oczy. Siła jej wzroku była porażająca. – Wiesz, jestem babą w męskim świecie. Gorzej, jestem lesbijką w klubie strzeleckim tylko dla facetów. Może traktują mnie jak swoją, ale uważają za dziwoląga.
- Na pewno tak nie jest.

Nerys nieprzyjemnie parsknęła.

– Co ty możesz wiedzieć?

– W sumie niewiele. Jak tam trafiłaś? Mam na myśli jednostkę.

– W akademii sama nie wiedziałam, co chcę robić. Zaliczyłam wszystkie szkolenia: wywiadowcze, pościgi, pracę pod przykrywką, nawet ruch drogowy.

– I?

– To przez ojca, był spadochroniarzem. Typ twardziela. Zabili go w Iraku dwa i pół roku temu. Zastrzelił go inny snajper. Ojciec był perfekcjonistą, technikiem. Dorastałam pośród broni. Chryste, potrafiłam rozłożyć i złożyć hecklera & kocha po ciemku, kierując się dźwiękiem i kształtem elementów.

– To cenna umiejętność – odparła Annie. – Może się przydać. Nie myślałaś o tym, kiedy wstępowałaś do służby?

– Nie. Nie myślałam, żeby iść w ślady ojca, przynajmniej nie do chwili, kiedy dowiedziałam się, że nie żyje. Wtedy wszystko nabrało sensu. Jestem dobra, szybko mnie zauważono. Jesteśmy z Warbym najmłodszy w oddziale. – Nerys zamilkła.

Annie myślała o Banksie: gdzie był teraz? W Los Angeles? Reno? Tucson? Gdzieś na południowym zachodzie. Szkoda, że nie mogła do niego dołączyć. Cisza przedłużała się, ale w końcu Powell powiedziała:

– Nie chcę tkwić w jednostce wsparcia w nieskończoność.

– Ambicja?

– Chciałabym przejść do antyterrorystów.

– Brzmi jak wyzwanie.

– Lubię wyzwania, ale martwię się o...

– Plamę w papierach?

– Tak.

– Nie ma funkcjonariusza, który nie popełniłby choć jednego błędu. Niektórzy uważają Banksa za chodzącą katastrofę. Na przykład taki Chambers.

– Jaki on jest?

– Chambers?

– Tak. Przypomina mi takiego grubasa w meloniku z czarno-białych komedii.

– Olivera Hardy'ego.

– Właśnie. Sądzisz, że popiera ruchy gejowskie? Może lubi lesbijki?

Annie roześmiała się głośno. Spojrzała na swój kieliszek i zauważyła, że Powell prawie opróżniła swój.

– Nie sędzę. Wygląda na faceta, który uważa, że każda dziewczyna marzy o tym, aby go zdobyć, a z homoseksualizmu każdą lesbijkę wyleczy noc z Reginaldem Chambersem i jego trzydziestocentymetrowym instrumentem. Choć uważam, że ma raczej siedem i pół.

Nerys roześmiała się głośno.

– A co naprawdę o nim sądzisz?

Annie zakręciła kieliszkiem. Nie lubiła wracać wspomnieniami do czasów, kiedy pracowała z Chambersem. Nie były miłe.

– Powiedzmy, że nasze stosunki nie były najlepsze.

– Czego mam się spodziewać, ukrzyżuje mnie i Warby’ego?

– Narobi dużo zamieszania i będzie wiele krzyku – odparła Annie. – Nie przesadzaj, nie jest aż taki zły, znam wielu gorszych. Nie układało nam się, ale to pewnie z mojej winy. To nie był mój wymarzony przydział, często nie potrafię się dogadać z ludźmi.

– Tak słyszałam.

– Czemu mnie to nie dziwi? – Annie spojrzała na zegarek. – Nie chcę cię popędzać, ale jeśli to wszystko...

Choć po winie i całym zamieszaniu nie było mowy o powrocie do medytacji, to mogła spędzić wieczór na oglądaniu telewizji czy pójść spać.

– Przepraszam – powiedziała Nerys. Jej podbródek zadrżał. – Nie zamierzałam ci zepsuć wieczoru. W sumie chciałam się dowiedzieć, czy będziesz po mojej stronie. Przepraszam, że zawracałam ci głowę. Po prostu bardzo się martwię.

W jej oczach zalśniły łzy. Annie poczuła się okropnie. Nie potrafiła sobie radzić z płaczem.

– Uspokój się – powiedziała, dolewając jej wina. Butelka była prawie pusta. – Weź się w garść, Nerys. Chambers was nie zabije. To nie ty strzełaś, więc nie masz się o co martwić. Racja, to wieprz, kanalia i bałwan, ale gra według reguł. W najgorszym razie trochę będzie wami pomiatał na potrzeby prasy. W głębi serca to wizerunkowiec, a nie policjant. Nie jest wart, żeby przez niego płakać. Będzie śledztwo i uczciwe wyniki, nie martw się. Fakty przemawiają za tobą.

– No właśnie, o to chodzi. Jakie są fakty? Kto je zinterpretuje? Jakiej wersji będą chciały media? Może być tyle wersji, ile osób było w tamtym domu.

Annie wiedziała, że Nerys ma rację. Widziała kiedyś film *Rashomon*. Jeden z ulubionych jej ojca. Opowiada tę sama historię z kilku różnych punktów widzenia. Te same fakty, ale różne opowieści.

– Być może – przyznała. – Nic na to nie poradzisz. Pamiętaj, że sprawę ma zbadać zespół śledczych z Greater Manchester. Cokolwiek o sobie myśli Chambers, nie stanowi prawa.

– Muszę wiedzieć, czego się po nim spodziewać. Chcę być przygotowana. Jaki był, kiedy z nim pracowałaś?

– Przyjaciel z kadr nie powiedział?

– Nikt tego nie wie oprócz ciebie.

– To było dawno temu – powiedziała Annie, nabierając powietrza. – Minęło siedem czy osiem lat.

Skoro to przeszłość, to czemu wciąż się denerwowała? Sprawa Janet Taylor, Lucy Payne i Kameleona dobiegła końca rok temu. I kiedy wydawało się, że została zapomniana, Chambers wrócił.

– Nic złego mi nie zrobił – powiedziała. – Był leniwym, lubieżnym dupkiem, który wysługiwał się innymi, a sam zbierał pochwały, jeśli ta robota jakieś przynosi. Najwięcej radości odczuwał, gdy cytowały go brukowce. Zawsze grał pod publiczność.

– Dlaczego nie przeszedł na emeryturę po dwudziestu pięciu latach służby? Słyszałam, że praktycznie mieszkał na polu golfowym.

– Reorganizacja nadała jego życiu nowy sens. Zyskał więcej władzy. Postawił sobie za cel wywalenie tylu gliniarzy, ilu się tylko da. Nie żeby niektórzy z nich nie zasługiwali na to. Ale jedno jest pewne, Chambers nie nagina reguł, stosuje się do nich.

– Ale ma w tym swój cel?

– Tak, według niego gliniarze dzielą się na tych winnych i już skazanych. Zwłaszcza jeśli prasa jest tego zdania.

– Czyli powinnam się martwić?

– Tamta sprawa i twoja są różne – wyjaśniała Annie. – Funkcjonariuszka Janet Taylor zastrzeliła seryjnego mordercę, który na jej oczach zabił jej partnera i zamierzał ją poćwiartować. Niestety, głośna była wtedy sprawa Johna Hadleigha, który zastrzelił włamywacza i został uznany za winnego popełnienia morderstwa. W oczach opinii publicznej wyglądałoby na to, że policjantowi wolno zabić, a zwykły człowiek idzie za to do więzienia.

– Nawet jeśli zastrzeliła mordercę? Kameleona. Znam sprawę, uczyłam się o niej.

– Czyli wiesz, o czym mówię. Musisz zrozumieć, jaka panowała wtedy atmosfera i co wyczyniały media. Udało mi się przekonać wszystkich do obniżenia kary i zmiany kwalifikacji czynu. Resztę znasz sama.

– A więc to przez politykę. Janet Taylor została kozłem ofiarnym?

– Nie była kryształowa, ale tak, została. Gdzie pojawia się Chambers, tam zaczyna się polityka. Im wyżej się wspiniesz po tej śliskiej drabinie, tym więcej zrobisz, żeby nie spaść.

Nerys odchrząknęła i siedziała nieruchomo, myśląc nad tym, co usłyszała.

– Czy mogę liczyć na twoje wsparcie? – spytała cicho.

Annie zakrztusiła się i opryskała winem przód koszulki. Kasłała przez chwilę.

– Jezu, o czym ty mówisz?

– Jestem zupełnie sama. Czuję się wyizolowana. Nie mam z kim porozmawiać.

– Nie mów głupstw. Masz kolegów z oddziału i szefa, który cię wspiera. Poza tym to nie ciebie chce przyszpilić Chambers, a Warburtona. To on strzelił z paralizatora.

– Nie żartuj, chodzi mu o nas wszystkich. Gdyby Warby nie pociągnął za spust, ja bym to zrobiła albo któryś z chłopaków z drugiej grupy.

– Było aż tak źle?

– Tak. Kompletna ciemność. Żarówka eksplodowała, kiedy Warby nacisnął przełącznik. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego. Wiedzieliśmy, że w domu jest naładowana broń. Nerwy mieliśmy napięte jak postronki.

– Nikt nie przypuszczał, że będziecie musieli wchodzić w takich warunkach – powiedziała Annie. – Nie można było przewidzieć, że żarówka przepali się akurat w tym momencie.

– Powinniśmy być przygotowani na takie niespodzianki. Działać tak, jakby sytuacja była rzeczywiście groźna – mówiła Nerys. Annie zajrzała do butelki, ale ta była już pusta.

– Zrobiło się ciemno. Atmosfera była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Warby powiedział prawdę, nie mieliśmy pojęcia, co tam się dzieje. Może dziewczynie odbiło, może zabrała broń? Kiedy Doyle wyszedł z kuchni, widzieliśmy tylko ciemną sylwetkę. W ręku miał coś, co wyglądało na kij bejsbolowy, miecz czy nawet strzelbę. Warby zadziałał pierwszy, nie jest najlepszym strzelcem, ale ma najkrótszy czas reakcji. – Nerys uśmiechnęła się do siebie. – Zawsze żartowaliśmy, że byłby świetnym rewolwerowcem. Najszybszy dzieciak po tej stronie Wiske.

– Czemu Doyle wymachiwał laską?

– Był rozzłoszczony. Pewnie kłócił się z córką. Nie zwracali uwagi na nic innego. Aż nagle usłyszeli trzask wyłamywanych drzwi. Wyszedł sprawdzić, co się dzieje, ludzie tak reagują.

– To zrozumiałe. Nie przypuszczał, że jesteśmy uzbrojeni. Spodziewał się starego przyjaciela, a nie funkcjonariuszy z bronią. Nie mógł nas widzieć. W kuchni było jasno, więc jego oczy nie przywykły do ciemności. Wyglądaliśmy jak najeźdźcy z Marsa. Czegoś takiego człowiek się nie spodziewa.

– Pewnie nie – przytaknęła Annie.

– Jak sądzisz, po czyjej stronie będzie opinia publiczna?

– Chyba mogę odgadnąć.

Nerys pokręciła głową i dokończyła wino.

– To nie fair. Treningi i testy to jedno. Idziesz jak Brudny Harry i strzelasz do manekinów, ale kiedy to dzieje się naprawdę, zupełnie inaczej wszystko odbierasz. Podczas szkolenia masz świadomość, że nic ci się nie stanie. Warby dobrze zrobił, nikt

normalny nie celuje w ręce czy nogi. Powiem to. Chcesz położyć przeciwnika, żeby nic ci nie zrobił. Pokażę im, jak to naprawdę jest, nie pozwolę zrobić z Warby'ego kozła ofiarnego. Prasa czy polityka, nieważne. Wykonujemy ciężką i ważną pracę. Czasami się mylimy, ale ludzie nas potrzebują. Nie muszą nas nagradzać medalami, pewnie nie lubią, gdy się im przypomina o naszym istnieniu.

– Nie mam na to wpływu – odparła Annie. – Ale jestem pewna, że sprawa zostanie zbadana rzetelnie i bezstronnie.

– Chciałabym podzielać twój optymizm. Pójdę już.

Annie wstała. Nie chciała dać po sobie poznać, że wolałaby zostać sama. Spojrzawszy na butelkę, pomyślała, że Nerys może być pijana. Sporo wypila. Czy da radę prowadzić samochód? Może powinnam ją przenocować, pomyślała Annie. Nie miała na to ochoty. Lepiej się nie mieszać. Może nie było to odpowiedzialne, ale alternatywa jawiła się jako pole minowe komplikacji.

– Odprowadzę cię do drzwi.

– Dzięki – powiedziała Nerys.

– W porządku?

– Tak, jasne – odparła Nerys, stojąc na progu. Położyła dłoń na ramieniu Annie i dodała: – Słyszałem o Tobie wiele dobrego. Kiedy wpadłam na ciebie w centrali, pomyślałam, że jesteś dobra. Od razu cię polubiłam.

Ku zaskoczeniu Annie, Nerys pochyliła się ku niej i pocałowała ją w policzek. Zawstydzona własnym zachowaniem spojrzała w dół, na wycieraczkę. Annie pomyślała, że tamta może oceniać jej nogi. Cofnęła się skrępowana, zdając sobie sprawę, że jest ubrana tylko w workowaty biały podkoszulek, w jakim uprawiała jogę. Poczuła się prawie naga.

– Nerys, bardzo mi miło i tak dalej, ale... Nie wiem... wiesz... nie mam pojęcia, co sobie pomyślałaś, co mogłaś usłyszeć, ale... ja nie jestem...

– Jasne, wiem, że wolisz mężczyzn. Nie próbowałam cię podejść. Nie jesteś w moim typie. Po prostu myślę, że jesteś w porządku, i to wszystko.

– Pozory mogą mylić.

– Zaryzykuję.

Kiedy Nerys wyszła, Annie zamknęła drzwi i oparła się o nie. Co to miało znaczyć, że „nie jest w jej typie”? Powinna się obrazić? Co było nie w porządku? Zachowanie Powell przeczyło jej słowom. Cały czas flirtowała.

Nagle Annie tknęła nieprzyjemna myśl. Jeżeli faktycznie Warburton i Powell oraz ich koledzy z oddziału mieli zostać rzućni na pożarcie opinii publicznej, to sympatyzujący z nimi policjanci będą mieli szczęście, jeśli wyjdą cało z zamieszania. Laska. Słabe serce. Czy ona lub Gervaise powinny były zapytać o takie szczegóły i przestrzec policjantów?

Czy miały powód, żeby pytać o coś takiego? Problem nie tkwił w tym, co zrobiły, lecz w tym, co Chambers i dziennikarze uważali, że powinny zrobić. To nie była wesółka konkluzja.

Annie otworzyła kolejną butelkę i usiadła przed telewizorem, oglądając program dokumentalny o słońcach na BBC 2.

Banks zaproponował, że zapłaci rachunek, ale Teresa nie chciała o tym słyszeć.

– Mój kraj, moje zasady – powiedziała.

Nie pozostało mu nic innego, jak skapitulować. Obiad w niewielkiej włoskiej knajpce na North Beach był wspaniały. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był spór o rachunek.

– Bardzo dziękuję – powiedział. – Wspaniały wybór.

– To zasługa towarzystwa – odparła Teresa. Dyskretnie dała znak kelnerce, która zebrała naczynia na tacę.

Banks rozlał resztkę wina pomiędzy obydwoma kieliszki i dodał:

– Zdecydowanie.

– Dlaczego w takim razie posmutniałeś? – spytała Teresa.

– Naprawdę? – zdziwił się Banks. – Może dlatego, że to mój ostatni wieczór w Ameryce?

– Nie myśl w ten sposób.

– Czemu?

– Bo nic dobrego z tego nie wyniknie. – Wrócił kelner z rachunkiem. Teresa zapłaciła kartą kredytową, dodając napiwek. Wzięła torebkę i dodała: – Muszę poprawić makijaż. A potem pokażę ci coś niezwykłego.

Banks skinął głową. Czekając na Teresę, dopijał wino i podziwiał obraz przedstawiający jezioro Como, który wisiał na przeciwległej ścianie. Odrobinę zbyt komercyjny, nie spodobałby się Annie, doszedł do wniosku. Zaskoczyła go ta myśl. Chyba czas wracać do domu, skoro myśli o osobach odległych o tysiące kilometrów. Na razie jednak świetnie się bawił w towarzystwie Teresy. Podczas obiadu wyznała, że niedawno rozeszła się z mężem, miała dorosłe dzieci i wnuki. Pracowała w Bostonie, była psychologiem dziecięcym. Wycieczka była nagrodą, jaką sobie zafundowała, oraz wymówką, aby spotkać się z rodziną. Planowała przeprowadzkę do Kalifornii i nawet zaczęła badać grunt pod kątem mieszkania i pracy.

Po prawej stronie od ich stolika znajdował się bar, nad którym Banks dostrzegł migoczące zachęcająco butelki. Może koniak, pomyślał. Nie, lepiej zaczekać, aż wrócą do hotelowej restauracji. Teresa już uregulowała rachunek i chciała mu coś pokazać.

Kiedy szli cichą ulicą, ujęła go za rękę. Kierowali się w stronę Columbus, nadal zatłoczonej i gwarnej. Minęli Condor Street i przecięli skrzyżowanie z Broadwayem.

Zamiast skręcić w Grant, ruszyli Stockdown. Tę pierwszą otaczały pagody, knajpy i sklepy z tanimi pamiątkami, ta druga mieniła się sklepami kolonialnymi z egzotycznymi warzywami i suszonymi owocami. Nawet o dziesiątej wieczorem pełno tu było klientów i sprzedawców, którzy zachwalali swoje towary. Banks przypomniał sobie słowa starego sierżanta z Londynu, Ozzy'ego Albrighta, który opowiadał, że w San Francisco mieści się największe Chinatown poza Chinami. Rozmawiali wtedy w londyńskiej dzielnicy Azjatów, kiedy prowadzili pewną sprawę w osiemdziesiątym piątym roku. Bardzo długo nie dawała mu spokoju, jak wiele innych. Często wracał myślami do przeszłości, podobnie jak teraz. Niekiedy na sprawiedliwość trzeba czekać całe życie, ale w końcu i ona przychodzi. Taka karma. Teresa szczebiotała wesoło u jego boku i Banks zdał sobie sprawę, że za bardzo odpłynął myślami.

– Mówiłaś, że dokąd idziemy?

– Nie powiedziałam – odparła, rzucając mu baczne spojrzenie. – To niespodzianka.

– Dobrze.

Tłum został daleko za nimi, ulica zrobiła się cichsza, ciemniejsza i bardziej ponura. Także sklepów było jakby mniej.

– To tunel Stockton – wyjaśniła. Rozejrzała się dookoła, jakby porównując okolicę ze wspomnieniami. – To, czego szukamy, znajduje się tam. – Wskazała na wąską alejkę odchodzącą od Bush Street i biegnącą równoległe do Stockton. – Wybacz, dawno tutaj nie byłam.

– Chcesz mnie zaciągnąć w jakiś ciemny zaułek? – spytał Banks.

Teresa roześmiała się i odparła:

– Chodź, to niedaleko.

Wskazała na niewielką mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym na jej powierzchni tekstem. W słabym świetle Banks ledwie mógł odczytać litery. W TYM MIEJSCU MILES ARCHER, PARTNER SAMA SPADE'A, ZOSTAŁ ZAŁATWIONY PRZEZ BRIGID O'SHAUGHNESSY.

Banks stał i patrzył na plaketkę. A więc to stało się tutaj. Spojrzał na Teresę i szeroko się uśmiechnął.

– Mówiłeś, że jesteś detektywem, pomyślałam, że to ci się spodoba.

– Nawet bardzo. Właśnie zacząłem czytać książkę, ale nie zdawałem sobie sprawy... Wiem, że historia jest fikcyjna, ale miasto żyje na kartach powieści. Jest jakby osobnym bohaterem. Nie sądziłem, że... – Spojrzał jeszcze raz na mosiężną tabliczkę. – Zdradza zakończenie.

– Owszem, ale czy to ważne?

– Nie wydaje mi się – odparł Banks. – Poza tym widziałem wcześniej film. Książka jest

mu bardzo wierna.

– Powinieneś wiedzieć, że było raczej na odwrót. Poczekaj. – Teresa zaczęła grzebać w torebce. – Stań obok plakietki, zrobię ci zdjęcie.

Banks zrobił, co mu kazała. Najpierw zapaliło się migające czerwone światelko, które miało wyeliminować efekt czerwonych oczu, potem błysnął flesz. Kiedy Banksowi latały przed oczyma kolorowe plamki, dobiegł go głos:

– Mogę zrobić państwu zdjęcie. – Teresa podała aparat mężczyźnie. Jego żona czy dziewczyna patrzyła na nich z uśmiechem. Stanęli obok siebie, Teresa położyła głowę na ramieniu Banksa, a mężczyzna zrobił zdjęcie. Lampa błysnęła, nieznajomy spojrzął na wyświetlacz, sprawdzając, czy zdjęcie wyszło, po czym oddał aparat.

– Skąd wiedziałaś, że nie da drapaka ze sprzętem? – spytał Banks, gdy wracali tunelem.

– Nie bądź taki zgorzkniały. Trzeba choć trochę ufać ludziom, inaczej życie stanie się piekłem.

– Może masz rację...

– Szedł za rękę z dziewczyną, złodzieje się tak nie zachowują.

Banks się roześmiał.

– Byłabyś dobrym gliniarzem.

Teresa roześmiała się i powiedziała:

– To kwestia wyczucia.

Wrócili Stockton Street, przecięli Union Square i wzdłuż Geary wrócili do hotelu. Minął ich brzęczący gongiem trolejbus. Przemknął Powell Street w kierunku Mark Hopkins, gdzie pierwszego dnia wizyty Banks wybrał się na martini. Z teatru na Geary Street wylewał się tłum widzów. Banks zauważył, że wystawiano *Przelotne spotkanie* Noela Cowarda. Spośród tłumu wyłowił dwoje mieszkańców ulicy: czarnoskórego bezdomnego w łachmanach i staruszkę, ale żadne z nich nikogo nie zaczepiało.

Kiedy stanęli przed wejściem do Monaco, Banks zapytał:

– Co powiesz na drinka przed snem?

Teresa zamyśliła się na chwilę.

– Raczej nie. Za dużo ludzi i hałasu, zepsuliby nastrój. Ale mam butelkę nappa valey w pokoju. Może dasz się zaprosić?

Nie było cienia wątpliwości w jej oczach. Banks chrząknął i odparł:

– Bardzo chętnie... To idealne zakończenie cudownego, ostatniego dnia wspaniałych wakacji.

– Jaff?

– Co, mała?

– Co tak naprawdę się dzieje? – spytała Tracy. – Po co to robimy? Dlaczego uciekamy? Dlaczego chcesz się dostać do Londynu i zwać z kraju?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała za dużo. To mój kłopot, nie twój. Jestem ci wdzięczny, że znalazłaś miejsce, gdzie mogę przeczekać i załatwić wszystkie sprawy.

– Teraz to jest także mój problem, nie sądzisz? Nikomu cię nie wydam, siedzimy w tym obydwój, prawda? Pomagam ci, ale nie rozumiem, co się dzieje. Czuję się jak więzień, może byłabym bardziej przydatna, gdybyś powiedział, co się dzieje.

– Nie jesteś więźniem. Musimy zachować szczególną ostrożność, a ja wiem, jak to zrobić. Lepiej mnie po prostu słuchaj. Fran, bardzo mi pomogłaś, dlatego nie chcę cię obarczać wszystkimi kłopotami. Wiesz, dokąd prowadzi ciekawość, prawda? Po prostu mi zaufaj, tak będzie lepiej. Chodź do mnie, małeńka...

– Nie, Jaff, nie teraz. Nie znowu...

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Opierała się tylko trochę, bo wiedział, jak zabrać się do rzeczy. Nie tylko przy całowaniu.

Kiedy skończyli, Jaff zapadł w drzemkę, a Tracy znowu zaczęła się denerwować. Choć minął zaledwie jeden dzień wspólnego pobytu w domku, nie czuła się dobrze. Miała nadzieję, że Jaffowi wieś niedługo się znudzi i pojedą do Londynu. Kilka razy długo rozmawiał przez telefon i wydawał się zadowolony z obrotu spraw, cokolwiek to znaczyło.

Z początku sytuacja była zabawna. Dla zabawy odgrywała się na nieobecny ojcu, ale im dłużej przebywali w jego domu, tym bardziej czuła się nieswojo. Wczorajsze żarty zaczynały zmieniać się w coś poważniejszego i Tracy zaczynała się obawiać, czy w razie czego zdoła wykaraskać się z kłopotów. Z jednej strony nie była więźniem, ale z drugiej Jaff potrzebował jej, aby ukryć się przed pewnymi ludźmi. Zapewne nie pozwoliliby jej odejść, ale z jakiegoś powodu wcale nie chciała tego robić. Nie chodziło o to, że zostałyby sam w domu jej ojca. Tracy chciała z nim być, wspólnie przeżyć przygodę i przekonać się, o co chodzi. Martwiła się o niego. Trzymał ją w nieświadomości, a tego nienawidziła, chciała odegrać ważniejszą rolę. Najgorszy był brak komórki i poczucie odcięcia od świata.

Irytował ją bałagan, jaki panował w domu. Wszędzie walały się puste butelki po winie, wybebeszone opakowania i płyty. Tracy nie była wandalą ani bałaganiarzem i ten chaos potwornie ją denerwował. Próbowwała posprzątać wczoraj wieczorem, ale była zbyt pijana.

Stała się zbiegiem. Tak zapewne myśleli o niej ludzie, na przykład Rose. Policja była na tropie broni, skoro Erin wpadła, ale na razie gliniarze chyba nie połączyli jej z Jaffem.

Być może nawet o nim nie wiedzieli, skoro nie wspomniano o tym w wiadomościach. Ale ojciec nieraz opowiadał, że części faktów nie ujawnia się prasie. Nie zawsze przyjeżdża się na syrenie, czasami trzeba działać po cichu.

Sieć mogła się zacisnąć w dowolnym momencie. Tracy pomyślała, że policjanci obserwują dom i mogą się zbliżyć nawet w tej chwili. Chwilę później ochrzaniła się za taką paranoję. Erin pewnie zamknęła się w sobie, jak to czasami robiła, a policja nie mogła jej zbyt mocno naciskać, skoro zabiła jej ojca.

Tracy poczuła ukłucie bólu. Pan Doyle był taki miły. Dawał im pieniądze na lody, kiedy przyjeżdżał sprzedawca. Którejś Wielkanocy zabrał ją z Erin do Helmthorpe, kiedy ojciec Tracy musiał zostać w pracy. Poszli na karuzelę, samochody elektryczne i tor wyścigowy. Ojciec Tracy pozwoliłby jej pewnie tylko na huśtawkę albo coś równie głupiego.

Jaff poruszył się i wypełził spod prześcieradła. Było już prawie południe, ale znowu większość wieczoru palili trawkę, pili i oglądali filmy. A potem uprawiali seks.

– Jestem głodny – burknął. – Zrób śniadanie, a ja idę pod prysznic.

– Służącą sobie znalazłeś? – odparła Tracy, wstając z łóżka.

– Coś ty powiedziała?

– Nic – odparła Tracy.

– Wręcz przeciwnie. – Jaff chwycił ją za podbródek. – Powiedziałaś coś o służącej. Uważasz, że to ja powinienem usługiwać? O to ci chodzi. Dlatego że moja matka pochodziła z Bangladeszu, to jestem kimś gorszym? Bo mam ciemniejszą skórę?

Tracy wyszarpnęła się.

– Jaff, co ty mówisz. Przecież wiesz, że o nic takiego mi nie chodziło. Sam mógłbyś coś koło siebie zrobić, a nie ciągle mi rozkazywać. Opanuj się.

– Już ja wiem, co o mnie myślisz. Za kogo mnie, kurwa, masz, za idiotę? Dorastałem tutaj i, cholera, wiem, co to znaczy.

– Uspokój się, Jaff. Nie chciałam...

– Zawsze to samo. Ludzie coś sobie zakładają i myślą, że mnie znają. – Wskazał palcem na siebie. – Nie próbuj...

– Och, przepraszam pana – odparła ze złośliwym grymasem, przedrzeźniającym przeprosiny. – Prze-pra-szam!

– Nie rób ze mnie idioty – warknął, rzucając jej złowrogie spojrzenie. Tracy nie mogła uwierzyć, że kiedyś uważała te oczy za piękne i słodkie. Teraz były lodowate i wrogie, a usta ściągnięte w grymasie złości. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był spokojniejszy, ale nadal pobrzmiwała w nim groźba. – Uważaj, co mówisz, Francesca. Nienawidzę ludzi, którzy oceniają mnie po pozorach. Nie wiesz, kim jestem. Nic o mnie nie wiesz.

– Dobrze, dobrze – powiedziała Tracy, żałując, że sprowadziła go do domu ojca, że go poznała, całowała czy poszła z nim do łóżka. Miała ochotę się popłakać. – Pójdę zrobić śniadanie, dobrze? Jajecznicza na bekonie, tak?

Jaff uśmiechnął się.

– Właśnie. I duży dzbanek kawy, dziecinko. Czarnej i mocnej. Idę pod prysznic. – Odwrócił się i wyszedł, pogwizdując, jakby nic się nie stało.

Tracy została sama. Chciała się wykąpać, ale w małym domku była tylko jedna łazienka. Zeszła na dół, umyła ręce i twarz w kuchni. Wtedy zdała sobie sprawę, że trzęsie się ze strachu. Jaff potrafił być okrutny, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy.

Z góry dobiegał szum wody, kiedy zaczęła szykować śniadanie. Smażenie było najprostszą metodą, choć nie najzdrowszą. Znalazła patelnię, zapaliła gaz i postawiła ją na palniku, a potem wylała kilka kropel oliwy. Gotowanie nie było jej mocną stroną, ale wiedziała, że do jajek na bekonie potrzebuje jej sporo. Wstawiła kawę i przysmażyła bekon na krucho. Dopiero potem zabrała się do jajek. Zanim rozbiła je na patelni, pokroiła chleb i wrzuciła dwie kromki do tostera. Wtedy spojrzała ku niewielkiemu stolikowi w rogu. Torba Jaffa stała obok niego za ławką. Jeśli chciała odzyskać telefon, a czuła się bez niego jak bez ręki, to był najlepszy moment. Najprawdopodobniej nie zauważyłby, że go zabrała. Bekon skwierczał na patelni, kawa bulgotała w ekspresie. Tracy podeszła do torby i postawiła ją na blacie, a potem rozpięła suwak.

To, co znalazła w środku, zaparło jej dech w piersiach. Miała na tyle przytomności umysłu, aby schować komórkę do zapinanej kieszonki w nowej torebce. Wróciła do torby Jaffa i jeszcze raz zajrzała do środka, upewniając się, że wzrok jej nie myli. To nie było złudzenie. Wewnątrz znajdowały się zwitki banknotów. Dziesięcio- i dwudziestofuntówki, wszystkie spięte gumkami. Pomiedzy nimi znajdowały się opakowania białego proszku zawinięte w folię. Naliczyła ich cztery. Pewnie kokaina, pomyślała Tracy. Albo heroina, co najmniej cztery kilogramy. Sięgnęła głębiej i wymacała coś twardego, chłodnego i metalowego.

Dopiero gdy dotknęła dłonią rękojeści pistoletu, zobaczyła Jaffa opartego o framugę drzwi. Był przewiązany w pasie ręcznikiem i obserwował ją z głową przechyloną w bok. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiešek, choć oczy wcale nie zdradzały wesołości. O Boże, pomyślała. Trzeba było wiać, kiedy miałam okazję.

Tak jak przypuszczała Annie, w środowe popołudnie komenda coraz bardziej przypominała główny peron King's Cross. Chambers przechadzał się tam i z powrotem obstawiony pomagierami, których w duchu nazywała Głupim i Głupszym. Członkowie jednostki wsparcia włóczyli się bez celu lub rozmawiali w kuchni. Między nimi była Nerys

Powell, która posłała Annie konspiracyjny uśmiezek. Kiedy się mijaly na schodach, oblała się rumieńcem i wstydlawie opuściła wzrok. Tylko tego brakowało.

Banks powiedział kiedyś, że Chambers przypomina mu postać Vincenta Price'a z filmu *Witchfinder General*. Kiedy jakiś czas później wspólnie go obejrzel, Annie w lot zrozumiała dlaczego. Może fizycznie nie byli do siebie podobni, ale otaczała ich podobna aura ledwie kontrolowanego fanatyzmu i żądza zaspokojenia bezbożnych apetytów, skrywana za fasadą służbisty czy strażnika publicznej moralności.

Annie kilka razy przyłapała Chambersa, kiedy na nią patrzył. W jego oczach widziała żądze. Podczas spotkań zwykł po cichu szeptać z Głupim i Głupszym albo robić notatki, tylko po to, aby zdenerwować rozmówcę czy podnieść napięcie. Kiedy odchodziła spod jego rozkazów, wygarnęła mu, co myśli o nim i o tym, jak poprowadził sprawę Janet Taylor. Teraz doszła do wniosku, że nadal żywił do niej urazę. Co gorsza, sprawiał wrażenie kogoś, kto ją pielęgnuje i podsycy latami, aż będzie mógł się zemścić.

Nadinspektor Gervaise rozesłała notatkę ustalającą termin spotkania starszych oficerów pionu śledczego. Miało się odbyć o trzeciej po południu w sali konferencyjnej i spodziewano się udziału eksperta od balistyki, który badał pistolet. Annie miała nadzieję, że przed naradą zdoła się wymknąć na obiad i piwo, ponieważ później zabraknie na to czasu. Chciała pogadać z Winsome. Miały sporo do omówienia. Winsome kończyła papierkową robotę dotyczącą sprawy, którą prowadziła, i Annie szybko musiała wprowadzić ją w szczegóły nowego zadania.

Obiad w „Queen's Arms” nie wchodził w grę, podobnie jak wizyta w „Hare and Hounds”. Gervaise miała nadzwyczajny talent do znajdowania knajp, gdzie Annie i Banks lubili wychylić głębszego. Na szczęście Winsome kategorycznie odmawiała picia na służbie, a poza nią nie miała czasu na alkohol, dlatego mogły pojechać, gdzie im się zachciało. Całe Swainsdale stało przed nimi otworem. W granicach rozsądku – pomyślała Annie. Mogły się wybrać poza centrum, znaleźć jakiś wiejski pub ze stolikami na zewnątrz i ładnym widokiem. Niestety, wiele z nich zamknięto. Dobił je zakaz palenia, kryzys ekonomiczny i sklepy z taną wódką w Calais. Niektóre z najlepszych pubów w Swainsdale otwierano tylko w weekendy, ale kilka najfajniejszych jeszcze się trzymało.

Odpowiednie miejsce znalazły w połowie drogi na wzgórze, niedaleko wsi obok drogi na Fortford. Tuż obok był trójkątny trawnik z kilkoma ławkami stojącymi w cieniu starego wiązu. Na zewnątrz znajdowały się stoliki ogrodowe. Annie i Winsome czekały na obiad. Annie sączyła gorzkiego dalesmana, a Winsome dietetyczną pepsi. Jeśli klienci zdziwili się na widok długonogiej, prawie dwumetrowej Murzynki, ubranej w niebieskie dzinsy, byli dość kulturalni, aby się nie gapić. Zapewne turyści, podsumowała w duchu Annie. Miejscowi nie mogli oderwać wzroku od Winsome.

Dzień był ciepły i słoneczny, choć na zachodzie gromadziły się ciemne chmury. Jedyne, co mogło przeszkadzać, to brzęczące muchy lub od czasu do czasu samotna osa. Wysoko na niebie krążyły jaskółki.

Annie podziwiała niskie kamienne murki, które ciągnęły się w górę zbocza aż do miejsca, gdzie spod ziemi wyrastały wapienne skałki. Po prawej stronie widziała mieniącą się zielenią dolinę oraz położoną nad rzeką wieś Fortford, odległą o kilka kilometrów. Jeśli się przyjrzała, była w stanie dostrzec dachówki „Rose and Crown”. Budynek wzniesiono niedaleko kopca będącego pozostałością po rzymskich osadnikach. Ułożona przez nich droga przecinała dolinę na pół i nikła w oddali. Powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą, brykietem i dymem z ogniska ogrodnika. Pomimo zamieszania na komisariacie i kłopotów, jakie zwiastowało, Annie uznała, że to wspaniały dzień, i cieszyła się późnym latem. Pora mgieł i dojrzałych plonów. Nadchodziła jesień, kojarząc się z wierszem Keatsa, którego musiała nauczyć się na pamięć w szkole:

Cykają świerszcze; a teraz miękkim dysz kantem śpiewając

Rudzik brzmi przy domu, gdzieś się w ogrodzie chowając;

I jaskółki piszczą i ćwierkają, gdy nisko w pogoni za owadami latają.^[2]

– Ale zoo się zrobiło na posterunku – powiedziała Winsome.

– Dlatego chciałam się wyrwać – odparła Annie. – No i jeszcze...

– Daj spokój. Ostatnio było aż nudno – powiedziała Winsome, unosząc równe brwi.

– Odkąd kopniakiem wyrzuciłaś handlarza prochami z trzeciego piętra?

– Jakim kopniakiem? I zaledwie drugiego.

Annie pociągnęła łyk piwa. Winsome miała już dość tej sprawy, którą prasa rozdmuchała do niestworzonych rozmiarów. Dzięki niej miejscowi wiedzieli, kim jest policjantka, i wlepiali w nią gały.

– Tak naprawdę to bardzo dużo się dzieje.

– Ja i Doug wypadliśmy z obiegu. Utknęliśmy w sprawie wypadku na Lyndgarth Road.

– I?

– Sprawa zamknięta. Świadek zapamiętał część rejestracji, więc mieliśmy łatwą robotę. Choć obydwie ofiary milczały, co nie ułatwiło nam zadania.

– Dlaczego?

– Szumowiny, szukali narkotyków.

– W takim razie czas, żebyście wrócili do obiegu. Jak się ma Harry... to znaczy Doug?

– Dobrze – odparła Winsome. – Może brakuje mu woli walki, tej dodatkowej zalety niezbędnej w pracy detektywa. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Traktuję go jak młodszego braciszka, staram się chronić przed kłopotami.

– Nie posądzałam cię o matczyne instynkty. Nie możesz go niańczyć przez cały czas.

– Wiem, wiem. Ma smykałkę do szczegółów i niesamowitą pamięć. Spójrzmy prawdzie w oczy: jak często dochodzi do sytuacji podbramkowych?

– Nie możemy wszyscy być wojownikami.

– To moje dziedzictwo. Moi przodkowie nie znali strachu, mam to w genach. Myślę nad kupnem włóczni.

Annie wybuchła śmiechem.

– I bez niej potrafisz być przerażająca. – Pociągnęła kolejny łyk piwa. – Chciałabym zobaczyć minę madame Gervaise, kiedy weszłabyś z dzidą do biura.

– Może to by jej dało do myślenia?

Błada kelnerka, która bardziej pasowała do szkoły niż baru, przyniosła zamówienie. Dla Winsome hamburgera z frytkami, a dla Annie kanapkę z serem i pomidorem.

– Co powinnam wiedzieć? – spytała Winsome.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – odparła Annie.

– Co myśli szefowa?

– Madame Gervaise? Jest bardzo ostrożna, uważnie patrzy, skąd wieje wiatr. Nie mogę jej winić, skoro Matthew Hopkins węszy dookoła jak człowiek z misją od Boga.

– Kto?

– Chambers. To nazwisko postaci z filmu, z którym mi się kojarzy. Przezywam go w ten sposób.

– Nie nazwałabym po nim zwierzęcia.

– Chambers może się okazać naszym najmniejszym kłopotem – kontynuowała Annie. – Sprawy ciągle się komplikują i możemy mieć kłopot z ich ogarnięciem. Wiesz już zapewne, że znaleziono broń w naszym rejonie. Zawiadomili nas rodzice, którzy donieśli na córkę.

– Wiem. Nie zawiadomiłabyś policji?

– Gdybym znalazła pistolet w sypialni mojej córki?

– Tak.

– Być może – powiedziała Annie. – Sama nie wiem. W pewnym sensie uważam, że to nie w porządku. Trudne pytanie.

– Od razu bym zawiadomiła. Dla mnie sprawa jest prosta, jak kulka w łeb... niezamierzony żart.

– Twój ojciec jest policjantem, mój – artystą.

– Co za różnica?

– Sama nie wiem – odparła Annie.

– Obydwe służymy w policji.

– Chodzi mi o to, że mogłabym spróbować rozwiązać tę sprawę po swojemu. Wiesz,

porozmawiać, zrozumieć. A w tej sytuacji jakakolwiek nić porozumienia między matką a córką została zerwana.

– Czasami to nie jest najważniejsze.

– Jeśli nie ona, to co?

– To, że nikt nie został postrzelony.

Annie wzruszyła ramionami.

– Masz trochę racji. Może jestem zbyt liberalna. Pewnie zabrałabym pistolet i go gdzieś wyrzuciła. Chyba to dobrze, że nie mam dzieci.

– Tak, już cię widzę, jak wydajesz własne dziecko, mięczaku.

– Nieważne – Annie zmieniła temat rozmowy. – Dom jest nadal zamknięty i czekamy na wyniki badań balistycznych. Powinniśmy je dostać dziś po południu. Dziewczyna jest pod obserwacją, a jej matka mieszka u przyjaciółki. Wiesz, co się stało z jej mężem, Patrickiem Doyle'em?

– Tak – odparła Winsome. – To straszne.

– Wczoraj odwiedziła mnie dziewczyna z jednostki wsparcia. Chciała się dowiedzieć, czy jestem po jej stronie.

– A jesteś?

– Chciałabym powiedzieć, że stoję za sprawiedliwością i prawem, ale przy Chambersie węższącym dookoła te słowa nie chcą przejść mi przez gardło.

– Nie zamierzasz chyba kłamać. Nawet ich nie znasz.

Annie położyła dłoń na przegubie Winsome.

– Nie zamierzam kłamać w niczyjej obronie. Bóg jeden wie, że nie było mnie w domu i nie mam pojęcia, co tam się działo. Jeśli Chambers zacznie mnie przesłuchiwać, uczciwie odpowiem na pytania, a jak nie będę potrafiła, to wyraźnie to powiem.

– Nie można prosić o większą uczciwość.

– A kto jest do końca uczciwy?

– Jesteś cyniczna.

– Cóż... Nie zapominaj, że pracowałam z Chambersem.

Winsome sięgnęła po hamburgera i zaczęła podjadać frytki.

– Od czego zaczynamy? – spytała, spoglądając na Annie znad talerza.

– Znasz córkę detektywa Banksa?

– Tracy? Tak ma na imię, prawda?

– Tak, choć ostatnimi czasy woli, żeby mówić do niej Francesca.

– Nie ma się czym przejmować. Dzieciaki przechodzą przez okres, kiedy nie potrafią zaakceptować imienia nadanego im przez rodziców – powiedziała Winsome. – Wiem z własnego doświadczenia. W szkole kazałam na siebie mówić Joan.

– Tracy nie jest już dzieckiem. Ma dwadzieścia cztery lata. – Annie rzuciła zdziwione spojrzenie w kierunku Winsome. – Naprawdę tak robiłaś? Dlaczego?

– Wolałam coś zwyczajniej brzmiącego. Winsome wydawało mi się dziwne. Nie chciałaś się nazywać inaczej?

– Nie. Zawsze byłam Annie. W każdym razie znasz Tracy.

– „Znasz” to za dużo powiedziane. Spotkałam ją raz czy dwa razy na posterunku. Miła dziewczyna. Ma kłopoty?

– Możliwe. Zmieniła nie tylko imię, ale i swój image.

– Co z tego? Ludzie tak robią. Sama ścięłaś i rozjaśniłaś włosy. Kiedyś ubierałaś się jak hipis i...

– Wiem, co masz na myśli. – Annie bezwiednie dotknęła dłonią fryzury. – Masz rację, ale nie chodzi tylko o zmianę wyglądu, to nic złego. Dziewczyna najprawdopodobniej znikła bez śladu.

– A więc nie na pewno?

– Wchodzimy w sferę przypuszczeń lub fantazji, jak powiedziałyby madame Gervaise. Dlatego chciałam porozmawiać z tobą prywatnie, a nie z nią w komisariacie.

– Uważasz, że jestem łatwowierna?

– Nie, wręcz przeciwnie, cechuje cię rozsądek. Chcę, abyś mnie wysłuchała i powiedziała, kiedy uznasz, że gadam bzdury. – Annie odsunęła pusty talerz i upiła łyk piwa. W kuflu było już prawie pusto i miała ochotę na kolejne. Biorąc pod uwagę to, jak mogło wyglądać popołudnie, postanowiła, że zamówi kawę i gęsty budyń.

– Tracy mieszkała w Headingley z dwiema innymi dziewczynami: Erin Doyle oraz Rose Preston. Policja przeszukała ich dom tego samego popołudnia, kiedy Erin została aresztowana. Kiedy Tracy wróciła do domu i dowiedziała się od Rose o wizycie funkcjonariuszy, spanikowała. Bardzo przejmowała się losem jakiegoś Jaffa, chłopaka Erin. Niewiele o nim wiemy, bo Erin z nami nie rozmawia. W każdym razie Tracy wyleciała z domu jak z procy i od tamtej pory ani Rose, ani nikt inny jej nie widział.

– Skąd o tym wiesz?

– Wpadłam do niej wczoraj wieczorem i zamieniłam kilka słów z Rose. Znalazłam też adres Jaffa, całkiem fajne miejsce niedaleko kanału, ale nie było go w domu. Jeden z sąsiadów mówił, że policja już wcześniej węszyła. Nie chciał ze mną rozmawiać, nie otworzył drzwi, tylko uchylił na długość łańcucha. Powiedział, że nie musi ze mną rozmawiać, więc wróciłam do domu.

– Niektórzy ludzie już tacy są.

– Dziś rano zadzwoniłam do nadinspektora Kena Blackstone'a z Leeds i wiesz co? Sprawdził dziennik i powiedział, że nikogo wczoraj nie wysyłali na Granary Wharf.

Winsome zmarszczyła brwi.

– Co to może oznaczać?

– Sama nie wiem. Tutaj wchodzimy całkowicie w sferę domysłów. Rose miała wrażenie, że pomiędzy Tracy i Jaffem coś się dzieje. Wyraźnie się nim przejmowała. Pytanie, czy wiedziała cokolwiek na temat broni. Tutaj opieramy się już na domysłach i przypuszczeniach. Myślę jednak, że skoro Tracy i Jaff znikli w jednym czasie, oznacza to, że razem uciekli, pewnie gdzieś na południe. Jeśli pistolet należał do Jaffa, ten pewnie się wystraszył, że Erin go wyda policji, dlatego się ulotnił.

– Czyli ucieka, to logiczne. Sądzisz, że używał tej broni?

– Jeśli wierzyć wstępnyim badaniom balistycznym, nie ostatnio. Najprawdopodobniej był jej właścicielem, trudno powiedzieć, po co jej potrzebował.

– Jaką rolę odgrywa w tym Tracy?

Annie nabrała pudding na łyżeczkę, zjadła trochę i popiła kawą.

– Nie wiem. Widzę dwa rozwiązania, jest zamieszana w coś podejrzanego razem z chłopakiem albo nie zrobiła nic złego, ale dała z nim drapaką.

– Równie dobrze może być gdzieś indziej. Sama.

– Owszem – przytaknęła Annie. – Ale to mało prawdopodobne, nie sądzisz? Ich zniknięcie za bardzo zbiegło się w czasie.

– To wszystko daje wiele do myślenia – podsumowała Winsome. – Masz sporo racji, ale nie wierzę, żeby Tracy wdała się w jakąś podejrzaną aferę. Jest córką policjanta.

– Zawsze sprawiała wrażenie porządnej dziewczyny, przyznaję, ale wiesz, Winsome, ludzie się zmieniają. Czasami wpadają w złe towarzystwo, innym razem dzieje się coś, przez co postrzegają dotychczasowe życie z innej perspektywy. Nie tylko nastolatki się buntują, czasami też dojrzały ludzie. Dwadzieścia cztery lata, nadal jest młoda. Jeśli zakochała się w tym chłopaku... Jezu.

– Co?

– Nic. Przypomniało mi się, jak ja podkochiwałam się w łobuzach.

– Łobuzach?

– Tak. Nigdy nie spotkałaś niegrzecznego chłopca, Winsome?

– Raczej nie. Nie mam wiele doświadczenia w tych sprawach.

– Mam na myśli chłopaka, który nie dotrzymuje słowa, spóźnia się, jest humorzasty, źle cię traktuje i nigdy nie ma czasu. Takiego, który zawsze ma coś ważniejszego od ciebie i chce być gdzieś indziej. Pomimo to, kiedy na niego czekasz, nie możesz się skupić na niczym i zawsze masz nadzieję, że to on puka do drzwi. A kiedy jesteś z nim, serce bije ci szybciej, brakuje tchu i choć byłaś zła na niego, wybaczasz wszystko, bo poświęca ci trochę uwagi. A potem cały kołowrót zaczyna się od nowa.

– Coś strasznego – powiedziała Winsome.

– Żebyś wiedziała – przytaknęła Annie. – Czasami potrafi się nie odzywać przez kilka dni, a ty tęsknisz. Idzie do łóżka z twoją najlepszą przyjaciółką, a ty mu wybaczasz, byleby do ciebie wrócił.

– Podkochiwałaś się w takich?

– Oczywiście, kiedy miałam szesnaście lat. Nazywał się Paul Burroughs, ale szybko mi przeszło. – Annie wolała przemilczeć innego łobuza w życiu, który później okazał się prawdziwym psychopata. Jeśli chodzi o wybieranie sobie mężczyzn, nie mogła się pochwalić wieloma trafnymi decyzjami. Winsome wiedziała o szaleńcu, ale taktownie nie poruszyła tematu. Znacznie łatwiej było rozmawiać o Paulu Burroughsie.

– Zdradzał cię?

– Tak. Oni zawsze są niewierni, to podstawowa zasada.

– Co jeszcze złego zrobił?

Annie uśmiechnęła się do wspomnień.

– Paul. W sumie nic strasznego. Przynajmniej na początku. Był typem narwańca, lubił się popisywać i robić szalone rzeczy.

– Na przykład?

– Którejś nocy zakradliśmy się na teren przystani i podprowadziliśmy motorówkę, żeby popływać. – Annie nie mogła powstrzymać śmiechu, widząc, jak na twarzy Winsome zaczyna malować się wyraz szczerego przerażenia. – Gdyby nie zatrzymała nas policja portowa, dopłynęlibyśmy do Francji albo, co bardziej prawdopodobne, rozbilibyśmy się na skałach i utonęlibyśmy. Paul potrafił uruchomić silnik, miał do tego smykałkę, ale nie potrafił sterować.

– Co zrobiła policja?

– Nie za wiele, inaczej bym tu z tobą nie siedziała i nie rozmawiała. – Annie wzruszyła ramionami. – Dała nam po łapach. Były też inne rzeczy.

– Jakie?

– Paul miał problemy w domu. Jego ojciec odszedł do innej kobiety, a matka nie dawała sobie rady. Piła i łykała tonami proszki uspokajające. Paul był zły. Chciał, żeby ktoś go wziął w karby i sprawił, że ból minie.

– Zrobiłaś to?

– Nie. To nie w moim stylu. Poza tym takim ludziom jak on nie o to chodzi. Nie ukoisz jego bólu. Paul zaczął wyzywać największego z policjantów i wdał się w bójkę. Kiedy wróciliśmy na ląd, trafił do aresztu. To był dopiero początek. Przestałam się z nim widywać, ale słyszałam, że miał problemy z prawem: kradł samochody, szalał na drodze, brał udział w bójkach, włamaniach i tak dalej.

– Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

– Pewnie siedzi w więzieniu.

– Czyli zaczynał jako łobuz?

– Tak. Nie zawsze kończą jako kryminaliści, ale to pewien sposób zachowania.

Potencjał. Nigdy kogoś takiego nie spotkałaś?

– Słonko, tam, gdzie dorastałam, łobuzy były bandziorami. Nie kradli motorówek, a chodzili uzbrojeni w maczety i kałasznikowy.

Annie roześmiała się.

– Kto wie? Wszystko układa się w niepokojącą całość. Zmiana w wyglądzie Tracy: nowa fryzura, kolczyki, przybrane imię. Bunt przybiera wiele form. Chciałabym znaleźć Tracy i zorientować się, co jest grane, zanim cholerna policja i służby państwowe dobiorą się jej do tyłka. Albo wpakowała się tarapaty, albo gra nam na nosie. Może mieć kłopoty i jeszcze o tym nie wiedzieć.

– A co z Alanem?

Annie pokręciła głową.

– Wraca dopiero w poniedziałek. Mam do niego telefon, ale powiedział, żeby dzwonić tylko w sprawach życia i śmierci. Odbierze, chyba że jest w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi odległym zakątku pustyni. Co przypomina mi, że powinnam wpaść do jego domu po pracy. Dawno mnie tam nie było i kwiaty pewnie usychają.

– Czyli nie zatelefonujesz do niego?

– Nie wiem, czy sprawa jest aż tak poważna. Mam wrażenie, że będzie lepiej, jeśli znajdę Tracy, zanim wróci. Lepiej dla wszystkich.

– Jak mam ci pomóc?

– Miej oczy szeroko otwarte i działaj po cichu. Nie jesteś zamieszana w aferę związaną z pistoletem, więc jesteś w lepszej sytuacji.

– Rozumiem, siedzieć cicho, słuchać i patrzeć?

– Właśnie. Kiedy śledztwo zacznie się na dobre, będę na widelcu i nie pozwolą mi iść do toalety bez pisemnej zgody. Najpierw musimy dowiedzieć się czegoś o tym Jaffie. Porozmawiaj z Rose Preston w Headingley. Może nie wie zbyt dużo, ale na pewno więcej, niż mówi.

– Rozumiem, że wiesz, gdzie mieszka?

Annie podała adres.

– Jeśli chodzi o tego Jaffa, obawiam się, że nie wiem o nim zbyt wiele. Jedynie, gdzie ma mieszkanie. Nie sądzę, aby był sens tam wracać. Jaff to zdrobnienie od Jaffar. Na tabliczce na drzwiach było nazwisko McCready. Musimy się o nim więcej dowiedzieć.

– Mogę użyć uroku osobistego.

Annie uśmiechnęła się.

– A, jeszcze jedna sprawa – powiedziała Annie, mrugając wesoło. – Żadnych kopniaków z półobrotu.

– To nie był półobrót!

– Nic nie rozumiem – powiedziała Tracy, trzymając broń za lufę. – Myślałam, że Erin zabrała pistolet.

– Odłóż go – rozkazał Jaff i zabrał jej pistolet. Wsadził go do torby. – To inny pistolet. Wziąłem go od Vica. – Jaff usiadł przy stole i położył kartkę papieru na blacie. – Jajka się rozgotują, jeśli ich nie zdejmiesz z gazu. Nie znoszę takich.

Jak w transie Tracy podała bekon i jajka oraz naląła dwie filiżanki kawy.

– Po co ci drugi pistolet? – spytała w końcu.

– Dla ochrony. Czuję się bezpieczniej.

Tracy zmierzyła go spojrzeniem spod zmrużonych powiek. Na początku była przerażona, widząc go w drzwiach i wiedząc, jak nieprzewidywalny się zrobił. Ale teraz przypominał jej małego chłopca w ręczniku, który wyszedł spod prysznic na śniadanie. Najwidoczniej nic na świecie nie mogło powstrzymać Jaffa przed zjedzeniem jajek na bekonie. Ona straciła apetyt. Była zbyt zdenerwowana, by jeść, dlatego skubała tost i popijała go czarną kawą. Spodziewała się wybuchu wściekłości Jaffa, kiedy przyłapał ją na grzebaniu w torbie, ale nic takiego się nie zdarzyło. Żadnych krzyków, wymachiwania rękoma, bicia. Dziwne.

– Strzelałeś kiedyś?

– Oczywiście. Nie z tego pistoletu, ale podobnego. Musisz wyczuć broń.

– Mierzyłeś do człowieka?

– Nie bądź głupia. Strzelałem na polu do puszek, w ramach treningu.

– Nie lubię broni.

– Nikt normalny jej nie lubi, ale czasem jest przydatna.

– Do czego?

– Mówiłem ci, do ochrony.

– Przed kim?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Przed osobą, do której należą te rzeczy? – Tracy wskazała na torbę. – To heroina, kokaina czy coś innego? Ukradłeś ją?

– Kokaina – wyjaśnił Jaff. Zamarł z widelcem w połowie drogi do ust. Nadział na niego jajko i obwinął je bekonem. – Chcesz spróbować?

Tracy nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Może nie teraz, Jaff. Dziękuję, ale nie jestem w nastroju, rozmawiamy o poważnych

sprawach. – Tracy brała kokainę kilka razy w życiu. Najpierw na studiach, żeby nie zasnąć podczas nauki do egzaminów, potem na imprezach w klubach. Miewała fajne odloty i lubiła czasami spróbować, ale kiedy narkotyk przestawał działać, czuła się fatalnie, jakby miała wielogodzinnego kaca. W tej chwili nie miała ochoty być na haju ani czuć się jak wypluta.

– Powiedziałem ci już, że nie wiesz, w co się wpakowałaś.

– Uważasz mnie za głupią, Jaff? Tak o mnie myślisz? Jedyne powód, dla którego nie wiem, co się dzieje, jest taki, że nic mi nie mówisz. Prosiłam cię, ale mnie zbywasz. Jeśli mamy być nadal razem, muszę wiedzieć, co jest grane. Może dam radę ci pomóc. Jak głęboko w tym siedzisz?

– W czym?

– Wiesz, o czym mówię. Prochy, kasa, broń. Kim ty jesteś? Jakimś domorosłym gangsterem? Handlarzem narkotyków? Zachowujesz się, jakbyś grał w filmie Guya Ritchiego. O co chodzi?

– O nic.

– Jaff, nie jestem idiotką. Może wiem niewiele, ale potrafię łączyć fakty. W domu mojego ojca ukrywam chłopaka, którego ledwie znam, a w jego torbie jest parę kilo kokainy, kilka tysięcy funtów w gotówce i naładowana broń. Rozumiem, że jest nabita? Czy to nie brzmi jak scenariusz filmu?

Jaff się uśmiechnął. Był to jeden z tych szelmowskich uśmiechów, dzięki którym wszystko do tej pory uchodziło mu na sucho, ale tym razem nie zadziałał.

– Rozumiem, że jestem ci winien wyjaśnienia?

– Tak. To byłby dobry początek.

– Nie prosiłem cię, żebyś ze mną jechała, prawda? To nie był mój...

– Daruj sobie takie gadki, Jaff. Wiesz dobrze, że beze mnie nie siedziałbyś na wsi i nie jadłbyś cholernych jajek na bekonie.

– Gadasz jak sfrustrowana kura domowa, wiesz? – burknął Jaff. – Dlaczego się nie przymkniesz, nie wyluzujesz i nie pozwolisz sprawom toczyć się własnym torem?

Tracy prychnęła i rzuciła mu spojrzenie pełne obrzydzenia. Zaczerpnęła głęboko powietrza. W całej tej sytuacji była jedna dobra rzecz, Jaff tak się skupił na narkotykach, kasie i broni, że zapomniał o telefonie. Nie zauważył, że znikł z torby.

– No dobrze – powiedziała. – Co sugerujesz? Jak mam wyluzować? Jakim torem toczą się sprawy? Co mam zrobić?

– Nic. Właśnie to jest piękne, maleńka.

– Chciałabym wiedzieć, jakie są nasze plany.

– Nasze?

– Jeszcze niedawno mówiłeś, że musisz załatwić kilka telefonów i pojedziemy do Londynu, gdzie twój koleś od szemranych interesów załatwi nam fałszywe paszporty i pojedziemy do Europy, prawda? A może coś źle zrozumiałam?

– Nie, taki jest plan.

– Rozumiem, że nie zamierzasz targać ze sobą tej torby?

– Daj mi spokój! Pozbędę się jej w Londynie. Oczywiście wszystkiego poza pieniędzmi.

– Włączając w to broń?

– Tak, tak. Dlatego to wszystko tyle trwa, sądzisz, że jestem tak głupi, aby spróbować przewieźć przez granicę cztery kilogramy kokainy i gnata?

– Sama nie wiem, Jaff. Nie mam pojęcia, do czego jesteś zdolny. Teraz wydaje mi się, że cię w ogóle nie znam.

– Po prostu mi zaufaj – powiedział, wyciągając dłoń w jej kierunku. Tracy nie podała mu ręki.

– Ciągłe to powtarzasz, ale jak mam ci ufać, skoro nic mi nie mówisz?

Jaff machnął widelcem.

– To dla twojego dobra.

– Doprawdy? Jakoś tego nie widzę.

– Nie kłóć się ze mną, mała – odparła Jaff, kończąc śniadanie. Stuknął widelcem w kartkę. – Miałem z tobą o czymś porozmawiać, zanim wywołałaś awanturę.

Tracy poczuła, że złość ustępuje miejsca strachowi. Nerwowo dotknęła naszyjnika i spytała:

– O czym?

– Mam tutaj coś, co znalazłem w szufladzie biurka...

– Dlaczego grzebałeś w rzeczach mojego ojca? Nie możesz...

Jaff uderzył trzonkiem noża tak mocno, że talerz pękł na kawałki, które rozprysły się po kuchni.

– Zamknij się, do kurwy nędzy, i przestań pierdolić, co jest w porządku, a co nie!

Krzyczał tak głośno, a jego oczy płonęły taką złością, że Tracy niemal się rozplakała. Usta jej drżały, tylko cudem powstrzymała łzy. Nie mogła pozwolić, aby widział ją płaczącą. Nawet jeśli wyczuwał jej strach. Nie da mu tej satysfakcji.

– Dotarło? Rozumiesz, co mówię? – syknął Jaff.

Skinęła tylko głową, nerwowo obgryzając palce.

– Jak mówiłem, znalazłem coś bardzo ciekawego w jednej z szuflad – ciągnął Jaff tak spokojnym tonem, jakby przed chwilą nie podniósł nawet głosu. – Wyjątkowo ciekawego.

– Co? – spytała cicho Tracy.

– Nazywasz się Banks. Francesca Banks, tak?

– Tak.

– Twoim ojcem jest Alan Banks, inspektor policji North Yorkshire.

– Tak, ale...

Jaff upuścił kartkę na blat.

– Twój ojciec jest pierdolonym gliniarzem i nic mi nie powiedziałaś?

– Nie myślałam, że to ważne. Nie ma go tutaj, co za różnica, gdzie pracuje?

– Czy ty choć trochę myślisz? – spytał Jaff, stukając palcem w bok swojej głowy. –

Okłamałaś mnie! Na pewno umiesz myśleć? Bo dla mnie wygląda, że jesteś kretynką!

– Nie obrażaj mnie. Tak, mój ojciec jest policjantem. Co z tego?

– Nie jest jakimś gliną, ale głównym inspektorem! – Roześmiał się nieprzyjemnie. –

Pieprzyłem się z córką policyjnej szychy. Niebawem.

– Nie bądź wulgarny.

– Zdecyduj się, kochanie: jesteś aniołkiem czy kurwą? Na pierwszy rzut oka pasujesz do drugiego określenia, ale ciągle gadasz o moralności, obowiązkach i twierdzisz, że jestem wulgarny. Kim ty jesteś?

– Kiedy zdążyłeś cokolwiek zauważyć? Przecież obchodzi cię tylko, żeby zabawić się, nazreć i pójść spać. Mogłabym być dmuchaną lalą, nie zauważyłbyś różnicy.

– Masz w sobie tyle życia co ona. Czy to nie o to ci chodziło, o pieprzenie się ze mną? Jedyne, co ci w głowie, to ćpanie i seks.

– Jaff, nie poznaję cię. Jesteś też filozofem!

– Zamknij mordę, kurwo jedna! – syknął, wskazując na nią palcem. – Nie znoszę sarkazmu.

Tracy posłała mu lodowate spojrzenie.

– Co cię obchodzi, że mój tata jest policjantem?

– Problem w tym, że jeśli w sprawę jest zaangażowany policjant czy jego rodzina, gliny nie odpuszczają. Są jak mafia, trzymają się razem i wszystko staje się trudniejsze. Nic ich nie zatrzyma, dla nich sprawa staje się osobista. Policja z całego cholernego kraju będzie nam siedziała na ogonie. Łapiesz? To oznacza poważne kłopoty. Nie spoczną, dopóki cię nie odbiją.

– Odbiją? Skąd? Od kogo? Mogę zadawać się, z kim chcę, czyż nie?

– Zmądrzej. Sytuacja się zmieniła. Jak mówiłem, siedzimy w tym obydwójce i dopóki nie poukładam spraw, nie rozdzielamy się ani na krok. Sorry, ale kto tej formy używa w dialogu?

Tracy zamarła. Widziała w oczach Jaffa, że teraz stała się zakładnikiem, więźniem. Lub brzemieniem.

– Powiedziałaś ci, że wyjechał i nie wróci do poniedziałku. Nie wie, co się dzieje, więc

nie będzie nas szukał.

- Dowie się, gdy tylko wróci, jeśli jego kumple nie dali mu cynku. Być może już wraca.
- Nie, nie przejmuję się mną aż tak bardzo.
- Zamknij się i daj mi pomyśleć.

– Posłuchaj – powiedziała Tracy tak spokojnie, jak umiała. – A może wrócę do Leeds i będę udawała, że nic się nie stało. Mogę pojechać autobusem z Eastvale, a ty pojedziesz samochodem Vica do Londynu. Dostaniesz paszport, załatwisz wszystko i znikniesz. Wszystko się skończy, zanim tata wróci z wakacji. O niczym się nie dowie. – Tracy nie wierzyła w to, co mówiła.

– Teraz chyba masz mnie za idiotę.

– Dlaczego?

– Sądzisz, że pozwolę ci odejść, żebyś powiedziała gliniarzom o wszystkim, co widziałas?

– Nic im nie powiem. Ja nic nie wiem, nic mi nie powiedziałaś.

– Wiesz o koce, kasie, broni. To wystarczy.

– Będę ci tylko przeszkadzała. Nie zabierzesz mnie ze sobą, prawda? Tylko będę przeszkadzać. Jaff, proszę, pozwól mi odejść.

Tracy zobaczyła wyraz jego twarzy i zastygła.

– Cóż... – powiedział Jaff. – Widzę dwa rozwiązania. Albo nie będę cię spuszczał z oka, albo...

Serce Tracy zamarło, kiedy zdała sobie sprawę, jakie jest drugie rozwiązanie.

[2] John Keats *Oda do jesieni*, przeł. Tomasz Krzykała (przyp. tłum.).

– To Naomi Worthing – powiedziała nadinspektor Gervaise. Funkcjonariusze brygady poważnych przestępstw późnym popołudniem zebrali się w sali konferencyjnej. – Przyjechała z Birminghamu, aby przedstawić nam informacje na temat broni, którą wysłaliśmy do ekspertyzy. Naomi, dziękujemy, że tak szybko zajęłaś się tą sprawą.

– Nie ma sprawy. – Naomi posłała Gervaise promienny uśmiech. – Mieliliśmy trochę wolnego.

Worthing była korpulentną, odrobinę siwiejącą kobietą w średnim wieku. Wydawała się niezwykle sympatyczna. Annie zawsze sądziła, że eksperci od broni tacy nie są. Naomi bardziej przypominała pannę Marple niż kogoś z ekipy *CSI*. W pomieszczeniu było niewiele osób: Gervaise, Annie, Winsome, Harry Potter oraz Geraldine Masterson, niedawno przydzielona policjantka, która bardzo chciała się wykazać.

– Nie będę was zanudzać szczegółami technicznymi. Mamy do czynienia z pistoletem Smith & Wesson kalibru dziewięć milimetrów. To broń półautomatyczna, ten egzemplarz wyprodukowano w połowie lat osiemdziesiątych, lufa ma dwanaście centymetrów długości, w magazynku mieści się szesnaście nabojów. Załadowany waży niecały kilogram. Jakies pytania?

– Smith & Wesson to firma amerykańska, prawda?

– Tak. Ten egzemplarz wyprodukowano w Stanach. Oznacza to, że było go trudniej zdobyć niż broń pochodzącą z dawnej Czechosłowacji czy Rosji. To nie jest broń, którą można pokątnie kupić na bazarze. No i rzecz jasna smith & wesson nie jest tani.

– Ale można ją dostać na naszym terenie?

– Różnie to bywa. Nie jest rzadkością, ale na ulicach używa się broni z dawnego bloku wschodniego. Proszę powiedzieć, o czym pani myśli, może zdołam pomóc, detektyw...

– Cabbot. Annie Cabbot.

– Miło mi. Nie przykładalabym takiej wagi do pochodzenia producenta. Strzelec mógł być innej narodowości. Co więcej, przypuszczam, że pistolet krążył po naszym kraju od lat dziewięćdziesiątych, jeśli nie wcześniej. To prosta i praktyczna konstrukcja, popularna w pewnych kręgach. Łatwo o amunicję.

– Powiedziałaś: „strzelec”, Naomi? – wtrąciła Gervaise.

Worthing spojrzała na nią.

– Tak. Chciałam przejść do tej kwestii. Z jej powodu przyjechałam, zamiast tylko wysłać raport. Nie żebym miała coś przeciwko odwiedzinom w Eastvale.

– Kontynuuj.

Naomi naląła sobie kawy, dodała mleka i posłodziła. Potem otworzyła teczkę z aktami

i zaczęła mówić:

– W magazynku brakowało dwóch naboju. Zarówno pocisków, jak i łusek. Tak się często dzieje w przypadku broni automatycznej, o czym z pewnością wiecie. Łuska jest wyrzucana z komory po wystrzale. Przestępcy, którzy znajdują się na swojej robocie, zbierają łuski, ale często ci nieostrożni pozostawiają je na ziemi.

– Czy wiemy, kiedy zostały wystrzelone? – spytała Annie.

Naomi pokręciła przecząco głową.

– Sama analiza pistoletu nie pozwoli odpowiedzieć na to pytanie. Możemy stwierdzić, czy wystrzelono pociski z tego magazynka.

– A za to z innego pistoletu?

– To możliwe, ale mało prawdopodobne. Niestety, nie mamy zużytych łusek, a tym samym materiału porównawczego do analizy iglicy. Chyba że ktoś próbował sprytnie zmylić policję, ale jak mówiłam, wszystko wskazuje na to, że pociski wystrzelono z tego pistoletu.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Naturalnie odwołaliśmy się do National Firearms Forensic Intelligence Database. Na przyszłość będę mówiła o niej jako o Bazie, bo nazwa jest za długa. Okazało się, że podobna broń została wykorzystana do popełnienia niewyjaśnionego morderstwa w listopadzie dwa tysiące czwartego roku. W aktach wspomniany był tylko przypuszczalny model broni oraz rodzaj użytej amunicji, ale zainteresowaliśmy się tym tropem. Następnym krokiem było oddanie strzałów testowych w warunkach laboratoryjnych, dzięki którym uzyskaliśmy próbkę porównawczą. Wykorzystaliśmy ją do poszukiwań w IBIS, czyli Integrated Ballistic Identification System. Uwielbiamy te skróty. Dzięki tym badaniom udało nam się stwierdzić, że z tej broni strzelano do ofiary morderstwa. Następnym krokiem będzie porównanie kul z ciała ofiary z tymi, które wystrzeliliśmy. Jeżeli byłyby podobne, mielibyśmy pewność, że pistoletu użyto do zabójstwa. To badania, które często pokazują w telewizji, ślicznie wyglądają w telewizji!

– Gdzie znajdowały się kule z ciała ofiary?

– W West Yorkshire. Nie znam dokładnie miejsca, ale powinno być w archiwum.

– A gdzie doszło do zabójstwa?

– Woodhouse Moor, w Leeds.

– Nie pamiętam, gdzie znajduje się archiwum – wtrąciła Gervaise. – Wydaje mi się, że w Westwood na Otley Road. Może powinnaś najpierw porozmawiać z kimś z wydziału zabójstw lub ważnych dochodzeń? Jeśli chodzi o jednostki terytorialne, jesteśmy najwięksi, ale w West Yorkshire żyje dużo ludzi i tam są najlepsi specjaliści. My mamy wydział do zwalczania kłusownictwa, a oni zabójstw. Sprawa morderstwa przypadłaby

raczej im w udziale.

– Dziękuję za radę – odparła Naomi. – Pracowałam z nimi kiedyś. Skontaktuję się.

– Co jeszcze możesz powiedzieć bez wykonania analizy porównawczej?

Naomi upiła trochę kawy.

– Niewiele, obawiam się. Zespół dochodzeniowy zna więcej szczegółów. Wiem tylko, że piątego listopada dwa tysiące czwartego roku Marlon Kincaid, podejrzewany o rozprowadzanie narkotyków, został zastrzelony niedaleko kempingu na Woodhouse Moor.

– Byli jacyś świadkowie?

– Według informacji, które mam, żadnych. Natomiast te w moich bazach danych są dość skąpe. Policjanci prowadzący tę sprawę na pewno znają więcej szczegółów.

– Piąty listopada to rocznica spisku prochowego – powiedziała Annie. – Fajerwerki zagłuszyłyby wystrzały.

– Racja – przytaknęła Naomi. – Aha, jeszcze jedna ważna rzecz. Jedyne odciski palców, jakie znaleźliśmy na rękojeści i lufie, należały do Patricka Doyle'a. Na magazynku były jednak inne. Mówię o tym, bo ludzie myślą, że rękawiczki są potrzebne przy strzelaniu, i zapominają o nich przy ładowaniu. Jeśli zostaną na magazynku, mogą się dobrze zachować. Znaleźliśmy kilka fragmentów odcisków, pasują także do tych na pociskach.

– Coś jeszcze?

– Próbowaliśmy znaleźć dane w bazie, ale bez rezultatów.

– Żadnego nazwiska ani adresu? – spytała Gervaise. – Bez ułatwień?

Naomi się uśmiechnęła.

– Niestety, będziecie musieli trochę popracować nad znalezieniem podejrzanego. Odciski palców zostawiam do porównania. Pomimo to obawiam się, że nie świadczą o tożsamości mordercy, tylko człowieka, który ładował i wymieniał magazynek.

Gervaise spojrzała na Annie.

– Myślę, że trzeba zacząć od Erin Doyle. Skontaktuj się z Vikiem Mansonem i załatw to, dobrze, Annie?

– Oczywiście.

Gervaise spojrzała na zegarek.

– Robi się późno. Chciałabym, abyście pojechały z rana z Winsome do Leeds. Dowiedźcie się wszystkiego o łuskach, być może ruszymy sprawę z miejsca.

Było już po siódmej, kiedy Annie wyszła z pracy i wsiadła do samochodu. Niewielka, purpurowa astra wyzionęła ducha zeszłego lata i na jej miejsce kupiła renault megane. Samochód sprawował się świetnie, a cena była przystępna.

Po spotkaniu skontaktowała się z Erin Doyle, która nadal przebywała w hotelu opodal zamku. Pod opieką Patricii Yu przyjechała do komisariatu, gdzie zdjęto jej odciski palców. Cały dzień biegania i roboty papierkowej zmęczył Annie na tyle, że marzyła jedynie o kieliszku wina i gorącej kąpieli. Była tak zmęczona, że pojechała w stronę domu i po kilku kilometrach przypomniała sobie, że miała odwiedzić domek Banksa, podlać kwiaty i odebrać pocztę.

Przez chwilę zastanawiała się, co robić. Rośliny wytrzymają jeszcze dzień bez wody, a jeśli chodzi o pocztę, to pewnie nie było nic ciekawego, tylko rachunki i reklamy. Z drugiej strony i tak miała wyrzuty sumienia, bo odkładała wizytę od jakiegoś czasu. Banks miał niebawem wrócić i będzie mu przykro, że nie dotrzymała obietnicy. Annie dojechała do najbliższego ronda i zawróciła.

Przejeżdżając obok komisariatu, pomyślała o Chambersie. Cały dzień snuł się po posterunku z Głupim i Głupszym, tocząc wokół złym spojrzeniem. Następnego ranka miał ją przesłuchać i Annie wcale nie cieszyła się na to spotkanie. Oczyma wyobraźni widziała, jak to się będzie odbywało. Pytania będzie zadawać Głupi lub Głupszy, albo obydwaj, ponieważ będą niby neutralni. Chambers będzie siedział z boku i łytał tylko okiem, ciesząc się każdą minutą przedstawienia. Rzecz jasna będzie uważał, że naprawia świat. Muszę włożyć spodnie lub długą spódnicę, pomyślała. Do tego luźny top albo golf, najlepiej ten trochę za duży.

Skręciła na szosę do Helmthorpe i zostawiła za sobą miasto. Zadecydowała, że wróci przez wrzosowiska. Uwielbiała ich ponury krajobraz tonący w miękkim wieczornym świetle i upstrzony jasnymi plamami pasących się owiec, ponad którym roztaczał się bezkres nieba. Wrzosy powinny kwitnąć, a czasami, gdy pogoda była odpowiednia, na niebie można było dostrzec zarys Drogi Mlecznej, gwiazdy i blady sierp księżyca. A po powrocie nagrodą będzie kąpiel i wino.

Zadowolona z przyjemnych perspektyw i samodyscypliny Annie skręciła w lewo i wjechała do Helmthorpe. Minęła szkołę i wspięła się na szczyt wzgórza, drogą prowadzącą do Gratly. Sto metrów za niewielkim kamiennym mostkiem skręciła w prawo. Piaszczysta droga prowadziła do chatki Banksa. Nieliczne łąchy żwiru chrzęściły pod kołami. Droga biegła pod drzewami i kończyła się przed drzwiami domu. Za nim majaczył czarny kontur lasu, a po prawej, za niewielkim murem z szarego kamienia, płynął potok Gratly Beck. Przecinał centrum Helmthorpe i wił się wzdłuż całej doliny. Szum wody i niewielkie wodospady sprawiały, że było to urokliwe miejsce. Nic dziwnego, że Banks się w nim zakochał.

Annie zatrzymała samochód, wyłączyła światła i wysiadła. Słyszała śpiew ptaków, szum wody i przebijającą się przez nie muzykę. Współczesny rock: rozstrojona gitara,

warcząca perkusja i dudniący bas dochodziły z domku. Dziwne. Tuż obok garażu zobaczyła zaparkowanego forda focusa, który może nie wołał o mechanika, ale na pewno o mycie. W tylnej szybie ziała dziura, rdza wgryzła się w nadkola. Banks chciał sprzedać porsche, mówił o tym całe lato, ale nie znalazł kupca, który zaoferowałby odpowiednią cenę. Forda nie było, kiedy ostatni raz podlewała kwiaty.

Banks narzekał, że ludzie zakładali, iż ktoś sprzedający porche jest albo naiwniakiem, albo bardzo potrzebuje pieniędzy. Dlatego oferowali niewiele. Banks nie był ani naiwny, ani nie potrzebował gotówki, chciał po prostu sprzedać auto. Annie podejrzewała, że za bardzo przypominało mu brata. Roy nie żył od jakiegoś czasu, ale jego odejście nadal było trudne do zaakceptowania. Gdyby Banks sprzedał w końcu porsche, nie kupiłby takiego grata jak focus. Wybrałby audi albo volvo. Nie był maniakiem rodem z „Top Gear”, cortiną jeździł do momentu, kiedy prawie się rozpadła, ale z drugiej strony nie wsiadłby do samochodu w takim stanie. Annie zajrzała szybko do garażu i stwierdziła, że porsche nadal w nim stoi.

Do kogo należał focus? Annie zapisała numer, następnie wygrzebała z torebki klucz. Może Brian albo Tracy wpadli, a Banks nie przekazał wiadomości. Albo miejscowe dzieciaki się włamały. Drzwi były otwarte. Annie stanęła na progu i zawołała:

– Halo! Jest tu kto?

Z początku nic się nie działo. Po chwili otworzyły się drzwi do pokoju Banksa i wyszła Tracy. Zamknęła je dokładnie za sobą.

– Tracy – powiedziała Annie. – Nie wiedziałam, że kupiłaś forda focusa.

– Nie kupiłam – odparła. – Pożyczyłam od przyjaciela.

– Jasne.

Tracy rzeczywiście inaczej wyglądała, choć zmiana nie była aż tak drastyczna. Fryzura dziewczyny była bardziej punkowa. Tracy miała delikatniejszy makijaż i używała różowej szminki. Ubrana była w niebieskie dzinsy i koszulkę na ramiączkach z głębokim dekoltem. Miała kolczyk w prawej brwi i drugi w wardze, jak wiele innych dziewczyn. Nic szokującego. Wyglądała dojrzej, niż zapamiętała ją Annie. Było w niej coś wyrafinowanego, ale wyglądała na zdenerwowaną.

– Wszystko w porządku? – spytała Annie.

– Tak, dlaczego miałoby nie być? Po co przyjechałaś? Czy coś się stało tacie?

– Nie, nic z tych rzeczy – odparła Annie, zamykając za sobą drzwi wejściowe. – Miałam podlać kwiaty i odebrać pocztę. Poczęstujesz mnie kubkiem herbaty czy filiżanką kawy?

– Czego?

Annie wskazała w kierunku kuchni.

– No wiesz, takie suszone zioła w torebce, które zalewasz wrzątkiem.

– A tak, jasne.

Annie ruszyła za Tracy do kuchni. Od razu zauważyła, że dziewczyna chwieje się na nogach. Jej głos był zachrypnięty, a oczy rozbiegane. W połączeniu z brakiem koncentracji mogły oznaczać działanie narkotyków albo alkoholu.

– Dobrze trafiłam – powiedziała Annie. – Cieszę się, że cię widzę, zaczynałam się martwić.

– Dlaczego?

– Wiesz, co się stało w domu Erin?

– W słoiku jest jeszcze trochę kawy, ale nie wiem, od jak dawna tam stoi. Wystarczy ci?

– Tak, dziękuję. Z mlekiem i cukrem, poproszę.

Nawet dodatki nie zabiły kwaśnego smaku, ale Annie z uśmiechem na twarzy sączyła gorący płyn, opierając się o framugę kuchennych drzwi.

– Wspaniały wieczór – powiedziała. – Chodźmy do oranżerii. Miałam podlać kwiaty, chyba że ty to zrobiłaś.

– Kwiaty?

– Tak, takie rośliny w doniczkach, o które miałam dbać.

– Rozumiem.

Annie nalala nad zlewem wody do butelki i poszła do oranżerii. Tracy dreptała za nią krok w krok. W pokoju panował kompletny chaos. Brudne kubki i talerze walały się na niskim stole obok butelek z resztkami wina. Jedna z nich leżała wywrócona i czerwona ciecz skapywała na podłogę.

– Impreza? – spytała Annie.

– To? Nie, nie. Mały wypadek. Miałam posprzątać, ale jeszcze się nie ogarnęłam.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie, dam sobie radę. Później. Chcesz usiąść?

– Tak, jeśli nie masz nic przeciwko – odparła Annie, stawiając butelkę z wodą na stoliku. – Wracając do Erin...

– Nie mam z tym nic wspólnego – powiedziała szybko Tracy, obgryzając paznokiec. – Widziałam w wiadomościach...

– Wiedziałaś już wcześniej, prawda?

– Co masz na myśli?

– Rose o wszystkim ci opowiedziała kilka dni temu.

– A tak. Mówiła, że policja weszła po okolicy, ale nie znała szczegółów.

– Ty też nie sprawiasz wrażenia doinformowanej.

– Mówiłam, nie mam z tym nic wspólnego.

– Dlaczego tu przyjechałaś?

– Potrzebowałam ciszy i spokoju. Co w tym złego? Mam prawo, to dom mojego ojca.

Annie uniosła dłoń w pokojowym geście.

– Spokojnie, Tracy, nie miałam na myśli nic złego. Przyjechałaś tutaj prosto z Headingley?

– Oczywiście, a dokąd miałam jechać?

– Podobno bardzo martwiłaś się o chłopaka Erin, Jaffa.

– Jaffa? Skąd o nim... – Tracy nie dokończyła. – Rozumiem, ojciec cię przysłał, żebyś mnie szpiegowała, tak?

– Nie miałam pojęcia, że tu jesteś – odparła Annie. – Przyjechałam odebrać pocztę i podlać kwiatki.

Potoczyła wzrokiem po doniczkach i wiszących koszach.

– Wygląda na to, że przyda im się trochę wody.

– Nie mam do nich ręki – powiedziała Tracy. – Wszystkie więdną, kiedy się zbliżam.

– Rozumiem. – Tracy milczała, wyraźnie niezainteresowana przedłużaniem rozmowy, więc Annie wstała i zaczęła podlewać kwiaty.

– Gdzie on jest, Tracy? – spytała, rzucając słowa przez ramię.

– Kto?

– Jak to kto? Jaff. Jest tutaj?

– A czemu miałby być? Powiedziałam ci, potrzebowałam chwili ciszy i spokoju.

– A może ci się podoba? Pomyślałaś, że pomożesz mu się ukryć, aż burza minie?

– Nie rozumiem. Jaka burza?

– Chodzi o broń, którą miała Erin.

– Nic o tym nie wiem.

– Kilka lat temu zastrzelono z niej człowieka, Tracy. Młodego chłopaka, nazywał się Marlon Kincaid. Przypominasz sobie coś? Szukamy odpowiedzi na kilka pytań.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ojciec Erin nie żyje, wiesz o tym?

– Jaff go nie zabił. To robota twoich kumpli.

– Racja – przytaknęła Annie.

– Lubiłam go – powiedziała cicho Tracy. Przez chwilę Annie wydawało się, że w jej oczach dostrzegła łzy. – Pan Doyle był dla mnie zawsze dobry. Przykro mi, że nie żyje.

– Nie przyjechałam tutaj obarczać kogoś winą – powiedziała Annie. – Ale to nie jest odpowiedź, prawda?

– Nic nie zrobiłam. Powinnaś już iść.

– Wiem, że jesteś niewinna. Może już czas wrócić do domu? Może Erin cię teraz potrzebuje? Myślałaś o niej?

Tracy zagryzła dolną wargę.

– Dość tych żartów – powiedziała Annie. – Wiem, że Jaff się tutaj ukrywa. Jest poszukiwany w sprawie zabójstwa Marlona Kincaida.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Tym lepiej dla ciebie. Mogę się założyć, że Jaff go kojarzy. W tej chwili ważne jest, czy pojedziecie ze mną z własnej woli. A może mam wezwać policję?

– Nie, nie. Nie możesz. Nic nie rozumiesz. Musisz już iść. On ma... nie pozwoli...

– Na co, Tracy? Nie ma wyboru.

– Nie będzie chciał gadać z policją. Wyjedziemy zaraz. Obiecuję, że posprzątam i znikniemy stąd. Tylko błagam, idź sobie już.

– Nie mogę, Tracy. Dobrze wiesz, że nie mogę.

Annie kątem oka zauważyła cień za mętną szybą drzwi prowadzących do oranżerii. Podeszła szybko i otworzyła je.

– Jaff, jesteś tam?! – zawołała. W głębi korytarza zauważyła ciemną postać sięgającą do sportowej torby na stoliku

– Uważaj! – krzyknęła Tracy. – On ma...

Annie nie słuchała.

– Jaff, czas, abyś...

Nie zdążyła dokończyć. Usłyszała głuchy stukot i coś uderzyło ją w ramię, a potem w klatkę piersiową. Nogi ugięły się pod nią, jakby były z gumy, i zdała sobie sprawę, że leci do tyłu. Stolik pękł pod jej ciężarem. W plecy wbiły się drobiny potłuczonego szkła. Popękane doniczki potoczyły się po terakocie. Ktoś krzyczał w oddali. Annie wyciągnęła ręce, próbując złapać się czegoś, czego nie było. Każdy oddech sprawiał trudności, jakby na jej piersi spoczywał ogromny ciężar. Opadła znowu na podłogę, nie mając siły, aby walczyć o kolejny haust powietrza. Wszystko dookoła wirowało, jak woda w odpływie zlewu. Potem zgasły światła.

Kiedy Winsome dotarła do Leeds, okazało się, że dom w Headingley był zamknięty na cztery spusty. Rose Preston znikła, a ktoś z sąsiadów powiedział, że widział, jak szła z walizką w stronę przystanku autobusowego. Kilka telefonów pozwoliło ustalić adres jej rodziców w Oldham. Choć odległość była niewielka, to korek na trasie M62 sprawił, że przed niewielki dom z tarasem zajechała dopiero o wpół do dziewiątej. Jak zauważyła po drodze, niedaleko mieściły się Gallery Oldham, niedawno otwarte centrum sztuki i biblioteka.

Drzwi otworzyła Rose. Widząc legitymację Winsome, przewróciła oczyma i jęknęła:

– Czego znowu?

– Chciałabym zamienić kilka słów.

Rose chwyciła lekką kurteczkę, która wisiała na wieszaku obok drzwi.

– No dobra, i tak nie mam wielkiego wyboru. Powiedziałam wam już wszystko, co wiem. Rodziców nie ma w domu, nie zamierzam rozmawiać w cztery oczy, więc chodźmy do pubu. Jest niedaleko.

Kiedy skręciły za róg, oczom Winsome ukazało się kolejne wzgórze. Po obydwu stronach drogi stały domy z czerwonej cegły. Miały tarasy i spadziste dachy. Jeden z nich przyozdabiał szyld z nazwą pubu. Kiedy weszły do środka, Winsome miała wrażenie, jakby wprosiła się do czyjegoś salonu. Wrażenie było mylne, wewnątrz pub wyglądał jak każda knajpa: klienci, stoliki o żelaznych nogach, stół do bilardu, maszyny do gier i pluszowe fotele. Zdawać by się mogło, że pub zbudowano, wykorzystując technologię TARDIS z *Doctora Who*, ponieważ w środku było chyba więcej miejsca, niż się wydawało. Winsome była potajemną fanką doktora. Nigdy by się do tego nie przyznała w pracy, bo koledzy nie daliby jej spokoju. Marzyła, aby być jego pomocniczką, przemierzać wszechświat i czas, spotkać Szekspira, walczyć z obcymi i szalonymi naukowcami oraz wracać na Ziemię, zanim się ją opuściło. To nie pasowało do jej wizerunku osoby chłodnej i logicznie myślącej.

Kupiła sobie sok pomarańczowy, a dla Rose pintę piwa z cytryną, po czym usiadły na kanapie.

– Czemu byłaś tak zdenerwowana i bałaś się rozmawiać ze mną sam na sam? – spytała Winsome. – Wyglądam aż tak przerażająco?

– Nie chodzi o ciebie. Jestem ostrożna, to wszystko. To nie twoja wina.

– Miło mi. Myślałam, że chodzi o mój wzrost.

– Nie, raczej kolor skóry – powiedziała Rose. – Dobra, żartowałam, wiesz o tym, prawda? Wróciłam tutaj przez policję. O ile to były gliny.

– O czym mówisz? – spytała Winsome, marszcząc brwi. – Ktoś cię niepokoił? Z jakiego powodu?

– Nie z początku – powiedziała Rose, odgarniając kosmyk włosów za ucho. – Wiesz, to było przeżycie, kiedy policja weszła do domu i zaczęła go przeszukiwać, ale nie było tak źle.

– Potem rozmawiała z tobą detektyw Cabbot, prawda?

– Tak, była miła. Rozmawiałyśmy tylko o Erin i Francesce.

– Więc w czym problem?

Rose odwróciła wzrok.

– Chodzi o tych dwóch.

– Jakich dwóch? – Policja w Leeds nie wysłała nikogo, by przesłuchał Rose. Przynajmniej ani Winsome, ani nikt inny nie wiedział o dodatkowej ekipie. Annie wspomniała o dwóch mężczyznach podających się za policjantów, którzy kręcili się dookoła mieszkania Jaffa, kiedy nikt nie otrzymał takiego polecenia. Winsome postanowiła, że kiedy będą rozmawiały z detektywem Blackstone'em z tamtejszej komendy, zapyta o to. W każdym razie znalazła jakiś punkt zaczepienia.

– Czy wy ze sobą nie rozmawiacie? – spytała Rose.

Winsome uśmiechnęła się.

– Niezbyt często. Widzisz, oni są z komendy West Yorkshire, Annie i ja z North Yorkshire.

– To samo usłyszałam od tamtych. To dla mnie dziwne. Niewłaściwe. Od początku miałam wrażenie, że nie są policjantami. W każdym razie przedstawili się jako Sandalwood i Watkins. Nazwiska też pewnie były zmyślane. Nie pamiętam, czy mówili coś o stopniach.

– Byli po cywilnemu?

– Tak.

– Przyjrzałaś się ich legitymacjom? Zauważyłaś, z której komendy byli?

– Nie. Szczerze mówiąc, weszli trochę na siłę. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie zdążyłam spojrzeć na papiery. Twoim też się nie przyglądałam.

– Powiedz jeszcze coś o ich ubiorze. Garnitury czy zwyczajne ubranie?

– Normalne ciuchy. Dżinsy i koszule. Jeden z nich miał ciemną kurtkę przeciwdeszczową, a drugi jasnoniebieską sportową marynarkę.

– Świetnie, Rose – pochwaliła ją Winsome. – Masz oko do szczegółów.

– Lubię rysować. Trzeba umieć patrzeć na rzeczy, jeśli chce się je przenieść na papier.

Winsome spojrzała na nią znad notatnika.

– Potrafiłabyś narysować ich portrety pamięciowe? Wystarczy głowa i ramiona.

Rose skinęła twierdząco. Winsome podeszła do baru i poprosiła o kilka kartek czystego papieru. Wróciła do stolika, podała je Rose, a z torby wyciągnęła ołówek. Rose zaczęła rysować. Prowadziła ołówek pewnie i szybko. Najpierw pojawiły się kontury, potem więcej szczegółów. Na koniec podała rysunki Winsome.

– Wiele więcej sobie nie przypomnę.

Winsome spojrzała na rysunki, ale żadnego z mężczyzn nie rozpoznała. To akurat nie miało większego znaczenia; jeśli byli z West Yorkshire, nie znałaby ich i tak. Zresztą podejrzewała, że za policjantów tylko się podawali. Jeden z mężczyzn wyglądał na zwalistego osiłka o łysej głowie osadzonej na byczym karku.

– Ten był większy – powiedziała Rose. – Miał tatuaż na karku. Chyba sztylet albo nóż.

Nie jestem pewna. W każdym razie jakiś symbol. Choć był niewielki, to wystawał ponad kołnierz koszuli.

Winsome spojrzała na drugi rysunek. Mężczyzna był drobniejszy i szczuplejszy, jego twarz przypominała pysk łasicy. Wyglądał na inteligentniejszego, bardziej przebiegłego i miał gęste rozczochrane włosy. Rose powiedziała, że jego cera była niezwykle blada, a oczy lodowato zimne.

– Przeraził mnie – powiedziała Rose, jakby czytając w myślach Winsome. – Watkins był wielki, prymitywny i chamski, ale ten... – Stuknęła palcem w kartkę. – Cieszę się, że przez większość czasu myszkował po domu. Ciarki mnie przechodziły na jego widok. Niewiele mówił, ale potwornie się go bałam. Ten pierwszy powiedział o nim, że lubi krzywdzić ludzi.

– Zrobili ci coś? Grozili?

– Sandalwood, ten większy, rzucił mnie na kanapę i spoliczkował. Zabolało.

– Policjanci tak nie postępują, Rose. Wiem, co się mówi o naszych metodach działania, co myślą o nich ludzie, ale naprawdę... – Zawiesiła głos, wracając wspomnieniami do sławnego „kopniaka z półobrotu”. – Czasami, kiedy stajemy wobec zagrożenia, używamy siły. Ale żaden policjant nie zachowałby się tak wobec ciebie, Rose.

– Powiedziałam już, że nie sądzę, aby naprawdę byli z policji. Niewiele mogłam zrobić, byłam przerażona. Powiedziałam wszystko, co wiedziałam. Bałam się, że mnie pobiją, zabiją albo...

– Albo?

– Ten wielki mnie dotknął. Bałam się, że mnie zgwałci.

– Próbował?

– Nie. Zaczął się śmiać, kiedy zorientował się, o czym myślę. Powiedział, żebym się nie martwiła, bo nie po to przyszli, choć miałby ochotę. Czułam się zbrukana. – Rose skuliła się w sobie. – Byłam całkowicie bezbronna. Mogli zrobić dosłownie wszystko.

Winsome zauważyła, że kufel Rose jest już prawie pusty.

– Jeszcze jedno? – spytała.

– Nie powinnam, ale z chęcią. Kiedy o tym mówię, przeżywam wszystko na nowo. Mogę poprosić o bacardi breezer?

– Jasne – odparła Winsome. Do stolika wróciła z drinkiem i sokiem pomarańczowym dla siebie. – O co cię pytali? Chodziło im o pistolet, który wzięła Erin?

– Nie. Nie wspomnieli o nim.

– A wiedziałaś coś o broni?

– Nie, dopóki nie obejrzałam wiadomości.

– Wspomnieli o niejakim Marlonie Kincaidzie?

– Nie.

– A Erin czy Francesca?

– Też nie.

– Jesteś pewna?

– Marlon Kincaid? Zabawnie brzmi, zapamiętałabym.

– Jakie pytania zadawało tych dwóch?

– Jeden z nich, Watkins, chciał się rozejrzeć po domu. Drugi pytał. Pytali, czy wiem, dokąd pojechał Jaff. To chłopak Erin. Powiedziałam, że nie mam pojęcia, więc zaczął pytać o Francescę. Ktoś widział, jak wyjeżdżała z Jaffem. Powiedziałam im, że też nie mam pojęcia.

– Skąd wiedzieli, że wyjechała razem z Jaffem?

– Nie wiedzieli, ale podejrzewali na podstawie tego, co już usłyszeli. Zorientowali się, że mieszkaliśmy we trzy, i reszty sami się domyślili. Chcieli wiedzieć, kim ona jest.

– A ty opowiedziałaś?

– A co mogłam zrobić? – rzuciła płaczliwie Rose. – Nie było cię tam, więc nie wiesz, jak się czułam.

Kilku miejscowych przyglądało im się ze zdziwieniem na twarzach.

– No już – powiedziała Winsome. – Opanuj się. Wszystko jest w porządku, nikt cię nie obwinia.

– Przepraszam – odparła Rose, popijając drinka.

– Czy pistolet należał do Jaffa?

– Nie mam pojęcia. Skąd miałabym wiedzieć? Erin nie wspomniała o niczym takim.

– A co sądzisz?

– Nie byłabym zaskoczona. Nigdy mu nie ufałam, za bardzo się popisывał jak na mój gust.

– Dlaczego Erin zabrała pistolet?

– Nie wiem. Może chciała zdenerwować Jaffa? Coś się działo pomiędzy nim, Erin i Francescą. Nie wiem dokładnie co, bo nikt mi nic nie mówił, ale coś się działo.

Winsome zanotowała kilka zdań.

– Co się stało później?

– Nie pamiętam. Nie wiem. Chcieli wiedzieć, gdzie jest Francesca i Jaff, a ja powtarzałam, że nie wiem. Byłam przerażona, bałam się, że zaczną mnie bić, ale oni po prostu wyszli.

– Miałaś wiele szczęścia – powiedziała Winsome. – Uwierzyli ci i nie chcieli ryzykować. Uznali, że przemocą nic z ciebie nie wyduszą. Nie bali się, że ich zidentyfikujesz. To zawodowcy.

– Zawodowcy?

– Tak. Amatorzy często krzywdzą ludzi dla zabawy. Działają pod wpływem emocji i nieostrożnie. Zawodowi przestępcy są ostrożniejsi. Wiedzą, że chaotyczne działania przyciągają kłopoty i niepotrzebną uwagę, a tego wolą unikać.

– Ale w czym są zawodowcami?

Winsome zastanawiała się przez chwilę.

– Tego jeszcze nie wiemy, ale zamierzam się dowiedzieć, czym zajmują się ci panowie.

Opowiedz mi coś jeszcze o Jaffie.

– Jezu, coś ty zrobił! – krzyknęła Tracy. Stała bez ruchu i patrzyła na ciało Annie. Policjantka leżała pośród drobin szkła i fragmentów połamanego stolika. Jej twarz była szara, a czoło pokryte kropelkami potu. Krwi prawie nie było widać, tylko trochę dookoła dwóch ran ziejących w żółtej kurteczce. To nie miało jednak znaczenia, dziewczyna musiała odnieść obrażenia wewnętrzne. – Zabiłeś ją.

– Nie miałem wyboru – odparł Jaff. Stał w drzwiach, nadal trzymając broń w ręku. – Nie zamierzała odpuścić. Wiedziała o nas.

– Ale... – Tracy spojrzała na Annie. Przez chwilę miała wrażenie, że ranna jeszcze oddycha, a z jej gardła dobywa się bulgoczący dźwięk, jakby próbowała zaczerpnąć powietrza. Ale to mogło być złudzenie. – Musimy zadzwonić po karetkę.

– Jeszcze czego! Poza tym jest już za późno. Musimy się wynosić.

Jaff chwycił Tracy pod ramię i wyprowadził z oranżerii do kuchni. Wrzucił pistolet do torby i zarzucił ją na ramię. Nie puszczając łokcia Tracy, ruszył do wyjścia. Dziewczyna próbowała się wyrwać, ale nie mogła. Uścisk Jaffa był silny, ramię zaczynało jej drętwieć. W końcu Jaff odstawił torbę i uderzył ją w twarz.

– Spokój! Opanuj się. Wyjeżdżamy natychmiast.

Tracy zdążyła tylko zabrać torbę, zanim wypchnął ją do salonu. Potknęła się i uderzyła udem o sofę. Jaff znowu dał jej kuksańca, zatoczyła się i uderzyła twarzą o drzwi. Z nosa pociekła jej strużka krwi. Pomyślała, że jest złamany, tak ją zabolął. Jaff rzucił jej kurtkę. – Przyda ci się. Noce robią się zimne.

Tracy była jak otępiała. Otarła twarz wierzchem dłoni i powiedziała:

– Jaff, proszę, pozwól mi chociaż zadzwonić po karetkę. Nikt nie mógł usłyszeć strzałów. Jeśli nie zginęła, wykrwawi się na śmierć.

– To jej problem – burknął Jaff.

Wygrzebał kluczyki z kieszeni, puszczając Tracy. Obeszła auto i stanęła po stronie drzwi pasażera. Czy dałaby radę uciec do lasu? Raczej nie. Jaff pewnie by ją gonił, znalazł i zabił. Poza tym, jeśli by tak zrobiła, Annie i tak by zmarła. Pozostała jej tylko jedna szansa. Musiała wykorzystać moment, kiedy od Jaffa oddzielał ją samochód. Odwróciła

się, zasłaniając telefon własnym ciałem i wykręciła numer pogotowia. Jeśli chciała je wezwać, musiała to zrobić szybko, nie było sposobu, aby Jaff się nie zorientował. Przy posterunku w Helmthorpe stacjonowała karetka reanimacyjna. Jeśli sanitariusze się pospieszą, może zdążą uratować Annie. Kiedy Tracy usłyszała dyżurną, powiedziała:

– Karetka potrzebna w Newhope Cottage, Becks Lane, Gratly. Pospieszcie się, ktoś został postrzelony...

Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, Jaff rzucił się ku niej i wyrwał jej aparat. Był tak wściekły, że cisnął go na ziemię i rozdeptał butem. To koniec, pomyślała Tracy. Łącznik ze światem został zniszczony. Była sama. Z mordercą. Jaff wepchnął ją do samochodu.

Tracy zaczęła się trząść. Ciągle miała przed oczyma Annie: leżącą bez ruchu, bladą i wykrwawiającą się. Tracy zrobiła, co mogła, i zapewne przyjdzie jej za to zapłacić słoną cenę. Jej sytuacja była fatalna i z minuty na minutę stawała się coraz gorsza. Nie trzeba geniusza, aby zrozumieć, że tkwi po uszy w kłopotach.

Kiedy Jaff odkrył, że jej ojciec jest policjantem, była pewna, że ją zabije. Ale wpadł na inny pomysł, miała być zakładniczką do chwili, kiedy bezpiecznie ucieknie. Powiedział jej wprost, że będzie kartą przetargową podczas negocjacji. Jej powiązania z wysokim stopniem policjantem były obosieczną bronią, i zamierzał to wykorzystać.

Kiedy postrzelił Annie, sytuacja całkowicie się zmieniła. Było jasne, że Jaff nie zawaha się zabić kolejnej osoby, jeśli dzięki morderstwu zdoła ujść cało. Tracy może i była kartą przetargową, ale taką, którą w razie czego bez żalu się poświęci. Zwłaszcza że zadzwoniła na pogotowie.

– Co zamierzasz? – spytała wyrwana z zamyślenia. Jaff skręcił w prawo za podjazdem.

– Masz mnie za idiotę? – odparł. – Przez twój akt dobroci na drogach będzie się roić od radiowozów i karetek. Pojedziemy inną drogą.

Jaff skierował auto na wrzosowiska. Choć zmrok jeszcze nie zapadł, cienie już się wydłużały. Pasma pastelowych barw znaczyły jasnoniebieskie niebo. Słońce miało już niebawem skryć się za wzgórzami i wtedy zrobi się bardzo ciemno. Tracy wydawało się, że słyszy nadciągający skowyt syren. Boże – pomyślała – żeby tylko zdążyli na czas.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Postrzeliłeś policjantkę. Nic ich teraz nie powstrzyma.

– A co miałem, do cholery, zrobić? – syknął Jaff. – Dać sobie założyć kajdanki? – Rzucił jej wściekłe spojrzenie. – Córka gliniarza. Zdradziecka zdzira. Ale nie wiedzą jeszcze o mnie. Gdyby się domyślała, nie przyjechałaby sama.

– Może nie miała powodu, aby podejrzewać, że masz drugi pistolet albo że go użyjesz – powiedziała Tracy. – A co, jeśli naprawdę przyjechała podlać kwiaty? Zorientowała się, co jest grane. Wiedziała więcej, niż przypuszczasz, więc reszta też się domyśli.

– Nie bądź taka pewna.

– Wiem, jak działają. Chcesz ryzykować?

Jaff nie odpowiedział.

Tracy wróciła myślami do swojej sytuacji. Może to dobrze, że skręcił na wrzosowiska. Po rozwodzie rodziców przychodziła tu z ojcem wiele razy. Znała zarośnięte ścieżki, ukryte wyrobiska i porzucone odkrywki, gdzie wydobywano rudy metali. Pomiedzy domem ojca a następną wsią rozciągało się dwadzieścia kilometrów wrzosowisk. Jaff nie znał okolicy i był zależny od niej jako przewodniczki. Jeśli zdoła go przekonać, aby zatrzymał auto po zmroku, może nadarzy się szansa ucieczki.

Cały czas zastanawiała się, jak uciec, kiedy po trzech kilometrach jazdy wąską piaszczystą drogą samochód stanął. Jaff próbował uruchomić silnik, ale bez skutku. Wysiadł z auta i zaczął kopać w koła.

– Pierdolony Vic! Co za dureń! – powtarzał w kółko.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ale było jeszcze jasno. Tracy wykorzystwała nieuwagę Jaffa, wysiadła z samochodu i zaczęła się zbliżać do kamiennego murku okalającego Topfleet Woods. Gdyby zdołała uciec, mogłaby go zgubić w lesie i zawrócić w kierunku Cobbersett, niewielkiej wsi w dolinie, na południe od Gratly. Stamtąd do Helmthorpe i pomocy był tylko krok. Wątpiła, aby Jaff ją ścigał, zwłaszcza że obawiał się obławy policyjnej. Chciał uciekać, a nie wracać. Przeskoczyła mur i popędziła ku drzewom.

Ale nie doceniła jego szybkości i determinacji. Cały czas miał na nią oko i po chwili usłyszała jego kroki za sobą. Chwycił ją za kark i szarpnął. Tracy zatrzymała się w miejscu, krzycząc z bólu.

– Zamknij się albo cię uduszę – warknął Jaff. Dyszał ciężko. – Ty głupia kurwo, tracimy przez ciebie czas. Wracamy i masz nas stąd wyprowadzić, bez sztuczek.

– Puść mnie. Nie mogę oddychać. Złamiesz mi kark.

– Obiecuj, że nie będziesz uciekać.

– Obiecuję, obiecuję! Puść.

Jaff rozluźnił chwyt. Stał obok, ciężko dysząc, z dłońmi opartymi na kolanach. Tracy zaczęła rozmasowywać kark. Bolał jak diabli. Jaff odsapnął i odwrócił się, kierując w stronę samochodu. Szedł pewny siebie, wiedząc, że Tracy nie spróbuje uciekać. Chciała, ale zdawała sobie sprawę, że jest szybszy. Nienawidziła go bardziej niż kogokolwiek w życiu. Gdyby znowu ją złapał podczas ucieczki, pewnie by zabił. Rozejrzała się dookoła, szukając kamienia, którym mogłaby rozwalić mu głowę, ale nie znalazła żadnego. Jaff zatrzymał się, obejrzał w jej stronę i pokręcił głową. Potem ruszył dalej. Poszła jego śladem. Ze spuszczoną głową, rozmasowując obolały kark, wlokła się jak Ewa za Adamem po wygnaniu z raj. Jakiegoś tam raj.

– Musimy pozbyć się samochodu – powiedział Jaff. – Przed nami jest jakaś brama. Spróbujemy dopchać tam grata i ukryć w krzakach.

Tracy nie odpowiedziała. Była zbyt przygnębiona i załamana. Bolały ją nos i szyja, chciała płakać. Podreptała posłusznie za Jaffem.

Książka dla none none

Banks na pokład samolotu wszedł w środę za pięć piąta. Według jego zegarka była trzecia po południu, kiedy samolot przestał krążyć nad Heathrow i podszedł do lądowania. Na zewnątrz jasno świeciło słońce. Nie zmrużył oka w samolocie, nigdy nie potrafił zasnąć na pokładzie, ale przynajmniej nie tknął ani kropli alkoholu. Słyszał, że abstynencja pomaga zwalczyć efekt zmęczenia spowodowanego szybką zmianą strefy czasowej. Jedzenie było ohydne, podobnie jak marny dobór filmów. Przez większość czasu czytał *Sokoła maltańskiego*, a kiedy zaczęły go boleć oczy, włączył iPoda i słuchał Angeli Hewitt grającej na pianinie jeden z koncertów Bacha. Przed wylotem kupił specjalne słuchawki, które wytlumiały zewnętrzny hałas. Choć nie były tanie, wydatek się opłacał. Muzyka brzmiała czysto i głośno, a niechciane hałasy zamieniły się w cichutki i daleki szum. Jakimś zrzędzeniem losu Bach uspokajał Banksa podczas podróży, zwyciężając tam, gdzie zawadzili inni twórcy.

Relaks szybko dobiegł końca, kiedy pasażerom polecono wyłączyć wszystkie urządzenia elektroniczne. Według wyświetlanych informacji w Londynie był czwartek, godzina jedenasta pięć. Temperatura wynosiła osiemnaście stopni Celsjusza. Banks schował odtwarzacz i wrócił do książki. Na szczęście podczas lądowania nie zabraniano lektury. Jeszcze.

Daleko pod nimi, pomiędzy chmurami, rozciągała się panorama miasta. Do Londynu zbliżali się od wschodu. Banks dostrzegł wijące się koryto Tamizy, zielone parki, Tower Bridge, zatłoczone ulice, kiście budynków i znajome miejsca, skąpane w jasnym słońcu. Zapowiadał się przyjemny dzień, ale miał jedynie ochotę, żeby się położyć i zasnąć. Zarezerwował sobie pokój na West Endzie i zaplanował w weekend spotkanie ze starymi znajomymi. W poniedziałek wsiądzie do pociągu i pojedzie na północ. Banks liczył, że pokój będzie gotowy, kiedy dotrze do hotelu.

Samolot twardo wylądował i dokołował do rękawa. Chwilę później Banks popłynął wraz z ludzkim strumieniem przez kręte korytarze, kierując się do kontroli paszportowej. Kolejka do bramki pasażerów z Unii Europejskiej była krótka i kilka minut później stanął przed celniczką i podał paszport. Porównała zdjęcie z jego twarzą, zeskanowała dokument i sprawdziła go jeszcze raz. Potem obróciła się ku dwóm krzepkim policjantom stojącym z tyłu i skinęła na nich.

– Pan Alan Banks, prawda? Pozwoli pan z nami? – powiedział jeden z nich. Jego ton sugerował, że odmowa nie wchodziła w grę.

– Co się stało?

– Proszę za mną – odparł mężczyzna i ujął go pod ramię.

Banks bywał już w takich sytuacjach, choć zwykle to on prosił kogoś, aby udał się z nim. Wiedział, że nie otrzyma żadnych odpowiedzi. Może wzięli go za terrorystę? Będą go podtapiać? W zasadzie mogli zrobić z nim wszystko i nie miał się jak bronić. Najprawdopodobniej chodziło o coś, co miało wspólnego z aferą MI5, jaka wybuchła wcześniej tego lata. Narobił sobie wrogów i sprawił sporo kłopotów. Tacy ludzie mieli dobrą pamięć i nie wybacжали. Czyżby ktoś postanowił się odegrać? Ciekawe, jak bardzo chcieli mu zaleźć za skórę. Jakakolwiek była przyczyna, dowie się wszystkiego, kiedy dotrą na miejsce. Nagle ogarnęła go panika, serce zaczęło łomotać w piersi jak szalone, w płucach zabrakło powietrza. Cały świat zawirował ze zmęczenia, strachu i braku snu.

Poprowadzono go korytarzem. Minęli punkt odbioru bagażu i zniknęli za drzwiami z napisem: TYLKO DLA PERSONELU. Kilka razy skręcali z jednego ciasnego korytarza do drugiego, aż stanęli przed nieoznakowanymi drzwiami. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi, a drugi, stojący za plecami Banksa, blokował mu odwrót. Kiedy przekroczył próg, drzwi zamknęły się za nim.

Gabinet był większy, czystszy i lepiej urządzony, niż można było przypuszczać. Brakowało w nim tylko okien, a wiatrak na biurku obracał się powoli, praktycznie nie poruszając wilgotnego powietrza. Najbardziej zaskoczyło Banksa to, kto siedział za biurkiem. Choć w sumie mógł się tego spodziewać. Nadinspektor wydziału dochodzeniowego Richard Burgess był kimś w rodzaju łącznika z wydziałem specjalnym i pomagał Banksowi tego lata w sprawie, którą uważał za powód zatrzymania. Na jego widok Banks odrobinę się rozluźnił. Serce przestało się tłuc jak szalone, ale policjantowi daleko było do spokoju. W pokoju znajdował się ktoś jeszcze: funkcjonariuszka Winsome Jackman. Co, u licha, ona tu robiła?

– Dobrze się czujesz, Alan? – spytał Burgess. – Kiepsko wyglądasz.

– Nie na co dzień zatrzymuje mnie kontrola paszportowa. Co się, do cholery, dzieje? – Banks zdał sobie sprawę, że Brudny Dick znał tylko część sprawy, w jaką Banks się wplątał tego lata, a Winsome nie miała o niej zielonego pojęcia. Żadne z nich nie potrafiło sobie wyobrazić, czego się obawiał i co widział oczyma wyobraźni. Po tym, czego się dowiedział i co widział, bez trudu mógł uwierzyć, że ludzi prowadzonych tymi korytarzami już nigdy więcej nie widziano.

– Usiądź – powiedział Burgess. Postawił przed Banksem butelkę laphroaig i plastikowy kubeczek. – Przepraszam, ale nie mamy szklanek. Dobrze pamiętam, że lubisz whisky?

– Nie zamierzam ani usiąść, ani się napić, dopóki ktoś mi nie powie, co jest grane.

– Przepraszam za sposób powitania – powiedział Burgess. – Nie mogę tam wyjść, a ludzie z lotniska nie wiedzą, co się dzieje. Wykonywali po prostu rozkazy. Taki mamy tutaj styl pracy. Winsome, opowiesz wszystko?

– Jakie rozkazy? O co chodzi? Winsome?

– Usiądź i się napij – poradził Burgess. – Przyda ci się, uwierz mi.

Banks kilka lat wcześniej porzucił whisky na rzecz czerwonego wina, ale zrobił, jak kazał Burgess. Od razu poczuł gorzki smak, gardło zapiekło żywym ogniem, ale pomimo to wypił cały łyk. Ciepło momentalnie rozeszło się po całym ciele.

– No dobrze, przejdźmy do rzeczy.

Na twarzy Winsome malował się ponury wyraz. Banks obawiał się, że coś się przytrafiło Tracy, Brianowi, ich matce lub jego ojcu. W ten sposób policja informowała o śmierci kogoś bliskiego: wygodne krzesło, coś na pokrzepienie i smutny wyraz twarzy.

– Przepraszamy za sposób, ale nadinspektor Gervai se wiedziała, którym lotem pan wraca, a pan Burgess był tak miły, że pomógł nam pana wyłowić z tłumu. W przeciwnym razie musielibyśmy stać z kartką.

– Zauważyłbym cię i bez niej, Winsome. Do rzeczy.

– Chodzi o Annie – powiedziała Winsome, pochylając się do przodu. – Nie wiem jak to powie... została...

– Annie? Co się stało? Mów!

– Została postrzelona.

Banks opadł na oparcie i ujął twarz w dłonie.

– Jak to?

– Wczoraj wieczorem. Nie chcieliśmy, żeby się pan o tym dowiedział z prasy. Sprawa wypłynęła do mediów. Dlatego pomyśleliśmy, że... gdyby pan przypadkiem sam na to trafił...

Banks sięgnął po butelkę. Nalał pełen kubeczek i opróżnił go jednym haustem. Alkohol palił gardło, ale pomógł mu wrócić na właściwy tor.

– Jak poważnie jest ranna?

– Bardzo – odparła Winsome. – Zawiadomiono jej ojca.

– Żyje?

– Tak, ale jest w stanie krytycznym. Jedna z kul przebiła prawe płuco, doszło do krwotoku wewnętrznego. Prawdę mówiąc, ledwie dowieźli ją żywą do szpitala.

– To jedna kula.

– Tak, jedna raniła ją w klatkę piersiową, druga złamała obojczyk. Lekarze mówią, że jeśli Annie przeżyje, będzie miała problemy z poruszaniem ręką, ale to minie. Operacja trwała całą noc, być może potrzebna będzie następna.

– Dobry Boże – westchnął Banks. – Złapaliście tego, kto ją tak urządził?

– Jeszcze nie. Mamy niewiele informacji.

– Gdzie ona teraz jest?

– W szpitalu Uniwersytetu Cook w Middlesbrough. Placówka w Eastvale nie ma oddziału, na którym można by się zająć takim przypadkiem.

– W Eastvale rzadko dochodzi do strzelanin – mruknął Banks.

Zapadła cisza. Burgess sięgnął po butelkę i wymienił znaczące spojrzenia z Winsome.

– O co chodzi? – spytał Banks. – Jest coś jeszcze?

– Nie postrzelono jej w Eastvale – wyjaśniła Winsome. Spojrzała na zegarek i zapytała: – Chce pan pojechać do szpitala? Odbierzemy pański bagaż i wyjaśnię wszystko po drodze. Czeka na nas śmigłowiec...

– Helikopter?

Burgess odchrząknął.

– Chociaż tyle mogliśmy dla ciebie zrobić, przyjacielu. Prosiłem o odrzutowiec, ale mamy cięcia budżetowe – powiedział, lekko się uśmiechając.

– Dzięki – odparł Banks. Dopił whisky i odstawił pusty kubek na biurko. – I za to też.

Burgess skinął głową, wstał i podszedł do drzwi. Kiedy je otworzył, okazało się, że strażnicy nadal czekają. Zamienił z nimi kilka słów i powiedział:

– Panowie was odprowadzą.

Winsome wstała.

– Dobrze, chodźmy – rzucił Banks. Kiedy wychodził, zatrzymał się w drzwiach. – Jeszcze jedno. Jeśli Annie nie została postrzelona w Eastvale, to gdzie to się stało?

– W Gratly, sir – odparła Winsome. – W pańskim domu.

Tracy nie miała pojęcia, która jest godzina. Obudziła się z koszmarne go snu, który ukrył się w jej podświadomości, pozostawiając ją ocuconą i przerażoną. Sądząc z pozycji słońca na niebie, które wnikało przez szpary między deskami ścian, był późny ranek. Ręka i twarz nadal ją bolały. Czuła się brudna i marzyła o prysznicu, ale najbardziej chciała iść do łazienki.

Ukryli się w na wpół zawalonej stodole. Większość dachu się zapadła, podobnie jak kamienne ściany, jednak w ruinach znaleźli schronienie przed nocą. Nie mieli żadnego jedzenia i Tracy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

Jaff nadal spał, pochrapując i stękając. Przewracał się i wiercił na twardej podłodze. Jak w ogóle mógł zmrużyć oko? – zastanawiała się Tracy. Jej stopy i dłonie zdrętwiały od linki, którą ją związał. Znalazł ją w bagażniku samochodu Vica. Jaff zacisnął węzły tak mocno, że Tracy nie była w stanie spędzić wielkiego czarnego pająka, który wędrował po jej odsłoniętym brzuchu. Nienawidziła pajaków. Chodził to w jedną, to w drugą stronę, łaskocząc ją, jakby dręczenie dziewczyny sprawiało mu przyjemność. Tracy wiedziała, że to niedorzeczna myśl. Nie chciał sobie pójść. Tracy bała się, że ją ukąsi.

Całą noc próbowała nie poddać się panice. Oddychała głęboko i spokojnie, ale pająk

doprowadził ją na skraj załamania nerwowego. Wędrował to w jedną, to w drugą stronę. Tracy wiedziała, że jeśli głośniej krzyknie i obudzi Jaffa, ten ją zabije. Znosił ją, póki była przydatna i nie sprawiała kłopotów. Na jej oczach strzelił do Annie i najprawdopodobniej ją zabił. Bóg jeden wiedział, kogo zamordował z tej broni, którą zabrała Erin. Annie wspomniała o jakimś Marlonie Kincaidzie, który być może zginął z ręki Jaffa. Jedyną szansą na ratunek była ucieczka na wrzosowiska, ale nie mogła zrobić tego z nogami związanymi w kolanach i dłońmi na plecach.

Tracy siedziała nieruchomo i popłakiwała cicho, tęskniąc za ojcem. Być może ją ignorował i bardziej kochał Briana. Być może nie rozumiał jej i nie potrafił pojąć, jak wiele dla niej znaczył, ale kłopoty, w które się wpakowała, wynikały tylko z jej winy. Nie mogła go nimi obarczyć. Miał własne życie i nie było mu łatwo, odkąd mama odeszła. Jej także nie winiła. Tracy nie bardzo mogła się dogadać z przyrodnią siostrą, teraz dorastającym już brzdącem. Powinna być bardziej otwarta, wyrozumiała. Obiecała sobie, że będzie, jeśli tylko wyjdzie cało z tej opresji.

Ptaki zaczęły ćwierkać wcześniej i ich głosy rozbrzmiewały przez cały ranek. Tracy miała wrażenie, że jej pęcherz zaraz wybuchnie, jednak nie zamierzała stracić resztek godności i zmoczyć majtek. Godzinami łudziła się nadzieją, że usłyszy traktor, zanim Jaff się obudzi. Zamiast terkotu silnika czy ludzkich głosów dobiegał ją tylko śpiew ptaków. Poza tym, jakie szanse miałby biedny rolnik przeciwko uzbrojonemu Jaffowi? Każdy, kto by się zbliżył, ryzykował śmierć. Godzinę wcześniej miała wrażenie, że słyszy helikopter, ale nie przeleciał dość blisko, żeby zobaczyć go przez deski dachu. Może jeszcze wróci. Skoro śmigłowiec bierze udział w poszukiwaniach, oznaczało to, że teren przeczesują policjanci na piechotę i samochody.

Choć nie było to łatwe zadanie, zdołali ukryć samochód. Murek był wystarczająco wysoki, żeby zasłonić go od strony drogi, a dach przysypali gałązkami i ziemią. Prędzej czy później ktoś go znajdzie, a Tracy miała nadzieję, że stanie się tak niebawem. Wtedy policja zda sobie sprawę, że uciekinierzy są na wrzosowiskach.

Przeszli kilka kilometrów, gdy trafili na starą stodołę. Słońce już wstawało i Jaff powiedział, że się w niej zatrzymają. Wiedziała, że jest zdezorientowany i nie ma pomysłu, jak wybrnąć z sytuacji. Na co liczył? Chciał przeczekać dzień w stodole i ruszyć przez wrzosowiska nocą? Już dwa razy o mało nie złamał kostki, wywracając się o korzenie czy kępy wrzosów. Nie zaryzykuje pospiesznego marszu nocą. W tym tempie przez wrzosowiska iść będą kilka dni, a sieć obławy się zacieśni. Tracy miała nadzieję, że ich tropem ruszy policja z całego kraju. Postanowiła, że nie będzie dzielić się tymi przemyśleniami z Jaffem. Nie ułatwi mu zadania. Im dłużej pozostaną na odludziu, tym większa szansa, że zdoła mu uciec lub ktoś ich odnajdzie.

Tracy spróbowała jeszcze raz poluzować węzły, ale efekt był odwrotny. Ból przeszył jej ciało, ale przynajmniej pająk spadł na podłogę i uciekł. Gorące łzy spłynęły jej po policzkach. Jaff musiał coś usłyszeć, bo otworzył oczy i usiadł. Był oszołomiony i zagubiony, nie wiedział, gdzie jest. Przez chwilę znowu wyglądał na małego zagubionego chłopca. Kiedyś ten wyraz twarzy sprawiał, że miała ochotę go przytulić i pogłaskać po głowie. Teraz chciałaby ją roztrzaskać o kamienie i uciec ile sił w nogach. Jeśli tylko znajdzie sposobność, z pewnością tak zrobi. Rozejrzała się dokoła, szukając kamieni. Może kiedy ją rozwiąże, nadarzy się okazja.

– Muszę się załatwić – powiedziała.

– To idź – burknął, przecierając oczy.

Tracy skrzywiła się.

– Nie mogę, związałeś mnie. Wszystko mnie boli.

Jaff siedział przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się. Potem wstał i podszedł do niej.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegł.

– Nie będę.

Powoli rozplątał więzy na kolanach, a potem ukląkł obok i rozsznurował te krępujące dłonie. Zwinął sznur i schował do torby. Zamierzał go użyć ponownie, co podpowiedziało Tracy, że nie chce jej od razu zastrzelić. Niestety, obok nie było żadnego kamienia, dlatego nie mogła z zaskoczenia zaatakować Jaffa.

Tracy wstała i zaczęła rozmasowywać zdrętwiałe nadgarstki. Ruch sprawił, że zaczęły boleć jeszcze gorzej. Kuśtykając, ruszyła za stodołę.

– A ty dokąd?

– Muszę zrobić siku.

– Nie spuszcze cię z oka ani na sekundę – powiedział Jaff, kręcąc głową. – Nie po numerze, jaki próbowałaś wykręcić wieczorem.

– Potrzebuję choć trochę prywatności.

– A ja chcę jajek na bekonie i dzbanka gorącej kawy. Żadne z nas nie dostanie tego, czego chce. Musisz się załatwić tutaj.

– To chociaż się odwróć – poprosiła.

Jaff splótł ramiona na piersi.

– Nie.

Próbowała spojrzeniem wymusić, aby zrobił to, co chciała, ale w końcu spuściła wzrok i paląc się ze wstydu, ściągnęła spodnie. Odwróciła się i ulżyła pęcherzowi.

George Fanthorpe nie lubił być widywany na mieście z Darrenem i Ciaranem, ale nie znosił też, gdy przychodzili do niego do domu. Szczególnie kiedy Zenovia i dzieci były

obecne. Próbował zachować równowagę pomiędzy życiem rodzinnym i zawodowym. Kiedy spotykał się z podwładnymi w miejscu publicznym, tak jak teraz, wybierał jakiś lokal. Zaprosił ich na obiad do Wheelwright Inn na obrzeżach miasteczka. Fanthorpe nalegał przy takich spotkaniach, aby Darren nosił wysoki golf, zakrywający tatuaż na karku, a Ciaran ubierał się w garnitur i starannie zaczesywał włosy. Dzięki temu wyglądali prawie jak porządni biznesmeni.

Na szczęście w Wheelwright Inn była prywatna salka, a właściciel restauracji chętnie wynajmował ją Fanthorpe'owi, kiedy tylko ten uprzedził. Cóż, był w zasadzie miejscowym baronem, tylko oficjalnie nie nadano mu tytułu. Mieszkał w zamku, miejscowi go lubili, praktycznie zdejmowali czapki z głów, kiedy go widzieli. Uwielbiał grać tę rolę i nie zamierzał dopuścić, aby cokolwiek popsło jego reputację. Szczególnie informacje o tym, skąd ma pieniądze na prowadzenie legalnych przedsięwzięć, jak mleczarnia, której był właścicielem. Dzięki niej miejscowi rolnicy dobrze prosperowali, podobnie jak ci, którym za niewygórowane sumy wynajmował ziemię pod uprawę.

Kiedy przed trójką stanęło jedzenie i trzy pinty sam smith's old brewery bitter, przeszli do interesów. Fanthorpe tęsknił za papierosem, ale w pubach nie wolno było palić, nawet w prywatnych salach. W domu nie pozwalała mu Zenovia, choć cała posiadłość należała do niego. Pozostała mu szopa: ciemna, zagracona i zapleśniała, gdzie wymykał się na dymka i lekturę „The Economist”.

– Dobrze, panowie, do czego doszliście? – spytał, przepłukawszy gardło i otarłszy wąsy z piany.

Darren zrelacjonował wyniki odwiedzin w mieszkaniu Jaffa i wizyty w domu jego dziewczyny. Opowiedział o spotkaniu z Rose Preston, a Ciaran jak zwykle jedynie potakiwał głową.

– Jednym słowem Jaff dał drapaką, tak? – podsumował Fanthorpe.

– Wszystko na to wskazuje.

– Ze współlokatorką swojej dziewczyny?

– Tak.

– A to szmata. Nie powinniśmy mieć kłopotów z dowiedzeniem się, kim jest.

Darren odchrząknął.

– Sprawdziliśmy to, szefie.

– Świetnie. Nie będę pytał, jak to zrobiliście, ale nikomu nie stała się krzywda, prawda, Ciaran?

Ciaran uśmiechnął się krzywo.

– Jeszcze nie.

– Dobry chłopak.

– Dziewczyna każe na siebie mówić Francesca – powiedział Darren. – Rose wyjaśniła jednak, że naprawdę nazywa się Tracy. Tracy Banks.

– Tracy Banks? – podskoczył Fanthorpe. – Czy ja dobrze słyszę?

– Tak. Czemu pan pyta?

– Kurwa. To dość często spotykane nazwisko, ale wszystko wskazuje na to, że to córka gliniarza. Inspektora Alana Banksa.

– Tego z Eastvale?

– Właśnie. Pamiętasz go?

– Teraz tak – przytaknął Darren. – Ciaran i ja pytaliśmy kiedyś o jego rodzinę. Nie skojarzyłem nazwiska.

– Banks i ja mamy na pieńku. Lubię wiedzieć dużo o moich wrogach, dlatego kazałem wam go prześwietlić. Nic nie znaleźliśmy. W sumie nie narobił mi kłopotów. Ale kiedy był głównym inspektorem w okolicy, za bardzo węszył. Teraz jest drugi w hierarchii zachodniej komendy głównej, słucha rozkazów jakiejś kobiety. Nadinspektor Gervaise. Banks cieszy się dobrą reputacją, ale to niepokorny człowiek, który chadza własnymi ścieżkami i dlatego raczej wyżej się nie wespnie. Nie zawsze gra zgodnie z zasadami, czasami nie trzyma się reguł.

– Tym lepiej dla nas – powiedział Darren. – Mamy sobie z nim uciąć pogawędkę?

– Z Banksem? Czyś ty, kurwa, oszalał? To by na niego podziałało jak płachta na byka. Nie, zostawimy go w spokoju. Absolutnie nie potrzebujemy, żeby gliny zorientowały się, że mamy coś wspólnego z tą sprawą. Obecnie nie mają powodów, żeby nas męczyć, ale trzeba zachować ostrożność. Jeśli w sprawę zaangażowana jest córka Banksa, nie spocznie, póki jej nie znajdzie. Sprawy mogą się wymknąć spod kontroli.

– A co z dziewczyną, z którą gadaliśmy, Rose? Mogła nas zapamiętać. Mamy ją uciszyć?

– Odpuście. Nie rzucajcie się w oczy. Albo już gadała z policją, albo jest zbyt przerażona, żeby komukolwiek opowiedzieć o waszej wizycie. Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia. Musimy się skupić na najważniejszych rzeczach.

Czeszka Jelena przyniosła obiad. Zamówienie było duże, więc musiała je podać w dwóch kursach. Fanthorpe jak zwykle żartował, a na odchodnym klepnął ją w tyłek. Ani Ciaran, ani Darren nie obdarzyli jej nawet spojrzeniem. Nigdy nie oglądali się za kobietami. Fanthorpe zastanawiał się, co z nimi jest. Sam nie pogardziłby godzinką sam na sam z tą dziewczyną, ale wiedział, że nie ma co ryzykować. Podczas „podróży służbowych” miał dość okazji na skoki w bok, nie musiał ryzykować w domu. W okolicy uważano go za odpowiedzialnego i prawego człowieka, nie zamierzał rzucać cienia podejrzenia na tę reputację. Ograniczał się więc do żartów i flirtowania. Z drugiej strony

może miała ochotę na wypad do Londynu, obiad w Ivy i spektakl na West Endzie?

– Problem się pojawi, jeśli to rzeczywiście jest ta Tracy Banks i przeszła na ciemną stronę, tak?

– Ciemna strona? Jaff? To jakiś żart?

– Nie. – Darren nie był ani trochę zażenowany.

– Jeśli to jakiś żarcik, to ci się nie udał.

– Nie, szefie. Chodzi mi o to, że Jaff nie jest typem kolesia, który zadaje się z porządnyimi dziewczynami.

– Masz rację – przytaknął Fanthorpe. – Jest zepsuty do szpiku kości, ale młode dziewczyny niekiedy lubią takich chłopaków. Wolno im wybierać i decydować, mają własny rozum...

– Chyba między nogami – burknął Darren.

– Uważaj na słowa. Sam mam córki.

– Nie chciałem...

– Po prostu pomyśl, zanim się odezwiesz.

– Przepraszam, szefie. Widział pan dzisiejsze wiadomości?

– Nie miałem czasu – odparł Fanthorpe.

Dla niego wszystko oprócz informacji biznesowych było nudne. Ciągłe mówili o sporcie, seksie i polityce. Albo o przestępstwach.

– Wczoraj wieczorem postrzelono gliniarza w Swainsdale. Nie powiedzieli wiele więcej poza tym, że to kobieta. Pewnie któraś z detektywów. Plotki mówią, że może nie wyjść z tego.

– Jaff?

– Musiałby zdobyć innego gnata, skoro poprzedni rąbnęła jego dziewczyna.

– Nie natrudziłby się – mruknął Fanthorpe. – Ma kumpla, który szmugluje broń z Litwy. Bajkały z tłumikami. Niezły sprzęt, przerabiany z gazowców. W odpowiednich rękach są śmiertelnie niebezpieczne. Jaff nie zawahałby się pociągnąć za spust. – Fanthorpe potarł dłonią wydatną szczękę. – Zawsze uważałem, że coś jest z nim nie w porządku, choć kochałem go jak syna. Był zbyt niezależny. Nie zdziwiłbym się, gdyby kręcił na boku lody i prowadził interesy, o których nic nie wiemy.

– Czyli to nie nasz kłopot?

– Wprost przeciwnie. Zabrał coś, co należy do mnie, i wpadł w tarapaty. Nie lubię ani jednego, ani drugiego. Możemy przez niego znaleźć się w centrum zainteresowania, a tego nie chcemy. Prędzej czy później ktoś zacznie gadać i policja coś zwietrzy. W tej chwili nie ufaj Jaffowi za grosz. Jest zdolny do każdego głupstwa. Wszyscy wiemy, jaki potrafi być humorzasty i nieprzewidywalny. To chodząca beczka prochu. Nie chcę, żeby narobił nam

jeszcze więcej problemów. Udział tej Tracy Banks dodatkowo komplikuje sprawę. Jesteście pewni, że postrzelenie tej policjantki ma związek z naszą sprawą?

– Raczej tak – odparł Darren. – Chodzi o to, że Swainsdale to spokojna okolica, prawda? Rzadko coś się tam dzieje, aż tu nagle dochodzi do czegoś takiego. Trudno mi uwierzyć w aż taki zbieg okoliczności.

– A więc Jaff?

– Nie byłbym zaskoczony – przytaknął Darren. – Sam pan mówił, że chłopak jest nieprzewidywalny.

– I uważasz, że córka Banksa jest razem z nim?

– Z tego co słyszeliśmy, pomaga mu. Pewnie na dodatek ją zapyla. Jaff nigdy nie potrafił utrzymać ptaka w spodniach. Może dziewczyna lubi, jak się nią pomiata?

– Pieprzony idiota.

– Ucieka, jest jak ścigane zwierzę. Nie myśli racjonalnie i jest zdesperowany.

– To nam daje przewagę – powiedział Fanthorpe, oddzielając panierowaną skórę od ryby. Białe mięso było tłuste. Coś w jego smaku mu nie pasowało, a burczenie w żołądku nie ustępowało. Może powinien posłuchać lekarza i odstawić alkohol i tłuste jedzenie? – Musimy pozostać spokojni i opanowani. Rozumiemy się, panowie?

Obydwaj skinęli głowami.

– Dobrze. Gdzie postrzelono tę policjantkę?

– Nie wiemy, szefie. Powiedziano, że jej obrażenia są poważne...

– Nie o to mi chodziło, durniu. Gdzie w Swainsdale? W Eastvale? Helmthorpe? Lyndgarth?

– Tego nie powiedziano.

– Po prostu wspaniale, co? – Fanthorpe upił jeszcze trochę piwa i skończył rybę z frytkami. Teraz smakowała lepiej. – Wygląda na to, że nasz Jaff dał nogę i ukrywa się z Tracy Banks gdzieś w Swainsdale. Ucieka, bo jego dziewczyna wydała policji broń, którą mu buchnęła. Za samo jej posiadanie grozi pięć lat więzienia, ale na dodatek Jaff stałby się obiektem dochodzenia, którego człowiek jego profesji nie przeżyje. Co więcej, dał nogę z czymś, co do mnie należy. To bardzo cenna rzecz. Na dodatek Jaff miał dostarczyć pięćdziesiąt tysięcy. Jako że Alan Banks jest policjantem z zachodniej komendy głównej, możemy założyć, że Tracy jest jego córką. Jakimś sposobem miejscowa policjantka trafiła na naszego kochasia, Jaffa, który wyciągnął broń i wpakował w nią parę kulek. Oznacza to, że albo Tracy Banks jest z nim w zмовie, albo stała się przykrym brzemieniem. Tak czy inaczej, tylko go spowalnia.

– Chyba że ją sprzątnie i pozbędzie się ciała.

– To możliwe – powiedział Fanthorpe. – Ale Jaff wie, że dziewczyna może mu się

jeszcze przydać. Nie jest głupi. Musimy go znaleźć, zanim zrobi to policja, albo nie zobaczymy tego, co nasze.

– Ani pieniędzy – dodał Darren. – Nie zapominajmy o nich, bo skończą w skarpecie jakiegoś gliniarza. Gdzie mamy zacząć szukać? Swainsdale to spory obszar, w większości pustkowiu.

– Jak znam Jaffa, będzie go ciągnęło do miasta. Ma kontakty w Londynie, starych kumpli. Zdziwilibyście się, ile potrafią załatwić. Za odpowiednią cenę i bez pytań skombinują dla niego wszystko. Jaff zawsze uważał się za lepszego ode mnie czy was. Ale najpierw musi się tam dostać. Przypuszczam, że podróżuje samochodem, w tamtych stronach bez czerech kółek nie dasz sobie rady. Oczywiście nie jedzie swoim, nie będzie ryzykował, że zatrzyma go pierwszy patrol drogówki.

– Mógł ukraść auto – zasugerował Darren.

– Tylko wtedy, gdy byłby pewien, że właściciel nie zorientuje się w ciągu kilku dni. Celny argument. Tak się składa, że wiem o przyjacielu Jaffa z Leeds. Nazywa się Victor Mallory. Jeden z bałkańskich chłopaków. Raz czy dwa wykonywał dla mnie różne prace, nic wielkiego. Chodzili razem z Jaffem do szkoły. Wicie, dobre miejsce dla biednych i krzywdzonych dzieciaków. Eton czy Harrow. Jakoś tak. W każdym razie trzymają się razem. Mallory mieszka na północ od Leeds, niedaleko Harrogate Road. Tam, gdzie są wszystkie kluby golfowe. Alwoodley czy coś takiego. Według moich źródeł to równie szemrany typ jak Jaff. Nie chodzi tylko o broń, podobno jako chemik wyczynia cuda.

– Alwoodley jest niedaleko lotniska. Może Jaff poleciał do Benidorm?

– Nie bądź idiotą, Darren. Z tym towarem nie wszedłby na pokład samolotu. Teraz wszystkich skanują i wiedzą, co jadłeś na śniadanie.

– No tak. Przepraszam.

– Cokolwiek wymyślił, porusza się samochodem. Chyba że jest o wiele lepiej zorganizowany, niż przypuszczam, i ma własną sieć kurierów, w co wątpię. Może zaryzykować podróż autokarem czy samochodem, ale policja pewnie obserwuje dworce. Na mój gust jedzie samochodem, o którego posiadanie nikt go nie podejrzewa. Mam dla was zadanie. Odwiedzicie Victora Mallory'ego, podam wam adres. Bądźcie dyskretni. Dowiedzcie się wszystkiego i dajcie znać. Użyjcie mojego jednorazowego numeru. Pamiętajcie o tym, żadnych telefonów pod numery stacjonarne. I dowiedzcie się, gdzie dokładnie postrzelono tę policjantkę. Jeśli to robota Jaffa, będziemy przynajmniej wiedzieć, dokąd może się kierować. Moim zdaniem ciągnie go do miasta.

– Może już być na miejscu.

Fanthorpe klasnął w dłonie.

– Kolejny powód, aby szybko brać się do roboty. Po drodze do wyjścia powiedzcie

Jelenie, że mam ochotę na jeszcze jedno piwo i talerz ciastek, dobrze?

To będzie dobra okazja, żeby namówić ją na kilkudniowy wypad za miasto. Bez stringów – pomyślał.

Książka dla none none

Banks czuł mdłości po locie helikopterem. Szedł śladem Winsome, która minęła nowoczesną recepcję i zagłębiła się w labirynt korytarzy, prowadząc go na oddział intensywnej terapii. Podczas lotu próbowała wprowadzić go w szczegóły sytuacji, jaka zaistniała pod jego nieobecność, ale hałas w kabinie i ochronne nauszники praktycznie uniemożliwiały konwersację.

Banks był otępiały. Po części przyczyniły się do tego brak snu i nagła zamiana stref czasowych, po części wieści o stanie zdrowia Annie. Wiedział, że musi wykrzesać z siebie siły, ale ciało i umysł nie chciały słuchać poleceń. Efekt był taki, że wszystko dookoła mu nie pasowało. Ruch na granicy pola widzenia rozpraszał go, głośne dźwięki drażniły, a głowa zaczynała pulsować od migreny. Jeśli miał zasłabnąć, to przynajmniej znalazł się w miejscu do tego idealnym.

Kiedy dotarli do pokoju, w którym leżała Annie, podeszła do nich niewysoka, muskularna kobieta o krótkich włosach.

– Detektyw Banks? Detektyw Jackman? – spytała.

Banks zatrzymał się w pół kroku. Wydawało mu się, że skądś ją zna, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją spotkał. Nie mógł dopasować twarzy do imienia. Czy przynosiła złe wieści?

– Nie pamięta mnie pan. Jestem Nerys Powell, służę w jednostce wsparcia. Byłam w domu państwa Doyle'ów.

Banks nie rozumiał, o czym mówiła kobieta, ale przynajmniej Winsome wiedziała, o co jej chodzi.

– Pamiętam cię – powiedziała. – Widziałam cię na komisariacie podczas spotkania w poniedziałek.

– Ostatnio spędzamy tam dużo czasu – przytaknęła Nerys. Spojrzała na Banksa i powiedziała: – Annie bardzo pochlebnie się o panu wyrażała. Policjant przy drzwiach nie chce mnie wpuścić. Czy mogę prosić, żeby dowiedział się pan, jak się miewa Annie?

– Po co pani ta informacja? – spytał Banks. Wiedział, że jest niemiły, ale chciał jak najszybciej znaleźć się przy łóżku Annie.

– Pracowałyśmy razem przy sprawie Doyle'ów. Była dla mnie miła. To wszystko. Okazała mi sympatię... kiedy sprawy się... skomplikowały. Czuję się odpowiedzialna.

– Dla mnie sprawy skomplikowane są teraz – powiedział Banks, mijając ją. Potem na wpół się obrócił i dodał: – Dam znać, funkcjonariuszko Powell. Obiecuję. Proszę wracać do domu i odpocząć.

Na oddziale intensywnej terapii mogło przebywać do szesnastu pacjentów, ale zasłony

sprawały, że większość z nich pozostawała niewidoczna. Kiedy Banks zbliżył się do łóżka Annie, mało kolana się pod nim nie ugięły. Leżąc na białym prześcieradle, przykryta kołdrą, otoczona aparaturą medyczną i rurkami, była przeraźliwie nieruchoma, taka drobna i krucha. Ale urządzenia wydawały miarowe dźwięki, a ekrany spokojnie się świeciły. Banksowi wydawało się, że widzi kilka pomiarów: ciśnienie krwi 139/81, puls 72. Z tego co wiedział, nie były to złe wyniki. Prawdopodobnie niższe od jego. Obok łóżka stała pielęgniarka, poprawiając rurki i tuby. Banks spytał, czy może potrzymać Annie za rękę.

– Tylko kilka chwil – przytaknęła.

Banks usiadł, biorąc w swoje dłonie jej bezwładne palce. Drugie ramię było obandażowane i unieruchomione z powodu obrażeń obojczyka. Ze zdrowej ręki wystawał wenflon, do którego podczepiono kilka rurek. Banks widział, że spływała przez nie krew i jakiś przezroczysty płyn, najprawdopodobniej roztwór soli lub jakieś lekarstwo. Na palcu znajdowała się żółta klamra połączona z urządzeniem mierzącym poziom tlenu we krwi. Dolna połowa twarzy Annie zakryta była przez tubę wprowadzoną do ust. Na miejscu trzymał ją plaster. Oczy Annie były zamknięte, ale dłoń ciepła. Co z tego, skoro pozostawała bezwładna, jakby bez życia. Przez chwilę cały świat Banksa skurczył się tylko do pompki, jaka wtlaczała powietrze do jej płuc. Przyglądał się uważnie, jak jej klatka piersiowa powoli unosi się i opada.

Banks poczuł poruszenie za sobą. Odwrócił się i zobaczył Azjatę. Mężczyzna wyglądał młodo, mógłby być stażystą w szpitalu, ale zamiast turkusowego fartucha, jaki ci noszą, ubrany był w szaro-grafitowy garnitur, białą koszulę i krawat. Po drodze Banks widział wielu takich lekarzy.

– Wystarczy już – powiedziała pielęgniarka, kładąc dłoń na ramieniu Banksa. – To doktor Sandhar, nasz najlepszy chirurg. Operował pacjentkę, może chciałby pan z nim porozmawiać?

Banks podziękował kobiecie, ucałował Annie w czoło i odszedł. Sandhar zaprowadził jego i Winsome do niewielkiego pokoju konsultacyjnego, do którego prowadził labirynt korytarzy. Było w nim tylko jedno krzesło, więc Banks i Winsome usiedli na kozetce. Papierowa narzuta rozdarła się, kiedy zajęli miejsce. Na ścianie naprzeciwko wisiał plakat przedstawiający układ krwionośny.

– Proszę nam opowiedzieć wszystko, ale po angielsku, nie lekarsku – powiedział Banks.

Sandhar się uśmiechnął.

– Dobrze. Wiercie mi państwo lub nie, ale zawsze, gdy rozmawiamy z rodziną, staramy się opisać problem w jak najprostszy sposób.

– Cieszymy się.

– Może zaczniemy od państwa pytań, tak będzie najlepiej. Wydaje mi się, że jesteście przyzwyczajeni do takiego załatwiania sprawy.

– Nie zamierzam pana przesłuchiwać – powiedział Banks. – Ale jeśli pan woli, to czemu nie. Zaczniemy od tego: co się stało?

– Panna Cabbot została dwukrotnie postrzelona. Pierwsza kula ugodziła ją w klatkę piersiową, uszkadzając środkowy płat jej prawego płuca. Druga roztrzaskała kość obojczykową. Można mówić o szczęściu, że żadna z kul nie wyszła, choć ich obecność w ciele spowodowała wiele innych komplikacji.

– Jakich?

Sandhar założył nogę na nogę i splótł dłonie na brzuchu.

– Z tego co wiem, ambulans dotarł na miejsce w dziesięć minut – odparł. – To świetny wynik na wsi, biorąc pod uwagę nagłość wezwania. Ktokolwiek zadzwonił na pogotowie, uratował życie pannie Cabbot. Osoba ta nie została zidentyfikowana, ale to już wasze zadanie, nie moje. Kiedy ratownicy znaleźli się na miejscu, pacjentka straciła dużo krwi. Trudno powiedzieć, jak duże byłoby krwawienie, gdyby postrzelono ją z broni o większym kalibrze, a kule przeszły ciało na wylot. Przy ranach wlotowych skóra zachowuje elastyczność i zamyka się dookoła nich – Sandhar zobrazował proces za pomocą kciuka i palca wskazującego. – Stąd niewielki upływ krwi.

– Czyli Annie miała szczęście, że kule nie przeszły jej na wylot? – upewnił się Banks. – Rozumiem, to raczej dobra wiadomość. Jakie były inne problemy?

– Panna Cabbot miała krwotok wewnętrzny. Płyn wywierał nacisk na płuca i nie pozwalał im się rozszerzać. – Sandhar tym razem pokazywał dłońmi, w jaki sposób powinien się odbywać ruch narządów wewnętrznych. – Jedno z płuc się zapadło i Annie miała poważne kłopoty z oddychaniem. Gdyby drugie przestało funkcjonować, umarłaby przed przybyciem karetki. Na szczęście tak się nie stało. Sanitariusze byli odpowiednio wyposażeni i dzięki zdobytym informacjom właściwie zadziałali. Udało im się ustabilizować stan pacjentki, którą drogą lotniczą przewieziono z Eastvale General Infirmary do naszej placówki.

– Czy ona z tego wyjdzie? – spytał Banks. – Przeprowadziliście operację.

Sandhar milczał przez chwilę.

– Przeprowadziliśmy operację, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Sprawy mogą potoczyć się dwojako.

– To znaczy?

– Annie walczy o życie. Jeśli będzie silna, wygra. W tej chwili nie potrafię powiedzieć, jak to się zakończy.

– Jest silna – powiedział Banks.

Lekarz skinął głową.

– To dobrze. Musi być.

– Kiedy dowiemy się czegoś więcej?

– Następne dwadzieścia cztery godziny będą decydujące. Stale monitorujemy jej stan, szukając oznak poprawy czy kłopotów. Obecnie nic więcej nie możemy zrobić. Przykro mi.

– Czy my możemy coś zrobić?

– Jeśli jest pan wierzący, proszę się modlić.

– Jeżeli nie?

– Proszę mieć nadzieję.

Victor Mallory był wstawiony po kilku głębszych do obiadu i na lekkim haju po skręcie na deser. Wsunął do odtwarzacza płytę Toru Takemitsu *I Hear the Water Dreaming* i miał zamiar zasnąć na kanapie, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Gdyby już leżał, pewnie by nie wstał, ale to mogło być coś ważnego. Może Jaff odprowadził samochód albo Marianna z klubu golfowego postanowiła przyjąć jego zaproszenie. Otworzył drzwi.

Kiedy tylko to zrobił, zorientował się, jak ogromny błąd popełnił. Bardzo chciał je zamknąć z powrotem. Pijany i na haju nadal wiedział, że wygląd dwóch mężczyzn po drugiej stronie drzwi nie wróży nic dobrego. Po ich twarzach widział, że ma kłopoty. Vic spróbował zatrzaskać drzwi, ale był zbyt pijany i powolny, aby to zrobić. Zresztą pewnie wyłamałiby je z zawiasów, doszedł do wniosku. Na swojej drodze spotkał już wielu nieprzyjemnych typów i zawsze udało mu się wykaraskać dzięki gładkim słówkom, ale tym razem nie był pewien, czy się wywinie. Nie wyglądali na takich, co słuchają.

Ten mniejszy, rudawy, wyglądał na narwańca i miał zęby w kiepskim stanie. Vic nie lubił takich, byli nieprzewidywalni i szaleni. Dlatego trzymał się produkcji ecstazy i starych dobrych psychodelików: kwasu, meskaliny i grzybków. Nie robił na nich kokosów, ale uważał za lepsze od amfy i cracku. Ich amatorzy byli właśnie takimi narwańcami. Ci dwaj musieli być tu z powodu Jaffa. On nie przejmował się, z kim się zadawał i komu sprzedawał towar.

– Wejdźcie i rozgoście się, panowie – powiedział.

Dwójka gości najwidoczniej nie miała poczucia humoru. Wepchnęli go do salonu i wmaszerowali za nim do mieszkania. Mniejszy zaczął się szwendać po pokojach, sprawdzając, czy Vic jest sam, a łysy usiadł w fotelu, milcząco podziwiając obrazy wiszące na ścianach. Były to reprodukcje sztuki współczesnej: Dalego, Hockneya, Magritte'a, Rothko. Mniejszy wrócił, zadowolony, że są sam na sam z ofiarą, zaciągnął zasłony i włączył lampę. Potem od razu przeszli do interesów.

– Wyłącz tego wyjca – powiedział łysy. – Czuję się, jakbym miał się zesrać.

Victor zrobił, co mu kazano.

– Lubię taką muzykę – powiedział. – Ma w sobie coś uspokajającego...

– Poprosiłbym też, żebyś pościągał te malunki, bo doprowadzają mnie do wymiotów, ale nie mamy czasu. Ciaran.

Drugi popchnął Vica w kierunku krzesła stołowego. Kazał mu usiąść, a następnie przytwierdził jego nogi do mebla za pomocą szarej taśmy izolacyjnej. Unieruchomił ręce Vica za plecami i na koniec oblepił nią jego korpus.

Victor nie śmiał drgnąć. Siedział cicho i nie chciał zrobić niczego, co tamtych dwóch uznałoby za prowokację. Istniała niewielka szansa, że to wszystko zły sen. Zamknął oczy i potrząsnął głową. Niestety, koszmar trwał nadal. Nie zalepili mu ust, a więc na razie chcieli zadać kilka pytań. To dobry znak. Bał się, popadał w paranoję, ale dopóki mógł mówić, istniała nadzieja. Wszyscy mówili, że miał nawijkę, dlatego może jakoś z tego wyjdzie.

– No dobra – powiedział łysy, kiedy Vic był całkowicie unieruchomiony. – W ciągu tych wszystkich lat w biznesie nauczyłem się jednej rzeczy. Człowiek nie boi się bólu. O nie. Boi się oczekiwania na cierpienie. Dlatego załatwimy to w ten sposób. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki szklany przedmiot, który postawił na niewysokim stoliku kawowym obok sofy. – Wiesz, co to jest?

– Stoper?

– Klepsydra. Widzisz, jaki ma kształt? Dlatego czasami mówi się, że kobieta ma figurę w kształcie klepsydry. Wiedziałaś o tym?

Victor zdawał sobie z tego sprawę, ale postanowił, że nie będzie zgrywał bystrzejszego od tej dwójki. Miewał do czynienia z podobnymi i wiedział, że jeśli tylko zaczynali czuć się głupszy, sprawy przybierały nieciekawą obrót. Wykształcenie wyniesione z uniwersytetu Oxbridge nie stanowiło zalety w tej sytuacji.

– Nie – wychrypiał. – Nie wiedziałem. Myślałem, że to stoper do gotowania jajek.

– Kiedy ją obrócisz, piasek przesypuje się przez niewielki otwór pomiędzy komorami. To niesamowicie intrygujące, mogę obserwować ten proces godzinami. Niestety, nie mamy tyle czasu. Cóż, widać przynajmniej, jak nam ucieka. Fakt pozostaje faktem, że klepsydra i kobieta wyglądają podobnie. To powinno cię zainteresować. Ciaran.

Tamten wyjął z torby futerał i położył go na stole, a następnie rozwinął.

– To kolekcja zabawek Ciarana – powiedział łysy. – Zbiera instrumenty chirurgiczne. Nie jest lekarzem, nie uczył się łaciny.

– To sędzia – wtrącił Victor.

– Co? – spytał łysy, wbijając spojrzenie w Victora.

– Mógłby zostać sędzią, ale nie zna łaciny. – Victor pożałował tych słów, kiedy tylko je

wypowiedział. Co go podkusiło, żeby poprawiać tych dwóch typów?

– Przepraszam. Taki skecz. Petera Cooka i Dudleya Moore’a.

Tamci spojrzeli na siebie i pokręcili głowami.

– Nieważne – powiedział łysy. – Jak mówiłem wcześniej, zanim chamsko mi przerwał, z Ciarana żaden chirurg, co nie przeszkadza mu próbować. Lubi się babrać w takich rzeczach. Jego narzędzia są dość przypadkowe, jeśli chodzi o dobór, ale wyraźnie je lubi. – Łysy zaczął oglądać je jedno po drugim. – Nie wiem, do czego służą, ale kilka z nich to sprzęt dermatologa. Ciekawe, co tym można zrobić? Taki mądrała jak ty powinien wiedzieć. Chodziłeś na uniwersytet, znasz łacinę i tak dalej... Nie wiesz? Są tak ostre, że mogą pociąć gałkę oczną na plasterki. To się nazywa mieć coś na oku, nie? Inne zaprojektowano do głębokiego cięcia, przez warstwy mięśni i tłuszczu. Wiesz, kiedy lekarz musi się głęboko dostać. – Łysy podniósł haczykowaty przedmiot. – Mamy też klamry do odciągania tkanek. Większość noży jest tak ostra, że nie poczujesz cięcia. Przynajmniej na początku. Tak jak przy goleniu. Tylko potem boli jak cholera, to się nazywa opóźniona reakcja. No i wszędzie jest krew. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Kiedy łysy gadał, Victor czuł, jak opuszczają go siły i ogarnia panika. Dobrze wiedział, jakie obrażenia mogą powstać w wyniku użycia tych noży. Przerazały go instrumenty stomatologiczne, a co dopiero te, które widział.

– Czego chcecie? – wychrypiał. – Nic złego nie zrobiłem. Nie musicie mnie krzywdzić.

Łysy zerknął na niego i uśmiechnął się tylko.

– Ciaran jest perfekcjonistą. Zawsze mu powtarzam, że zachłapie je juchą, ale on czyści i poleruje te swoje zabawki. Jak sądzisz, może jest optymistą i ma dobre przeczucia? Może nie będzie musiał ich dzisiaj brudzić?

– Nie będzie – odpowiedział Victor, oblizując nerwowo usta. – Nie musi... Czego chcecie? Forsy? Bierzcie ją.

– Nie chodzi nam o pieniądze – powiedział łysy. – Chcemy dowiedzieć się kilku rzeczy, ale musimy mieć pewność, że powiesz nam prawdę, a nie to, co chcemy usłyszeć. Różnica jest drobna, ale znacząca.

– Powiem prawdę.

Łysy roześmiał się tubalnie.

– Słyszałeś, Ciaran. Powie prawdę. To dobre. Kto ostatnio nas tak zapewniał?

– O czym mówisz? – Victor otrzeźwiał na tyle, że dotarły do niego drobne niuanse jego sytuacji. Było kiepsko. Łysy nie miał oporów przed wołaniem kompana po nazwisku. Jeśli było prawdziwe, oznaczało to poważne kłopoty. – Nikomu o was nie powiem. Przysięgam.

– Wiemy o tym – wycedził przez zęby łysy. – Widzisz ten nóż i szczypce? Są doskonałe do odcinania języków, które za bardzo latają na prawo i lewo.

Victor przełknął ślinę, nagle zdając sobie sprawę z istnienia języka w ustach.

Łysy klasnął w dłonie.

– Ale to jeszcze przed nami. Dotarliśmy do miejsca, z którego nie ma odwrotu. Na razie zacznijmy i zobaczymy, jak nam idzie. Taki wykształcony chłopczyk wie, jak wyglądają egzaminy, prawda? Przekonamy się, jak daleko zajdziemy bez odwoływania się do przemocy.

– Nie będzie potrzeby – zapewnił Vic.

– To dobrze – odparł łysy. – Lubię ludzi, którzy chętnie współpracują.

Obrócił klepsydrę tak, że ziarenka zaczęły opadać.

– Nie wiem, ile to trwa, nigdy nie miałem czasu zmierzyć. Ale dopóki klepsydra się nie przesypie, Ciaran nie zrobi ci krzywdy. W każdym razie będziemy rozmawiać, aż czas ci się skończy. Zrozumiano?

– Tak. Proszę. Pytaj! Pośpiesz się tylko. – Przerażony Victor spoglądał to na polerowane ostrze, to na klepsydrę.

– Uspokój się, Victor, mamy dużo czasu. Po co ten pośpiech?

– Błagam, pytaj. Powiem wszystko, co chcesz.

– Nie, powiesz prawdę.

– Tak, tak! – Victor chciał wrzeszczeć. Jego wzrok panicznie przeskakiwał od noża do klepsydry.

– Zacniemy od pytania, na które wszyscy znamy odpowiedź. Dzięki temu będziemy wiedzieć, czy nas okłamujesz. Taki mały test. Znasz Jaffa McCready'ego, prawda?

– Tak.

– Świetnie. Dobry początek. Odwiedzał cię ostatnio?

– Tak. W poniedziałek, chyba.

– Świetnie. Czego chciał?

– Podmienić brykę na kilka dni.

– Zgodziłeś się?

– Tak, to mój kumpel. Nie zostawia się przyjaciela w potrzebie, prawda?

– Nie. To dobrze o tobie świadczy. Jaki kolor ma twoje auto? Pamiętasz tablice rejestracyjne?

Victor wszystko podał.

– Co jeszcze? – spytał łysy.

– Nie rozumiem.

– Czego jeszcze chciał?

– Niczego.

– Nieładnie tak kłamać – powiedział łysy, stukając w klepsydrę. Piasek zaczął się

przesypywać jeszcze szybciej. – Czas ucieka.

– Dobra, dobra. Chciał gnata!

– A ty przypadkiem miałeś pistolet na składzie?

– Znam sprzedawcę. Czasami pomagam ludziom, Jaff o tym wiedział.

– Dałeś mu broń.

– Sprzedałem. Bajkała z tłumikiem. Chcecie?

– Nie chcę kupować broni, tracisz czas. To wszystko?

– Tak, przysięgam.

– Gdzie teraz jest Jaff?

– Nie wiem. Odjechał. Nie widziałem nawet, w którą stronę.

– A gdzie zamierzał jechać?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem wam...

– Victor, czas ucieka. Mów prawdę...

– Była z nim dziewczyna. Została na zewnątrz.

– Tracy Banks?

– Nie znam jej, a on nie wymienił imienia. Myślałem, że jego laska nazywa się Erin, ale z nim nigdy nie wiadomo.

– Ach, ten nasz Jaff, pies na baby.

– Tak.

– Dokąd się wybierali?

– Powiedział, że przyczają się w domku jej starego gdzieś na wsi, a jak sprawy przycichną, zwieje do Londynu.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem. Naprawdę, nie powiedział mi.

– Victor...

– Czemu miałbym kłamać?

– Nie wiem. Czas ucieka, masz poważne kłopoty. Na twoim miejscu mówiłbym prawdę. A ty nas oszukujesz, prawda?

Victor oblizał usta.

– Jaff ma kumpla w Highgate. Nazywa się Justin. Spotkałem go raz. Ma kontakty pośród przemytników. Ja się od tego gówna trzymam z daleka. Nie wiem, jak facet ma na nazwisko. Jaff powiedział, że pomoże mu załatwić fałszywy paszport i takie tam. Nie wiem nic więcej, słowo.

– Highgate to spora dzielnica.

– Naprawdę nie wiem nic więcej.

– Może Ciaran sprawi, że coś sobie przypomnisz?

Victor szarpnął więzy, ale nic dobrego z tego nie wyszło.

– Ale ja powiedziałem już wszystko.

Łysy spoglądał przez chwilę na piasek w klepsydrze.

– Ciaran, co o tym sądzisz?

Ciaran zmierzył Victora spojrzeniem. Zdawało się, że trwa to wieki, ale za to ostatnie ziarenka piasku przesypywały się przez klepsydrę. Prawie wszystkie spadły na dół. Victor czuł w ustach suchość, a kiedy próbował przełknąć ślinę, odniósł wrażenie, że w gardle uwiązał mu drut kolczasty. Wiedział, że jeśli to potrwa jeszcze chwilę, rozplącze się i będzie błagał o litość.

– E tam – burknął Ciaran i schował nóż na miejsce, po czym zwinął cały sprzęt. – Nie jest tego wart. Nic więcej nie wie.

Victor nieśmiało odetchnął.

– Miałeś fart, Vic – powiedział łysy, zabierając klepsydrę. Poczochrał go jak niegrzecznego chłopca i dodał: – Było blisko. Włączymy ci tę gównianą muzyczkę i sobie pójdziemy. Nie opowiadaj nikomu o naszych odwiedzinach. Nie chciałbyś się z nami znowu spotkać, co? A wiemy, gdzie mieszkasz. – Victor pokręcił głową.

– Grzeczny chłopiec – powiedział łysy, klepiąc Vica po twarzy tak silnie, jakby chciał go spoliczkować. – Idziemy, Ciaran.

Zgasili światło i ruszyli do drzwi.

– Uwolnijcie mnie chociaż – załkał Victor.

Łysy zatrzymał się w drzwiach.

– To kiepski pomysł – powiedział. – Ciaranowi mogłaby się ręka omsknąć, taśma jest cieniutka jak papier. Ale mam pomysł.

Podszedł do Vica i wyciągnął nóż z kieszeni.

– To dla twojego dobra – powiedział. – Nie martw się, ktoś cię znajdzie. Zawsze się tak kończy.

– Ale co ja powiem...?

Zanim Victor dokończył zdanie, łysy zakleił mu usta.

– Użyj wyobraźni, Vic. Coś wymyślisz.

Łysy wyszedł, zatrzymując się tylko po to, aby włączyć odtwarzacz.

Szpitala zawsze przygnębiały Banksa. Siedział w kawiarni, patrzenie na rodziców odwiedzających chore dzieci czy krewnych żegnających umierających na raka nie podnosiło go na duchu. Para przy stoliku obok rozmawiała o efektach ubocznych operacji prostaty. Próbował ich nie słuchać i skupić się na tym, co mówiła Winsome, ale nie potrafił. Kawa i batonik czekoladowy postawiły go na nogi. Pora obiadu dawno minęła, ale nie był głodny. Choć czuł senność, wiedział, że nie zmruży oka, nie po tym, jak widział

Annie na szpitalnym łóżku, i po tym, co usłyszał od Sandhara. Pielęgniarka powiedziała, że ojciec Annie, Ray, jedzie pociągiem z St. Ives.

– Z tego co mi powiedziałaś, Annie została postrzelona, kiedy przyjechała podać kwiaty u mnie w domu, tak? Nie pomyślała, że Tracy i jej chłopak mogą się tam ukrywać?

– Najwidoczniej nie. W przeciwnym razie wezwałyby wsparcie.

– Albo chciała chronić mnie lub Tracy – powiedział ponuro Banks. – Chciała utrzymać sprawę w tajemnicy i sama uporządkować sprawy. Mów dalej.

– Tak naprawdę to nie jest chłopak Tracy, tylko Erin Doyle.

– Erin została aresztowana za posiadanie broni bez zezwolenia.

– Tak, jest pod nadzorem policyjnym.

– Ten chłopak...

– Jaff. Nazywa się Jaffar McCready, ale wołają na niego Jaff.

– Najprawdopodobniej to on postrzelił Annie?

– Tak uważamy.

– Tracy zadzwoniła po pogotowie?

– Tak. – Winsome skinęła głową. – Zarejestrowano kobiecy głos, a numer odpowiada telefonowi Tracy. Słyszałam nagranie, moim zdaniem dzwoniła Tracy. Była bardzo przerażona.

– Nie dziwię się – mruknął Banks.

– Znaleźliśmy telefon niedaleko domu, w pobliżu miejsca, gdzie stał zaparkowany samochód. Był połamany, ale karta SIM przetrwała. Z danych wynika, że nie używano go od poniedziałku.

– Wtedy wybuchła cała afera, tak?

– Tak. Juliet Doyle pojawiła się w komisariacie i zawiadomiła o pistolecie w sypialni córki. Według Annie chciała się spotkać z panem.

– Ze mną?

– Tak, miała nadzieję, że pomoże pan rozwiązać tę sprawę po cichu i dzięki temu Erin się upiecze.

– Rozumiem – przytaknął Banks. – Mnie nie było i sytuacja potoczyła się w najgorszy możliwy sposób. Erin trafiła do więzienia, a Tracy pobiegła ostrzec tego chłoptasia.

– Na to wygląda – odparła Winsome.

– Co z Juliet Doyle?

– Mieszka u przyjaciółki Harriet Weaver. Nie wniesiono przeciwko niej żadnych oskarżeń.

– Oczywiście. Sądzę, że Jaff nie chciał, aby Tracy używała telefonu, dzięki któremu można by ich namierzyć. Ona była wręcz uzależniona od komórki. Zabrał go

w poniedziałek i wyłączył. Czy towarzyszyła mu z własnej woli? Na pewno nie. Jak sądzisz?

– Trudno powiedzieć – odparła Winsome. – To możliwe. Z zeznań Rose wynika, że Tracy z własnej woli pojechała do Jaffa, aby go ostrzec. Nie wiemy, jak się później potoczyły wypadki. Może dobrowolnie ukryła go w pańskim domu, może ją do tego zmusił. Panuje tam potworny bałagan, ale podobnie jak pan uważam, że nie przyczyniła się do postrzelenia Annie.

– Oczywiście – przytaknął Banks. – To absurd. Niezależnie od tego, jak się ta sprawa zaczęła, jej sytuacja jest ciężka. Stawiam na to, że została zakładniczką. Jaff McCready. Dość niezwykle nazwisko. Co o nim wiemy?

– Sprawdziłam chłopaka. Matka pochodziła z Bangladeszu. Zmarła kilka lat temu na raka piersi, miała jedynie czterdzieści lat. Była modelką, bardzo piękną, wyszła za Jacka McCready’ego. Pochodził z East Kilbride, ale stworzył na południu sieć zakładów bukmacherskich, dorobił się i zaczął inwestować w przemysł filmowy. Lubił przebywać w towarzystwie gwiazd i tak się poznali.

– Wszyscy lubimy – powiedział Banks. – Słyszałem o nim, chyba widziałem zdjęcia, na których obściskował się z jakimiś gwiazdkami. Pisano o nim w kolumnach plotkarskich. Nie spotkałem jeszcze bukmachera, któremu bym zaufał. Facet nie żyje, prawda?

– Zmarł osiem lat temu na zawał serca – potwierdziła Winsome. – Krążyły plotki, że prał brudne pieniądze, kombinował na koniach, ustawiał wyścigi i tak dalej. Niczego mu nie udowodniono. Zmarł za granicą. Rodzice Jaffara rozstali się, kiedy chłopak miał osiem lat. Matka wyjechała do Indii i stała się gwiazdą Bollywood. Jaffar polubił status syna gwiazdy, ale kiedy zmarła, został odesłany do Anglii. Miał trzynaście lat, ojciec wysłał go do szkoły z internatem. Chyba się nie kochali. Chłopak studiował na Cambridge. Filozofię.

– Zdolny?

– Przeciętnie, ale dawał sobie radę. Gdyby się bardziej przykładał, poradziłby sobie lepiej.

– O mnie też tak mówili. „Mógłby bardziej się starać”. Sprawiał kłopoty?

– Myślę, że bardziej jest dziwakiem niż awanturnikiem – odparła Winsome. – Na pewno nie jest to typ odgrywający się za spaprane dzieciństwo.

– Rozumiem, ale rany psychiczne mogą sięgać głębiej. Ile ma lat?

– Trzydzieści jeden.

– Pracował?

– Żadnych danych.

– Mieliśmy na niego oko?

– Nie. Rozmawiałam z Kenem Blackstone’em z West Yorkshire. Wiedzieli, że ktoś taki

istnieje. Podejrzewali go o handel narkotykami. Był łączony z nielegalną wytwórnią i kilka innymi sprawami. Jego stary kumpel z Cambridge jest pod stałą obserwacją. To śledztwo rozwojowe, ale toczy się powoli. Według Kena nie trafili na żadne twarde dowody. – Winsome wyjęła z teczki dwa szkice, które dostała od Rose Preston. – Tych dwóch przystojniaków szuka Jaffa i Tracy. Podają się za policjantów i przemaglowali współlokatorkę Tracy i Erin.

Banks przyjrzał się rysunkom. Były dobre, charakteryzowała je pewna kreska i subtelne cieniowanie. Choć Banks nie był ekspertem, to według niego Rose dobrze rokowała jako grafik.

– Twierdzi, że nazywali się Sandalwood i Watkins.

– Nieprawda – odparł Banks. – To Darren Brody i Ciaran French.

– Zna ich pan? – spytała Winsome. Była kompletnie zaskoczona.

– Na tym polega moja praca. Można powiedzieć, że przelotnie się poznaliśmy. Pracują dla George’ a Fanthorpe’a znanego jako Farmer.

– Słyszałam o nim.

– To dobrze. Bardzo stara się nie rzucać w oczy i lubi o sobie myśleć jako o baronie lokalnych ziem. Jest właścicielem mleczarni, sporych połaci ziemi, także stadniny koni. Mieszka niedaleko Ripon. Jego macki sięgają do Middleham, być może dalej.

– Może szukali Jaffa, bo jego ojciec prowadził zakłady? – podsunęła Winsome. – Tu może istnieć jakieś powiązanie.

– Wątpię – powiedział Banks. Może kiedyś, ale Jack McCready nie żyje od lat, a Fanthorpe praktycznie zmonopolizował rynek narkotykowy. Sprzedaje głównie kokainę i heroinę. Oczywiście sam się jej nie tyka, ale pociąga za sznurki. Sprzedaje studentom, używając mleczarni i handlu ziemią jako przykrywkę. Jest chyba jedynym mleczarzem, który nieźle sobie radzi w obecnych czasach. Konie to bardziej hobby niż zarobek. Rozrywka wiejskiego magnata. Choć sama stadnina może przynosić dochody.

– Skąd pan o nim tyle wie?

Banks dokończył kawę.

– Przez przypadek. Z sześć lat temu uciałem sobie pogawędkę z dilerem narkotyków. Nazywał się Ian Jenkinson i działał na Eastvale College. To był trop związany ze sprawą z West Yorkshire. Wygadał się na temat Farmera i jego powiązań z morderstwem w Woodhouse Moor. Zginął wtedy handlarz zaopatrujący studentów z Leeds, Marlon Kincaid. Jenkinson kupował od niego prochy, a on od Farmera. A przynajmniej powinien. Jak się okazało, działał na boku i zdenerwował szefa. Rozmawiałem z Fanthorpe’em, ale oczywiście wszystkiego się wyparł i koncertowo grał rolę porządnego biznesmena. Ale wyrobiłem sobie instynkt i nie dałem się nabrać.

– Nie zawiódł pana – powiedziała Winsome. – Miał pan rację.

– Doprawdy?

– Powiedział pan o Marlonie Kincaidzie. Nie zdążyłam powiedzieć, ale Kincaid został zabity z broni, którą znaleźliśmy w domu Doyle'ów.

– A to ciekawe.

Winsome skinęła głową.

– Nadzwyczajny zbieg okoliczności, prawda? Może powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z panem Jenkinsonem? Co się działo później?

– Jak mówiłem, to było badanie gruntu. Nie mogłem znaleźć nic, co by go łączyło z przestępstwami. Ludzie milczeli, bali się. Tropy nagle się urywały. Kiedy spotkałem się z nim drugi raz, przedstawił mi Ciarana i Darrena, współpracowników, jak to określił. Potem widziałem ich kilka razy: przejeżdżali obok mojego domu, robili zakupy w tym samym sklepie i tak dalej. Zawsze mili, grzeczni, pytali o rodzinę. Łagodne zastraszanie.

– Bał się pan?

– Trochę. Tych dwóch ma paskudną reputację. Darren jest bandziorem, wielkim i silnym, ale niepozbawionym inteligencji. Ciaranowi krzywdzenie ludzi sprawia przyjemność. Plotka głosi, że przynajmniej raz zabijali z rozkazu Fanthorpe'a, ale oczywiście mieli niepodważalne alibi. Nie było dowodów przeciwko nim. Tajemnicą poliszynela było, że Marlon Kincaid sprzedawał prochy studentom i większość ludzi uważała, że świat bez niego był lepszy. Sprawa pozostała nierozwiązana, nie było śladów łączących ją z Fanthorpe'em. Wiesz dobrze, że w tym biznesie łatwo o wrogów: od konkurencji po rodziców dzieciaków, które przedawkowały. Ludzie z West Yorkshire sprawdzili, co się dało, ale nic nie znaleźli. My z kolei nie mieliśmy praktycznie nic do sprawy Jenkinsona, więc nie mogliśmy się dostać do Farmera. Może gdyby specjaliści przejrzeni księgi rachunkowe, coś by na niego znaleźli, podobnie jak to było z Alem Capone. Niestety, nic na niego nie mieliśmy. Centrala kazała odpuścić. Mieliśmy ważniejsze rzeczy do roboty. Fanthorpe odszedł w niebyt, z małą adnotacją, żeby o nim pamiętać. Ciaran i Darren przestali mnie nękać. Nie zapomniałem o nich, ale też nie zamęczam się rozpamiętywaniem tamtych wydarzeń.

Winsome spojrzała na rysunki.

– Rozumiem. Paskudne typy. Nie boją się, że ktoś na nich doniesie?

– Nie. Ich taktyka polega na straszaniu, że następnym razem będą bardziej nieprzyjemni. Na ogół zadają się z takimi samymi szumowinami jak oni, a ci wolą nie gadać. Rose jest inna, nie działa według ich reguł.

– Będą ją nękać? Powinniśmy dać jej ochronę?

– Nie sądzę. Była źródłem informacji, których potrzebowali, i odegrała swoją rolę. Nie

sądzę, aby się nią interesowali. Idą dalej jakimś tropem i nie przejmują się, czy o nich wiemy, czy znajdziemy ich odciski palców w domu. W razie czego znowu się okaże, że mają żelazne alibi. Mamy jeszcze jakieś poszlaki oprócz tych wynikających ze strzelaniny w moim domu? Chcę jak najszybciej dorwać tego gnoja, który porwał moją córkę. Wybacz ostry język.

– Wiem, że jest pan bardzo wzburzony – powiedziała Winsome.

– Dziękuję.

– Miałam pana o coś spytać.

– Tak?

– Zawiadomi pan rodzinę o Tracy? Briana? Sandrę?

Banks nie odpowiedział, tylko gładził się po nosie palcem wskazującym i kciukiem. Cukier i kawa przestały działać, miał ochotę zwinąć się w kłębek i pójść spać. Dookoła słyszał szum głosów i buczenie rozmów.

– Nie wydaje mi się – odparł. – Przynajmniej nie teraz. Ostatnie, czego potrzebuję, to Sandra na karku i Brian, który próbuje pomóc, a tak naprawdę przeszkadza. Tylko by wchodzili w paradę. Poza tym jest w trasie z zespołem.

– Ale chyba lepiej, aby dowiedzieli się o tym od nas niż z prasy czy telewizji. Nie damy rady ukrywać tych informacji w nieskończoność.

– Pewnie tak, ale po co martwić ich już teraz? W najgorszym wypadku sam ich poinformuję za jakiś czas, a w najlepszym opowiemy o wszystkim, gdy już będzie po zamieszaniu, lub w ogóle nie piśniemy słowa.

– A dziadkowie Tracy?

– Wyplłynęli w rejs – odparł. – To ostatnio ich ulubione zajęcie.

Winsome wzruszyła ramionami.

– To pańska decyzja. Dowiedzą się o wszystkim po powrocie.

– Zapewne, ale będę się tym martwił później. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Co jeszcze wiadomo?

– Nie mam pojęcia, byłam na lotnisku, więc nie znam najnowszych szczegółów.

– Rozumiem. Wielkie dzięki za pomoc. Jedźmy do komisariatu, muszę się dowiedzieć, jaka w tym będzie moja rola. Nie usiedzę w domu, choć wątpię, aby madame Gervaise dopuściła mnie do sprawy.

– Chce się widzieć z panem jak najszybciej. Na pewno znajdzie panu jakieś zajęcie. Co do bezczynnego siedzenia w domu, chyba musi pan wymyślić coś innego.

– Dlaczego? – spytał Banks, marszcząc brwi.

– Zapomniał pan o procedurach? Nie może pan wrócić, to miejsce zbrodni.

W drodze do zachodniej komendy głównej Banks telefonicznie załatwił sobie tymczasowe lokum. Pani Haggerty była wstrząśnięta strzelaniną we wsi.

– Do czego to doszło? – mówiła. – I to w domu policjanta!

Nie omieszkała wspomnieć, że ostatnia strzelanina miała miejsce w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, kiedy miejscowy farmer pomylił wędrownego trampa z niemieckim szpiegiem. Sprawa skończyła się na niegroźnych obrażeniach i nikomu nie postawiono żadnych zarzutów.

Mieszkanie, które wynajmowała Banksowi po pożarze jego domu, stało puste. Co prawda rezerwacja należała do amerykańskiego małżeństwa, ale straciło ono oszczędności i pracę podczas ostatniego krachu, toteż w ostatniej chwili odwołali przyjazd. Banks był rad, że przynajmniej pod tym względem ominą go przykre zmiany i będzie mieszkał w znajomym miejscu. W walizce miał przybory toaletowe i ubrania, które zabrał na wyjazd, a w mieszkaniu była pralka. Przynajmniej na jutro będzie miał czyste rzeczy.

Budynek komendy był zatłoczony bardziej niż zwykle, ale sprawa postrzelenia Annie sprawiła, że panowała w nim ponura atmosfera. Kilku oficerów powitało go milczącym skinieniem głowy. Winsome pomogła mu wnieść bagaż na piętro, po czym ruszyła dowiedzieć się, czy w sprawie poczyniono jakieś postępy.

Kiedy wszedł do gabinetu, okazało się, że ktoś już zajął pomieszczenie. Zmęczenie podróżą i stres dały się we znaki Banksowi. Stracił resztki cierpliwości.

– Co ty tu, u licha, robisz? Dlaczego panoszysz się w moim gabinecie? – powiedział, stawiając walizkę na podłodze. – Wynocha!

– Witamy w domu – odparł nadinspektor Chambers, nie ruszając się z fotela Banksa. – Nie powiedziano mi, że wracasz, ale skoro już tu jesteś, możemy uciąć sobie pogawędkę.

Tym razem Banks zignorował mówiącego. Rozejrzał się po gabinecie, ale wyglądało na to, że nie ruszono żadnej z jego rzeczy. Szuflady i szafkę z aktami zamknął przed wyjazdem. Oczywiście klucz otwierający wszystkie zamki miała Gervaise i raczej nikomu by go nie dała. Hasła do komputera Chambers nie zgadłby nawet za dziesięć lat.

– Po coś tu przylazł?

– Wykonuję swoją pracę, inspektorze Banks. Prowadzę dochodzenie, co oznacza, że kieruję tym posterunkiem.

– Nie wydaje mi się.

Chambers wstał i machnął dłonią.

– Proceduralne przepychanki. Nieważne, nie chciałbym zaczynać od kłótni. Twój gabinet to jedyne spokojne miejsce w tym wariatkowie. Potrzebowałem chwili skupienia

i ciszy. Nie martw się, niczego nie dotykałem. Twoje królestwo z powrotem należy do ciebie. – Podniósł kilka teczek leżących na biurku. Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się w pół kroku – Pójdę już, chyba że...

– Co?

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Miałem zamiar spotkać się z tobą za jakiś czas, ale skoro cię widzę... Jeśli nie masz nic przeciwko. Rozumiem, że właśnie wróciłeś?

Banks podszedł do okna i wyjrzał na brukowany rynek. Na szczęście tam nic się nie zmieniło. Odwrócił się i usiadł na zimnym parapecie.

– Czego chcesz? Nie było mnie tutaj, więc nie próbuj mnie w coś wrabiać.

– Twoje nazwisko przewija się w sprawie, znasz ludzi w nią uwikłanych. Możesz mi pomóc.

– Wątpię.

– Pomimo to... Słyszałem, co się przytrafiło Annie Cabbot. – Chambers zmarszczył brwi, a jego czoło przebiegła głęboka bruzda. – Jak ona się trzyma?

– Ledwo, ledwo – odparł Banks. Zajął miejsce w swoim fotelu, nadal nieprzyjemnie nagrzanym od ciała Chambersa. Wskazał tamtemu krzesło po przeciwnej stronie. – Miejmy to za sobą – powiedział.

Wolałby rozmawiać z nim później, ale istniał cień nadziei, że zdobędzie jakieś użyteczne informacje. Nie zamierzał okazywać słabości czy zmęczenia, bo na nich zerował inspektor.

– Świetnie. – Chambers usiadł na wskazanym miejscu i podrapał się po głowie. – Zakładam, że wiesz, co się tutaj działo pod twoją nieobecność?

– Tak – odparł Banks.

– Moim zadaniem jest dotrzeć do sedna spawy.

– Ty chcesz zwalić winę na kogoś, kogo prasa uzna za odpowiedniego kozła ofiarnego. Zagrania pod publiczność i PR. Nie gloryfikuj tego i pamiętaj, z kim rozmawiasz.

– No, z takim nastawieniem to nigdzie nie dojdziemy.

– Nie zgrywaj urażonej niewinności. To ty chcesz czegoś ode mnie. Przejdź do rzeczy i pamiętaj, kim jestem. Nie posterunkowym, który zapomniał odpalić ci tygodniowej doli.

Chambers prychnął.

– Moim obowiązkiem jest przesłuchanie wszystkich policjantów mających związek ze śmiercionośnym użyciem paralizatora, w wyniku którego zginął Patrick Doyle. Muszę także zbadać okoliczności, które doprowadziły do tego niefortunnego wydarzenia podczas rutynowej operacji.

– Rutynowej? Z tego co słyszałem, nie było w niej nic rutynowego.

– Być może wprowadzono cię w błąd lub niedoinformowano.

– To bez znaczenia – odparł Banks. – Nie było mnie w kraju, nie jestem zamieszany w tę sprawę.

– Z tego co wiem, kobieta, która zawiadomiła o broni, chciała się z tobą spotkać.

– Tak, Juliet Doyle była moją sąsiadką, to wszystko. Nie rozmawiałem z nią.

– Jak dobrze się znacie?

– Powiedziałem już, byliśmy sąsiadami.

– To wszystko?

– Przeciągasz strunę, Chambers.

– Czyli byłeś przyjacielem rodziny Doyle'ów?

– Tak.

– Także ich córki?

– Tak. Patrick był mi bliski, więc daruj sobie jakiegokolwiek insynuacje. Do niczego cię nie doprowadzę.

– Ciekawi mnie, dlaczego ta kobieta pytała właśnie o ciebie i sądziła, że pomożesz jej w sprawie broni.

– To naturalne, że w trudnej sytuacji szukasz czyjejś rady.

– Może liczyła na specjalne traktowanie?

– Nie wiem. Trudno mi spekulować na temat jej motywów. Ty także nie powinieneś.

Jak mówiłem, w trudnych sytuacjach ludzie zwracają się o pomoc do przyjaciół.

– Sądzisz, że pani Doyle знаła konsekwencje nielegalnego posiadania broni?

– Nie mam pojęcia. Raczej nie. Większość ludzi nie zdaje sobie z nich sprawy.

– Ciekawi mnie to, bo mówimy o jej córce, której groziła nieunikniona odsiadka.

– Zrobiła to, co uważała za stosowne.

– Łatwo ci mówić.

Banks wstał z fotela i znowu podszedł do okna. Tym razem spojrzął na sklep mięsny znajdujący się po prawej stronie rynku. Rzeźnik zbierał wędliny z wystawy, a jego pomocniczka czyściła tace. Przez drzwi wpadła spóźniona klientka. Rzeźnik uśmiechnął się i podszedł, aby ją obsłużyć. Banks spojrzął na Chambersa i zapytał:

– Po co te pytania? Co chcesz osiągnąć? Powinieneś zająć się tymi z jednostki wsparcia.

– Nie mów mi, co mam robić. – Chambers huknął dłonią o blat. – Kobieta pytała o ciebie i chcę wiedzieć, co byś zrobił, gdybyś był na miejscu.

– Ach tak – westchnął Banks. – Teraz bawimy się w spekulacje i domysły?

– Zginął człowiek.

– Nie musisz mi przypominać, był moim przyjacielem.

– Zdołałbyś temu zapobiec?

– Skąd mam wiedzieć? Jakże to ma znaczenie? I tak nie miałbym wpływu na to, co się

tu stało. Chcesz wiedzieć, jak bym postąpił? Zdobyłbym jak najwięcej informacji od pani Doyle, zweryfikował je i ocenił sytuację. Sporządziłbym notatkę służbową i przekazał ją do centrali jednostki kontrolnej. Stamtąd informacja dotarłaby do oficera zarządzającego sytuacjami kryzysowymi w regionie i na podstawie jego oceny zastosowano by odpowiednie środki, czyli wysłano właściwie przygotowany zespół operacyjny. Naprawdę chcesz, abym kontynuował?

– Nie, wystarczy.

– Takie są procedury. Nie ucz ojca dzieci robić, Chambers.

– Nie pojechałbyś tam osobiście?

– Cóż, to byłoby najlepsze rozwiązanie, ostatecznie spodziewali się mnie. Pojechałbym z panią Doyle, nie musiałbym wyłamywać drzwi, nie miałbym paralizatora ani broni, ale złamałbym regulamin. A może chciałbyś usłyszeć coś innego?

Chambers wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Prychnął i wycedził przez zęby:

– Utrudniasz dochodzenie. Zaznaczę to w raporcie.

– Niczego nie utrudniam. Na razie bawisz się w wymyślanie, co by było gdyby. To, co się stało, to zupełnie inna sprawa. Byłem kilka tysięcy kilometrów stąd. Ale pisz, co chcesz... – Chambers wstał i ruszył do drzwi. Zanim wyszedł, Banks dorzucił:

– Weź pod uwagę, że sytuacja się zmieniła, odkąd zacząłeś to swoje polowanie na czarownice...

– Wypra...

– Policjantka została postrzelona. Annie Cabbot to moja przyjaciółka i partnerka. – Banksowi głos się załamał, kiedy mówił te słowa. Słowo „partnerka” dziwnie zabrzmiało w jego ustach. Trzy tygodnie w Ameryce i lektura *Sokoła maltańskiego* wpłynęły na jego słownictwo. Kiedyś powiedziałby „współpracowniczka” czy po prostu „detektyw”. Ale „partnerka” pasowało jak ulał. Będzie tak mówił o Annie. W kryminale padło zdanie, że kiedy partner detektywa ginie, ten musi wyjaśnić sprawę. Bogu dzięki Annie nie umarła, ale musiał coś zrobić. Usadzenie Chambersa w miejscu mogło być dobrym początkiem. Annie by się ucieszyła.

– Policjantka ledwie uniknęła śmierci. Prasa i politycy nie będą się przejmować paralizatorem, staną po naszej stronie. Zacznie się nagonka na posiadaczy nielegalnej broni i nic ci nie przyjdzie z policjanta w roli kozła ofiarnego.

– Nie wiem, co insynuujesz...

– Pomyśl o tym. Sytuacja uległa zmianie. Jeśli chcesz zostać ulubieńcem mediów, musisz nadażać za zmianami. Upewnij się, że będziesz po właściwej stronie. Zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodził.

Kiedy Chambers miał je zatrzasnąć, zjrzała nadinspektor Gervaise:

– Nie przeszkadzam za bardzo? O, nadinspektor Chambers? Widzę, że już się pan zadowił. Alan, witamy z powrotem. Może napijemy się herbaty i pogadamy? Zapraszam do mnie.

Tracy widziała, że Jaff jest zmęczony marszem. Od godziny szedł w milczeniu i najwidoczniej próbował obmyślić nowy plan. Marzył, aby wyrosły mu skrzydła. Wędrowali od lasu do lasu. Kiedy tylko mogli, korzystali z osłony drzew, trzymając się jednocześnie jak najdalej od dróg. Unikali nawet tych najrzadziej uczęszczanych. W pewnym momencie musieli ponad godzinę iść zarośniętym rowem, przedzierając się przez pokrzywy. Obydwoje ubłocili się przy tym niemiłosiernie. Tracy pocieszała się myślą, że ktoś na pewno już znalazł porzucony samochód. Zastanawiała się, kiedy policja wpadnie na to, że jej zniknięcie, postrzelenie Annie i sprawa Jaffa są ze sobą powiązane? Czy wiedzieli o Vicu? Czy Annie przeżyła? Było tyle pytań i żadnej odpowiedzi.

Od domu dzieliło ich szesnaście, osiemnaście kilometrów, z czego pokonali ledwie pięć, zanim samochód się zepsuł. Zapuscili się na wrzosowiska głębiej, niż kiedykolwiek zawędrowała z ojcem. Tego terenu nie знаła, nie słyszała też już warkotu śmigłowca. Gdyby ktoś zauważył ich z oddali, uznałby za parę wędrowców, choć umiejętności Jaffa pozostawiały wiele do życzenia. Szedł tak, jakby spacerował po mieście, nie zwracając uwagi na to, co jest przed nim czy dookoła. Z tego powodu wywracał się raz po raz. Tracy przeciwnie, cały czas była czujna, lecz ani razu nie nadarzyła się sytuacja, która umożliwiłaby jej ucieczkę. Jaff nie zamierzał jej spuszczać z oka po tym, jak próbowała zwać, kiedy zepsuł się samochód. Poranne upokorzenie wyraźnie to udowodniło.

Było południe, kiedy dotarli do grzbietu długiego trawiastego wzgórza. Po jego drugiej stronie, u podstawy, dostrzegli parking. W okolicy nie było żadnej wsi, domów, nic oprócz parkingu, przenośnych toalet i parkomatów. Wysypana tłuczniem i kamieniami droga prowadziła za następne wzgórze. Po przeciwnej stronie wyrwa w kamiennym murku otwierała się na ścieżkę oznaczoną drewnianymi palikami. Tracy poznała to miejsce.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Jaff.

Leżeli na trawie, spoglądając w dół zbocza. Trawa łaskotała Tracy w nos, więc zaczęła się intensywnie drapać.

– To parking niedaleko Rawley Force. Ludzie przyjeżdżają, aby podziwiać widoki i spacerować po okolicy.

– Ile zajmuje im rundka?

– Około trzech i pół godziny. Co ty kombinujesz?

– Niech cię to nie obchodzi. Mam pomysł. W trzy i pół godziny dojedziemy do Londynu.

Annie poczuła, że ogarnia ją desperacja.

– Musisz wymyślić coś lepszego – powiedziała. – Każdy gliniarz w kraju cię szuka.

Postrzelileś Annie Cabbot, wiesz, jak traktują zabicie policjanta.

– Głupia dziwka sama się o to prosiła.

Tracy westchnęła.

– Jestem głodna – powiedziała, mając nadzieję, że choć na chwilę odciągnie Jaffa od realizacji planu.

– Ja też – burknął. – Ale to może poczekać. Chodźmy.

Trzymając się drugiej strony zbrocza, obeszli je łukiem i zbliżyli się do parkingu. Kiedy byli nad nim, nie więcej niż sto metrów, Jaff kazał jej się położyć na ziemi.

– Dojedziemy stąd do autostrady? Nie kłam, bo pożałujesz.

Tracy pokazała w lewo.

– Musimy pojechać w lewo, to jedyna droga. Potem skręcimy w lewo, na szosę i w końcu dotrzemy do autostrady. Łączą się na południe od Leeds.

– Wiem, gdzie to jest.

Tracy wstała, ale Jaff pociągnął ją z powrotem na ziemię.

– Nie śpiesz się tak. Poczekamy, aż przyjedzie następny samochód. Będziemy wtedy wiedzieli, że mamy sporo czasu.

Zrezygnowana Tracy położyła się na brzuchu. Nie musieli długo czekać. Popołudnie było piękne, lekki wiatr chłodził rozgrzanych upałem ludzi, którzy nabierali ochoty na spacer. Na parking zajechała stara biała półciężarówka. Wysiadła z niej młoda para i zaczęła się szykować. Spodnie wpuścili w skarpety, mieli kijki, a na szyi chłopaka dyndały zafoliowane mapy.

– Idealnie – szepnął Jaff.

– Jak go uruchomisz? Co z autoalarmem?

– W takim starym gracie? Łatwizna.

I rzeczywiście. Zeszli po zboczach, Jaff wywrócił się tylko raz, klnąc przy tym. Podeszli do samochodu i upewnili się, że nikt ich nie widzi. Jaff, nie wysilając się zbyt, otworzył tylne drzwi jednym z kluczy, jakie nosił w kieszeni spodni, po czym bez trudu zwarł kable i uruchomił silnik. Wnętrze auta pachniało drewnem i farbą.

– Widzę, że dla ciebie to nie pierwszorzyna – powiedziała Tracy.

– Miałem trudne dzieciństwo. Pracowałem dla kołosa, który przerzucał za ocean luksusowe bryki. Czaisz? To było wiele lat temu, zaraz po uniwerku. Te nowsze są trudne do złamania, mają komputery i elektronikę w kluczykach. Starsze to małe piwo. Ten grat jest idealny, nikt na niego nie zwróci uwagi. – Zabębnił palcami o kierownicę i krzyknął z radości: – Do Londynu!

Chwilę później samochód ruszył i potoczył się w stronę szosy.

– Alan, wyglądasz potwornie – powiedziała Gervaise. Siedzieli w jej gabinecie, było popołudnie i pili herbatę.

– Potrzebuję odrobiny snu i będę jak nowo narodzony – odparł Banks. – Inna rzecz, że nie liczę na szybki odpoczynek.

– Mam nadzieję, że nie masz żalu o dom. Sam rozumiesz, nie mieliśmy wyboru. Jeśli chcesz, załatwimy ci jakieś lokum.

– Zadbałem o to – powiedział Banks. – Przydałby mi się samochód. Mój stoi w garażu, jeśli stamtąd nie zniknął.

– Jest na miejscu – zapewniła Gervaise. – Możesz pożyczyć jeden z naszych. Jak się trzymasz, Alan? Pytam najzupełniej poważnie. Powinniśmy cię przywitać, a tymczasem nie mamy jak tego zrobić.

– Czuję się tak kiepsko, jak wyglądam. – Banks westchnął. – Powrót był koszmarem. Kiedy zobaczyłem Annie na szpitalnym łóżku... – Pokręcił głową i odwrócił się. W jego oczach stanęły łzy. Nabrał głęboko powietrza, czując, jak gniew odpływa. Upił łyk herbaty i dodał: – Muszę się jakoś trzymać. Na nic się nie przydam, jeśli poddam się rozpacz.

– Nie jesteś odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje dookoła. Myślę, że powinieneś się przespać.

– Boję się, że nie zmrużę oka. Nie kiedy Annie jest o krok od śmierci, a Tracy z tym wariatem. Mogłabyś spać spokojnie?

– Prawdopodobnie nie. Jak udały się wakacje?

– Były wspaniałe. Naprawdę. Takie jak zalecił lekarz. Przyniosły mi ogromną ulgę. Niestety, teraz wydają się odległym wspomnieniem. – Rzeczywiście, ledwie mógł uwierzyć, że wczorajszego ranka obudził się u boku Teresy w pokoju hotelowym w San Francisco, zjedli razem śniadanie w Monako i pożegnał ją, gdy szła do taksówki. Banks miał jeszcze sporo czasu do odlotu. Ostatni raz przespacerował się przez Union Square, zjadł obiad w Scala's Bistro niedaleko Sir Francis Drake's Hotel, potem się spakował i po oddaniu kluczy udał na lotnisko. Był piękny, słoneczny dzień. Błękitne niebo, kłębiaste obłoki, bryza znad Pacyfiku nie zapowiadały koszmaru, jaki go czekał.

– Rozumiem, że wiesz, co się dzieje? – spytała Gervaise.

– Z grubsza.

– To bardzo delikatna sprawa – powiedziała, splatając dłonie. – Mamy zbyt mało ludzi i za dużo pracy, a na dodatek na ręce patrzy nam Chambers.

– Nie przejmowałbym się nim za bardzo.

– Ty nie, ja muszę. Chciałabym, abyś nie zachowywał się...

– Jak słoń w składzie porcelany?

Gervaise uśmiechnęła się:

– Chciałam to ująć nieco delikatniej, ale o to mi chodziło. Tak.

– Będę chodził na paluszkach.

– Świetnie, czyli jedną sprawę mamy z głowy. Druga rzecz, możesz myśleć, że skoro nie było cię w kraju, kiedy rozpętało się piekło, to możesz pracować nad tą sprawą, ale są trzy powody, dla których nie mogę ci na to pozwolić.

– Annie i Tracy, tak?

– Tak, to dwie osoby, z którymi jesteś emocjonalnie związany. Z tego powodu nie jesteś obiektywny i nie możesz brać udziału w śledztwie. Znałeś Doyle'ów, prawda?

– Owszem. Nasze dzieci razem dorastały. Od jakiegoś czasu ich nie widziałem, ale nie mogę pogodzić się z tym, co się stało.

– To straszna sprawa. Wiem też, że byliście sobie z Annie bliscy. Na dodatek nie mamy pojęcia, jak głęboko w tym siedzi Tracy.

– Najważniejsze jest to, że może być w niebezpieczeństwie, a my musimy ją znaleźć, prawda?

– Tak, oczywiście. Działamy na pełnych obrotach. Budżet już wylądował w koszu. Pomaga nam pogotowie. W zasadzie helikopter powinien właśnie startować w nowy kurs. Zamierzałam powiedzieć, że śledztwo może nas zaskoczyć, i nie chcę, żebyś miał problemy. Nie chcę też, by Chambers czy ktokolwiek inny miał pretekst, aby oskarżyć cię o utrudnianie śledztwa lub mataczenie.

– Mataczenie?

– Wiesz dobrze, o czym mówię. Może się okazać, że twoja córka siedzi w tym bagnie po uszy. Ktoś mógłby pomyśleć, że zechcesz zacierać ślady.

– Doceniam twoją szczerłość, ale widzę, że nie znasz mnie czy mojej córki tak dobrze, jak sądzisz.

– Alan, nie musisz się tak unosić.

– A czego się spodziewasz? Oskarżasz moją córkę o to, że jest bandziorem, a mnie o fałszowanie dowodów. Spodziewasz się, że co? Przyklasnę temu?

– Już, już. Przepraszam. Być może powiedziałam za dużo. Uspokój się, proszę. Ostatnie dni nadwerężyły nerwy nam wszystkim. Chciałam podkreślić, że Chambers jest przeciwny twojemu udziałowi w śledztwie. W tej kwestii się z nim zgadzam. Wiem, jak potrafisz się zachować. Jeśli uważasz coś za słuszne, zrobisz to, nie zważając na moje ostrzeżenia. A to może oznaczać kłopoty dla nas wszystkich. Nie możemy cię zamknąć w celi, ale jeśli zaczniesz działać na własną rękę, Bóg jeden wie, jakich szkód narobisz. Dlatego rozmawiałam z McLaughlinem, a on z kolei z głównym inspektorem i zgodziliśmy się, że istnieją powody, dla których twoja wiedza i osobista ocena mogą być przydatne w tej sprawie. Musisz natomiast o czymś pamiętać. Nie pozwól, aby uczucia przejęły nad

tobą kontrolę. Oczekujemy obiektywizmu, Alan, nie brawury. Dasz radę? Będziemy cię uważnie obserwować. Co więcej, nie wolno ci się mieszać w sprawę użycia paralizatora. Nadinspektor Chambers...

– Jak dla mnie może wrócić do psiarni i wylizywania sobie jaj.

– Ciekawa wizja, ale wolę się nad nią nie zastanawiać. Wiem, że nie przepadacie za sobą, ale on ma pewne wpływy na górze.

– Ludzie jego pokroju zawsze mają konszachty.

– Alan, próbuję ci pomóc.

– Wiem, wiem – odparł Banks. – Bardzo dziękuję. Tak, zgadzam się, będę trzymał nerwy na wodzy i zachowywał się grzecznie. Nie tknę sprawy paralizatora i nie zabiję tego skurwiela, który porwał moją córkę, nawet gdy go dopadnę. Nie będę mataczył i wchodził Chambersowi w drogę. Wystarczy?

– Chyba musi, prawda? Przejdźmy do konkretów.

– Świetnie. Czy wiemy coś jeszcze o broni?

– Naomi Worthing z biura badań balistycznych dzwoniła dosłownie przed chwilą z Leeds. W archiwach wydziału zabójstw West Yorkshire znalazła pociski, którymi zabito Marlona Kincaida. Śledztwo prowadził nadinspektor Quisling. Jest już na emeryturze i mieszka w Shipley. Zabójca zostawił łuski na miejscu zbrodni, więc będzie można porównać zarówno kule, jak i zawartość magazynka. Naomi zrobi to, kiedy wróci do laboratorium.

– Odciski palców?

– Nic nowego, żadnych, które figurowałyby w bazie danych. Sprawdziliśmy, czy nie pasują do Erin Doyle i jej matki. Efekty takie same. A raczej ich brak.

– Trzeba je porównać z odciskami Jaffa McCready’ego.

– Sprawa jest w toku. Policja z Leeds pracuje nad nakazem rewizji jego mieszkania. Zdejmą odciski z jego rzeczy osobistych.

– Poproś też o zdjęcie. Czy media...?

– Nadal ekscytują się użyciem paralizatora i postrzeleniem Annie. Boże, Alan, wciąż nie mogę w to uwierzyć. To się zdarzyło wczoraj, ale sprawy toczą się tak szybko. Na razie mają o czym pisać, ale wkrótce dojdą prawdy. Nie spuszczają nas z oka. Póki co staramy się nie puścić pary z gęby. Nie wiedzą o poszukiwaniach ani o tym, że w sprawę zamieszana jest córka oficera.

– Doceniam twoje starania. Tracy nie jest zamieszana, została porwana.

– Alan, nie mamy żadnych dowodów, tylko zniszczony telefon.

– Nie wmówisz mi, że Tracy miałaby coś wspólnego z postrzeleniem Annie Cabbot czy w ogóle z jakąś bronią.

– Wiesz dobrze, że nie o tym mówię. Jestem po twojej stronie. Przestań łapać mnie za słówka. Musimy rozegrać tę sprawę ostrożnie. Jak mówiłam, na razie milczymy na ten temat, ale mają swoje sposoby...

– I dobrze je znamy. Musimy działać szybciej od nich. Trzeba pogadać z Ianem Jenkinsonem, a potem...

– Poczekaj, Alan. Nie nadążam za tobą.

– Winsome nie powiedziała ci o niczym?

– O czym? Nie miałam okazji z nią rozmawiać.

Banks opowiedział jej o zabójstwie Marlona Kincaida i przesłuchaniu Iana Jenkinsona. Przypomniał o Darrenie i Ciaranie oraz o tym, że szukają Tracy i Jaffa. Nie omieszkał wspomnieć, że są ludźmi Farmera.

Gervaise aż gwizdnęła.

– W świetle tego co mówisz, zdecydowanie musimy uciąć sobie pogawędkę z Jenkinsonem, a potem z nadinspektorem Quislingiem. Poślę Douga Wilsona i Geraldine Masterson.

– Jak broń znalazła się u Erin? Zakładamy, że od początku należała do McCready’ego, a Erin w pewnym momencie ją zabrała?

– Nie mamy żadnych dowodów i nie wysunęliśmy jeszcze oskarżeń. Jest pod naszą obserwacją. Przypuszczamy, że było tak, jak mówisz. Annie tak sądziła, a Winsome się z nią zgadza. Cały czas badamy przeszłość McCready’ego, ale nadal nie wiemy, dlaczego pistolet znalazł się w rękach Erin.

– Albo dał go jej na przechowanie, albo sama go zabrała.

– Czemu miałyby go oddać?

– Może spodziewał się wizyty policji? Trzeba spytać Kena Blackstone’a z Leeds. McCready mógł planować coś na własną rękę i bać się, że jeśli plan nie wypali, policja przeszuka mu mieszkanie.

– Jasne. Dlaczego mogła sama ją wziąć?

– Pokłóciła się z nim? Chciała go wkurzyć, odegrać się, przyciągnąć uwagę?

– Mamy poszlaki mówiące, że noc wcześniej mieli sprzeczkę w nocnym klubie. Następnego dnia Erin wróciła do domu z pistoletem. – Gervaise odchrząknęła. – Co gorsza, w świetle tych informacji wiemy, że twoja córka była w to zamieszana.

– Tracy? – zdziwił się Banks. – Nie słyszałem o tym. W jaki sposób była zamieszana?

– Zazdrość.

– Tracy i Erin pokłóciły się o tego McCready’ego?

– Na to wygląda.

Banks ukrył twarz w dłoniach. Nagle poczuł się jeszcze bardziej zmęczony.

– Sądziłem, że ma więcej rozumu.

– Bardzo mi przykro.

– Nie ma powodu, żeby ci było przykro.

– Wręcz przeciwnie.

– Jak sądzisz, co się stało? – spytał Banks.

– Z tego co udało nam się ustalić, Erin i McCready pokłócili się, ale wrócili razem do jego mieszkania. Być może się pogodzili, ale znowu doszło do kłótni. Jeszcze w nocy albo następnego ranka.

– Gdzie wtedy była Tracy?

– W domu, który wynajmowała z Erin. Uważamy, że McCready pojechał do Londynu albo Amsterdamu na weekend. Najprawdopodobniej w piątek rano. Jeśli Erin została sama, mogła znaleźć broń i zabrać ją, żeby zrobić mu na złość. Potem uznała, że pojedzie do rodziców, żeby, jak to mówi młodzież, wyluzować się trochę.

– To by wyjaśniało, czemu McCready nie skontaktował się z nią w weekend.

– Właśnie. Nie wiedział, że Erin wzięła broń – przytaknęła Gervaise. – Nie było go w domu, najprawdopodobniej nie sprawdzał codziennie, co się dzieje z pistoletem.

– Po co Tracy poszła do McCready’ego?

– Przypuszczamy, że chciała go ostrzec przed policją.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Mogę zgadywać, podobnie jak ty. Jak sądzisz?

– Chcesz powiedzieć, że Tracy wiedziała, z jakim człowiekiem ma do czynienia, a mimo to chciała go uprzedzić?

– Tak mogło być.

– Jak to?

– Jesteśmy przekonani, że McCready dostarczał ecstasy do miejscowych klubów. Być może i inne prochy.

– Sugerujesz, że Tracy może coś brać?

– Kto wie? Może tak. Alan, tak naprawdę nie wiemy, jak się bawią nasze dzieci. Chcę powiedzieć, że Tracy mogła zdawać sobie sprawę z tego, że McCready ma powiązania z narkotykami, i lubiła go na tyle, by ostrzec. Dzieciaki mają inne priorytety niż my.

– I dała nogę razem z nim?

– Na to wygląda. Z początku pewnie myślała, że to będzie przygoda. Nikt nie zginął. Pamiętaj, że informacja o śmierci Patricka Doyle’a została ujawniona dopiero w momencie, kiedy opuścili mieszkanie McCready’ego. Poza tym zginął od paralizatora, a nie od kuli. To był wypadek.

– Skoro owinął sobie Erin wokół palca i zajął się Tracy, spora część tajemnicy została

wyjaśniona – mruknął Banks. – Czy wiedziała o pistolecie? Mówiono o nim w wiadomościach?

– Nie, nie podaliśmy wtedy tej informacji, ale jedna ze stacji telewizyjnych zarejestrowała, jak policjanci z oddziału interwencyjnego wynoszą z domu przedmiot w kształcie pistoletu zawinięty w ścierkę stołową. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, do czego doszło.

– A więc McCready się domyślił, sprawdził schowek i zobaczył, że Erin zabrała pistolet.

– Tak. Nie wiemy, czy powiedział Tracy, i to jest kłopot.

– Jednego jestem pewien – powiedział Banks. – Nawet jeśli Tracy z początku poszła z McCreadym z własnej woli, to po tym, jak urządził Annie, nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Może robić błędy: brać narkotyki i wybierać sobie fatalnych chłopaków, ale to dobra dziewczyna. Jestem tego pewien.

– Nie zamierzam się z tobą sprzeczać, Alan. Szczerze mówiąc, także uważam, że jest w niebezpieczeństwie. Nie chciałam cię niepotrzebnie denerwować. Gdyby nie to, jak oceniam sytuację, nie mówiłabym ci tego, co przed chwilą usłyszałeś. Musimy ich znaleźć i zakończyć tę sprawę jak najszybciej.

– Jak idą poszukiwania?

– Potrzebujemy więcej ludzi. Mamy spory teren do przeszukania.

– Gdzie dokładnie? – spytał Banks.

– Znasz te rejony lepiej ode mnie, ale wątpimy, aby udali się drogą do Eastvale. Od razu ktoś by ich wypatrzył. Sądzymy, że skierowali się na południe, na wrzosowiska, albo na północ lub zachód. Śmigłowiec patrolował tamte rejony, ale to nic nie przyniosło. Dziś zrobimy kilka przelotów. Szukają ich także ludzie pieszo i radiowozy. Przy czym, jak mówiłam, to ogromny teren i mogli udać się dosłownie wszędzie. Co wiesz o Erin Doyle, widziałeś ją ostatnio?

– Nie – odparł Banks. – Kiedy dzieci podrosną, nie chcą mieć z tobą nic wspólnego. Obawiam się, że zaniedbałem swoją córkę, a co dopiero mówić o jej najlepszej przyjaciółce. To ciężkie lato, same problemy osobiste.

– Czyli nie byłbyś zaskoczony, gdyby ostatnio trochę szalała?

– Nie bardziej niż w przypadku każdej innej atrakcyjnej młodej dziewczyny. W jej wieku to normalne, ale nie słyszałem, aby miała na koncie jakieś wybryki.

– Lubiała chłopaków w typie łobuza?

– To by było coś niezwykłego.

– Ale wyjaśniałoby fascynację McCreadym.

– O ile wiedziała, że jest bandziorem – powiedział Banks.

– Jeśli zabrała mu pistolet i zdawała sobie sprawę, że handluje prochami, to na pewno miała jakieś podejrzenia.

– Sugerujesz, że Erin była zamieszana w jakieś ciemne interesy? – spytał Banks.

– To możliwość, którą trzeba wziąć pod uwagę. Na pewno nie była niewinnym gapiem.

– Tracy też?

– Tego nie powiedziałam. Jeśli jest jakoś związana z McCreadym, to od niedawna.

Przypuszczam, że coś między nimi było, a on miał już dość Erin Doyle. Teraz, kiedy pokazał, co z niego za ziółko, Tracy pewnie żałuje. Zdała sobie sprawę, że popełniła błąd i źle go oceniła.

– Z pewnością. Co czeka Erin?

– Nie wiem. W dalszym ciągu nie chce z nami rozmawiać.

– Pamiętam ją jako małą dziewczynkę. Miała warkocze i piegi na nosie. Była śliczna. Zabrałem ją i Tracy do Blackpool, żeby obejrzały fajerwerki. Były zachwycone, ale chyba bardziej tym, że nie musiały iść wcześniej spać. – Banks pokręcił głową. – Przepraszam. Miałaś rację, to zbyt osobista sprawa.

– Juliet Doyle pytała o ciebie, kiedy składała doniesienie o broni.

– Chambers strasznie się tym gorączkował. Według niego to poważna sprawa. Kiedy teraz o tym myślę, nie dziwię się. To musiała być dla niej trudna decyzja.

– Mogła mieć nadzieję, że potraktujesz Erin ulgowo?

– Niewykluczone. Pewnie uważała, że znajdzie wyjście z tej sytuacji i nikt nie ucierpi. Tak przynajmniej wolę myśleć.

– Może tak by się stało, a może nie. Nie było cię na miejscu. Teraz to bezsensowne rozważania.

Zadzwoił telefon i Gervaise odebrała. Słuchała przez chwilę, po czym rozłączyła się i powiedziała:

– To Winsome. Chyba mam dobre wiadomości. Znaleźli samochód. Był ukryty przy drodze na wrzosowiska, niedaleko twojego domu.

Banks zacisnął dłonie na poręczy krzesła.

– Porzucony?

– Ukryty w lesie, za murem. Znalazł go miejscowy miłośnik ptaków. Przypomnił sobie o tym, co mówiono w wiadomościach, i zawiadomił policję. Wstępne oględziny mówią o awarii skrzyni biegów.

– Czyli idą na piechotę przez wrzosowiska. Nie mogą być daleko.

– Spokojnie, musimy się upewnić, że to ich samochód. Choć wiele na to wskazuje.

– Co?

– Zapiski w notesie Annie. Zapisała ten numer rejestracyjny.

– Zauważyła auto przed moim domem, kiedy przyjechała podlać kwiaty. Pewnie zdziwiła się i postanowiła to później sprawdzić.

– Pewnie tak. Nie mamy nic więcej: daty, godziny, miejsca. Może zauważyła auto na ulicy albo gdzieś indziej. To nie był jej notatnik służbowy.

– Nadal nie wygląda mi to na zbieg okoliczności.

– Też tak sędzę. Teraz możemy skoncentrować poszukiwania na jednym obszarze. To nadal spory teren i mają nad nami przewagę. Pewnie nocowali w jakiejś porzuconej stodole.

– Jak dalej potoczy się ta sprawa?

– McCready to miejski chłopak, więc źle się czuje na wsi. Przed nim około dwudziestu kilometrów złych dróg lub dzikiego terenu. Będzie kierował się do miasta.

– Nie zaryzykuje.

– Od chwili, kiedy postrzelił Annie, ciągle ryzykuje. Stawka jest wysoka.

– Wiem – odparł Banks. – W okolicy leży wieś Baldersghyll. To niewielka osada.

– Zawiadomiliśmy tamtejszy posterunek. Mam coś jeszcze. Samochód jest zarejestrowany na niejakiego Victora Mallory’ego. Mieszka w Horsforth, w Leeds.

– Skradziony?

Gervaise pokręciła głową.

– Winsome twierdzi, że policja z West Yorkshire uważa Mallory’ego za jednego ze współników McCrea dy’ego.

– Ma powiązania z Ciaranem czy Darrenem?

– O żadnych nie wiemy.

– Czyli Jaff pożyczył sobie auto Mallory’ego?

– Na to wygląda. Nie mamy żadnych innych poszlak.

– Czy ktoś już z nim rozmawiał?

– Policja z Leeds ma na niego oko. Pomyślałam, że to dobry punkt wyjścia. Mógłbyś z nim zamienić kilka słów, a skoro będziesz w okolicy, może odwiedziłbyś Farmera? Tylko działaj ostrożnie.

– Będę – przyrzekł Banks. – Dziękuję za zaufanie. Nie zawiodę cię.

– Trzymam cię za słowo – odparła Gervaise, a potem dorzuciła z szelmowskim uśmiechem. – W przeciwnym razie wrócisz do psiarni lizać jaja, tak bardzo cię będą bolały. W drodze do swojego gabinetu Banks wpadł na policjantkę z jednostki wsparcia, którą spotkał w szpitalu. Musiała na niego czekać.

– Ma pan jakieś wiadomości? – spytała, kiedy otwierał drzwi.

– Proszę wejść – odparł, gestem zapraszając ją do środka. – Funkcjonariuszka Newell, prawda?

– Powell, sir.

– A tak – odparł Banks. – Teraz pamiętam. Bardzo przepraszam. Jestem zmęczony podróżą. Zwykle mam lepszą pamięć do nazwisk.

– Nie ma sprawy, sir. Martwię się o Annie... to znaczy detektyw Cabbot. Chciałam spytać, czy ma pan jakieś wieści?

– Obawiam się, że żadnych dobrych. Lekarze mówią, że musimy czekać. Dopiero gdy przeżyje następną dobę, będzie można mówić o przyszłości.

– Czy to znaczy, że ona może...

– Jest taka ewentualność.

Nerys zagryzła wargę.

– Bardzo mi przykro – wyszeptała. – Nieczęsto spotyka się kogoś tak szczególnego. Wiem, że pan i ona... byliście sobie bliscy.

– Stare dzieje – odparł Banks.

– Rozumiem, ale myślę, że nadal darzy ją pan sympatią. Nie sposób zapomnieć o kimś takim.

– Czy mogę spytać, skąd u pani ta troska? Poza lojalnością policjanta wobec innego policjanta.

– Jak powiedziałam w szpitalu, pracowałyśmy razem i trochę rozmawiałyśmy. Czuję się odpowiedzialna. – Nerys odwróciła głowę i zaczęła się wiercić. – Udzieliła mi dobrej rady. To wszystko.

– W jakim sensie jest pani odpowiedzialna?

– To bez sensu. Chodzi o sprawę z wezwaniem, paralizatorem i tak dalej...

– Czy to pani użyła...

– Nie, to nie byłam ja, tylko Warby. To znaczy funkcjonariusz Warburton. Jestem jego partnerką.

– Teraz rozumiem. Ale nadal nie wiem, w jaki sposób może być pani odpowiedzialna za to, co się stało z Annie.

– Nie w bezpośredni sposób, ale czuję się winna. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej...

– Gdybyśmy myśleli w ten sposób, funkcjonariuszko Powell, nigdzie byśmy nie doszli. Mógłbym się winić za to, że nie było mnie na miejscu, gdy Juliet Doyle przyszła poprosić o pomoc. Wówczas sprawy potoczyłyby się zupełnie innym torem.

Na przykład moja córka nie byłaby w rękach jakiegoś zbira, a Annie nie leżałaby na szpitalnym łóżku – dodał w myślach.

– Wykonywała pani swoje obowiązki. Nie ma co gdybać. Z zadręczania się nic dobrego nie wyniknie.

– Tak, sir. Nie narzekam. Wszyscy są dla nas mili, wspierają nas, a i sprawy mają się

lepiej, niż początkowo się wydawało.

Banks uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że miała na myśli Chambersa. Nadinspektor czerpał dumę z tego, że jego nazwisko przyprawiało wszystkich o dreszcze.

– Po prostu się trzymajcie – powiedział.

– Chciałabym jakoś pomóc.

– W czym?

– W rozwiązaniu sprawy detektyw Cabbot.

– Chwila, chwila. Czy nie jest pani zawieszona?

– Nie. Pozwolono nam iść na urlop, ale uważam, że nie zrobiliśmy nic złego, i chcę dalej pracować. Wedle przepisów nie muszę rezygnować i nie odebrano mi uprawnień. Tyle że nikt nie wie, co ze mną począć. Chciałabym odwdziaczyć się detektyw Cabbot za okazaną mi sympatię.

– Doskonale rozumiem, ale nie możemy nic zrobić – odparł Banks.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że sprawa postrzelenia Annie znajduje się w gestii brygady poważnych przestępstw, a pani służy w jednostce wsparcia.

– Nie proszę o awans.

– Wiem, ale takie przenosiny wymagają masy papierów i oficjalnej zgody. Nie mamy na to czasu.

– Musi być coś, co mogę zrobić. Nie jestem tylko od strzelania. Może przydziel czasowy? Na pewno może pan jakoś pomóc...

Dziewczyna wyglądała na załamana i samotną. Banksowi było jej naprawdę żal, ale miał ograniczone pole działania. Jego pozycja była niepewna i gdyby poparł Nerys w jej ambicjach, mogłoby się to źle skończyć dla nich obojga.

– Bardzo mi przykro, ale nie mam jak. Nie prowadzę nawet tej sprawy.

– Może chociaż szepnęłby pan o mnie dobre słowo?

– Raczej na nic się nie przyda.

– Jestem dobrze wyszkolona w użyciu broni.

– Nie wątpię – odparł, tłumiąc uśmiech. – Tu niestety rodzi się kłopot.

– Jaki?

– Należy pani do oddziału specjalnego. Razem z innymi jego członkami weszła pani do domu Doyle'ów. Przeciwno pani partnerowi toczy się dochodzenie. Co więcej, przy tej sprawie nie potrzebujemy wsparcia.

– Z całym szacunkiem, ale człowiek, który strzelał do Annie, jest uzbrojony i niebezpieczny.

– Wiem o tym.

– Według tego, co się mówi...

– A co się mówi?

– Podobno pańska córka też jest wplątana w tę aferę. Więc jest pan również zaangażowany emocjonalnie.

A więc plotki zaczęły krążyć po komisariacie. Banks nie był zaskoczony. Komenda pod wieloma względami była jak zwykle biuro i takie sprawy rzadko pozostawały w ukryciu.

– Nie wierzyłbym we wszystko, co się opowiada na korytarzu – powiedział chłodno.

– Nie wierzę, ale słyszałam, że ten Jaff McCready to paskudny typ. Jeśli to jego broń była w domu Doyle'ów i to on postrzelił detektyw...

– Bardzo mi przykro, funkcjonariuszko Powell. Nerys. Nic nie mogę zrobić. Sądzę, że powinniśmy skończyć rozmowę. Nie mogę pani pomóc, ale obiecuję, że będę informował o stanie detektyw Cabbot. Rozumiemy się?

Nerys wstała z krzesła i powlokła się do drzwi.

– Tak jest – wyszeptała. – Jeśli zmieni pan zdanie...

– Nie zmienię – uciał rozmowę Banks. Kiedy drzwi się zamknęły, siedział w milczeniu, spoglądając na nie zamyślony przez dobrą minutę.

– Dzwonisz z jednorazówki, prawda?

– Oczywiście, szefie.

– Dobrze. Gadaj. – Farmer szedł jedną ze swoich ulubionych ścieżek w ogrodzie. Choć wieczór był ciepły, miał na sobie ulubiony sweter. Widok równo przyciętych krzewów i cykanie świerszczy w trawie zawsze go uspokajały. Nie żeby żył w szczególnym stresie, miał pewność, że Darren i Ciaran szybko załatwią sprawę Jaffa.

Martwiło go tylko to, że w to wszystko została wplątana córka Banksa. Pamiętał, że policjant był dociekliwy i inteligentny. Przy poprzednim spotkaniu Farmerowi się poszczęściło i zdołał zbyć Banksa. Tym razem tak łatwo nie będzie, zwłaszcza jeśli Jaffowi odbije. Fanthorpe widział go w akcji i wiedział, że jej los będzie nie do pozazdroszczenia, jeśli chłopak uzna, że Tracy jest dla niego ciężarem. Prędzej czy później Banks połączy fakty i zorientuje się, że Jaff pracował dla Farmera. Z pewnością rozpozna Ciarana i Darrena, więc powiązania nie będą trudne do odgadnięcia. Choć tych dwóch na szczęście nie pozostawiało za sobą zbyt wielu śladów, co zazwyczaj wystarczało, to dziewczyna, z którą gadali, Rose, z pewnością ich rozpozna na zdjęciach. Banks od razu pojmie, co się dzieje. Był wścibski i nie odpuszczał. Farmer zastanawiał się, ile wie jego córka, i rozważał możliwość uciszenia jej razem z Jaffem. Podjął w końcu decyzję. Jeśli Banks odzyska córkę całą i zdrową, a na dodatek będzie wiedział, że stoi za tym Farmer, może choć trochę odpuści. Wdzięczność starszego oficera mogła okazać się przydatna.

– Znamy imię – powiedział Darren. – Facet nazywa się Justin i mieszka w Highgate.

– Nie za wiele, co? – mruknął Fanthorpe.

– Kolesi jest szemrany. Macza palce w szmuglowaniu ludzi i fałszywych papierach. To jakiś kumpel Jaffa.

– Pięknie, pięknie – powiedział Fanthorpe. – W takim biznesie trzeba inteligencji, no nie? Znając Jaffa, to jakiś jego kumpel ze studiów albo jeszcze szkoły średniej. Tam się spotyka kumpli spod ciemnej gwiazdy, prawda?

– Nie wiem, nie chodziłem ani do jednego, ani do drugiego – odparł Darren. – Nawet do gimnazjum nie zaglądałem.

– To było pytanie retoryczne.

– Co takiego?

– Wiedziałybyś, gdybyś chodził do szkoły, prawda?

– Co mamy robić, szefie?

– Cicho, myślę. – Dotarł do fontanny, u której stóp spotykały się cztery zwirowane ścieżki, i spoglądał przez chwilę na półnagie syreny, z których ust tryskała woda. Pomiędzy nimi stała figurka siusiającego wodą małego chłopca. Pomysł Zenovii.

– Jeśli ten Justin robi nielegalne interesy i przerzuca ludzi przez granicę, to pewnie kręci też jakieś inne interesy. Skoro ma kanały, opłaconych ludzi, to logiczne jest, że będzie je wykorzystywał, racja?

– Tak, szefie.

– To oznacza, że będzie go znał Gavin Nebthorpe. Kojarzy wszystkich ludzi w biznesie. Justin z Highgate, mówicie. Ja się tym zajmę, chłopcy. Wy macie jak najszybciej pojechać do Londynu. Jeśli się pośpieszycie, zdążycie przed zmierzchem.

– A gdzie mamy dokładnie pojechać? Londyn jest duży.

– Wiem o tym, dlatego jest stolicą Wielkiej Brytanii, stoi tam Big Ben, budynek parlamentu, pałac Buckingham i mieszka pieprzona królowa! Wiem, że to duże miasto!

– To dokąd mamy jechać?

– Dowiecie się, zanim dotrzecie na miejsce. Trzymaj telefon włączony. Jeśli z jakiegoś powodu nie odezwę się przed waszym przyjazdem, znajdźcie jakiś hotel i zatrzymajcie się. Coś cichego i anonimowego. Macie się nie rzucać w oczy. Może was czekać mokra robota. Rozumiecie?

– Tak, szefie. Zbieramy się.

Fanthorpe rozłączył się i zmarszczył brwi. Jego czoło przecięła głęboka bruzda, kiedy wybierał numer. Czekał, aż rozmówca odbierze, spojrzał na fontannę. Siusiający chłopiec. Co za głupia krowa z tej Zenovii.

Banks postanowił, że zanim pojedzie do Leeds, aby porozmawiać z Victorem Mallorym, upewni się, czy nie może w jakiś sposób pomóc Erin Doyle. Chciał się przekonać, jak dziewczyna daje sobie radę po tym wszystkim. Racja, popełniła potworny błąd, ale była najlepszą przyjaciółką Tracy i razem z nią się wychowywała. Banks pamiętał ją jako małą dziewczynkę, obserwował, jak dorastała, chodziła z Tracy na wagary, grała w gumę. Choć na jej barkach spoczywała ogromna wina, Banks nie zamierzał skreślać dziewczyny. Nie był Chambersem, dla którego jeden błąd oznaczał potępienie na całe życie. Banks chciał też porozmawiać z Juliet, ale to spotkanie mogło poczekać, bo nie był ani mediatorem, ani kuratorem rodzinnym. W tej chwili najważniejsze było odnalezienie Tracy i wątpił, by Juliet mu w tym pomogła. Erin czy Victor Mallory z kolei mogli udzielić kilku przydatnych informacji.

Banks przeciął brukowany rynek i ruszył na wzgórze, gdzie wznosił się normański zamek rzucający cień na rzekę Swain. Wieczór był przyjemny, a dzięki świeżemu powietrzu i spacerowi otrząsnął się z otępienia będącego wynikiem stresu i męczącej podróży. Po drodze minął burgundową fasadę Cafe de Provence, w której spotkał się na pierwszej randce z Sophią. Wydawało się, że tyle czasu minęło, choć od marca upłynęło ledwie sześć miesięcy. Zamiast wytchnienia, znalazł się pośrodku kryzysu rodem z koszmaru. Teraz mógł tylko trzymać się i przeć dalej.

Za kawiarnią skręcił w Lamplighter Wynde, szukając domu numer siedem. Uliczka była wąska i wiła się aż do York Road. Samochody były zbyt szerokie, aby nią jeździć, a domy jedne z najstarszych w Eastvale. Wzniesiono je za panowania Normanów, w tym samym okresie co zamek, niegdyś należały do bogatych kupców. Obecnie stanowiły atrakcję turystyczną i pełniły funkcję hosteli. Dom, w którym ulokowano Erin, był podobny do innych na ulicy. Dwa budynki połączono w jeden. Drzwi były niskie i Banks musiał się pochylić, aby wejść do środka. Wewnątrz było przestronnie i jasno, wbrew temu, czego się spodziewał.

Właścicielka uważnie obejrzała legitymację Banksa i skierowała go na górę, gdzie mieszkała Erin. „Pokój pięć!”, krzyknęła, gdy zaczął się wspinać po schodach.

– W ogóle nie wychodzi na dwór, biedactwo – powiedziała. – Nic nie je. Całymi dniami siedzi w pokoju, tylko płacze.

– Gdzie panna Yu? – spytał Banks. Pomyślał, że powinien porozmawiać najpierw z kuratorką.

– Wyszła – odparła właścicielka. Zniżyła głos i dodała: – Chyba odwiedza matkę dziewczyny.

Banks mruknął twierdząco i zaczął wspinać się po trzeszczących schodach. Podłoga nie była równa, a ściany krzywe, co często się zdarzało w takich starych budynkach. Na wyklejanych tapetami ścianach wisiały niewielkie miniaturki przedstawiające miejscowe krajobrazy. Banks był pewien, że rozpoznał między nimi Hindsell Woods, tonącą w zieleni wioskę Lyndgarth, zamek Eastvale o zachodzie słońca i niewielki kamienny mostek, który prowadził do jego domu w Gratly.

Zapukał do drzwi, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Zastukał ponownie i tym razem zawołał:

– Erin? To ja, Alan. Alan Banks. Mogę wejść?

Z początku nikt mu nie odpowiedział, ale po chwili drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem zawiasów. Nie otworzyły się same, Erin musiała wstać z łóżka, żeby je uchylić, ale wróciła do łóżka, na którym leżała. Stało przy oknie i miała z niego widok na zewnątrz. Banks przysiadł na jedynym krześle stojącym obok stolika. W pokoju panował zaduch, okno było zamknięte.

Z początku Banks nie odzywał się, mając nadzieję, że Erin pierwsza przerwie milczenie. Dziewczyna błdziła tylko wzrokiem po pokoju i siedziała z zamkniętymi ustami.

– Erin – powiedział w końcu. – Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca. Był dobrym człowiekiem.

Dziewczyna siedziała w milczeniu, ale Banks miał wrażenie, że jej głowa się poruszyła. Potem wyszeptała cicho:

– To wszystko moja wina, wie pan? Moja wina.

– Nie wydaje mi się...

– Nie było tam pana! Nic pan nie wie! – Nagła złość w jej głosie zaskoczyła Banksa. – Nie jest pan w stanie pojąć, co się stało. – Erin zerwała się na równe nogi i odwróciła do Banksa. Po jej policzkach spływały łzy, dziewczyna zacisnęła pięści.

– Tak mi przykro.

Erin przygarbiła się i rzuciła mu smutne spojrzenie.

– Nie winię pana. Nie chciałam tego powiedzieć. Skąd pan mógł wiedzieć? Ale ja... ja tam byłam. To ja...

Banks nie widział innego wyjścia. Wstał z krzesła i podszedł do Erin. Kiedy objął ją, dziewczyna zeszywniała, ale gdy ją przytulił, rozluźniła się i zaczęła łkać. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, wyslizgnęła się z jego ramion zawstydzona, wzięła chusteczkę z pudełka i wytarła nią załzawioną twarz.

– Jak ja wyglądam! – powiedziała, spoglądając na niego. – To musi być widok. Cieszę się, że pan tu jest. Naprawdę. Nikt mnie nie odwiedzał oprócz Patricii, ale to nie to samo

co ktoś bliski. Nie mam z kim porozmawiać, nikt mnie nie rozumie.

– A twoja matka?

Banks zauważył, że jej palce były pokrwawione. Erin obgryzła paznokcie do żywego mięsa.

– Erin, wiem, że jesteś na nią zła, ale to twoja matka.

– Doniosła na mnie na policję. – W głosie Erin nie było złości, tylko cierpienie i niedowierzanie. – Jak mogła? Własna matka. Przecież wiedziała, że pójde za to do więzienia. – Erin spojrzała na Banksa. – Gdyby był pan na jej miejscu, doniósłby pan na Tracy?

– Nie wiem, co bym zrobił. Prawo wyraźnie zabrania posiadania broni bez zezwolenia.

– Ale ona jest moją matką.

– Bała się o ciebie – odparł Banks. – Nie wiedziała, co robić. Nie myślała o konsekwencjach. Z pewnością nie chciała cię wysłać do więzienia.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Bo pytała o mnie. Znalazła broń w twoim pokoju i się przestraszyła. Przyszła prosić o pomoc. Szukała mnie.

– Jest pan policjantem. Czego się spodziewała?

– Jestem też waszym przyjacielem. Jak sądzisz, co bym zrobił?

– Trzymałby się pan przepisów.

– Mógłbym pomóc. Jej i tobie.

– Rozmawiał pan z mamą?

– Nie miałem jeszcze okazji, ale to zrobię. Obiecuję, że spróbujesz jej przebaczyć. Muszę mieć dla niej jakieś dobre słowo, coś, co da jej nadzieję. Pomyśl o tym, jak ona się teraz czuje. Nienawidzi jej własna córka, straciła męża. Nie możesz oczekiwać, że weźmie na siebie cały ciężar tej sytuacji. Spotkajcie się w połowie drogi.

– Miała dość sił, żeby pobiec na komisariat.

– Była przestraszona i zagubiona. Nie czułaś się nigdy w ten sposób?

– Nie wiem. Nie rozpoznaję świata dookoła. – Erin odwróciła głowę i otarła łzy, które napłynęły jej do oczu.

– Posłuchaj – powiedział Banks. – Siedzisz tu jak w dziupli. Co powiesz na spacer? Zaczerpniesz świeżego powietrza, może coś zjemy. Masz ochotę na drinka?

Erin skinęła głową.

– Spacer mi się przyda. Muszę się umyć, pewnie potwornie wyglądam.

Kiedy Erin szykowała się do wyjścia, Banks wyglądał przez okno. Wydawało się, że dom po drugiej stronie ulicy znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jeśliby Banks się wychylił, to ponad krawędzią dachu mógłby dostrzec poszarpany zarys zamku. Po niebie gnały

chmury, co chwila któraś przesłaniała słońce.

Erin niezdarnie związała włosy w kucyk i włożyła lekką kurtkę. Pod nią nosiła tylko koszulkę i džinsy rozdarte na kolanie. Banks przypuszczał, że większość jej najlepszych ubrań została albo w Leeds, albo na Laburnum Way. Erin nie dbała o siebie. Jej oczy były podpuchnięte i przekrwione z braku snu, cera tłusta. Dziewczyna wyglądała na zmęczoną i apatyczną, bez wątpienia z głodu i nerwów.

Wyszli z domu i skierowali się w stronę Castle Road. Kilkanaście metrów dalej ulica się rozdwajała. Jedna odnoga prowadziła do zamku, druga na szczyt wzgórza, otaczała forteczne mury, oddzielając je od drzew, które porastały zbocze aż do rzeki. Piękna pogoda przyciągnęła turystów oraz ludzi, którzy rozłożyli kosze piknikowe i odpoczywali na porośniętych trawą brzegach rzeki opodal jej przełomów. Ptaki ćwierkały na gałęziach drzew, a niektóre liście zaczynały powoli żółknąć. Banks pamiętał swoje pierwsze miesiące w Eastvale. Przyjechali pod koniec lata i wybierali się z Sandrą, Tracy i Brianem na długie spacer, aby poznać nową okolicę. Obserwowali, jak codziennie liście zmieniają kolor, aż w końcu opadają i dają się ponieść wiatrowi do rzeki.

Z początku szli w milczeniu. Erin miała spuszczoną głowę, a dłonie wsadziła w kieszenie. W oczach Banksa wyglądała jak mała, wrażliwa i delikatna dziewczyna, bardziej krucha, niż się spodziewał, nawet biorąc pod uwagę okoliczności. Potem jednak przypomniał sobie o wszystkich kłopotach, z jakimi musiała się borykać. Nie tylko śmierć ojca i złość matki, ale także problemy z powodu pistoletu, niewierny chłopak i zdrada ze strony najbliższej przyjaciółki. To było aż nadto jak na jedną osobę.

Na końcu uliczki stała budka z jedzeniem. Banks zapytał Erin, co woli: burgera czy hot doga? Wybrała to drugie, więc Banks zamówił też dla siebie, prosząc o pieczoną cebulę i ostry sos z chilli. Do tego kupił dwie puszk, zimnej coli. Stali, czekając na hot dogi, i przypomniał sobie, jak kupował lody Erin i Tracy, kiedy były małe.

Znaleźli pustą ławkę pod murami zamkowymi i usiedli, aby zjeść, obserwowali korony drzew poniżej. Gęstwina prawie całkowicie zasłaniała East Side Estate i tory kolejowe. Pomimo to widok był wspaniały. Czyste niebo i wysokość, na jakiej się znajdowali, umożliwiały podziwianie panoramy Sutton Bank wznoszącego się nad Vale of York.

Banks otworzył puszkę, cola spieniła się i opryskała mu dłoń. Zaczął się śmiać, a Erin wyciągnęła chusteczkę z torebki, żeby się wytarł. Choć puszk była zimna, płyn pozostał ciepły. Pomimo to cukier poprawił mu nastrój i wprowadził go w dobry humor. Turyści przechadzali się to w jedną, to w drugą stronę. Kilka zaciekawionych psów węszyło obok ich ławki, zwabionych zapachem jedzenia.

Kiedy skończyli jeść, Banks wyrzucił opakowania do kubła na śmieci, który stał nieopodal.

– Muszę cię spytać o kilka rzeczy – powiedział, siadając obok Erin i zakładając nogę na nogę.

Erin rzuciła mu krzywy uśmiech.

– Wiedziałaś, że ten hot dog nie był za darmo.

– Był, nie musisz odpowiadać na pytania, jeśli nie chcesz.

Erin siedziała z zaciśniętymi ustami. Jej spojrzenie błędziło po okolicy, mrużyła oczy z powodu jasnych promieni słońca. Oparła łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach.

– Dlaczego nie? To ładne miejsce, możemy porozmawiać. Pamięta pan, jak wybraliśmy się nad rzekę, aby popływać? – Wskazała w kierunku Hindsell Woods, na zachód od nich.

– Ja, Tracy, Brian, mama, pani Banks, pan i tata. Potem urządziliśmy sobie piknik. Były kanapki z mielonką, napar z mniszka, ciastka czekoladowe. Wspaniale smakowały.

– Rzeczywiście – przytaknął Banks. – Jestem zdziwiony, że zachowałeś to wspomnienie, miałaś sześć, może siedem lat. – Banks dobrze pamiętał tamten dzień. Poznał Patricka Doyle'a za sprawą dziewczynek. Tamten żartował, że dobrze mieć policjanta za sąsiada. Będzie wiedział, do kogo udać się z mandatem lub gdy będzie na bakier z prawem. Spacerowali przez las, a słońce przebijało się pomiędzy koronami drzew. Sandra schłodziła butelkę wina w wodzie i popijali je z plastikowych kubków, zajadając się bagietkami z serem brie i cheddarem.

Niedaleko tego urokliwego miejsca w tamto lato dzieci znalazły wisielca. Tamto wydarzenie zapoczątkowało sprawę, która prawie wykończyła Banksa. Na szczęście to była już przeszłość.

– A pamiętasz fajerwerki w Blackpool?

– Niespecjalnie – odparła Erin. – Wydaje mi się, że zasnęłam w samochodzie. Czy Brian był wtedy z nami?

– Tak.

Erin pokręciła smutno głową.

– Nie chciała o nim słuchać. Ilekroć wspomniałam Blue Lamps, wzruszała ramionami.

– Kto? Dlaczego?

– Tracy. Gdybym miała sławnego brata, chwaliłabym się każdemu. W zasadzie to robię, opowiadam, jak się z nim wychowywałam. Blue Lamps to fajny zespół. Wie pan, że ona chce, aby mówić do niej Francesca? Uważa, że Tracy brzmi jak z *Carrie* Stephena Kinga.

– Nie wiedziałem – odparł Banks. Słowa ubodły go do żywego. Jego córka nie lubiła własnego imienia. Tego, które nadali jej z Sandrą. – Czemu nie chce słuchać o Brianie?

– Jest zazdrosna. Nie przyzna się do tego, ale ja to wiem. Brian stał się sławny, a ona... cóż, egzaminy nie poszły jej zbyt dobrze, prawda? Zawsze wiedziała, czego się od

niej wymaga, ale uważa, że wszystkich zawiodła, zwłaszcza siebie. Wycofała się wtedy, dała sobie na wstrzymanie. Lubi pracę w księgarni, ale wie, że nie zrobi kariery ani nie radzi sobie tak dobrze, jak by chciała.

– Jeśli tylko wróciłaby na uczelnię, mogłaby pracować naukowo. Wspominała kiedyś, że chciałaby uczyć. Dałaby sobie radę, prawda?

– Jasne, ale nie ma do tego przekonania. Ostatnio działo się sporo złych rzeczy. Było dużo złości, miała o sobie kiepskie zdanie. Nie mogłam do niej trafić. Jeszcze przed tym wszystkim... O co chciał pan spytać?

– Sam nie wiem, od czego zacząć – powiedział Banks, nadal nie mogąc się uporać z informacjami na temat Tracy. Powinien poświęcać jej więcej uwagi. Zamiast zamartwiać się problemami osobistymi, zawodowymi czy uzalać się nad sobą, powinien był poświęcać czas córce. – Dziś rano wróciłem z podróży, jestem wykończony i nie mogę zebrać myśli. Będziesz musiała mi trochę pomóc.

– Gdzie pan był?

– W Arizonie i Nevadzie, ale głównie w Kalifornii.

– Los Angeles? San Francisco?

– Tak.

– Dziwne. Zawsze chciałam tam pojechać.

– Ja też. Dlaczego dziwne?

Erin milczała przez chwilę.

– Mój ojciec...

– Nie musisz o nim mówić, jeśli nie chcesz – przerwał jej Banks. – Nie chodzi o to, że nie jestem zainteresowany czy nie dbam o niego, ale o to, że toczy się specjalne dochodzenie w związku z udziałem policjantów w zajściu i nie wolno mi w nie ingerować. Rozumiesz?

– Tak. To logiczne.

– Nie możesz się obwiniać. Nikt nie zdołałby przewidzieć, że wypadki potoczą się w taki sposób.

– Wiem, powtarzam to sobie co dzień, ale za każdym razem czuję, że to wszystko moja wina. Nic na to nie poradzę, to obezwładniające uczucie i nie umiem się przed nim obronić.

– To dobrze. Znajomy psycholog zawsze mi mówił, że nie wolno tłumić uczuć.

– Ale czasami trzeba, prawda? Gniew, nienawiść, niechęć. W przeciwnym razie tylko byśmy ze sobą walczyli.

– A miłość? Czy ją też powinniśmy tłumić?

– Czasami – odparła Erin. – Niekiedy to nie byłoby złe rozwiązanie. Jak o tym

pomyśleć, to przez miłość dzieje się więcej zła niż przez nienawiść.

Banks pomyślał, że ze słów Erin bije doświadczenie, jakiego nie powinna mieć tak młoda osoba. On sam czekał na to mityczne oświecenie, które miało przyjść z wiekiem, ale nadal go nie dostąpił.

– Tak czy inaczej, twoja matka niebawem będzie cię bardzo potrzebowała. Dasz radę jej pomóc?

– Nie wiem – odparła Erin, odganiając natrętną osę. – Z więzienia nie będę dla niej wsparciem.

– Dlaczego zabrałaś broń, Erin? Wierzę, że należała do twojego chłopaka, Jaffara McCready’ego, i miałaś ją od niego, prawda?

– Jaff – oparła Erin. – Lubi, jak mówi się na niego Jaff. Byłam na niego wściekła. Pokazał mi kiedyś pistolet. Pomyślałam, że zabiorę mu, aby go ukarać. Tak jak dzieci na złość odbierają sobie ulubione zabawki. Chciałam mu dopiec, żeby mnie zauważył i poprosił, abym wróciła.

Cóż za głupota, pomyślał Banks.

– Ale to nie była zabawka. To nie iPod czy komórka. Mógłby się wściec tak bardzo, że po prostu by cię rzucił albo skrzywdził. Nie pomyślałaś o tym?

– Do głowy mi to nie przyszło. Nie myślałam rozsądnie: zabrałam pistolet, wróciłam do domu, spakowałam trochę ubrań i pojechałam do rodziców. Zamierzałam mu ją oddać.

– Rozumiem – powiedział Banks. – Czy wiesz, po co mu ona była?

– Niespecjalnie. Chyba po to, żeby się popisać. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek z niej strzelił. Jaff udawał twardziela, to wszystko. Miał kilku podejrzanych znajomych i kupę kasy. Nie wiem, jak ją zarobił. Nie wyglądał na kogoś, kto pracuje na etacie.

– Spotkałaś któregoś z tych szemranych kumpli?

– Kilka razy.

Banks pokazał jej rysunki przedstawiające Darrena i Ciarana.

– Widziałaś kiedyś tych dwóch?

– Tak. Przyszli jednego razu do Jaffa. Kazał mi zostać w sypialni, ale podglądałam przez szczelinę w drzwiach. O coś się kłócili.

– Kiedy to było?

– Wydaje mi się, że kilka miesięcy temu.

– O co się sprzeczali?

– Nie wiem, chyba o pieniądze. Jakąś dostawę czy coś w tym stylu. Wydaje mi się, że Jaff handlował prochami. Nic strasznego, ale znał wszystkich na tej scenie.

– Chodzi ci o bywalców klubów?

– Tak, i na uniwerku.

– To dlatego się poznaliście?

– Nie, byłam już po studiach. Pracowałam w jednej z tych modnych restauracji w Calls. Regularnie tam jadał.

– Sam?

– Czasami sam, czasami w towarzystwie.

– Spotykał się tam z tymi dwoma?

– Nie, zwykle z jakimiś krawaciarzami, a nie zbirami. – Erin uśmiechnęła się. – Nie wiem, czy ci dwaj przeszliby przez bramkę.

– Spotkania biznesowe, tak?

– Na to wyglądało. Przychodził też sam. Jaff nie lubi gotować ani jeść w domu. Zaczęliśmy gadać, potem jakoś się potoczyło. Wydawał się fajny: bystry, pewny siebie, ambitny. Czasami wybieraliśmy się do klubu po zamknięciu restauracji. Wszyscy go znali i on znał wszystkich, sprawiał wrażenie kogoś ważnego. Nigdy nie nudziłam się w jego towarzystwie, zawsze coś się działo. Tylko trudno go było utrzymać przy sobie, zawsze miał coś jeszcze do zrobienia, gdzieś leciał, z kimś miał się spotkać. – Wzruszyła ramionami. – Teraz już wiem, kto to był.

– Tracy?

– Tak. Albo jeszcze jakaś inna. Wątpię, aby była pierwsza. Niekiedy znikał na kilka dni bez wyjaśnienia. Nie uważam, żeby był mi coś winny. Teraz wiem, że nie mogę się złościć na Tracy, ale wtedy się wściekłam. Jak mogłam się nie wkurzyć, kiedy zobaczyłam, jak się całują? Dobierała się do mojego chłopaka! Tracy nie zawsze była aniołkiem. Nieraz widziałam ją nastrzelaną.

– Nastrzelaną?

Erin odwróciła wzrok.

– Pod wpływem narkotyków. Jest pan zaskoczony?

Wiadomość nie tyle zdziwiła, ile zabolęła Banksa. Kiedy myślał o tym, co robiła jego córka, co mogło się zdarzyć, kiedy brała narkotyki, chciał ją przytulić, ochronić. Erin mówiła praktycznie o gwałcie. Myśl, że coś takiego mogło spotkać jego córkę, sprawiała, że ogarniała go wściekłość. Dlaczego nie przyszła do niego, aby porozmawiać o kłopotach? Dlaczego był taki nieczuły i nie dbał o nią?

– Czy ktoś ją zgwałcił, kiedy była na haju?

– To nie tak, jak pan myśli. Nie mówię, że człowiek zawsze ma na to ochotę, ale gdy się jest pod wpływem, to niekiedy wszystko jedno. Nieważne – mruknęła Erin, majstrując przy odstającym fragmencie deski. – Gdybym nie przyłapała go z Tracy, to pewnie z jakąś inną. Jaff po prostu...

– Tracy z nim teraz jest.

– Co pan mówi?

– Prasa jeszcze o tym nie wie, ale Jaff dał nogę. Razem z Tracy. Jesteśmy przekonani, że postrzelił policjantkę, Annie Cabbot. Poznałaś ją?

– Chyba tak. Byliście blisko po tym, jak pani Banks odeszła, prawda? Jaff... Jaff ją postrzelił? Trudno mi w to uwierzyć.

– Musimy go znaleźć. Annie może umrzeć, a Tracy jest w niebezpieczeństwie.

– Jaff jej nie skrzywdzi.

– Widziałaś go kiedyś w złości?

– Nie... W sumie może raz... ale tylko wtedy, kiedy ktoś próbował go kantować czy źle traktował z powodu koloru skóry. Nienawidził, kiedy mu się to wypominało.

– A więc może być gwałtowny?

– Szybko wpada w złość, ale nigdy mnie nie skrzywdził. Nie wierzę, że zrobiłby krzywdę kobiecie ani tym bardziej Tracy.

– Na wrzosowiskach znaleźliśmy porzucony samochód. Należał do Victora Mallory'ego. Znasz to nazwisko?

– Vic? Oczywiście, to przyjaciel Jaffa. Chodzili razem do liceum, a potem na studia w Cambridge. Vic to...

– Słucham?

– To chłopak w stylu hippisa z lat sześćdziesiątych. Ma długie włosy i tak dalej. Jest dziwny i czasami trochę straszny. To bardzo inteligentny facet, studiował chemię, ale prochy wyzarły mu mózg. Zachowuje się, jakby sam opracowywał receptury i je na sobie testował. Ma trochę nierówno pod sufitem.

– Czy miał pistolet?

– Nie wiem, ale Jaff czasami rozmawiał z nim o broni. Gadali jak komputerowcy, najwidoczniej się na tym znali.

– Niewykluczone – przytaknął Banks. – Czy Jaff kiedykolwiek opowiadał o broni, którą zabrałaś? Używał jej kiedyś?

– Nie wydaje mi się. Nie pamiętam niczego takiego. Prawdę mówiąc, teraz, gdy o tym myślę, odnoszę wrażenie, że w ogóle go nie znałam. Mylę się?

– Raczej nie. Kiedy go poznałaś?

– Jakies pół roku temu. Niech pan posłucha, może dałam się omamić, ale nie jestem głupia. Daleko mi też do złej osoby. Chcę pomóc. Chcę naprawić to, co zepsułam.

– Wiem, Erin. Na razie sprawy są skomplikowane, a moim priorytetem jest odnalezienie Tracy. Muszę mieć pewność, że nic jej nie grozi. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście. Jak mogę jeszcze pomóc?

– Muszę wiedzieć, co Jaff zrobiłby w takiej sytuacji, w jakiej się znalazł obecnie. Jest

inteligentny?

– O tak, bardzo. Studiował w Cambridge.

– To wiemy – odparł Banks, myśląc, że jedno i drugie nie idzie w parze. Choć kilku absolwentów uczelni skutecznie wodziło stróżów prawa za nos, handlując narkotykami i unikając złapania. – Gdzie by się udał? Czy ma kogoś, do kogo może się zwrócić o pomoc?

– Trudno powiedzieć – odparła Erin. – Pewnie pojechałby do Londynu. Stamtąd pochodzi i tam ma wielu znajomych. To miejski chłopak.

– Ktoś szczególny przychodzi ci na myśl?

– Niezbyt. Wybraliśmy się na weekend do Londynu, ale mieszkaliśmy w hotelu Mayfair i nie spotykaliśmy się z jego przyjaciółmi.

– Dobrze wie, że wpadł w poważne kłopoty. Uważam, że spróbuje jak najszybciej opuścić kraj. Może zechce uciec do Bombaju, jeśli ma tam jeszcze jakieś kontakty. Jeśli jest tak bystry, jak mówisz, to będzie wiedział, że obserwujemy porty, lotniska i dworce.

– Jest jakiś Justin.

– Justin?

– Tak, mieszka w Londynie. Kolejny z kumpli poznanych na studiach. Byliśmy razem na obiedzie w takiej fajnej restauracji, gdzie podają jedzenie na malutkich talerzach. Justin przyszedł ze swoją dziewczyną. Słowaczka. Śliczna, miała ciekawą urodę. Niespecjalnie mówiła po angielsku. Była modelką albo aktorką.

– Pamiętasz coś więcej na temat Justina?

– Tylko tyle, ile powiedział Jaff. Przechwalał się, że jeśli kiedyś potrzebowałabym lewego paszportu, Justin go załatwi. Wtedy ten zmierzył go takim spojrzeniem, że aż mnie ciarki przeszły. Pomyślałam, że może być zamieszany w fałszerstwo albo przemyt ludzi.

– To osoba, do której Jaff mógłby się zwrócić o pomoc w obecnej sytuacji – powiedział Banks. – Wiesz może, gdzie mieszka?

– Nie, nie poszliśmy do niego. Odwiedziliśmy kilka klubów na West Endzie, ale nie pamiętam już gdzie. Byłam wtedy już nieźle na bani.

– Wiesz, jak miał na nazwisko?

– Nie, mówiliśmy do siebie po imieniu.

– A jak miała na imię ta dziewczyna?

– Martina.

– Czy Justin mówił z jakimś charakterystycznym akcentem? Ładnie się wysławiał?

– Bardzo. Tak jak Jaff. Mówi bardzo dobrze, jak wykształcony człowiek. Chociaż faktycznie miał jakiś dziwny akcent, jak się wsłuchać.

– Jaki?

– Nie wiem. Nie rozpoznaję takich szczegółów.

– Może wschodnioeuropejski? Jak jego dziewczyna?

– Może. – Erin wzruszyła ramionami. – Nie wiem.

– I nie wiesz, gdzie mogli mieszkać?

– Pamiętam tylko, że mówili o cenach nieruchomości, kiedy jedliśmy w restauracji.

Jaff myślał o zakupie mieszkania w Londynie, spytał Justina o zdanie. Ten opowiadał coś o Highgate. Nie pamiętam dokładnie co, ale odniosłam wrażenie, że dobrze zna dzielnicę. Chyba tam mieszkał. To duży obszar, prawda?

– Tak. – Banks skinął głową, ale poczuł dreszcz ekscytacji. Istniała spora szansa, że jeśli faktycznie Justin zajmował się handlem podrabianymi dokumentami i przerzucaniem nielegalnych emigrantów, to wywiad miał go na oku. Jeżeli mieszkał w Highgate, znalezienie go nie będzie aż takim problemem. Choć stosunki Banksa ze służbami wywiadowczymi nie były najlepsze, to miał pewność, że Brudny Dick Burgess nie zostawi go na lodzie. Zwłaszcza gdy usłyszy, że Tracy jest w niebezpieczeństwie.

– Czy Jaff opowiadał coś o swojej rodzinie czy pochodzeniu? – spytał. – Chcę jak najlepiej zrozumieć, z kim mam do czynienia.

– Niespecjalnie. Na pewno był syneczkiem mamusi, ale w takim dobrym sensie. To nie ciamajda czy mazgaj, naprawdę kochał matkę i był z nią zżyty. W przeciwieństwie do ojca, który trzymał go na dystans i nie pozwalał na okazywanie uczuć. Rzadko kiedy rozmawialiśmy o rodzinie, chyba że był klimat na takie gadki. Wie pan, piwo, prochy i tak dalej. Wtedy zaczynał gadać bez ładu i składu, trzeba było samemu się domyślać, o co mu chodzi. Chyba nie był szczęśliwy, kiedy po śmierci matki trafił pod opiekę ojca. Potem wylądował w szkole z internatem i na uniwersytecie. To była dla niego szansa na niezależność i wolność. W mieszkaniu trzymał zdjęcie matki. Powinien je pan zobaczyć, była piękna. Zdjęcia ojca chyba nie miał.

– Dziękuję – odparł Banks. – Bardzo mi pomogłaś.

Erin wzruszyła ramionami.

– Co się teraz ze mną stanie? – spytała. – Nie chcę być egoistką, ale nie potrafię znieść myśli, że wyląduję w pace.

– Na razie niczym się nie martw. Kiedy masz termin rozprawy?

– W przyszłym miesiącu.

– Znajdź dobrego adwokata – poradził Banks. – Nielegalne posiadanie broni jest bardzo surowo karane, ale masz szansę uniknąć więzienia. Jak dotąd nie popełniłaś żadnego przestępstwa, pochodzisz z porządnej rodziny, a świadkowie nie pogrążą cię zeznaniami. Mogło być gorzej.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Dziękuję za radę.

– Jeśli nie znasz żadnego dobrego prawnika, mogę ci jednego polecić. Jeśli sprawa Jaffa i Tracy zakończy się pomyślnie i nikt nie ucierpi, będzie to przemawiało na twoją korzyść. Znacząco nam pomogłaś.

Erin pokiwała głową. Wstali z ławki, a Banks spytał:

– Co teraz zamierzasz?

– Pójdę do Swainsdale Center, kupię jakieś ubrania i przybory do makijażu. Na moim miejscu nie wyściubiłby pan nosa z domu.

Banks się roześmiał.

– Mogę, prawda? – spytała.

– Słucham?

– Czy mogę iść do sklepu? Nie muszę chyba od razu wrócić do hotelu i się odmeldować, prawda? Nie zamierzacie mi chyba założyć elektronicznej obroży?

– Oczywiście, że nie. Dozór policyjny oznacza, że zgłosić się masz tylko wtedy, kiedy zostaniesz wezwana. Nie zalecam opuszczania miasta. Uwierz mi, będzie więcej pytań, niż to warte. Możesz iść, gdzie tylko chcesz w całym Eastvale.

– Oprócz domu.

– Tak.

Książka dla none none

Banks oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Dojechał autostradą do Wetherby, ale stanął w korku spowodowanym robotami drogowymi. Winsome zaproponowała, że go zawiezie do Leeds. Normalnie by odmówił, ale w obecnym stanie umysłu i nerwów lepiej było, aby to nie on prowadził. Większość podróży milczeli, ale był zadowolony z jej towarzystwa i z tego, że włączyła Radio 3. Właśnie z głośników sączyły się dźwięki *Fantazji na temat Thomasa Tallisa* Vaughana Williamsa.

Banks nigdy wcześniej nie czuł się tak zmęczony. Przed oczyma tańczyły mu kolorowe plamki. Miał wrażenie, że jeśli zamknie oczy, dostrzeże elektryczne impulsy przebiegające przez jego mózg. Za dużo tego wszystkiego do ogarnięcia, zrozumienia, opanowania, miał coraz większe problemy, aby pozostać skupionym. Przez każdą chwilę spędzoną na podążaniu śladami i badaniu poszlak bał się o Tracy.

Ale tak musiało być. Prawdziwe kłopoty zaczną się, kiedy zlokalizują Jaffa i Tracy. Musiał się przygotować do tej chwili, zebrać jak najwięcej informacji. To będzie jego oręż i pancierz. Jaff miał broń i zakładniczkę.

Korek na obwodnicy Leeds sprawił, że poruszali się w żółtym tempie. Na szczęście nie musieli jechać daleko, dom Victora Mallory'ego znajdował się pomiędzy West Park a klubem golfowym Moortown. Było po dziewiętnastej, kiedy zaparkowali przed zapuszczonym, wolno stojącym domem. Jego fasada była otynkowana na kremowo, otaczał go duży ogród, miał spadzisty dach i wykuszowe okna.

– Nieźle – mruknęła Winsome. – Zupełnie dobrze jak na trzydziestoletniego faceta.
 – Może to zły adres? – podsunął Banks.
 – Albo facet zajmuje się złą robotą.
 – Bardziej prawdopodobne – przytaknął Banks. – Zwłaszcza że jest kumplem McCreedy'ego. Z dyplomem chemii uzyskanym na Cambridge możesz wiele zrobić, nie tylko uczyć jej w szkołach czy pracować dla koncernu farmaceutycznego. – Banks wskazał na srebrną skodę stojącą nieopodal. – Tym niech się martwią miejscowi. Widać, że mają na niego oko.

– Trudno nie rzucać się w oczy, jeśli człowiek parkuje takie auto w takiej dzielnicy – powiedziała Winsome.

Wysiedli z auta i ruszyli w stronę zaparkowanej skody. Okno było opuszczone, Banks poczuł zapach dymu papierosowego. Nie sprawiał mu już takiej przyjemności jak niegdyś.

– Macie coś? – spytał, pokazując dyskretnie legitymację.
 – Nic a nic – odparł kierowca. – Tracimy tylko czas, jeśli chcesz znać moje zdanie.
 – Ktoś przychodził? Wychodził?

– Nie.

– Jest w domu?

– Pojęcia nie mam.

– Rozumiem. Idź do pubu na jednego głębszego.

– Schodzę ze służby, kiedy mój przełożony mi każe. – Banks przewrócił oczyma i spojrzał na Winsome. Ta wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz – powiedział.

Kiedy szli w kierunku domu, Winsome powiedziała:

– Można by pomyśleć, że marnowanie czasu sprawia im przyjemność.

– Nie wszyscy są tak dokładnymi pracownikami jak ty, Winsome. Poza tym siedzą na tyłkach, gdzie mają rozumy, więc może dzięki naciskowi myślą. No i sami się o to prosiliśmy. Chcieliśmy wyników obserwacji, nie lekcji uprzejmości czy analizy wywiadowczej.

Winsome się roześmiała.

– Zapamiętam na przyszły raz. – Podeszli zwirową alejką do drzwi i nacisnęli przycisk dzwonka. Z wnętrza odpowiedziała im cisza. – Zasłony są zaciągnięte, może obserwują pusty dom?

– Nie zdziwiłbym się – odparł Banks. Zadzwoił jeszcze raz, ale nikt nie odpowiedział. Jednak Banks miał wrażenie, że z domu dobiegły go stłumione krzyki czy wołanie. Spojrzał na Winsome, która chyba także coś usłyszała. Drzwi wyglądały solidnie, ale kiedy Banks nacisnął klamkę, otworzyły się, nie stawiając oporu. Spojrzał na zasuwkę, nie była zamknięta. Drzwi chronił też łańcuch, ale nie był założony. System alarmowy nie został włączony. W środku dostrzegł jedynie niewyraźne kształty, najprawdopodobniej krzesel i szerokich schodów prowadzących na piętro.

Oczy Banksa przyzwyczyaiły się do półmroku. Detektyw zauważył troje drzwi w holu. Wtedy po raz kolejny usłyszał dźwięk i zdał sobie sprawę, że dochodzi z za tych z lewej. Banks pchnął je, otwarły się bezszelestnie. W pokoju było jeszcze ciemniej niż w holu. Po drodze odsłonił ciężką firanę i światło zachodzącego słońca zalało pomieszczenie. Jedna ściana była przyozdobiona półkami na książki, ciągnącymi się od podłogi do sufitu. Na innej wisiały oprawione starodruki, a na trzeciej umieszczono audiofilski system nagłaśniający. Na środku pomieszczenia, przywiązany do wywróconego krzesła, leżał człowiek.

– Victor Mallory, jak sądzę – powiedział Banks.

Jedyną odpowiedzią były stłumione przekleństwa i bełkot.

– Winsome, czy mogłabyś poszukać nożyczek albo czegoś ostrego w kuchni?

Policjantka wyszła do przedpokoju i Banks usłyszał trzask otwieranych i zamykanych

drzwi. Po chwili wróciła z nożyczkami.

– Doskonale – powiedział i pochylił się nad Mallorym. Czuł bijący od niego smród i zauważył plamę w kroku.

– Victor, chcę, abys wiedział, że jesteśmy z policji i nie zamierzamy cię skrzywdzić. Mówię tak, żebyś nie dał drapaka, kiedy rozetnę taśmę, i nie wrzeszczał ile sił w płucach. Rozumiemy się?

Mallory pokiwał głową, wydając kilka zduszonych jęknięć.

– Nie uciekłbyś daleko – kontynuował Banks. – Winsome jest sprinterką i lokalną gwiazdą rugby. Skacze, biega, ale najlepiej kopie z półobrotu. – Winsome coś mruknęła pod nosem. – Nie słyszałem. Co mówiłaś?

– Nie, nic – odparła, wzdychając z rezygnacją.

Banks pokazał Mallory’emu legitymację i zaczął go oswobadzać. Najpierw przeciął taśmę, która krępowała mężczyznę, potem naderwał z brzegu kawałek zalepiający usta i szybkim ruchem go zerwał.

Mallory wrzasnął i chwycił dłońmi za twarz. Jeśli policjanci na zewnątrz usłyszeli jego krzyk, postanowili nie kłaść kresu brutalności podczas przesłuchania.

– Prawie oderwałeś mi wargi – poskarżył się Mallory. Na dywanie, gdzie przed chwilą leżał, znajdowała się plama krwi. Włosy z boku głowy mężczyzny były pozlepiane.

– Nie bądź mazgajem – powiedział Banks. – Wszystko w porządku? Potrzebujesz lekarza, wezwać pogotowie?

– Nie, nie – odparł Mallory. – Obejdzie się bez nich. Nie mam wstrząsu mózgu, nie straciłem przytomności. – Mallory potarł nadgarstki i kolana. – Ale napiłbym się wody.

Winsome ponownie wyszła z pomieszczenia i wróciła po chwili ze szklanką nalaną prawie do pełna. Mallory zaczął pić łapczywie, nie zwracając uwagi na to, że ścieka mu po brodzie. Banks dał mu chwilę na złapanie oddechu i uspokojenie.

Mallory unikał wzroku Winsome. Kiedy skończył pić, powiedział:

– Posłuchajcie... miałem niewielką awarię... Czy mógłbym wziąć szybki prysznic i się przebrać? – Starannie wypowiadał każdą sylabę, jakby deklamował. Jego akcent jest zbyt czysty i trąci sztucznością, uznał Banks.

– Nie mamy czasu.

– Ale...

– Pójdziemy na kompromis. Możesz się szybko wytrzeć i zmienić ubranie, ale będę miał na ciebie oko. Lepszej oferty ci nie złożę. Pasuje?

– Nie mam wyboru.

– To ja tymczasem zaparzę herbatę – zaoferowała Winsome.

– Świetnie – powiedział Banks.

– Masz szczęście – dodał, kiedy zaczęli wspinać się z Mallorym po schodach. – Nie każdemu chce zrobić herbatę. Ładny dom.

– Dzięki.

– Ile za niego dałeś?

– Za dużo.

– Nie gadaj. Ćwierć miliona? Pół? Cały?

– Czteryście tysięcy. Jak na tamte czasy świetna cena.

Banks gwizdnął. Weszli do sypialni. Była ascetyczna i biała, miała szafy wnękowe i osobną łazienkę. Mallory zrzucił brudne ubranie i wcisnął je do kosza na brudną bieliznę. Wytarł się puchatym, zielonym ręcznikiem, który posłał do tego samego kosza, następnie włożył niebieski dres. Banks dał mu znak, żeby wracali na dół.

Winsome siedziała na sofie, a na stoliku przed nią stał dzbanek herbaty, mniejszy z mlekiem, a do tego cukier i trzy kubki.

– Mogę dziś udawać dobrą mamę? – spytała.

Banks usiadł obok niej, a Mallory zajął miejsce w bujanym fotelu obok kominka, naprzeciw pary policjantów.

– Victor – zaczął Banks. – Opowiedz nam, co się tutaj wydarzyło.

– Przyszło dwóch mężczyzn. Związali mnie taśmą i zostawili. Gdybyście się nie pojawili, mógłbym umrzeć z głodu lub się udusić.

– Z radością przyjmujemy twoje podziękowania – powiedział z przekąsem Banks. – Natomiast przesadzasz odrobinę. Ile czasu byłeś związany?

– Nie wiem. Straciłem poczucie czasu. Przyszli po obiedzie.

– Czyli minęło około pięciu, sześciu godzin – powiedział Banks, spoglądając na Winsome, która zaczęła robić notatki.

– Być może. Próbowałem się oswobodzić, jednak taśma tylko mocniej się zacisnęła. Starłem się coś zrobić, ale krzesło się wywróciło. Leżałem bezradnie jak żółw na plecach.

– Celne porównanie.

– Posłuchajcie, napiłbym się brandy. Herbata jest wspaniała, ale potrzebuję czegoś mocniejszego. Miałem trudny dzień.

– Oczywiście.

– Czy któreś z was ma ochotę...?

– Nie, dziękuję, herbata wystarczy – powiedział Banks. Winsome skinęła głową na znak, że się z nim zgadza.

Mallory podszedł do barku i nalał sobie kieliszek remy. Upił łyk i westchnął.

– Od razu mi lepiej.

– Zakładam, że zdajesz sobie sprawę z tego, o co chcemy spytać? Najprawdopodobniej

interesują nas te same odpowiedzi co twoich prześladowców.

– To samo pomyślałem. Ale nie zamierzacie mnie związać i grozić skalpelem?

– Tak zrobili?

Mallory wzruszył ramionami w teatralnym geście bezradności. Banks pomyślał, że może emocje nie były tak przesadzone.

– Jeden z nich mnie nastraszył. Prawdziwy psychopata.

– Ciaran. Lubi działać w ten sposób.

Mallory o mało nie zadławił się brandy.

– Znacie ich?

– Mamy pewne przypuszczenia – odparł Banks. – Winsome?

Policjantka wyjęła z teczki rysunki, które dostała od Rose. Podała je Mallory'emu, który zerknął na nie i oddał z powrotem.

– Dobry Boże. Tak, to oni.

– W takim razie możesz mówić o szczęściu, skoro jesteś w jednym kawałku. – Banks odstawił kubek na blat, pochylił się do przodu i splótł dłonie tak, że knykcie pobielwały. – Problem tkwi w tym, że nie mamy zbyt wiele czasu, Victor. Tych dwóch ma nad nami pięć godzin przewagi, a stawka wyścigu jest wysoka. Wyższa, niż ci się wydaje.

– Ale kim oni są? Dlaczego mnie napadli? Aresztujecie ich?

– Zadajesz dużo pytań i wchodzisz w moją rolę. Czy wiesz, że twój przyjaciel, Jaff McCready, pracuje dla niejakiego George'a Fanthorpe'a, znanego jako Farmer?

– Fanthorpe'a? Nie. Kto to taki?

– Pracodawca Darrena i Ciarana, dwóch dżentelmenów, którzy cię dzisiaj odwiedzili. Najprawdopodobniej mają pozbyć się Jaffa.

Mallory przełknął nerwowo. Banks widział, jak jego grdyka porusza się w górę i w dół.

– Chcieli wiedzieć, gdzie Jaff się teraz podziewa.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie. Przysięgam, naprawdę nie wiem.

– Musisz mieć jakiś pomysł. Ciaran i Darren nie zadowoliliby się taką odpowiedzią. Odciełliby ci palec albo zatemperowali go jak ołówek, żeby tylko upewnić się, że mówisz prawdę. A tymczasem włos ci z głowy nie spadł. Sam sobie nabiłeś guza.

– Sterroryzowali mnie! Torturowali. W moim domu.

– Na mój gust – ciągnął dalej Banks – zacząłeś gadać, i to szybko. Chciałbym, aby z nami było podobnie. Jesteś nam to winien. Widzisz, tylko cię związali i grozili pobiciem czy okaleczeniem. My cię uwolniliśmy, pozwoliliśmy wytrzeć się i przebrać. Poczestowaliśmy cię herbatą i brandy. Widzisz, jacy jesteśmy dobrzy, prawda, Victorze?

– Mówisz jak tamten.

– Nie gadaj głupstw. Gdzie jest Jaff McCready?

Victor odwrócił się.

– Nie wiem.

– Tak lepiej. Teraz mam pewność, że kłamiesz. Lubię wiedzieć, na czym stoję. – Banks wyciągnął notes i odczytał numer tablic rejestracyjnych samochodu, który znaleziono ukryty na wrzosowiskach. – Przypomina ci coś?

– Tak, to mój samochód.

– Świetnie, zaczynamy iść w dobrym kierunku. Powiedz mi, dlaczego został porzucony niedaleko Gratly.

– Nie wiem nawet, gdzie to jest.

– Nie pytałem o to. Jak się tam znalazł? I nie próbuj mi wmawiać, że został skradziony.

– Dobra, pożyczyłem go Jaffowi. Gdybyście tego nie wiedzieli, nie przyszlibyście tutaj. Jest moim kumplem. Nie wiedziałem, w jakie wpadł tarapaty.

– Ale wiedziałeś, że ma kłopoty?

– Tak. Jest moim przyjacielem. Kumpli w potrzebie się nie zostawia.

Banks pomyślał o Juliet Doyle, która znalazłszy pistolet w pokoju córki, zgłosiła to na policję. Kto ich wyciągnie z tarapatów?

– Nie zagłębiajmy się w ten temat, Victor. Nie mamy na to czasu. Co jeszcze „pożyczyłeś” Jaffowi?

– Nic. Nie wiem, o co pytasz.

– Był sam czy z kimś?

– Z jakąś dziewczyną. Czekala w samochodzie, widziałem ją, kiedy podmienialiśmy bryki. Powiedziała, że na imię ma Francesca.

– Została na zewnątrz z własnej woli?

Mallory zmarszczył brwi.

– Tak. Czemu miało być inaczej?

– Nie wydawało ci się, że została zmuszona?

– Nie. Nie odniosłem takiego wrażenia.

Banks wyczuł, jak Winsome mierzy go spojrzeniem. Musiał postępować bardzo ostrożnie, nie okazywać emocji. Jeśli użyłby informacji o prawdziwej tożsamości Tracy, aby wydobyć zeznania z Mallory’ego, w sądzie zeznania Victora mogłyby zostać podważone. Gervaise ostrzegala go, że stąpają po kruchym lodzie, który zaczął właśnie pękać.

– Czy Jaff powiedział, dlaczego chce pożyczyć twój samochód?

– Nie, powiedział, że narobiło się trochę smrodu i musi przeczekać. Dopiero potem

zobaczyłem w wiadomościach, co się stało z... Erin.

- Znasz ją?
- Spotkałem kilka razy. Popieprzona laska. Mówiłem mu, że będą z nią problemy.
- Co odpowiedział?
- Uśmiechnął się po swojemu i powiedział, że da sobie radę.
- Dlaczego była „popieprzona”?

Mallory podrapał się po głowie.

– Była cholernie zazdrosna, impulsywna i łatwo wpadała w złość. Miała obsesję na jego punkcie. To bardzo niedobre.

– Dla mnie mówisz o zakochanej młodej dziewczynie.

– Jaff nie lubi być uwiązany. Ceni sobie swobodę. Chadza własnymi ścieżkami z tym, z kim chce.

– Też odniosłem takie wrażenie. Powiedział, dokąd się wybiera?

Mallory upił kolejny łyk brandy.

– Nie mówił dokładnie.

– Ale mniej więcej?

– Wspomniał, że musi się przyczaić na jakiś czas, wykonać parę telefonów i załatwić kilka interesów. Chciał opchnąć jakiś towar. Potem miał jechać do Londynu. Ma tam kumpla z uczelni, Justina Peverella. Koleś mieszka w Highgate, ale nie obracał się w tym samym towarzystwie co Jaff. Był obcy, przyjechał z Europy Wschodniej. Podobno potrafi załatwić różne rzeczy, w tym fałszywe paszporty. Wiedziałem, że Jaff ma podejrzanych przyjaciół, ale trzymałem się od nich z dala. Nie chciałem się mieszać, w ogóle o tym wiedzieć.

– O jakich interesach mógł mówić? Co za towar chciał sprzedać? Wiesz coś więcej na temat tego Justina oprócz tego, że mieszka w Highgate i handluje lewymi papierami?

– Nie. Mówię szczerze. Jaff pożyczył auto i powiedział, że jedzie do Londynu. Obiecał, że jakoś mi je odda, a na razie mogę korzystać z jego wozu.

– Gdzie jest?

– W garażu. Miał nie stać na widoku.

– Czy powiedziałaś Ciaranowi i Darrenowi o Justinie?

– Tak. Nie miałem wyjścia, posiekaliby mnie na plasterki. Nie wspomniałem nazwiska tego kolesia z Londynu, przypomniałem je sobie dopiero teraz.

Fanthorpe ma tyle informacji co my, ale za to pięć godzin przewagi – pomyślał Banks. To niedobrze, pomimo braku nazwiska prędzej czy później znajdzie Justina, śledząc jego powiązania w półświatku. Prawda była taka, że jeśli wywiadowcy nie mieli Justina na oku, to ludziom Farmera będzie łatwiej go zlokalizować niż policji. Bez wątplenia Ciaran

i Darren byli już w Highgate, czekając na kolejne instrukcje. Wszystko wskazywało na to, że Victor i Erin mówili o tym samym człowieku. Pomagierzy Fanthorpe'a nie znali nazwiska Justina ani imienia jego dziewczyny. To mogło dać przewagę Banksowi, trzeba było przejrzeć książkę telefoniczną i spis mieszkańców. Jeśli Peverell rzeczywiście pochodził z Europy Wschodniej, to najprawdopodobniej nie używał prawdziwego nazwiska. Jeżeli nie miał brytyjskiego obywatelstwa, odszukanie go mogło nastreczyć pewnych trudności. Ale gdzie, do cholery, byli Tracy i Jaff? Mieli dość czasu, aby o własnych siłach dotrzeć do Londynu. Ich samochód został znaleziony na wrzosowiskach, kilka kilometrów od domu Banksa, gdzie została postrzelona Annie. To oznaczało, że musieli przemieszczać się pieszo. Niewykluczone, że się zgubili. Ludzie błądzili w dziczy i umierali na wrzosowiskach i bez katastrof w rodzaju śnieżycy czy burzy. Z drugiej strony Tracy znała teren i jeśli znaleźli inny pojazd, mogli znajdować się dosłownie wszędzie. Być może policja wiedziała, dokąd się kierują, ale najlepiej byłoby dokładnie zlokalizować tę dwójkę uciekinierów. Co gorsza, w oczach Jaffa przydatność Tracy malała z każdym kilometrem, który przybliżał go do Justina Peverella. Jaff z pewnością nie zamierzał płacić za dwa fałszywe paszporty. Czy zdawał sobie sprawę, czyją córką jest Tracy? Jeśli tak, to jak ta informacja wpłynie na jego postępowanie?

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pistolecie, Victor – powiedział Banks.

Mallory wyraźnie się spał.

– Jakim pistolecie? Pożyczyłem samochód kumplowi, ale nic nie wiem o żadnej broni.

– Nie wiem, czy poprzedni goście o nią pytali, być może bardziej interesował ich Justin. Mnie jednak ciekawi kwestia pistoletu. Jesteśmy przekonani, że Jaff nie miał go przy sobie, kiedy opuszczał mieszkanie. Zabrała go Erin Doyle, i to przez niego rozpętała się cała afera. Był przekonany, że dziewczyna opowie, komu zabrała broń, i w ten sposób policja wpadnie na trop jego lewych interesów. Jest mało prawdopodobne, aby miał dwa pistolety, no bo po co? To oznacza, że drugi dostał od ciebie. Z tego co wiemy, odwiedził tylko ciebie, zanim... – Banks o mało nie dokończył zdania słowami: „zaszył się w moim domu”. Zebrawszy myśli, kontynuował: – Zanim znikł. Z niej postrzelił policjantkę. – I zapewne groził mojej córce, dodał w myślach. – Broń prawdopodobnie jest z przemytu. Stawiamy na bajkała. To czyni cię współwinnym.

Mallory zbladł.

– Jaff postrzelił policjantkę? Nie wierzę. Nie dałem mu żadnej broni, nigdy sam nie miałem pistoletu.

– Nie wierzę ci – odparł Banks. – Nie mam teraz czasu, aby wyciągnąć z ciebie prawdę, ale jeśli przekonam się, że maczałeś palce w dostarczeniu broni Jaffowi, wrócę po ciebie. A na razie nie myśl o wyjeździe na wakacje.

Gestem wskazał Winsome, że skończyli rozmowę. Wstali i ruszyli do drzwi. Kiedy wychodzili, Mallory nadal siedział w fotelu, trzymając szklanekę w drżącej dłoni. Gdy znaleźli się na zewnątrz, zauważyli, że srebrna skoda stoi tam gdzie wcześniej, a przez otwarte okna unosi się dym papierosowy. Banks podszedł do samochodu i oparł rękę o dach.

– Na razie skończyliśmy – powiedział, wskazując kciukiem na dom Vica. – Na waszym miejscu zasugerowałbym szefowi, żeby przeszukać dom. Powinniście rozejrzeć się za nielegalną bronią i być może laboratorium chemicznym. Jeśli niczego nie znajdziecie, sprawdźcie, czy nie prowadzi interesów w innym miejscu lub pod fałszywym nazwiskiem. Być może ma gdzieś skrytkę. Zarobicie kilka plusów. Patrząc na was, mogą się przydać. Czołem.

Kiedy wsiadł do samochodu, Winsome rozmawiała przez komórkę. Pożegnała się i zamknęła klapkę.

– Poprosiłam Gervaise, żeby sprawdzono Justina Peverella w bazie danych. Mam też dobre wiadomości.

– Mów.

– Dostaliśmy informację z komisariatu w Baldersghyll. W Rawley Force skradziono białą półciężarówkę. To kilka kilometrów od wsi, niedaleko punktu widokowego. Para spacerowiczów wybrała się na pieszą wycieczkę. Miała im zająć jakieś trzy i pół godziny.

– Co się stało?

– Wrócili wcześniej, nie mieli czasu na pełną trasę, i okazało się, że ich auto znikło. Jak dla mnie to za duży zbieg okoliczności. Trasa, kierunek i czas wskazuje na robotę Tracy i Jaffa.

– Dobrze – przytaknął Banks.

– To nie wszystko – dodała Winsome. – Właściciel twierdzi, że silnik jest w kiepskim stanie i wóz nie wyciąga więcej niż pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Wychodzi na to, że nasz Jaff nie ma szczęścia do techniki.

Jeśli prędkościomierz nie kłamał, kiedy wskazówka dochodziła do sześćdziesiątki, silnik zaczynał wyc i tak się trząść, że Tracy bała się, iż wystrzeli spod maski. Albo odpadną koła. Jaff z każdą chwilą robił się coraz bardziej wściekły. Najpierw były roboty drogowe na autostradzie w pobliżu Wetherby, potem wypadek zablokował południowy pas na M1. Dopiero po zmroku dotarli na wschód od Leeds. Od kradzieży samochodu minęły dwie i pół godziny. Czas nie był sprzymierzeńcem Jaffa.

Tracy zauważyła, że z każdą minutą robił się coraz bardziej nerwowy i agresywny. Po części był to efekt opóźnień i przygód po drodze, ale niebagatelną rolę odgrywała kokaina, którą co chwila wciągał. Co dziwne, wzdłuż szosy ustawione były kamery nadzoru, a co

chwila mijały ich policyjne radiowozy. Jaff narzekał, że biały grat przyciąga uwagę gliniarzy. Co więcej, jak powiedział, kamery wykorzystywały automatyczny system rozpoznawania tablic rejestracyjnych, który informował policję o wykryciu pojazdu oznaczonego jako skradziony. Wkrótce zawiadomienie dojdzie do centrali i półciężarówką zainteresuje się drogówka. Jadąc tym tempem, do Londynu mogli dotrzeć za pięć, sześć godzin. Bardziej prawdopodobne było, że samochód zdechnie gdzieś na poboczu przed Sheffield.

– Kurwa mać! – krzyknął, uderzając pięścią w kierownicę. – Nie damy rady. W tym tempie nie dojedziemy do Wakefield, a samochód już będzie na liście skradzionych. Musimy się pozbyć tego złomu, zanim nas przyskrzynią. Niedługo zaczną go szukać, jeśli już tego nie robią. Ta dwójka mogła skrócić spacer albo szybko chodzić. Gliny mogą nas szukać już teraz.

– To co zrobimy? – spytała Tracy. – Dworce autobusowe są pewnie obserwowane.

– Muszę pomyśleć i wykonać parę telefonów. Najpierw trzeba pozbyć się grata. – Jaff jechał w milczeniu przez kilka minut, a potem włączył kierunkowskaz. Na najbliższym skrzyżowaniu zamierzał skręcić w prawo.

– Co robisz? – zainteresowała się Tracy.

– Mam pomysł. Jedziemy do Leeds.

– Leeds? Zwariowałeś?

Jaff rzucił jej ostre spojrzenie.

– Pomyśl choć chwilę. Leeds jest ostatnim miejscem, gdzie będą nas szukać. Nawet za milion lat nie przyjdzie im do głowy, że wróciliśmy.

Tracy dobrze wiedziała, że Jaff się myli. Policja nie postępowała tak prostolinijnie, jak myślał o niej Jaff. Wbrew pozorom nie był taki cwany, jak mu się wydawało. Trudno było ich przechytrzyć, zwłaszcza jej ojca.

– Dobra – odpowiedziała, czując nową nadzieję. Leeds, niech będzie. To były jej znajome strony. – Twoje czy moje mieszkanie?

– Nie bądź głupia, są obserwowane. Nawet jeżeli nie postawili tam glin, to sąsiedzi od razu doniosą. Nie możemy jechać do Vica. Pewnie znaleźli samochód i go wymaglowali.

– A jeśli cię wydał?

– Vic? Mowy nie ma. To mój kumpel, wiele razem przeszliśmy.

– Ciekawe co? Uciekaliście razem przed policją czy bawiliście się pod prysznicem z trenerem rugby?

– Zamknij się, do kurwy nędzy! Nic nie wiesz. On też nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Mogę się założyć, że wiedział, dokąd jedziemy i z kim mamy się spotkać.

Jaff ponownie łypnął na nią. Zorientowała się, że myślał o tym już wcześniej i martwił

się takim obrotem spraw. Jechali teraz przez przemysłową dzielnicę w Stour ton. Znajdowała się pomiędzy drogami M1 i M621, wiodła do Leeds, a Jaff prowadził w skupieniu, nie chcąc pogubić się na rondzie. W pewnej chwili zjechał na prawo i zaparkował przed opuszczonym magazynem.

– Co robisz? – spytała Tracy. – Dlaczego się zatrzymujemy?

– Nie bręcz. Musimy pozbyć się brudnych ciuchów i przebrać w czyste. Ty pierwsza.

Tracy przeczołgała się na tył. Z ulgą zdjęła brudne ubranie i włożyła czyste, które kupił jej w Swainsdale Center kilka dni temu. Jakoś nie mogła uwierzyć, że wtedy układało się między nimi tak dobrze. Teraz był zupełnie innym człowiekiem. Jak doktor Jekyll i pan Hyde. Zmieniła bieliznę, marząc o kąpeli, ale jedyne, co mogła zrobić, to poprawić makijaż, wykorzystując lusterko w samochodzie. Jaff szybko zmienił ubranie i wrócił na fotel kierowcy.

– Tak lepiej – powiedział. Wyrównał dwie kreski kokainy na lusterku i wciągnął je przez zwinięty dwudziestofuntowy banknot.

– Chcesz? – spytał.

– Dzięki, nie. Co teraz?

– Najpierw musimy się pozbyć tego grata. Zostawimy go w Beeston. Nie ustoi tam pięciu minut. Potem znajdziemy sobie fajny hotelik w centrum i wykonam kilka telefonów. Nie ufam tu nikomu, ale nie martw się, coś wymyślę.

– Jak zamierasz dotrzeć do Londynu?

– Zadajesz za dużo pytań. Chyba wiem, skąd mogę skombinować brykę. Znam kolesia, który ma warsztat w Harehills. Opłacone samochody, po przeglądzie. Czysta sprawa. Dotrzemy do Londynu w try miga.

Tracy intensywnie myślała. W Leeds będzie najłatwiej uciec, zwłaszcza jeśli Jaff uwierzy, że jest bezpieczny i stanie się nieostrożny. Miała nadzieję, że zwieje mu na wrzosowiskach, ale nie dał jej szansy. Kolejnych już nie było. Tracy wiedziała, że kiedy dotrą do Londynu, znajdzie się na łasce Jaffa i jego kumpla, którzy z kolei nie będą chcieli zostawiać świadków. Gorzej, jeśli trafią na policję, wtedy Jaff nie zawaha się pociągnąć za spust lub wykorzysta ją jako zakładniczkę. Jedyna nadzieja tkwiła w ojcu i tym, że policja zawiadomiła go o sytuacji. Dziś był wtorek, więc powinien już wrócić do kraju. Zamierzał zostać przez kilka dni w Londynie, ale chyba ktoś zawiadomił go o Annie.

– Będą nas szukać – powiedziała Tracy. – Azjaty i białej kobiety. Łatwo nas wypatrzyć.

– Co sugerujesz, mam się wybielić, a ty wysmarować samoopalaczem?

– Powinniśmy się rozdzielić. Nigdy cię nie znajdą w Leeds. Mógłbyś pojechać pociągiem na południe i nikomu nie przyszłoby do głowy cię zatrzymać.

– Pewnie wszędzie wiszą moje fotki. Twoje też, jesteś córką gliniarza.

– Może tak, ale szukają pary. Policjanci to też ludzie, zafiksują się na jedno i są ślepi na drugie. Wielu z nich nie jest zbyt bystrych.

– Ale nie twój stary. Założę się, że to on prowadzi śledztwo.

– Nie pozwolą mu. Jest zbyt emocjonalnie zaangażowany. Przepisy zabraniają takiego postępowania i nie ma od tego wyjątków.

– I sądzisz, że to go powstrzyma? – parsknął Jaff. – Poza tym, powiedzmy szczerze, jesteś moją polisą ubezpieczeniową. Byłbym głupi, gdybym pozwolił ci odejść.

– Jeżeli to on prowadzi dochodzenie, jak mówisz, to chodzi mu o mnie. Samemu masz większe szanse uciec.

Jaff pokręcił głową.

– Chodzi mu po części o ciebie, a po części o tę zdzirę, którą postrzeliłem. Pewnie ją posuwał. Oni trzymają się razem.

– To nie tak. Możesz wysadzić mnie tutaj albo w centrum. Znajdę drogę do domu.

– O, jasne, prosto do komisariatu tatusia. Jestem pewien, że masz tam dużo przyjaciół i chętnie im wszystko wyśpiewasz.

– Masz większe szanse na dotarcie do Londynu sam niż ze mną.

– A kto powiedział, że będę cię ze sobą ciągnął?

Choć słowa Jaffa nie były dla niej zaskoczeniem, to wstrząsnęły nią.

– Co?

– Chyba nie wierzysz, że zamierzam cię brać ze sobą po tym, co się wydarzyło? Nie na wiele się przydałaś.

– Co zamierzasz?

Jaff rzucił jej złowieszczy uśmiech.

– Nie zdecydowałem jeszcze, ale coś wymyślę. Justin może mieć jakiś pomysł. Kto wie, może będziesz coś warta? W pewnych miejscach świata biała dziewczyna jest pożądanym towarem. Justin specjalizuje się w przerzucaniu ludzi przy minimalnym zamieszaniu i maksymalnych zyskach. Albo cię zastrzelę, tak będzie najmniej kłopotu. Później będziemy się tym martwić.

Tracy skuliła się w sobie. Biała niewolnica. Choć brzmiało to tandetnie i dziwnie staroświecko, to poczuła dreszcz przerażenia. Teraz handel kobietami nie wydawał się tak śmieszny. Czytała i słyszała o nim. Sprzedawano je jako seksualne zabawki i przerzucano za granicę. Jej ojciec pracował nad podobną sprawą. Choć nie mówił o szczegółach, to wymknęło mu się kilka bardzo niepokojących informacji na temat tego, co spotykało te biedaczki.

– Gdyby przyszło ci do głowy, żeby zwiać, to pamiętaj, że jestem ścigany i policja depta mi po piętach. Nie zawaham się pociągnąć za spust. Znajdę cię wcześniej czy

później, a jak nie ja, to moi przyjaciele. Mamy dobrą pamięć. Będziesz musiała oglądać się za siebie do końca życia. Każdy samochód, jaki cię minie w drodze do pracy, każdy typ spod ciemnej gwiazdy, jakiego zobaczysz na ulicy, będzie mógł być tym, który cię załatwi. Ani się spostrzeżesz, a ktoś cię dźgnie igłą, obudzisz się w klatce, płynąc do jakiegoś zasranego kraju, o którym nikt nie słyszał, gdzie bogaci zboczeńcy płacą ogromne pieniądze za możliwość zabawiania się w taki sposób, że będziesz błagała o szybką śmierć. Więc nie próbuj myśleć o ucieczce.

Wkrótce jechali M621. Tracy obserwowała sodowe lampy uliczne, a kiedy zamknęła oczy, zobaczyła Annie, jak pada na stolik powalona impetem kul. Raz po raz przeżywała tę scenę i obserwowała pękającą taflę szkła blatu. Myślała o tym, co powiedział Jaff. Może chciał ją tylko nastraszyć? Jeśli tak, to mu się udało. Być może kłamał, ale żaden głos rozsądku nie potrafił odegnać przerażających obrazów, jakie ją dręczyły. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała, nie tęskniła tak za ojcem i nie czuła się tak samotna.

Jaff skręcił w kierunku Beeston.

Książka dla none none

– Cóż za niespodziewane odwiedziny. Proszę wejść, zapraszam do mojego leża.

Detektyw Banks i pani...

– Jackman. Winsome Jackman.

– Winsome. Wspaniałe imię dla olśniewającej kobiety. Pasuje idealnie.

Banks spojrzał na nią ukradkiem i od razu zauważył, że dziewczyna żałuje, iż gospodarz poznał jej nazwisko. Kiedy Fanthorpe odwrócił się i poprowadził ich korytarzem, włożyła palec do ust, udając, że wymiotuje. Banks tylko się uśmiechnął.

Leże okazało się pomieszczeniem ociekającym zbytkiem. Wszystko było synonimem bogactwa, od ciemnej wykładziny, przez szachownicę z różanego drewna, na której stały pionki z hebanu i kości słoniowej, po teleskop z brązu, ustawiony naprzeciwko okna. Ściany zdobiły oprawione w ramki zdjęcia z wyścigów i poroże jelenia. Dookoła dębowego stołu ustawiono cztery krzesła z drewna kasztanowego, obite czerwoną skórą. Z ukrytych głośników płynęły dźwięki *Eine Kleine Nachtmusik* Mozarta.

Farmer podszedł do barku, wziął z niego trzy kieliszki i karafkę. Miał na sobie brązowe workowate spodnie i sweter z miejscowej wełny. Zaokrąglone ramiona, śmieszny chód, łysy placek na czubku głowy okolony kędzierzawymi włosami nadawały mu wygląd skrzata z baśni.

– Napijcie się państwo? Mam bardzo dobry, słodki miód pitny.

– To nie jest wizyta towarzyska – powiedział Banks, siadając w jednym z foteli. Był tak wygodny, że gdyby przyjął propozycję Fanthorpe’a, pewnie po chwili by zasnął. Winsome usiadła obok, założyła nogę na nogę i wyjęła notes.

– Szkoda. – Fanthorpe westchnął i nalał sobie kieliszek. Usiadł w fotelu, upił niewielki łyk i oblizał wargi. – To Ardbeg Airigh Nam Beist. Po celtycku to znaczy „kryjówka bestii”, gdybyście nie wiedzieli. Jak mogę pomóc?

Banks wyczuł silny aromat torfu i jodu. Przyzwyczajał się do niego coraz bardziej i przekonał się, że jednak ma ochotę na whisky z Islay. Nie zamierzał jednak próbować trunków Fanthorpe’a, nawet gdyby był wypoczęty. Po Mozarcie przysłała kolej na Beethovena i *Dla Elizy*. Jeśli Banks się nie mylił, wykonanie pochodziło ze składanki największych hitów muzyki klasycznej Radia Classic FM.

– Szukamy pańskiego pracownika – powiedział. – Nazywa się Jaffar McCready, zwany po prostu Jaffem. Wie pan, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Jaffa? Obawiam się, że nie pomogę. Wykonuje dla mnie drobne roboty, ale nie nazwałbym go moim pracownikiem.

– Rozumiem, pracownik czasowy. Jak pan się z nim kontaktuje, gdy jest potrzebny?

– Przez telefon.

– Komórka?

– Nie, domowy.

Banks wiedział, że niczego ciekawego się nie dowie. Jeśli Jaff używał telefonu komórkowego, był to aparat na kartę, nie do wytropienia czy powiązania z jego osobą.

– Jakie prace mu pan zleca?

– Różne. Jaff to złota rączka, dosłownie. – Fanthorpe roześmiał się, mając na myśli cerę chłopaka. Ani Banks, ani Winsome nie podzielali jego wesołości. Odchrząknął, upił łyk miodu i kontynuował: – Na pewno się nie skusicie? Wspaniale smakuje. – Podniósł kieliszek. – Spływa po gardle delikatnie jak płynny jedwab.

Słuchając Fanthorpe'a, Banks był pewien, że to jego nie pierwszy głębszy tego popołudnia.

– Mógłby pan powiedzieć coś więcej na temat prac wykonywanych przez Jaffa?

– Nie czyści stajni, jeśli o to pan pyta. Czasami bywa kurierem, innym razem strażnikiem, kiedy to potrzebne.

– A kiedy tak się dzieje?

– Może pan sobie z tego nie zdawać sprawy, inspektorze Banks, ale konie wyścigowe to cenne zwierzęta. Są także podatne na kontuzje, a w tym biznesie jest wielu nieuczciwych ludzi. Trzeba bardzo uważać.

– Czytałem Dicka Francisa – powiedział Banks.

– A więc ma pan jakieś wyobrażenie.

– Potrzebuje pan silnorękich?

– Ależ skądże. Nie mam w zwyczaju tak działać.

– Mówił pan o nieuczciwych ludziach działających w tym interesie.

– Tak, ale rzadko dochodzi do przemocy czy potrzeby wołania, jak pan to ujął, silnorękich. Są subtelniejsze sposoby uzyskiwania pożądanych rezultatów.

– Czym dokładnie pan się zajmuje? – spytał Banks. – Dobrze myślę, że konie wyścigowe to czubek góry lodowej? Hobby.

– Można to tak nazwać. – Fanthorpe zaczął obracać szklanekę w dłoniach. Światło załamywało się na kryształowych ściankach, rzucając odblaski i cienie na blat stołu.

– Tym i owym. Głównie produkcją serów i mleczarnią. Jesteśmy z żoną jej właścicielami, no i zajmujemy się hodowlą koni wyścigowych. Mamy udział w parze rozplodowej zwierząt czystej krwi. Gdyby chciał pan porady dotyczącej...

– Narkotyków?

– Panie Banks! Niech pan tak nie mówi.

– Słyszałem tylko, że kontroluje pan lokalny rynek kokainowy. Podobno przeżywa

renesans, gdyby pan nie wiedział.

– Na pańskim miejscu nie rozpowszechniałbym niesprawdzonych plotek.

– A czego tu się bać? Przyjaźni się pan z komendantem głównym policji.

– Czasami zagramy rundkę golfa albo postrzelamy do kuropatw. Jestem właścicielem kawałka ładnej ziemi na wrzosowiskach...

– Dajmy sobie spokój z tymi żartami, Fanthorpe – przerwał mu Banks. – Szukam Jaffara McCready’ego. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie mleczarnia, konie czy biznes kokainowy, chyba że się w jakiś sposób łączą z chłopakiem. Możesz o tym nie wiedzieć, ale McCready jest poszukiwany za postrzelenie policjantki.

– Pańskiej przyjaciółki, prawda? – spytał Fanthorpe, a w jego oczach zabłyśły iskierki okrucieństwa. – Czasami współpracownicy stają się sobie zbyt bliscy. Byliście razem? Wydawało mi się, że policja nie pochwała tego typu związków?

– Trzymajmy się sedna – powiedziała Winsome. – Wyjęła z walizki portrety Ciarana i Darrena oraz zdjęcie Jaffa, które znaleźli w pokoju Erin na Laburnum Way. – Rozpoznaje pan któregoś z tych mężczyzn?

Fanthorpe wziął je do ręki i obejrzał z przesadną dokładnością.

– To Jaffar McCready – powiedział, wskazując na zdjęcie. – A to Ciaran i Darren, przecież ich pan zna, inspektorze.

– Chcieliśmy się upewnić – odparła Winsome, chowając je starannie do teczki.

Banks zacisnął dłonie na poręczach fotela i pozwolił, aby złość uleciała z niego jak para. Winsome w porę rozładowała napięcie, za co był jej wdzięczny. Prezentacja rysunków dała mu chwilę, dzięki czemu ochłonął. Jeszcze powiedziałby lub zrobił coś głupiego. Nadal mógł, jeśli nie weźmie się w garść.

Fanthorpe popatrzył na Winsome.

– Miałem kiedyś przyjaciela – powiedział. – Był właścicielem plantacji cukru na Jamajce i namawiał mnie, abym wszedł w ten biznes. Odpowiedziałem, że nie znoszę tamtejszego klimatu i ludzi. Wielkie obiboki, straszna ich chmara. – Znów przesunął spojrzeniem po Winsome. – Ale widzę, że wiele się zmieniło w tamtych stronach.

– Tak, proszę pana – odparła Winsome, w której głosie nagle zabrzmiał jamajski akcent. – Teraz dają nam legitymacje policyjne i pozwalają puszkować drani.

Fanthorpe się roześmiał.

– Cięta jest. Podoba mi się.

– Gdzie jest McCready? – spytał bez ogródek Banks.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– O, a dlaczegóż to?

– Jest mi winien pieniądze.

– Czy to dlatego szukają go Darren i Ciaran?

Fanthorpe zamieszał whisky w szklance.

– Niech pan sam sobie odpowie na to pytanie. Wiem, że i tak pan to zrobi. Nie wiem, skąd te informacje, ale chcę odzyskać od McCready'ego swoje pieniądze, zanim trafi do paki, a kasa zniknie w kieszeni jakiegoś gliniarza.

– McCready ukrywał się, zanim postrzelił oficer Cabbot. Ciekawi nas, dlaczego i co to miało wspólnego z panem?

– Ze mną? Raczej z jakąś bronią, z tego co słyszałem – zbył go Fanthorpe. – Tak mówiono w wiadomościach.

Winsome zanotowała coś szybko i powiedziała:

– Nazwisko Jaffara McCready'ego nigdy nie padło w powiązaniu z bronią, którą przekazała nam Juliet Doyle. Nie podaliśmy prasie tych informacji ani żadnych personaliów.

– Skąd pan wie, że McCready był w to zamieszany? – zapytał Banks.

– Pewnie myślicie sobie, że jesteście tacy cholernie cwani, co? – warknął Fanthorpe. – Myślicie, że nie mam własnych doświadczeń. Źródeł informacji? Człowiek z moją pozycją ma doświadczenia i wie więcej, niż się mówi prasie. Dorośnijcie.

– Komendant panu opowiedział o sprawie przy dziewiątym dołku, tak?

– Krzyczał wręcz.

– Czy ta broń ma dla pana jakąś wartość? – spytał Banks. – To smith & wesson kalibru dziewięć milimetrów. Czy z jakiegoś powodu niepokoi pana fakt, że jest w rękach policji?

– Ani trochę. Nie mam powodów do obaw.

– Czyli wyczyścił ją pan dokładnie. Co w takim razie McCready ma, czego pan tak chce? Forse? Narkotyki?

– Już mówiłem, jest mi winny pieniądze.

– Powiedział komuś, że ma papiery.

– Bzdury. Powiedział tak, żeby sprawiać wrażenie poważnego biznesmena. Prawda jest taka, że ukradł mi forse.

– Z handlu prochami?

– Powiedziałem, że niekiedy robi za kuriera. Proszę go, aby wpłacił w moim imieniu gotówkę do banku. Kiedy znikł, miał przy sobie sporo moich pieniędzy.

– Tuż przed zniknięciem Jaffar McCready wrócił z Londynu i Amsterdamu. Tak przynajmniej twierdził. Jakim cudem wszedł w posiadanie tak dużej sumy?

– Jeśli sądzi pani, że będę ją wtajemniczał w szczegóły moich interesów, myli się pani.

– Często wykorzystuje pan parobków do odbierania długów? – spytał Banks.

– Darren i Ciaran to ludzie wielu talentów i ograniczonej inteligencji. Ich wygląd pomaga zastraszyć, sam pan o tym wie. Niekiedy sama ich obecność wystarcza, aby przekonać ludzi, by zrobili to, co należy. To przydatna cecha, zwłaszcza jeśli chodzi o duże pieniądze.

– O, nie wątpię. Jak na razie sterroryzowali dwudziestoczteroletnią dziewczynę i związali młodego chłopaka, grożąc mu torturami. Prawdziwi twardziele. Słyszał pan o Victorze Mallorym?

– Nie przypominam sobie.

– Przyjaciel McCready’ego ze szkoły i uniwersytetu.

– Siatka starych znajomości. Jaff zawsze obracał się w zamkniętych kręgach. Zbyt nowobogackich jak na mój gust. Cambridge robi z ludźmi takie rzeczy. Do wszystkiego doszedłem sam. Nie bałem się ubrudzić rąk, nie studiowałem, a West Leeds Boys High to nie szkoła dla grzecznej młodzieży z dobrych domów. Nie znam Mallory’ego. Jaff miał wielu przyjaciół, o których nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Pomiędzy nami jest zbyt duża różnica wieku, na przeszkodzie stoi stosunek pracodawca – pracownik. Wydaje mi się, że dobierał sobie kumpli pod kątem zainteresowań i podobnego charakteru.

– Jakich informacji chcieli Darren i Ciaran od ludzi, którym grozili?

– Proszę mnie oświecić.

– Chcieli się dowiedzieć, dokąd ucieka McCready.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia, prawda? – Fanthorpe rozłożył ręce. – Bardzo chciałbym się dowiedzieć, gdzie on jest. Kłopot w tym, że pomija pan oczywistą komplikację.

– Jaką? – spytał Banks, przeczuwając, do czego dąży Fanthorpe. Na samą myśl przeszedł go zimny dreszcz. Farmer wstał z fotela, podszedł do barku i nalał sobie kolejną szklanekę whisky.

– Mówię o pańskiej córce, Tracy Banks. Wszyscy skrzętnie pomijają jej udział w tej aferze. – Fanthorpe oparł się o ścianę i uśmiechnął szeroko. – Ma pan poważne kłopoty i wiele zmartwień na głowie, inspektorze Banks. Doskonale pana rozumiem, sam mam córki. Razem moglibyśmy szybko zamknąć tę sprawę. Pan pomógłby mnie, a ja panu. Co pan o tym sądzi?

Jaff zostawił samochód obok mini morrisa bez drzwi, stojącego na kołkach. Ulica była pusta, a domy z czerwonej cegły, wzniesione jeszcze przed wojną, sprawiały ponure wrażenie. Wzmacniała je bliskość cmentarza Beeston Hill i obecność grupy zakapturzonych wyrostków w pobliskim zaułku. Na rogu ulicy wznosił się meczet z kopułą wykładaną mozaiką. W oknach przesłoniętych przez na wpół zjedzone przez mole firany migotały telewizory. Z oddali dochodziły śmiechy i łomot muzyki z pubu.

Latarnie uliczne dopiero zaczynały świecić, ich żółtawy blask mieszał się z ostatnimi promieniami słońca. W powietrzu unosił się zapach egzotycznych przypraw. Pomiędzy dachami widać było niebo. Chmury się rozstały, odsłaniając księżyc. Atmosfera była nerwowa, Tracy miała wrażenie, że napięcie można odczuć nawet tam, w górze.

Jeden z młodziaków coś krzyknął za nimi. Tracy nie rozróżniła słów, ale zobaczyła, że Jaff wsunął rękę do torby i uśmiechnął się złowieszczo.

– No dalej, spróbuj – mruknął. Serce Tracy zaczęło łomotać jak szalone. Nikt ich na szczęście nie ścigał, nikt nie próbował niczego głupiego. Kiedy dotarli do jasno oświetlonej ulicy, pełnej ludzi, pubów, zakładów fryzjerskich, azjatyckich sklepów i jadłodajni, Jaff rozluźnił się i wyjął rękę z torby. Wsiedli do pierwszego autobusu, jaki jechał w stronę centrum. Wmieszali się w tłum ludzi, którzy wyszli z pracy.

– Czy meldowanie się w hotelu nie jest zbyt niebezpieczne? Pewnie zwracają uwagę na pary.

Jaff rzucił jej wrogie spojrzenie.

– Nie zaczynaj znowu, nigdzie cię nie puszcę. Nic nam się nie stanie. Pewnie od razu pobiegłabyś do tatusia, co? – Tracy milczała. Właśnie to chciała zrobić. – Tak się nie stanie. Lepiej pogódź się z sytuacją i pamiętaj o tym, co ci powiedziałem w samochodzie. – Popatrzył na nią. – Przynajmniej wyglądasz jak człowiek. Nie będą się dziwić w recepcji. A ja?

Jaff jak zwykle wyglądał świetnie.

– Dobrze – odparła Tracy.

Autobus jechał swoją trasą: mijał skrzyżowanie, skręcał w kolejne ulice, aż dotarli do centrum.

– A co z kamerami przy ulicach? – spytała po chwili. Rozpoznawała okolicę, widziała znajome budynki Corn Exchange i Kirkgate Market.

– Są przydatne dla tych, którzy wiedzą, jak z nich korzystać i czego szukać – odparł Jaff. – Jeśli zdasz sobie sprawę z tego, ile ich jest, będziesz wiedziała, że nie ma dość ludzi, aby je kontrolować przez cały czas. Inaczej żylibyśmy w kraju Wielkiego Brata. Musimy zaryzykować, ale szansa, że nas ktoś zauważy, jest niewielka. Nikt się nie spodziewa, że wrócimy do Leeds. Zanim przekopią się przez materiał, będziemy opalać się na Costa del Sol. Przynajmniej ja – dodał. Chwycił poręcz i wstał. – Nasz przystanek, wsiadamy.

– Połączyć siły? Skąd ten pomysł? – spytał Banks.

Fanthorpe usiadł z powrotem w fotelu, bawiąc się kieliszkiem. Na jego twarzy pojawił się uśmiezek wyższości.

– Przecież to oczywiste – odparł, obserwując, jak Winsome rzuca zdziwione spojrzenie

inspektorowi.

– Proszę mnie oświecić – odpowiedział Banks.

Fanthorpe poprawił się w fotelu.

– Wiemy dobrze, że McCready ucieka, a z nim jest pańska córka. Jej los mnie nie obchodzi, ale chcę dopaść Jaffa. Jak już wcześniej wspominałem, ma coś, co należy do mnie i co chcę odebrać.

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem?

– Coś w tym rodzaju. Mogę zagwarantować bezpieczeństwo pańskiej córce, jeśli będzie w jednym kawałku po tym, jak Ciaran i Darren ją znajdą. Jest pan zainteresowany czy procedury i zasady nie pozwalają posłuchać głosu rozsądku?

– Niech pan mówi.

Fanthorpe pochylił się i dodał:

– Wiedziałem, że można się z panem dogadać. Niech pan da pracować moim ludziom. Znajdą Jaffa i Tracy, a kiedy tak się stanie, córka trafi w pańskie ręce. Jak mówiłem, sam jestem ojcem i wiem, przez co pan musi przechodzić.

– Nic pan nie wie. Mydlenie oczu bezpieczeństwem mojej córki na nic się nie zda. Wiem, że chodzi tylko o zabezpieczenie podejrzanych interesów.

– Cóż mogę zrobić, skoro zapewniają mi dostatnie życie.

– Kosztem nieszczęścia innych.

– Daję ludziom to, czego szukają.

– Sprzedając narkotyki?

– Bądźmy szczerzy, pan także unieszczęśliwił sporo ludzi, prawda? Ilu z tych drobnych złodziejasków, których pan zapuszkował, płakało w nocy, kiedy kolega z celi walił ich w tyłek aż wióry leciały? Nie czynisz ludzi szczęśliwszymi, kolego, więc daruj sobie umoralniające gadki. Daję ci szansę na ocalenie życia córki, lepiej jej nie odrzucaj. Nie zwykłem powtarzać oferty.

Banks poczuł, że robi mu się niedobrze. Oferta Farmera była kusząca, bardzo nęcąca. Mógłby na nią przystać, wiedząc, że szanse na odnalezienie Tracy by wzrosły. Odebrałby ją Jaffowi, a z tamtym już policzyłby się Fanthorpe. Nikt nie będzie po nim płakał. Z drugiej strony wiedział, że to nie byłby koniec. Zaczęłyby się kolejne żądania, przekazywanie informacji, przymykanie oka na niegodziwości, łapówki. Banks nie potrafiłby spojrzeć sobie w twarz. Nie mógł się zgodzić, poza tym obok siedziała Winsome, kobieta będąca uosobieniem sztywnych reguł i prawości. Nie przekabaciłby jej ani nie uciszył.

– A co z Jaffem? – spytał Banks.

Fanthorpe odwrócił głowę.

– A co pana to obchodzi? Chyba nie martwisz się pan o jego bezpieczeństwo, co? Nie mam żadnego interesu w krzywdzeniu chłopaka, po prostu chcę odzyskać pieniądze. Oczywiście istnieje możliwość, że Darren i Ciaran postanowią dać mu lekcję, postępowanie Jaffa przysporzyło nam kłopotów. Będę z panem szczery, zostanie ukarany, a Ciaran nie zawsze wie, kiedy powiedzieć „stop”.

– Rozumiem – odparł Banks. – Mają go zabić. Albo zabrać w ustronne miejsce, gdzie pan go załatwi.

– Proszę nie gadać głupstw. Muchy bym nie skrzywdził. – Fanthorpe roześmiał się. Upił whisky i dodał: – Grozi mu co najwyżej krótki pobyt w szpitalu, ale nic ponadto. Powiedzmy, że dostanie klapsa, który będzie nauczką, i wróci do gry. Nawet pan dostrzeże poetycką sprawiedliwość w tym, co mówię. Ostatecznie postrzelił pańską koleżankę. Poza tym nasz Jaff to kawał jurnego kozła. Pańska córka...

Zanim Winsome zdążyła zareagować, Banks przerwał Fanthorpe’owi:

– Proszę nie kontynuować tego tematu. Dla dobra nas wszystkich, dość...

– Oczywiście. Widzę, że to dla pana bolesna sprawa. Sądziłem, że zrozumie pan to, co mną kieruje. Ale skoro się nie zgadzamy, nie mogę zapewnić bezpieczeństwa pańskiej córce.

To była chwila, w której powinien wygłosić tyradę typu: „Jeśli choć włos spadnie jej z głowy, wyrwę ci serce i wsadzę do gardła”, ale Banks dobrze wiedział, że to bez sensu. Zbyt dobrze się rozumieli z Fanthorpe’em. Zamiast unieść się gniewem, powiedział:

– Ludzie tacy jak pan nie mogą pozwolić, aby okradano ich bezkarnie. Każde nieposłuszeństwo musi być karane, a Jaff ma posłużyć za przykład. Bez wątplenia umrze powolną i bolesną śmiercią. Znowu zapanują ład i porządek, aż za jakiś czas kolejny młody wilk poczuje się pewny siebie i silny, po czym spróbuje pana wygryźć. Nie będę brał w tym udziału.

– Ale czym pan się przejmuje? Niepotrzebnie dzielimy włos na czworo. Skąd ta troska o Jaffa McCready’ego, zwłaszcza po tym, co zrobił pańskiej córce czy współpracownicze? Na Boga, na pewno chciałby pan, aby wylądował w gr...

– Już mówiłem, że nie chcę tego słuchać.

Fanthorpe nie dokończył zdania. Westchnął tylko.

– Chyba czas, aby przejrzał pan na oczy. Kiedy pan wreszcie dostrzeże, co się dzieje? Z czym naprawdę mamy do czynienia?!

Twarz Farmera nabiegła krwią, kiedy mówił z coraz większą złością. We krwi buzowały mu alkohol i wściekłość. Banks chciał go zdzielić w twarz, grzmotnąć pięścią z całej siły i patrzeć, jak z rozbitego nosa tryska krew.

– Zakładając, że poszedłbym na układ. Co miałbym zrobić? – spytał, czując na sobie

spojrzenie Winsome. Była zdziwiona i zaskoczona, ale to nie grało roli. Niebawem sama się przekona, do czego dążył.

– Nic, i na tym polega piękno mojego planu. Jaff otrzyma karcącego klapsa, już ja o to zadbam.

– Raczej Darren i Ciaran?

– Mają nad wami przewagę, a dzięki moim kontaktom dowiedzą się, gdzie zdążają Jaff i Tracy. Mam dobrze poinformowanych przyjaciół i szybko się dowiem, co jest grane.

– To może być prawda – przytaknął Banks. – Skoro jest pan tak dobrze poinformowany, czemu nie podzieli się pan informacjami? Załatwilibyśmy sprawę zgodnie z prawem i legalnie. Wszyscy byliby szczęśliwi, a Darren i Ciaran nie ryzykowaliby oskarżenia o morderstwo i dożywotniego więzienia. Pan także uchroniłby się od kłopotów, gdybyśmy znaleźli jakieś powiązania.

Fanthorpe pokręcił głową.

– Pan nadal nic nie rozumie, inspektorze. Jaff ma coś, co należy do mnie. Nie zamierzam spędzić kolejnych dwudziestu lat w sądzie, próbując to odzyskać z rąk państwa.

– To musi być wyjątkowo lewy towar, prawda? Pewnie kilo albo dwa dobrej koki. Jeśli tak, to będziemy chcieli ją dostać.

– To nie pański interes. Bardziej bym się martwił tym, że Ciaran i Darren nie wiedzą, że Tracy nie może spaść włos z głowy.

Banksa przeszył dreszcz strachu. Chciał się rzucić Fanthorpe'owi do gardła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – warknął, choć dobrze wiedział, co się kryło za słowami tamtego. Czuł, że Winsome była gotowa w każdej chwili zainterweniować, gdyby istniała szansa, że posunie się za daleko. Siedziała napięta i czujna, ale nie musiała się obawiać. Nie zamierzał popełnić błędu.

Jeśli istniał jakiś aspekt zawodu policjanta, którego nienawidził Banks, to było nim poczucie bezsilności. Jako stróż prawa musiał go bezwzględnie przestrzegać i zawsze grać według sztywnych reguł. Choć niekiedy zdarzało mu się chadzać na skróty, jak każdemu człowiekowi, czy naciągać przepisy, to koniec końców stał na ich straży. Pod żadnym pozorem nie mógł przystać na propozycję Fanthorpe'a. Musiał uratować Tracy, znaleźć Jaffa, powstrzymać Ciarana i Darrena i na koniec dopaść Farmera. Był tego pewien w równie dużym stopniu, jak wtedy na pustyni w Nevadzie, kiedy zrozumiał, jak musi ułożyć sobie życie. Nie wiedział tylko, jak tego dokonać. Ale to kwestia czasu.

– Sądziłem, że wyrażam się jasno – mówił Fanthorpe. – Ciaran i Darren uważają, że Jaff i Tracy są w zмовie. Traktują ich jako moich wrogów. Mierzą ich jedną miarą i nie będą się bawić w ocenianie, kto kogo do czego zmuszał. Chyba że ich zawiadomię. Pańska

córka wróci nietknięta, a Jaff zostanie ukarany tak, jak na to zasłużył.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Napyta pan sobie biedy. Sprawy potoczą się swoim torem, bez mojej ingerencji. Po co tak inteligentnemu człowiekowi jak pan ta moralna wyższość?

– Bo jestem policjantem, panie Fanthorpe – odparł Banks. – Nie mogę przymknąć oka na morderstwo, bez względu na to, w jak ładne słówka pan je ubierze. Zagroził mi pan, że pańscy ludzie skrzywdzą moją córkę, jeśli nie dostanie pan z powrotem narkotyków i pieniędzy z ich sprzedaży. Zamierza pan zabić Jaffa McCready’ego. Wszystko wskazuje na to, że jest pan bandziorem, ale jeśli na to pozwolę, stanę się kimś podobnym do pana. Knurem, który zdołał wygrzebać się z gnoju i unieść łeb wyżej niż reszta stada.

Fanthorpe zakrztusił się i opluł przód swetra alkoholem.

– Hola, hola, panie Banks. – Wskazał paluchem na policjanta. – Pożałujesz tych słów. Ciaran i Darren są w Londynie i czekają tylko na moje słowo.

– Więc dlaczego od razu do nich nie zadzwonisz? Nie możemy cię powstrzymać. Problem polega na tym, że nie wiesz, co im kazać. Prawdopodobnie nie masz pojęcia, gdzie jest Jaff. Wiesz jeszcze mniej od nas. – Banks spojrzał na Winsome, która uśmiechnęła się i pokręciła głową.

Fanthorpe wbił w niego spojrzenie i przez długą chwilę siedział w kompletnym milczeniu. W końcu wycedził:

– Nie rozumiem pana. Po prostu nie umiem tego pojąć. Proponuję prosty układ: pan odzyska córkę całą i zdrową, ja pieniądze, a złodziej dostanie po łapach. W czym tkwi problem?

– Właśnie w tym – odparł Banks, pokazując Winsome, że czas zbierać się do wyjścia. – Szkopuł w tym, że pan nie rozumie, o co nam chodzi. Nie będziemy panu zabierać więcej czasu. Sami trafimy do wyjścia.

– Czy to było rozsądne? – spytała Winsome, kiedy wsiedli do samochodu. – Strasznie go pan rozjuszył.

– Zapewne nie – przyznał Banks. – Sam nie wiem. Ale Fanthorpe nie da nam odpowiedzi. Gdybyśmy go zapuszkowali, wyszedłby chwilę później, nic na niego nie mamy. Ale do czasu. Nie oplaca się go wymaglować na przesłuchaniu, choć z radością bym to zrobił. Po pierwsze, nie mamy czasu, po drugie, jest za cwany. Zaraz zwałiłoby się na nas stado prawników. Dobierzemy się do Farmera kiedy indziej. Poprosimy miejscowych o to, aby mieli na niego oko. Przynajmniej wiemy, że Ciaran i Darren są w Londynie i uważają, że Jaff z Tracy tam się kierują.

– Weźmiemy ich telefony na podsłuch? Telefon Fanthorpe’a?

– Za mało czasu. Poza tym zapewne używają jednorazówek – powiedział ze smutnym

uśmiechem Banks. – Pewnie musielibyśmy go powiesić za nogi, porządnie obić i wyrwać paznokcie po paznokciu, żeby cokolwiek powiedział. To nie do końca licuje z moralnością policjanta, prawda? – Wskazał na teczkę Winsome. – Ale przynajmniej mamy jego odciski palców.

– Nie sądziłam, że pan zauważy.

– Nie jestem aż tak bardzo zmęczony. Świetny ruch. Mogą nam się kiedyś przydać, zwłaszcza że nie mamy go w bazie danych.

– Nie popełnił dotąd żadnego przestępstwa.

– Na żadnym go nie złapaliśmy.

– Co teraz?

– Wracamy na posterunek. Musimy się przegrupować. Mamy przewagę, bo znamy nazwisko Justina, podczas gdy Fanthorpe co najwyżej imię. Mamy własne kontakty i mogę się założyć, że działamy lepiej od szajki Fanthorpe'a. Podejrzewam, że Tracy i Jaff nie dotarli do Londynu. Ich samochód wyciągał ledwie pięćdziesiąt na godzinę, prawda?

– Tak.

– Fanthorpe o tym nie wie, co daje nam trochę czasu. Wracajmy, zobaczymy, czy Gervaise i reszta zrobili jakieś postępy w sprawie Iana Jenkinsona i Quislinga.

Kiedy tylko Tracy zobaczyła, jak Jaff wchodzi do holu i zaczyna rozmawiać z blondynką w recepcji, ogarnęła ją rozpacz. Podał jej kartę kredytową, tę, za której pośrednictwem nie można go było wytropić, i zaczął ją zagadywać. Wymienili uśmiešky i zaczęli się śmiać. Tracy od razu zauważyła, że recepcjonistka jest zauroczona Jaffem, praktycznie gotowa była mu wskoczyć do łóżka. Tracy chciała wykorzystać sytuację i uciec, ale przypomniała sobie jego groźby. Oczyma wyobraźni dostrzegła, jak ktoś wciąga ją do samochodu, więzi w jakiejś śmierdzącej dziurze albo przemyca do dalekiego kraju, gdzie w przebraniu tancerki będzie musiała występować w burdelu dla bogaczy. Wzdrygnęła się, gdy prawie poczuła na skórze pożądliwy dotyk kogoś z wyimaginowanych zboczeńców. Wprawdzie wiedziała, że to nedorzeczna wizja, ale powstrzymała ją przed próbą ucieczki. Siedziała posłusznie w milczeniu, a Jaff wpisywał się do książki recepcyjnej, opłacał pobyt i flirtował z blondynką. Pewny siebie, z rzadka spoglądał przez ramię, aby sprawdzić, co robi Tracy.

Nic dziwnego, że czuł się panem sytuacji. Był dobrze ubrany i przystojny, miał uroczy głos i otaczała go aura wyższości. Mówił z doskonałym akcentem i choć kolor skóry czy pochodzenie mogły go dyskwalifikować, był członkiem klasy wyższej. Chodził do dobrych szkół, miał pieniądze i jednocześnie był pozbawionym skrupułów kryminalistą, który nie bał się łamać reguł. W tym pretensjonalnym hoteliku nie było nikogo, kto ośmieliłby się sprzeciwić bogatemu klientowi, a tym bardziej człowiekowi, który nie zawahałby się użyć

przemocy. Nikt też nawet nie podejrzewał, że ma do czynienia z uciekającym przestępcą. Ciekawe, czy Annie żyła? Tracy była odcięta od informacji i nie wiedziała, co się dzieje. Obserwując, jak Jaff odgrywa swoją rolę, czuła, jak narasta w niej strach. Był urodzonym aktorem, pokazywał ludziom dokładnie taką twarz, jaką chciał.

Odwrócił się ku niej i pomachał kluczami. Skinął dłonią, aby poszła za nim. Wjechali windą na czwarte piętro i w milczeniu szli przez opustoszały korytarz. Obok niektórych drzwi stały wózki z jedzeniem, piętrzyły się na nich puste butelki po winie i szklanki, niedojedzone steki i otwarte muszle ostryg.

Nikt nie widział, jak wchodzi do pokoju 443. Za oknem powitał ich dość przygnębiający i nieszczególny widok na dach sąsiedniego budynku. Uliczka była tak wąska, że zdawało się, iż można sięgnąć ściany sąsiedniej kamienicy. Za nią widać było wieżę ze szkła i stali, biurowiec, którego okna były ciemne, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech.

Burza jeszcze nie nadeszła, ale na niebie gromadziły się ponure chmury. Jaff zaciągnął zasłony. Tracy poczuła się jak w więzieniu. Widok za oknem napawał ją słabą nadzieją, czuła, jakby miała łączność ze światem, od którego ją odcięto. Choć powtarzała sobie, że nie może być mazgajem, to słowa Jaffa sprawiły, że trzęsła się ze strachu.

Jaff postawił torbę na szafce pod oknem i zaczął w niej grzebać. Wyciągnął w końcu niewielką plastikową torebkę i uniósł ją, rzucając Tracy pytające spojrzenie. Pokręciła głową i skuliła się na krawędzi łóżka. Jaff wzruszył ramionami i wysypał kilka kresek kokainy na lusterko. Wciągnął je nosem, a potem gdzieś zadzwonił. Tracy podejrzewała, że kontaktował się z Justinem z Londynu.

– Gotowy? Świetnie... Drogo. Nie, jasne, nie chcę się kłócić. Rozumiem. Słuchaj, Justin. Nie wpadniemy do ciebie. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś nas śledził. Jasne. Wiesz co, spotkajmy się gdzieś na mieście. Heath, jasne. Highgate Pond. Oczywiście, że trafię. Żaden kłopot. Załatwimy sobie rano jakąś brykę. Będziemy na miejscu wczesnym popołudniem. Dryndnę do ciebie, stary. Życie mi ratujesz. – Jaff rzucił telefon na łóżko i klasnął. – O tak! Będzie dobrze.

Kiedy Tracy nie odpowiedziała, spojrzął na nią i dodał:

– Jedziemy do Londynu, a stamtąd... w jakieś fajne miejsce. Przynajmniej ja. Głowa do góry. Zamierzasz się smucić tak przez cały czas? Mam dość kłopotów i bez twoich humorów.

– Jestem zmęczona i przestraszona – powiedziała Tracy. – Nie zamierzam cię rozweselać. Jestem twoją zakładniczką, zapomniałeś? Chcę, żebyś dał mi spokój i pozwolił iść do domu.

– Znowu ta sama śpiewka. Zmień płytę, spróbuj trochę koki, powinnaś się zabawić,

póki możesz.

– Nie chcę.

– Jak wolisz. Przed nami cała noc.

Tracy zadrzała. Choć pokój był duży i przestronny, to nie sposób było nie zauważyć, że centralny mebel to wielkie małżeńskie łóżko. Tracy wołałaby już spać w wannie, jeśli tylko by zdołała. Zresztą Jaff nie zamierzał jej na to pozwolić. Nadal nie spuszczał z niej oka.

– Możemy włączyć telewizję?

– Po co?

– Chcę obejrzeć wiadomości. Może powiedzą coś... no wiesz.

– Nie dowiemy się niczego, czego sami nie wiemy. – odparł Jaff. – Chcesz coś zjeść?

Mam wezwać obsługę? Masz ochotę na coś specjalnego?

– Nie wiem. Zamów, co chcesz.

– Co chcę?

– Tak.

– Dobra. Pizza?

– Może być.

– Z czym?

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

– Grzyby? Cebula? Oliwki? Salami? Anchois? Ananas?

– Może być.

– Do tego butelka czerwonego wina. Tak?

– Nie mam ochoty.

– To w takim razie co, woda mineralna? Lubisz gazowaną?

– Wszystko jedno. Może być zwykła.

– Będzie gazowana – powiedział Jaff. Nerwowo stukał nogą o podłogę, kokaina zaczynała na niego działać. – Masz ochotę na Madison?

– Madison?

– Tak. Ta blondynka z recepcji. Amerykanka, założę się, że nie odmówi. Mogę ją tu sprowadzić, zabawimy się. Co powiesz na trójkącik?

– Na mnie nie licz. Ona aż się paliła do ciebie.

– Pewnie tak...

– Chcesz, żebym zamówiła? – Tracy wstała z łóżka i podeszła do telefonu. – Mogę to za ciebie zrobić.

Jaff pogroził jej palcem i położył dłoń na słuchawce telefonu.

– Nie próbuj mnie przechytrzyć. Na pewno jest jakiś tajny kod i Madison zawiadomiłaby twojego tatusia, co? Tęsknisz za nim, co? Pewnie nawet go kochasz. Ja

swojego nienawidziłem. Zadzwońię.

Jaff zamówił pizzę z zielonym pieprzem, pepperoni i kurczakiem, a do tego butelkę białego wina. Kiedy skończył, oblizał wargi i podszedł do Tracy. Dziewczyna się cofnęła.

– Skoro musimy zaczekać... Sporo czasu minęło od tamtego razu w domku twojego ojca. Może byśmy... podgrzali atmosferę. Wiesz, co mam na myśli.

– Chcesz uprawiać seks? – spytała Tracy. Samo pytanie wydawało jej się idiotyczne. – Po tym wszystkim, co zrobiłeś? Jesteś zboczony, chyba kpisz!

Wyraz jego twarzy mówił coś innego.

– Pokażę ci, jaki jestem zboczony – powiedział, przysuwając się bliżej. – I że nie kpię.

Tracy poczuła jego dłoń zaciskającą się na jej gardle. Jaff pchnął ją na łóżko. Uderzyła nogami o krawędź materaca i upadła na niego. Wiedziała, że Jaff nie żartował.

Książka dla none none

Annie Cabbot miała wrażenie, jakby wznosiła się z głębin oceanu. Otaczały ją głębokie cienie pośród zielonej mgły, muskały mokre łodygi podmorskich roślin, które oplątywały jej nogi i ręce, uniemożliwiając wypłynięcie na powierzchnię. Wciągały w toń, choć walczyła z ich uściskiem. Nieważne, jak bardzo się starała, nie mogła wyrwać się z ich splotów. Ciśnienie wody sprawiało, że jej klatka piersiowa się zapadała i płuca nie były w stanie nabrać powietrza. Annie otworzyła usta, ale zamiast tlenu do jej gardła wlała się słona woda. Nagle, ni z tego, ni z owego, zdała sobie sprawę, że jest owinięta w ciepły kokon i dryfuje w spokojnych błękitnych wodach. Powoli, choć stale kierowała się ku powierzchni. Kiedy już miała się poddać ciepłu, które rozlewało się po całym ciele, wynurzyła się z wody i zaczerpnęła chłodnego powietrza.

Najpierw poczuła ból, a chwilę później uległa panice. Coś utknęło jej w gardle i się dusiła. Próbowwała opanować szalone bicie serca, ale nagle dotarł do niej szum i piszczenia maszyn, jakie ją otaczały. Tylko spokojnie, pomyślała, otwierając oczy. Jej wzrok powoli przystosowywał się do półmroku. Spokojnie, jesteś w szpitalu, podłączona do aparatury. Z początku zdawało się jej, że ktoś siedzi przy łóżku. Jej tata, Ray? Nie, była sama.

Annie nie pamiętała, jak tu trafiła, i niejasno tylko zdawała sobie sprawę, dlaczego znalazła się w szpitalu. Pokój był pusty, a szpitalne łóżko lekko nachylone. Z klatki piersiowej i gardła Annie wystawały rurki, a do grzbietu dłoni był przyczepiony wenflon. Ze stojaka obok łóżka zwieszały się torebki z plazmą, krwią i jakimś przezroczystym płynem. Za nimi znajdował się zielony monitor, z którego wyczytała, że jej ciśnienie krwi wynosi 125 na 91, a puls 102. Na jej oczach przymocowany do ręki automatyczny sfigmomanometr uruchomił się i pokazał, że obecnie jej ciśnienie to 119 na 78, a puls 79. Annie spróbowała się uspokoić. Tak będzie lepiej, pomyślała. Nie było tak źle. Trudności miała tylko z oddychaniem i bolało ją gardło. Czuła się jak podczas wybudzania, kiedy miała wrażenie, że tonie w oceanie.

Gdy tak próbowała połapać się w gąszczu igieł, rurek, aparatów, bolących części ciała, zdała sobie sprawę, że najbardziej dziwi ją co innego. Żyła. Kto wie, może tylko maszyna umożliwiała jej oddychanie albo ją reanimowano, ale nie umarła. Choć myślała powoli i miała wrażenie, że do głowy napchano jej kłęby waty, to potrafiła przywołać wspomnienia. Nos chyba był na miejscu, podobnie jak uszy, ramiona i nogi. Najbardziej bolała ją klatka piersiowa i plecy. Środki przeciwbólowe zapewne łagodziły cierpienie, ale nie wygłuszały go do końca. Czuła się tak, jakby po brzuchu i plecach okładano ją kijem do krykieta. Być może tak było? Może dlatego trafiła do szpitala? Poruszyła palcami stóp

i zacisnęła dłonie. Dzięki temu zorientowała się, że nie doznała urazu kręgosłupa, nie była sparaliżowana.

W pewnym momencie zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje poza pomieszczeniem, w którym leżała. Docierały do niej strzępki przytłumionych rozmów, śmiech i informacje podawane przez system nagłaśniający. Nigdzie nie widziała jednak zegara, a swojego zegarka nie mogła znaleźć, dlatego straciła poczucie czasu. Nie wiedziała nawet, czy jest dzień, czy noc. Leżała bez ruchu, próbując odegnąć strach, jaki jej towarzyszył podczas powrotu z owego świata podziemnego, w którym do tej pory była. Poczowała, że męczy ją pragnienie. Na szczęście na stoliku obok zauważyła plastikowy kubek z wodą i słomką. Z rurką w gardle nie była w stanie niczego się napić ani zawołać o pomoc. Znowu ogarnął ją strach. W panice zaczęła rozglądać się za jakimś dzwonkiem czy przyciskiem alarmowym. Znalazła i wcisnęła z całych sił. Kiedy wduszała go, zdała sobie sprawę, że do pokoju wbiegła grupa ludzi. Jednym z nich był Ray, rozczochrany i brodaty jak zawsze. Nie mogła nic powiedzieć, ale cieszyła się jak małe dziecko. W jej sercu płonęła miłość do ojca. Annie była pewna, że po jej policzkach spłynęły łzy. Wyczerpana opadła na poduszki, powalając lekarzom usunąć rurkę, która ją dusiła.

Dochodziła północ z czwartku na piątek, ale nikt z ludzi zgromadzonych w sali narad posterunku nie zamierzał iść spać pomimo zmęczenia. Wszyscy zamierzali pracować, dopóki ten, który postrzelił Annie, nie stanie przed obliczem sprawiedliwości, a córka Banksa nie znajdzie bezpiecznego schronienia. W zebraniu brali udział: Gervaise, Doug Wilson, Geraldine Masterson, Vic Manson, Stefan Nowak, a także Banks i Winsome oraz kilku mundurowych z drogówki i prewencji. Chwila tryumfu przyszła, kiedy Vic Manson porównał odciski palców z fotografii z tymi, które znaleziono na magazynku pistoletu wyniesionego z domu Doyle'ów, i okazało się, że należą do tej samej osoby. Potwierdziło się przypuszczenie, że Jaff McCready i Farmer byli zamieszani w zabójstwo Marlona Kincaida. Niestety, nie udało się odnaleźć Justina Peverella.

– Wydaje mi się, że wszyscy zaczynamy się robić nerwowi – powiedziała Gervaise, kiedy Banks i Winsome skończyli referować wizytę u Victora Mallory'ego i rozmowę z Farmerem. – Mamy mnóstwo niewiadomych w równaniu.

Spojrzała na Douga Wilsona i Geraldine Masterson.

– Czego się dowiedzieliście w wydziale zabójstw West Yorkshire?

Wilson wskazał na Geraldine, dając do zrozumienia, że ona będzie referować.

– Niestety niewiele – powiedziała, wyraźnie speszona tym, że ma przedstawić wyniki śledztwa przed zebranymi słuchaczami. – Inspektor Quisling potwierdził, że ciało Marlona Kincaida zostało znalezione opodal miejsca kempingowego w Woodhouse Moor, w pobliżu Leeds. Trafi ono na nie wczesnym rankiem szóstego listopada dwa tysiące czwartego

roku.

- Kto je znalazł? Jakiś biegacz, ktoś na spacerze z psem? – spytał Banks.
 - Nie, nie. Trafiała na nie osoba dogaszająca ogniska, ze Służby Cywilnej.
 - A więc jednak na coś się przydali – rzucił Banks. – Cuda się zdarzają. Mów dalej.
- Geraldine rzuciła mu nerwowy uśmiech i zabrała głos:

– Ciało było częściowo spalone, ale oględziny na miejscu zbrodni wykazały, że denat zginął w wyniku postrzału. Dwie rany. Wiecie już państwo o porównaniu kul i łusek. Pan Quisling powiedział, że trudno było zidentyfikować wszystkich uczestników zabawy. Odbywała się duża impreza z muzyką na żywo, tańcami i alkoholem. Z początku ludzie dogaszający ogniska myśleli, że jakiś pijany spadł ze zbocza.

– Rozumiem, że narkotyki odegrały swoją rolę? – spytała Gervaise.

– Tak, proszę pani.

– Czy Ian Jenkinson okazał się bardziej pomocny od inspektora Quislinga?

Geraldine Masterson rzuciła spojrzenie Dougowi Wilsonowi. Dzisiejszego wieczoru bardziej przypominał Harry'ego Pottera niż kiedykolwiek indziej. Głównie za sprawą sweterka i krawata, ładząco podobnego do tych, które noszą uczniowie szkół. Geraldine ze swoimi zielonymi oczami, rudymi włosami, wysokim czołem i bladą cerą z łatwością mogłaby udawać któregoś z pozostałych uczniów Hogwartu. Służyła na posterunku zbyt krótko, aby dorobić się przezwiska. Annie Cabbot, która znała się na tego typu sprawach, wspomniała kiedyś, że dziewczyna przypomina Elizabeth Siddal, znaną piękność należącą do Bractwa Prerafaelitów, która pozowała wielu malarzom, w tym Dantemu Gabrielowi Rossettiemu. Nawet jeśli porównanie było trafne, to kiepskie byłoby z tego przezwisko.

Doug Wilson poprawił okulary i kontynuował składanie raportu:

– Wierzcie lub nie, ale Ian Jenkinson studiuje w seminarium duchownym. Chce zostać wikarym Kościoła anglikańskiego. Stał się bardzo religijnym człowiekiem, nie popadł w fanatyzm, ale diametralnie się zmienił.

– Bogu dzięki za program resocjalizacyjny – powiedziała Gervaise. – Proszę kontynuować.

– Jenkinson przyjechał na imprezę z Eastvale. Znał Marlona Kincaida i pamięta, że chłopak narzekał na człowieka zwanego Farmerem. Tamten próbował przegnać Kincaida z jego terytorium, ale Marlon się tym nie przejmował. Postanowił, że nie ugnie się przed jakimś chłopkiem-roztropkiem. Nie był wielką szychą, sprzedawał trochę marihuany i ecstazy miejscowym studentom, ale uważał ten teren za swój. Koniec końców informacje o nim trafiły do Farmera, który uważał, że to jego teren.

– Kincaid miał stanowić przestrożę dla innych?

– Tak sądzę, madame.

– Czy Jenkinson był świadkiem zabójstwa?

– Mówi, że nie.

– Wierzysz mu?

– Tak. Nie chodzi tylko o to, że jest duchownym. Sprawia wrażenie człowieka, który szczerze żałuje swojej przeszłości, a handlu narkotykami w szczególności. Tamtej nocy było dużo fajerwerków i hałasu, grała głośno muzyka, ludzie szybko się upili. Zasnęli na ziemi. Była spora szansa, że nikt nie usłyszy strzału ani nie zauważy, że Kincaid nie żyje.

– Cudownie – wtrącił Banks. – Czy Jenkinson widział Jaffa McCready’ego?

– Nie, ale pamięta, że zauważył młodego chłopaka o orientalnej urodzie, który dość późno ulotnił się z imprezy. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i trzymał dłoń za pazuchą, jak Napoleon na ilustracjach. Wydaje się, że coś ukrywał pod ubraniem.

– Na przykład broń – przytaknęła Banks. – Czy Jenkinson zeznał to przed inspektorem Quislingiem?

– Z dwóch powodów nie. Po pierwsze, nie pamiętał zbyt wielu szczegółów i był pijany, po drugie, nie chciał sypać i być później niepokojony przez policję. Obawiał się, że w coś go wrobimy albo zaczną mu grozić. Złożył oświadczenie i czym prędzej wrócił do Eastvale.

– Hmm. – Banks się zamyślił. – Nie wspomniał o tej sytuacji, kiedy rozmawiałem z nim w Eastvale, choć z drugiej strony, dał do zrozumienia, że Kincaid i Farmer mieli na pieńku. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem to przezwisko. Kiedy go przycisnąłem, powiedział, że nie wie, kim jest Farmer ani czy to ksywka, czy prawdziwe nazwisko. O Jaffie McCreadym nikomu się jeszcze wtedy nie śniło.

– Jeśli to odciski palców Farmera są na magazynku, a McCready pociągnął za spust, oznacza to, że Fanthorpe dostarczył broń i wysłał Jaffa, aby zabił. Wygląda na jakiś rytuał inicjacyjny. Może miał się wykazać?

– Niewykluczone – zgodził się Banks. – Teraz pomiędzy zbirami doszło do rozłamu, a wszystko przez to, że Erin Doyle podprowadziła broń.

– Może McCready liczył, że wykorzysta pistolet do szantażowania Farmera?

– Mało prawdopodobne – odparł Banks. – Farmer to nie jest człowiek, który będzie siedział i beczynn timer czekał, aż ktoś mu się dobierze do tyłka. Gdyby McCready czegoś takiego spróbował, Ciaran i Darren wyróciliby jego mieszkanie do góry nogami, a on sam wylądował w kawałkach na śmietniku. Jeśli to on dał McCready’emu broń do sprzątnięcia Kincaida, to nie zdawał sobie sprawy, że Jaff ją nadal trzyma.

– Ale po co? – spytała Winsome.

– Jako zabezpieczenie? – zastanawiał się Banks. – Z żądy krwi? McCready i jego kumpel Mallory lubią broń. Takie hobby. Ludzie z West Yorkshire nadal szukają

laboratorium, w którym Mallory produkuje narkotyki. Kiedy na nie trafią, znajdą też spory zapas broni. Smith & Wesson to fajna zabawka, ale bez wątpienia Farmer kazał McCready'emu się jej pozbyć, kiedy tylko zabije Kincaida. Jednak gnojek zatrzymał pistolet. Zapewne zorientował się, że na magazynku są odciski palców Fanthorpe'a, kiedy czyścił ją ze swoich. Może broń dawała mu poczucie władzy? Bezpieczeństwa?

– To ma sens – przytaknęła Gervaise.

– Świetnie – powiedział Banks. – Ze strzępków informacji, jakie mamy, zaczyna wyłaniać się jakiś obraz. Jednak w tej chwili potrzebujemy adresu Justina Peverella. Highgate to spora dzielnica, a my tylko czekamy. Co z patrolowaniem dróg? Jeśli nadal nie odnaleziono samochodu, który ukradł McCready, oznacza to, że jadą bocznymi drogami, równoległymi do M1.

– A jeśli nie?

– To musieli zaszyć się gdzieś po drodze i McCready próbuje wymyślić, jak zdobyć inny wóz.

– Patrole na drogach krajowych mają wypatrywać białej półciężarówki jadącej w kierunku Londynu – odparła Gervaise. – Jeśli zatrzymali się gdzieś po drodze, to nam daje więcej czasu na znalezienie tego Justina. Kiedy dowiemy się, gdzie mieszka, urządzimy zasadzkę.

– Świetnie – zgodził się Banks.

– Kłopot w tym, że McCready nie będzie czekał. Ruszy w drogę jak najszybciej. Potrzebuje Justina albo czegoś od niego. Kiedy to dostanie, zniknie jak kamfora. Albo tak mu się wydaje.

– A co z Tracy? – spytała Gervaise.

– Nie mam ochoty o tym myśleć – przyznał Banks. – Nie sądzę, aby chciał ją skrzywdzić. Tak samo Darren i Ciaran, pomimo tego, co mówił Fanthorpe. Z drugiej strony, kiedy McCready dostanie to, czego chce, Tracy będzie dla niego ciężarem. Z tego powodu musimy go dopaść, zanim spotka się z Justinem.

– Postawiliśmy w stan gotowości oddziały specjalne na terenie całego kraju – powiedziała Gervaise.

Banks uśmiechnął się ponuro.

– Dlaczego jakoś mnie to nie uspokaja?

– Może powinniśmy ściągnąć tutaj Fanthorpe'a? Wiemy, że odcisk palca z fotografii zgadza się z tym pozostawionym na magazynku. Przykręćmy śrubę Farmerowi, skoro wiemy, że dotykał broni, z której zastrzelono Kincaida – zaproponowała Gervaise.

– To nie jest dobry pomysł – odparł Banks. – Nie dowiemy się niczego nowego, a jego prawnicy momentalnie nas obkoczą. Nie mamy dowodu na to, że strzelał z broni, z której

zabito Marlona Kincaida. Prawda jest taka, że pewnie tego nie robił. Na pewno też nie był na ognisku, gdzie dokonano morderstwa. Bez wątplenia ma niepodważalne alibi.

– Ale sam pan powiedział, że jego nazwisko przewija się w śledztwie – zauważyła Winsome.

– Tak, pojawiło się w zeznaniach Iana Jenkinsona, który tak naprawdę sam nie wiedział, o kim mówi. Nie mamy powodu, aby go aresztować...

– Utrudnianie śledztwa? Mataczenie? – zaproponowała Gervaise.

– Lepiej poczekać, aż będziemy mieli coś lepszego. Miejmy na niego oko. Powinniśmy...

– Nie martw się, Alan. Ripon go obserwuje, Farmer nigdzie nie ucieknie.

– Ale nie musi nigdzie się wybierać. Pociąga za sznurki ze swojego wygodnego leża.

Mamy jakieś informacje na temat Darrena i Ciarana?

– Sprawdzamy hotele w Londynie, ale to trudne zadanie – powiedziała Gervaise. – Mogli się zatrzymać w prywatnym domu. Wiemy tylko, że są w Londynie i czekają na polecenia.

– Sprawdziliście, czy Fanthorpe ma jakieś nieruchomości w Londynie?

– Tak, ale bez efektów. Przynajmniej nic oficjalnie, na swoje nazwisko czy znane nam firmy.

– Cholera. A więc trzeba czekać.

– Wiemy przynajmniej, że broń, Farmer, McCready i niewyjaśnione morderstwo są ze sobą w jakiś sposób połączeni – powiedziała Gervaise. – Jeszcze kilka takich elementów i mamy całą układankę.

– Policja londyńska szuka Justina Peverella – powiedziała Winsome. – Zaangażowaliśmy nawet wywiad. Kontaktują się z informatorami i ludźmi, którzy przeniknęli do gangów przemycających emigrantów. Robią, co mogą, biorąc pod uwagę ryzyko, na jakie się narażają.

– Wiem, wiem – rzucił Banks. – Zdaję sobie z tego sprawę, wcale nie narzekam czy krytykuję. Po prostu jestem sfrustrowany sytuacją.

– Dlaczego nie odpoczniesz? Wróć do domu i zdrzemnij się kilka godzin. Zmęczony na nic nam się nie przydasz. Mamy dość ludzi, aby wykonali robotę. Sam nie wiesz, kiedy oczy zaczną ci się same zamykać. Obiecuję, że zawiadomimy cię od razu, kiedy czegoś się dowiemy.

– Naprawdę?

– Daję słowo.

– No dobrze, chyba tak zrobię. A co z Annie?

– Trzyma się, z tego co słyszałam – odparła Gervaise. – Jej ojciec siedzi przy łóżku. Zawiadomię cię, kiedy się dowiem czegoś nowego. – Na twarzy Banksa musiała

odmalować się niepewność, ponieważ Gervaise dodała: – Wszystkim się zajmę podczas twojej nieobecności. Będiesz wiedział o każdej nowej informacji, obiecuję. Winsome, chcę, abyś trzymała rękę na pulsie, jeśli chodzi o londyński aspekt śledztwa. Ktoś tam musi znać Justina Peverella. Znajdziemy go, to kwestia czasu.

– Oczywiście, madame – odparła Winsome. – Mamy kilka ciekawych wątków.

– Świetnie. Nie zapominajmy, że Darren i Ciaran są na jego tropie. Nie zazdroszczę mu, jeśli ta dwójka znajdzie go przed nami.

– Zgadzam się – przytaknął Banks. – To samo dotyczy Tracy czy Jaffa. Ciaran od kilku dni tylko groził, ale nie miał okazji się zabawić.

Nagle rozległo się pukanie, uchyliły się drzwi i czyjaś dłoń wsunęła przez szparę żółtą kartkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział jej właściciel do nadinspektor Gervaise.

– To ważna wiadomość i pomyślałem, że będzie pani chciała od razu ją poznać.

– O co chodzi? – spytała Gervaise.

– Dzwonili z Cook Hospital. Detektyw Cabbot odzyskała przytomność.

Gervaise spojrzała na Banksa.

– Rozumiem, że to zmienia twoje plany, Alan?

– Tak – odparł. – Sen może poczekać. Winsome, zawieziesz nas?

– Z przyjemnością.

Po wyjściu Banksa i Winsome Farmer kiepsko się poczuł. Nie martwiła go dociekliwość policji, nie mieli na niego żadnego haka. Nigdy nie dotykał towarów, które sprzedawał, nie prowadził żadnych rachunków, a wszyscy, którzy mogliby powiązać jego nazwisko z interesami, byli dość rozsądni, aby trzymać gębę na kłódkę. No dobrze, raz się coś komuś wymknęło, Ianowi Jenkinsonowi. Teraz gadał, ale nic konkretnego. Z tego co Farmer słyszał, Jenkinson wstąpił do seminarium i chciał zostać wikarym. Dobrze. Fanthorpe lubił mieć oko na ludzi, których ścieżki przecięły się z jego, i sprawdzać, co porabiają. Człowiek nigdy nie wie, kiedy może mu się przydać pomoc duchownego. Zwłaszcza takiego, który siedzi u niego w kieszeni.

Chłopakiem nie należało się przejmować, bo w przeszłości ćpał. Farmer nie zatrudniał ćpunów. Już dawno zrozumiał, że w tym biznesie należało zachować trzeźwą głowę, a to oznaczało, że nie próbuje się własnego towaru. To jak z właścicielem knajpy, który zacznie próbować swoich alkoholi. Skończy pijany pod stołem, a knajpa w tym czasie może pójść z dymem. Nie, od własnych łakoci należy trzymać się z dala. To podstawowa zasada. Nie oznaczało to, że miał sobie odmawiać alkoholu. Nalał sobie kolejną szklanekę.

Właśnie z tego powodu zawsze martwił się Jaffem. Farmer wiedział, że chłopak lubi przyćpać, zwłaszcza kokainę. Z drugiej strony był na tyle bystry, szybki i niebezpieczny,

a nade wszystko pozbawiony skrupułów, że Fanthorpe wybaczał mu tę słabość. Pewni ludzie potrafili wchłonąć ogromną ilość narkotyków i dzięki niej działać lepiej albo przynajmniej nie gorzej niż zwykle. Jaff był jednym z nich, a przynajmniej tak się zdawało.

Farmer jasno mu powiedział, że jeśli kiedykolwiek zobaczy go naćpanego, to będzie koniec ich współpracy. Nigdy do tego nie doszło. Fanthorpe nie wiedział, czy kiedykolwiek podczas rzadkich spotkań twarzą w twarz Jaff był po wpływie czy nie. Zawsze zadziwiał błyskotliwą inteligencją oraz umiejętnością robienia udanych interesów, które przynosiły krociowe zyski. Chłopak był pewny siebie i uważał się bardziej za partnera niż pracownika, za którego miał go z kolei Farmer. Niemniej Fanthorpe pozwalał mu tak myśleć, rzecz jasna do pewnego momentu.

Ale teraz sytuacja uległa całkowitej zmianie. Jaff dawno przekroczył granicę i musiał zostać ukarany. Farmer wiedział, że jeśli nie zadziała szybko i zdecydowanie, równie dobrze będzie mógł oddać lejce komuś innemu. Musiał usunąć źródło problemu. W zasadzie były dwa, bo choć próbował wykorzystać obecność Tracy Banks, to jednak stanowiła kolejne źródło zmartwień. Cóż, spotka ją ten sam los co Jaffa. Ciaran i Darren będą musieli zniknąć z kraju na jakiś czas, a wszelkie operacje zostaną zredukowane do minimum. Organizacja Farmera wejdzie w stan hibernacji, jak zwierzę spowalniające swoje procesy życiowe. Kiedy sprawy ucichną i się unormują, interes odżyje.

Farmer wyciągnął się wygodniej w fotelu i pociągnął łyk ardbega. Przesunął wzrokiem po błyszczącej wykładzinie, fotosach z wyścigów, kryształowych karafkach i ozdobnych regałach. Z głośników sączyła się muzyka klasyczna, ale nie wiedział, jaki to utwór. Był spokojny, grany na smyczkach, bez instrumentów dętych, i tylko to się liczyło. Fanthorpe zapalił kubańskie cygaro.

Nie rozumiał gliniarzy. Nawet za milion lat nie pojąłby, jak myślą. W dawnych czasach każdy wiedział, po której stronie prawa stoi. Jeśli było trzeba, bili ludzi, aby wyciągnąć z nich zeznania. Niektórych, czasami niewinnych, nawet wieszali. Brali łapówki, sprzedawali skonfiskowany towar i ogólnie mówiąc, nadużywali władzy. Człowiek wiedział, czego się po nich spodziewać.

Ustawa PACE związała gliniarzom ręce. Ale nikt nie przekonałby George'a Fanthorpe'a, że wymuszenia, pobicia w trakcie przesłuchania czy łapówkarstwo znikły bezpowrotnie. Aż tu nagle pojawia się ktoś taki jak Banks, facet o opinii niepokornego i niezależnego zawodowca, który nie kiwnie palcem w obronie swojej córki. Dziwne czasy.

Co do Jaffa... Jak szybko wszystko się zmieniło? Pamiętał, gdy spotkali się po raz pierwszy. To było sześć lat temu w modnej restauracji Calls. Jeden ze znajomych

Fanthorpe'a wskazał mu Jaffa, który siedział przy stoliku obok z dwiema ładnymi dziewczętami.

– A więc to ty jesteś synem Jacka McCready'ego? – powiedział Farmer, podając mu rękę. – Wierz mi, chłopcze, w swoim czasie przegrałem u niego sporo szmalu.

Jaff odpowiedział uśmiechem, ale po jego oczach widać było, że wcale mu nie jest wesoło.

Porozmawiali trochę o wyścigach konnych, Jaff wiedział na ich temat to i owo. Szybko zrozumieli, że pod maską pozorów są tacy sami, choć nie padły żadne propozycje.

Farmer dał Jaffowi swoją wizytówkę, a ten ofiarował w zamian klucze do pokoju w hotelu naprzeciwko i przysłał tam jedną z dziewczyn. To była wspaniała noc. Późniejsze kontakty pomiędzy nimi były ograniczone do minimum z oczywistych względów, ale często wracał wspomnieniami do tego, co się wtedy działo. Myślał o tym, że Jaff co noc przewala się w pościeli z takimi dziewczynami, kiedy on musi siedzieć w domu, opłacać rachunki za szkołę córek i coraz bardziej ekstrawaganckie zakupy Zenovii. W głębi duszy zazdrościł chłopakowi takiego sposobu życia i chciał być na jego miejscu. Być może nawet pozwolił sobie myśleć o nim jak o synu, którego nigdy nie miał. Nawet przy interesach traktował go bardziej jak partnera niż podwładnego, choć przed sobą się do tego nie przyznawał.

Pamiętał też, jak kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu usiedli w jego prywatnym gabinecie, w którym był teraz. Załadował magazynek do smitha & wessona i dał broń Jaffowi, udzielając szczegółowych instrukcji. Chłopak miał sprzątnąć pewnego człowieka, który sprawiał trudności, a potem wyrzucić broń do rzeki. Teraz wyszło na jaw, że nie wykonał drugiej części polecenia, ale jakie to miało znaczenie? No dobrze, schrzanił wtedy sprawę. Nawet jeśli odciski jego palców pozostały na magazynku, to co z tego? Jaff już niczego nie wygada, o to mógł być spokojny.

Z zamyślenia wyrwał Farmera dzwonek telefonu. Odzywała się jedna z komórek, ta, której sygnał brzmiał jak staromodny aparat telefoniczny. Fanthorpe odebrał, rzucając do słuchawki swoje imię. Z drugiej padła odpowiedź, jedno zdanie: imię, nazwisko i adres. Potem rozmówca się rozłączył. Gangster nie potrzebował nic więcej, to były wszystkie informacje, na które czekał. Wybrał numer telefonu Darrena.

– Sir? – powiedziała Winsome, kiedy jechali do szpitala.

– Nie musisz tak do mnie mówić.

– Wiem, ale tak mi łatwiej.

– Doprawdy? To znaczy, że chcesz zadać jakieś trudne pytanie? A może poskarżyć się?

– Ani jedno, ani drugie, sir. Przynajmniej taką mam nadzieję. Cały czas zastanawiam się, dlaczego nie przyjął pan oferty Fanthorpe'a?

– Takiego pytania spodziewałbym się od wielu osób, ale nie od ciebie.

– Gdyby mnie tam nie było, przystałby pan na jego propozycję?

– Sądzisz, że mógłbym pójść na układ?

– Nie, sir, to nie tak. Teraz postąpiłby pan tak samo? Ostatecznie mógłby pan się zgodzić, udawać, że współpracuje, a kiedy Tracy byłaby bezpieczna, przejść do działania.

– Trzeba się nieźle zabezpieczyć, jeśli chcesz oszukać diabła, Winsome. Nie mamy czasu na takie manewry.

– Sir?

Banks westchnął i wyjrzał za okno. Daleko w oddali, za budynkami, widział, jak błyskawice przecinają ciemne niebo. Kiedy Tracy była mała, gromy ją przerażały. Miał nadzieję, że teraz już tak nie jest. Niestety, miała poważniejsze problemy na głowie.

– Jesteśmy w krytycznym momencie tej rozgrywki. Fanthorpe, Jaff, Ciaran i Darren rozdają karty. Sprawy z wolna zaczynają wymykać się spod kontroli. To krytyczny moment, nie należy toczyć żadnych gier, zwłaszcza że życie mojej córki wisi na włosku.

– Nadal nie rozumiem, sir.

– Jestem zmęczony, Winsome. Nie zgodziłem się na propozycję Farmera z wielu powodów: etycznych, osobistych i praktycznych. Poza tym, jeśli się dobrze nad tym zastanowisz, to wcale nie była korzystna oferta.

– Dlaczego?

– Bo tak naprawdę Fanthorpe nie może zagwarantować bezpieczeństwa Tracy. Ciaran i Darren szykują się do brutalnej akcji. W takiej nieprzewidywalnej i chaotycznej sytuacji wszystko może się zdarzyć. Nikt nie potrafi przewidzieć jej przebiegu i skutków. Znasz to powiedzenie, że trzepot skrzydeł motyla w Meksyku może zmienić świat? Na to właśnie liczę w sprawie Fanthorpe'a. W chwili obecnej mam minimalną kontrolę nad wydarzeniami i trochę szacunku dla samego siebie. Na razie musi mi to wystarczyć. W rzeczy samej musi wystarczyć na długo. Dojechaliśmy już na miejsce, prawda?

Tracy Banks leżała w ciemnościach i nie mogła zasnąć. Była przywiązana za nadgarstki i kolana do łóżka. Ilekroć próbowała się poruszyć, odnosiła wrażenie, jakby rozciągano ją na łożu tortur. Gdy za oknem przetaczał się grom, chwycił ją pierwotny strach. Jaff jak zwykle szybko zasnął, chociaż wciągnął sporą ilość kokainy. Słyszała, jak pochrapywał obok, i w mroku widziała zarys jego szczupłego ciała. Na zegarze była czwarta dwadzieścia trzy rano. Godzina diabła. Tracy była załamana, czuła się wykorzystana, oszukana, upokorzona i bezwartościowa. Oraz bezsilna.

Jaff dostał to, czego chciał. Potem ją związał i włączył telewizję, ale szybko się znudził i zaczął mamrotać, że powinien zadzwonić do Madison, skoro Tracy leży na łóżku jak worek kartofli. Tracy wiedziała, że mogło być gorzej. Nie pobił jej, tylko wykorzystał

szybko i bez polotu, jak zwykle, a potem zasnął. Ale bywało gorzej, na przykład gdy szła pijana do łóżka z chłopakiem poznanym w klubie lub zabawiała się na tylnym siedzeniu jakiegoś rżęcha. Tyle że tym razem ani nie piła, ani nie ćpała, a Jaff nie był jakimś przygodnym koleśkiem. Okazał się bardziej nieprzewidywalny niż chłopcy, z którymi na ogół chodziła do łóżka. Tak naprawdę Jaff ją zgwałcił: związał jej ręce i uprawiał z nią seks wbrew jej woli. Nie krzyczała, nie próbowała walczyć, wiedząc, że to nie ma sensu. Była jego więźniem, Jaff miał broń.

Choć teraz spał, nie miała szansy na ucieczkę. Telefon znajdował się poza jej zasięgiem, po stronie łóżka, gdzie spał Jaff. Pomimo narkotykowego zamroczenia nie przestawał myśleć. Gdyby choć mogła dosięgnąć pilota. Jaff włączył telewizor i zaraz zasnął. Teraz nadawano relację z meczu futbolu amerykańskiego, który doprowadzał ją do białej gorączki. Ale pilot też leżał po jego stronie.

Nagle Jaff się obudził.

– Słyszałaś? – syknął.

– Tak, cholerny telewizor burczy całą noc – odparła Tracy.

Jaff puścił jej uwagę mimo uszu, chwycił pilota i wyłączył odbiornik.

– Słuchaj – rozkazał.

– Nic nie słyszę – odparła po chwili Tracy.

– Cicho bądź – rozkazał. – Wydaje mi się, że coś słyszałem na korytarzu.

– Jesteś paranoikiem. Na zewnątrz szaleje burza. Może ktoś wracał do pokoju po imprezie?

Jaff wyskoczył z łóżka. Miał na sobie tylko białe bokserki.

– Paranoja to inny rodzaj czujności.

– Czyja to mądrość? – zadrwiła Tracy.

Jaff rzucił jej złowieszczy uśmiešek.

– Charlesa Mansona.

Wyciągnął pistolet z torby i podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho, a potem wyjrzał przez wizjer. Kilka sekund później odsunął zasuwkę, uchylił drzwi, i rozejrzał się po korytarzu.

– Mógłbym przysiąc, że kogoś słyszałem.

Tracy nie miała ochoty mówić mu, aby się nie przejmował i wracał do łóżka. Nie była w sytuacji, aby cokolwiek doradzać. Trzymała język za zębami i liczyła, że Jaff da jej spokój i zaraz zaśnie.

Jaff położył się z powrotem, ale nie mógł się uspokoić. Tracy widziała, że jest jednym wielkim kłębkim nerwów. Na szczęście nie próbował jej dotknąć, dobre i to.

Czas włókł się powoli, burza za oknem ucichła i wstał świt. Tracy zastanawiała się, jak

długo jeszcze będą w hotelu. Kiedy pójdą do warsztatu po nowe auto i znowu ruszą do Londynu? O której otwierali takie punkty: o siódmej, ósmej, dziewiątej? Nieważne, ile kamer zarejestrowało skradzioną półciężarówkę, jeśli nie było jej na liście skradzionych pojazdów, nikt jej nie szukał. Jaff jechał zgodnie z przepisami, choć bardzo się spieszył, więc żaden fotoradar go nie zarejestrował. Nie chciał, aby cokolwiek zatrzymało go na drodze do wolności. Tyle że dla Tracy jej kres oznaczał zgubę.

Annie nadal wyglądała na drobną i bezsilną. Leżała na łóżku w białej pościeli i cały czas była podłączona do aparatury. Jednak była przytomna i Banks cieszył się, mogąc ją znowu zobaczyć. Rurka, która poprzednio tkwiła w jej ustach, znikła, a dziewczyna uśmiechnęła się, kiedy wszedł do pokoju. Ujął ją delikatnie za dłoń, w którą nie były wkłute igły, i lekko ją uściśnął.

– Jak się miewasz? – spytał.

– Czuję się, jakby mnie ktoś postrzelił z działa.

– Dwie kule z bajkała kalibru dziewięć milimetrów – powiedział Banks.

– Odarłeś to z całej poetyckiej otoczki. – Banks uśmiechnął się, a Annie ścisnęła mocniej jego dłoń. – Nadal mam trudności z oddychaniem. Możesz mi podać trochę wody?

Podał jej plastikowy kubek z zagiętą słomką.

– Morfina ci służy, jak rozumiem? – spytał.

– O, tak. Chcesz spróbować? Mogę się podzielić.

– Chętnie, co na to lekarze? Obawiam się, że wszystko oprócz kawy i herbaty sprawi, że padnę na łóżko obok ciebie. To znaczy...

Zapadła cisza, przerywana jedynie brzęczeniem maszyn.

Annie znowu ścisnęła go za dłoń.

– To nie byłoby takie złe – powiedziała. – Oczywiście bez tych igieł i rurek, ale byśmy narobili bałaganu. Podejrzewam, że nie przyjechałeś tylko po to?

– Wierz mi lub nie, ale jestem tutaj po to, aby naocznie się przekonać, że wieści o twoim powrocie do świata żywych nie są przesadzone – odparł Banks. – Jestem tutaj, bo się o ciebie martwię. Tylko dlatego.

– Przestań, zanim się rozplączę. – Annie wysunęła rękę z jego dłoni i niezdarnie otarła powieki.

– Gdzie jest Ray? – spytał Banks.

– Poszedł się zdrzemnąć. Wreszcie. Trzeba go było praktycznie zmusić.

– Ba. Swoją drogą twoja dziewczyna cię pozdrawia.

– Dziewczyna? Rozumiem, poznałeś Nerys?

– Tak. Bardzo się o ciebie martwi.

– Powiedziała, że nie jestem w jej typie.

– Założę się, że po prostu nie chciała cię wystraszyć.

– A skąd ty nagle o tym wiesz? Od kiedy jesteś ekspertem w tych sprawach? Nerys jest w porządku. Pozdrów ją ode mnie. Chcesz mnie przesłuchać w sprawie tego, co zaszło?

– Nie mogę się doczekać. Pierwsza rzecz, o której pomyślałem. A poważnie mówiąc, jeśli czujesz się na siłach odpowiedzieć na kilka pytań...

– Drań. – Annie wbiła paznokcie w wierzch dłoni Banksa. – Pan Wrażliwy z ciebie, co? Szczerze mówiąc, nie pamiętam zbyt dużo. Może poza...

– Czym?

– Poza Tracy.

– Możesz opowiedzieć coś więcej?

– Była w twoim domu, to ona otworzyła drzwi. Trochę rozmawialiśmy.

– Jakie wrażenie sprawiała? Co pamiętasz?

– Wyglądała na wystraszoną. I zdenerwowaną. Oglądała się przez ramię, obgryzała paznokcie.

– Jakby nie kontrolowała sytuacji?

– Jakby odgrywała swoją rolę. Ktoś ją obserwował i zerkała, czy dobrze robi. Poza tym była pod wpływem, tak mi się wydaje. Albo za dużo wypła.

– Widziałaś kogoś jeszcze?

– Mówisz o McCreadym? Nie widziałam go, tylko cień. Nic więcej. Wszystko potoczyło się tak szybko.

– Tracy uratowała ci życie. Zadzwoiła po pogotowie i wezwała karetkę. McCready zniszczył jej telefon, pewnie też ją pobił. Ale pomogła ci.

– Podziękuj jej ode mnie – odparła Annie, uśmiechając się lekko.

– Dobrze.

– Co się dzieje?

Banks pokręcił głową i pogładził Annie po wierzchu dłoni. Jej skóra była bardzo wyschnięta.

– Nie wiem, gdzie jest Tracy, a grozi jej niebezpieczeństwo.

– Jaff ją zabrał?

– Tak.

– Och, Alan, tak mi przykro.

– Znajdziemy ich – powiedział Banks, klepiąc ją delikatnie po ręce. – Będę już szedł, lekarze powiedzieli, żeby cię nie przemęczać.

– To ty się słaniasz na nogach.

– Jestem zmęczony podróżą. To był długi dzień.

– Chyba nie powinnam radzić, żebyś wrócił do domu i się zdrzemnął?

– Nie mogę... – powiedział Banks, ale urwał w pół zdania.

– Dlaczego? Ach tak! – Banks zobaczył na jej twarzy wyraz zrozumienia. –

Strzelanina. Przepraszam, Alan. To się stało w oranżerii, więc cały dom jest miejscem zbrodni. Wybacz mi, proszę.

Banks już chciał odpowiedzieć, że to nie jej wina czy coś podobnego, kiedy zobaczył na ustach Annie diabelski uśmiezek.

– Żarty sobie ze mnie stroisz.

– Mam cię! – powiedziała i uśmiechnęła się. Wyraz radości na jej twarzy stał się jeszcze bardziej widoczny, kiedy popatrzyła na kogoś, kto się zmaterializował za Banksem. – Winsome! Cudownie cię widzieć!

– Ciebie również – odparła policjantka. Podeszła do łóżka Annie i delikatnie ją przytuliła, uważając, aby nie poruszyć żadnej ze skłębionych rurek. Podała Banksowi telefon komórkowy i powiedziała:

– To do pana.

Banks przeprosił i obiecał, że zaraz wróci, po czym wyszedł z pokoju i przyłożył telefon do ucha. Po drugiej stronie usłyszał Gervaise:

– Alan? Jak się czuje Annie?

– Zdziwiająco dobrze. Ma pani jakieś wiadomości?

– Tak, ale proszę, uspokój się. Nie mamy nic o Tracy czy McCreadym, ale chyba namierzyliśmy Justina Peverella. Prawdę mówiąc, znalazła go Winsome, przed waszym wyjazdem do Middlesbrough, tylko o tym nie wiedziała. Oddzwonił jej informator, niespecjalnie chciał ze mną rozmawiać, szczerze mówiąc, był chamski.

– Świetne nowiny – oparł Banks. – Mam na myśli, że coś wiemy, a nie zachowanie tego człowieka.

– Oczywiście. Policja z Londynu nie jest szczęśliwa, że chcemy przymknąć Peverella. Rozmawiałam z jakimś Burgessem. Komendantem. To chyba twój znajomy?

– Tak, spotkaliśmy się już wcześniej – odparł Banks. – Co powiedział?

– Powiedział, że jego wydział, swoją drogą, nie wymienił go z nazwy, obserwuje Peverella od jakiegoś czasu. Dzięki niemu zidentyfikowali kurierów i kanały przerzutowe, o których wcześniej nie mieli pojęcia. Dodatkowo odkryli nowe metody szmuglowania uciekinierów i sprzedawanych kobiet, o których nikt dotąd nie pomyślał. Peverell nie wie, że jest obserwowany, i jeśli go przymkniemy, szajka się rozproszy i londyńscy gliniarze będą musieli zaczynać robotę od nowa.

– Nie mogą ich zapuszkować, zanim zajmujemy się Peverellem? Nie są w stanie przyspieszyć biegu spraw?

– To zasugerowałam – powiedziała Gervaise. – Robią, co mogą, ale nie są szczęśliwi, co Burgess dał mi wyraźnie do zrozumienia. Wiesz, jak jest. Ciągłe liczą, że dowiedzą się czegoś jeszcze. Peverell według Burgessa mógłby się przydać do czegoś więcej.

– Na jego miejsce będzie wielu chętnych. Co teraz?

– Burgess powiedział, że będą obserwowali dom Peverella. Wysłaliśmy im faksem portrety Ciarana i Darrena, które zrobiła Rose, a także zdjęcia McCready’ego i Tracy. Policja pilnuje domu, drugi zespół śledzi tych, którzy z niego wychodzą.

– Świetnie – odparł Banks – Mam nadzieję, że złapiemy Tracy i Jaffa, zanim spotkają się z Peverellem, ale miło wiedzieć, że mamy drugą linię obrony. Boję się tylko, że mogą zadziałać zbyt szybko.

– Komendant Burgess został zaznajomiony ze wszystkimi niuansami sprawy – powiedziała Gervaise. – Wie, że McCready jest w towarzystwie... twojej córki. Prosił, abym przekazała wyrazy współczucia. Dodał, że nie wprowadzałby mnie w szczegóły, gdyby nie chodziło o ciebie. Powiedział też, że osobiście będzie uważał, żeby Tracy nic się nie stało.

– Ufam mu – powiedział Banks. – Niekoniecznie jego współpracownikom, ale jemu na pewno.

– Nic więcej w chwili obecnej nie osiągniemy – rzekła Gervaise. – Powiem Winsome, żeby odwiozła cię do mieszkania. Odezwę się, kiedy tylko będę wiedziała coś nowego.

Kiedy Banks się rozłączył, z sali wyszła Winsome.

– Przyszła pielęgniarka i mnie wyrzuciła – powiedziała. – Mamy dać Annie spokój, musi odpocząć. Kazała cię pożegnać.

– Winsome, jesteś diabolicą. Czy za moimi plecami skontaktowałaś się z Brudnym Dickiem Burgessem? To był jeden z planów, o których wspominałaś?

Winsome uśmiechnęła się szeroko.

– Utrzymujemy ze sobą kontakt. Pamięta pan, jak ściągnęliśmy pana z lotniska? Burgess powiedział, że bym na bieżąco informowała go o tym, co się dzieje. Wiedząc, czym się zajmuje, i słuchając pana, pomyślałam, że to może być nasz człowiek. Ma rozeznanie w środowisku, do którego wchodzimy. Dlatego zadzwoniłam do niego.

– Na pewno cię podrywał.

– Sir!

– Dobrze, już dobrze, nie ma się co emocjonować. Burgess podrywa każdą dziewczynę.

– Urocze.

– Podrzucisz mnie do Gratly? – spytał Banks.

– Tylko jeśli pan mnie przeprosi i obieca, że nie będzie więcej gadał świństw.

– Trudno się z tobą negocjuje, Winsome, ale chyba mogę pójść na takie ustępstwa.

Przekomarzania przerwał drobny człowiek, który podszedł do policjantów.

– Doktor Sandhar – powiedział Banks, wyciągając dłoń na przywitanie. – Chciałem panu podziękować.

Sandhar uścisnął rękę Banksowi.

– Bardzo proszę, choć nie mogę przypisać sobie wszystkich zasług. – Odchrząknął. – Zamienimy dwa zdania? Zapraszam tam gdzie poprzednio.

Winsome i Banks wymienili zdziwione spojrzenia, a potem ruszyli za lekarzem do pokoju przyjęć.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytał Banks, siadając na kozetce, która jak poprzednio wyściełana była papierowym ręcznikiem. – Jakież komplikacje?

– Obawiam się, że tak, choć jestem ogromnie zdumiony postępami, jakie w powrocie do zdrowia poczyniła panna Cabbot. Główny problem stanowi złamana kość obojczykowa. Niepoprawnie zrośnięta może znacznie ograniczyć zakres ruchu ramienia. Zazwyczaj takie obrażenia goją się szybko i bez kłopotu. Wystarczy sześć tygodni usztywnienia, ale w tym wypadku wystąpiły komplikacje. Kość została roztrzaskana i dochodzi kwestia pocisku. Usunęliśmy fragmenty, ale powrót do zdrowia może zająć nawet trzy miesiące. Panna Cabbot może doświadczać bólu i poczucia dyskomfortu, ale obojczyk się zrośnie. Zanim zacznie znowu grać w tenisa czy golfa, jeśli w ogóle kiedyś zacznie, będzie musiała przejść intensywną rehabilitację.

Żaden kłopot, pomyślał Banks. Annie nie przepadała za sportem, uwielbiała za to jogę i z tego powodu utrata sprawności będzie dla niej bolesnym ciosem.

– Co z fragmentami pocisku? Czy daleko rozeszły się od rany wlotowej?

– Spowodowały duże uszkodzenia tkanki mięśniowej i łącznej, co stanowi dodatkowy problem przy złamaniu kości obojczykowej. Proces odzyskiwania sprawności będzie przez to dłuższy i trudniejszy, a także bardziej bolesny. Niestety, to nie jest najgorsza nowina.

Banks odchrząknął.

– A co nią jest?

– Druga kula. Ta, która się nie rozpadła. Przebiła prawe płuco i, jak mówiłem, utknęła w kręgosłupie, niedaleko piątego kręgu odcinka piersiowego, w bezpośredniej okolicy tętnicy piersiowej wewnętrznej. Czy państwo...?

– Tak, wiemy o czym pan mówi – odparł Banks. – Proszę kontynuować.

– Kręgosłup nie został uszkodzony. Dobrze, że strzelec nie używał pocisków dum-dum. Jednak uważamy, że panna Cabbot będzie musiała przejść operację. To trudny proces i istnieje zawsze niebezpieczeństwo...

– Uszkodzenia rdzenia kręgowego – przerwał Banks. – A w konsekwencji paraliżu?

– Tak – przyznał Sandhar. – Chciałem zapewnić, że w tym szpitalu pracują najlepsi specjaliści od chirurgii urazowej w kraju, jeśli nie w całej Europie.

– Znamy waszą reputację – odparł z markotnym uśmiechem Banks. – Rozumiem, że istnieje ryzyko, że Annie skończy na wózku?

– Odpowiem, nie owijając w bawełnę. Jest taka możliwość. Takie ryzyko istnieje zawsze, nawet bez operacji. Szczerze mówiąc, chirurdzy odradzają zabieg. Według nich usunięcie kuli zdestabilizuje rdzeń kręgowy.

– Ale pan tak nie uważa?

Sandhar wzruszył ramionami.

– Jak powiedziałem, ryzyko istnieje zawsze. Są jednak tacy, którzy sądzą, że zabieg powinien być przeprowadzony. Ojciec Annie wie o wątpliwościach, ale uważa sprawę za zamkniętą. Trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników: infekcję, zakażenie krwi i tak dalej.

– Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy, jest wojna między lekarzami. Kiedy zamierza pan przeprowadzić operację?

– Trudno powiedzieć – odparł Sandhar. – Najpierw musi się zagoić przebite płuco, a panna Cabbot wyjść z traumy pourazowej. Chcemy też, aby wyzdrowiała na tyle, na ile to możliwe. Jest młoda, zdrowa i już udowodniła, że jej organizm ma niebywałe zdolności regeneracyjne. Blizny zaczną się formować w ciągu dwóch tygodni. Znacznie utrudniają pracę, ale z drugiej strony nie wiemy, czy pacjentka będzie już gotowa.

– Czy do tego czasu będzie musiała pozostać w szpitalu?

– O tak. Należy unikać niepotrzebnego przenoszenia pacjentki.

– Czyli co teraz?

– Będziemy uważnie obserwować stan panny Cabbot, a także ewentualne przemieszczanie się kuli. Musimy zwracać uwagę na to, czy gdzieś się nie przesunie.

– A jeśli tak się stanie?

Sandhar uśmiechnął się tylko.

– Bez obaw. Proszę się za bardzo nie martwić, panie Banks. Jak mówiłem, mamy pewien margines, niewielkie pole manewru, dzięki któremu nie musimy operować panny Cabbot już, natychmiast. Poczekamy, aż odzyska siły. – Lekarz wstał. – A teraz, państwo mi wybaczą. Pacjenci na mnie czekają.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – powiedział Banks.

Dziwnie się czuł, wracając po takim czasie do starego domu w Steadman. Od pożaru minęło co najmniej pięć lat. Wtedy, podczas trwania remontu, Banks wynajmował ten sam pokój. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Zapalił światło na korytarzu i wciągnął nosem powietrze. Dom pachniał świeżością z nutką lawendy. Jeśli nie liczyć lichych mebli, był pusty. Sprawiał wrażenie, jakby nikt nigdy w nim nie mieszkał. Próżno było szukać

zdjęć rodzinnych, zamiast nich dekorację stanowiły seryjnie produkowane widoczki przedstawiające Yorkshire.

Nie było nic dziwnego w tym, że powrót do domu sprawił, iż zaczął myśleć o swoim bracie Royu. Pamiętał, jak tamtej nocy wrócił odrobinę podchmielony z pubu Pod Psem i Flintą, zastanawiając się, dlaczego Penny Cartwright odrzuciła propozycję wspólnego obiadu. Na automatycznej sekretarce czekała niepokojąca wiadomość od Roya. Za jej sprawą uruchomił się cały łańcuch wypadków, które zaprowadziły Banksa do Londynu i świata podejrzanych powiązań, w jakie wdał się jego brat. Burgess miał swój udział w tej aferze, podobnie jak wielu innych ludzi.

Banks odstawił walizkę na podłogę sypialni i rozejrzał się po pokoju. Łóżko zostało niedawno posłane, a narzuta miała zielony wzorek. Widok za oknem także się nie zmienił. Banks spoglądał na niewielki cmentarzyk wielkości domowego ogródka. Niektóre z nagrobków były tak stare, że opierały się o mur. Ilekroć siadał przy oknie i spoglądał na nie, a także na wzgórza, które rozciągały się dalej, ogarniał go spokój. Sprzyjał mu szum wiatru w trawach, ale dzisiejszego wieczoru równowaga ducha była odległa i nierealna. Tamtej nocy nie wiedział, jak bliskie spotkanie ze śmiercią go czeka, teraz z kolei miał świadomość, że czas ucieka. Annie uciekła grabarzowi spod łopaty, ale mogła utracić władzę w nogach. Tracy żyła, ale była w niebezpieczeństwie. Widok grobów nie napawał Banksa spokojem.

Poszedł do łazienki i wypakował w niej zawartość saszetki na przybory toaletowe, którą nosił w mniejszej torbie. Potem usiadł w salonie i wyjął z walizki butelkę laphroaiga, którą kupił w sklepie wolnocłowym na lotnisku w San Francisco. Kiedy ją brał, nie był pewien, czy zdoła zmęczyć sam całą butelkę, ale poczęstunek Burgessa sprawił, że nabrał ochoty na whisky.

Nalał sobie odrobinę alkoholu do szklanki, którą znalazł w jednej z szafek kuchennych. Potem odciągnął zasłony i uchylił okno, wpuszczając do pokoju świeże powietrze. Z pomieszczenia rozciągał się wspaniały widok na migoczącą światłami wstążkę Gratly Beck, połyskującą w świetle księżyca opodal kwadratowego rynku i wieżyczek kościoła Helmthorpe.

Banks woził ze sobą stację dokującą do iPod'a, dzięki której mógł słuchać muzyki w pokoju hotelowym. Wyjął ją z walizki i podłączył do prądu. Dźwięk nie był idealny, ale wystarczająco dobry, by nie drażnić. Poza tym urządzenie miało rozmiary książki. Banks włączył odtwarzacz i wybrał solowy album Normy Waterson. Zgasił górne światło, kiedy z głośników popłynęły dźwięki jej zapomnianego już głosu, którym nuciła *Black Muddy River*. To był jego ulubiony utwór z późnego okresu twórczości Grateful Dead. Usiadł w fotelu, wyprostował nogi i pociągnął łyk laphroaiga. Spojrzał w kierunku Crow Scar

i dał się ponieść muzyce.

Powieki same opadły, ale przed zamkniętymi oczyma Banksa eksplodowała feeria kolorowych świateł jak w kalejdoskopie. Potarł powieki, ale zrobiło się gorzej. Otworzył oczy i znowu pociągnął whisky. Dochodziła trzecia i było mało prawdopodobne, że do rana cokolwiek się wydarzy. Czuł się taki bezradny, nie był w stanie pomóc Tracy. Myśl o tym, że będzie musiał skontaktować się z jej matką, z Brianem czy ze swoimi rodzicami, napawała go niepokojem. Jeśli coś jej się stanie, nigdy mu nie wybaczą. Gdyby udało się załatwić sprawę po jego myśli, to o niczym się nie dowiedzą. Kiedy wspomniał o poranku u boku Teresy, miał wrażenie, że to było całe wieki temu. Naprawdę jeszcze dwa dni temu nocował w Monako? Zapewne wróciła do swojego życia w Bostonie, a przelotne spotkanie na wakacjach zaczynało zacierać się w jej pamięci. Tak już bywało z jednorazowymi doświadczeniami, ciało szybko zapominało.

Kiedy Banks zdał sobie sprawę, że słyszy dźwięki trzeciego koncertu brandenburskiego, Norma Waterson już dawno zamilkła. Melodia pochodziła z telefonu komórkowego, nie odtwarzacza. Poranne mgły snuły się dookoła wieży kościelnej niczym upiory.

Zbudził się z płytkiego snu, w który uciekł podświadomie jak owad przed zapalonym światłem. Był rozdrażniony i zły. Sięgnął po komórkę, ale zrzucił ją niezdarnym ruchem ręki. Podniósł szybko futerał z podłogi i odebrał połączenie:

– Banks – powiedział.

– Tu Winsome. Przepraszam, że pana budzę, ale madame Gervaise chciała, aby sprowadzić pana na posterunek. Są nowe wieści. Mam po pana przyjechać?

– Tak – odparł Banks. – Chodzi o Tracy?

– Nie, ani o nią, ani o Annie, ale to bardzo ważne. Nie mogę powiedzieć nic więcej, w dalszym ciągu zbieramy informacje. Przyjadę po pana za dwadzieścia minut.

– Będę gotów – odparł Banks i się rozłączył. Dwadzieścia minut to dość czasu na szybki prysznic i golenie. Może dzięki temu poczuje się jak człowiek. Musiał umyć zęby, w dalszym ciągu czuł smak whisky. Ruszył do łazienki, zastanawiając się, co takiego wyprowadziło Gervaise z równowagi.

Książka dla none none

Prawie czterysta kilometrów dalej i niewiele ponad godzinę wcześniej komendant Richard Burgess, dla przyjaciół Brudny Dick, został brutalnie obudzony dzwonkiem telefonu, który odezwał się o nieludzkiej godzinie. Oficer dowodzący oddziałem obserwującym dom Justina Peverella domagał się jego obecności. Tanie piwo, jakim Burgess raczył się wieczorem w knajpie, powędrowało w górę i w dół. Beknął i poczuł niesmak w ustach. Rozejrzawszy się dookoła, upewnił się, że tej nocy jest sam. Włożył wczorajsze ubranie, łyknął trzy paracetamole, dwie tabletki rennie i popił wodą, w której bulgotał alka-seltzer. Po drodze do garażu wyjął z lodówki puszkę coli. Już dawno się nauczył, że jeśli nie ma czasu na poranna kawę, to przynajmniej cola daje mu kofeinowego kopa, żeby mózg zaczął pracować. Ostatnimi czasy ciało zdawało się nie nadążać, ale w jego pracy wymagano myślenia. Poranne wstawanie było zazwyczaj najtrudniejszą częścią dnia. O tak wczesnej porze w Canary Wharf prawie nie było korka. Burgess jechał na północny zachód i błyskawicznie przemknął obrzeżami Limehouse i Bethnal Green, a potem przez Hoxton i Holloway. Cel jego podróży znajdował się niedaleko Highgate Hill, tuż za Junction Road. Dotarł na miejsce w pół godziny.

Dom, który zajęto do prowadzenia obserwacji, znajdował się po przeciwnej stronie ulicy, o kilka numerów od nieruchomości Justina Peverella. Luksusowa inwigilacja była jednym z przywilejów nowego stanowiska Burgessa. Obowiązkami było zapobieganie terroryzmowi i dbanie, żeby afera z córką przyjaciela nie zaważyła na sprawach siatki kontrolującej przemyt ludzi. Dni wysiadywania w starym gracie pełnym śmieci z McDonalda i sikania do kubków były już za nim. Wystarczyło powiedzieć, że chodzi o sprawę bezpieczeństwa narodowego, a otwierało się wiele drzwi i przemykano oczy na sporo grzeszków. Policja wyprowadziła domowników na noc, zostawiła ich w tanim hotelu i wywiadowcy zainstalowali się w komfortowym wnętrzu. Według Colina Linwooda, dowódcy zespołu obserwacyjnego, domownicy aż palili się do tymczasowej wyprowadzki, oczyma wyobraźni widząc wyrzutnie rakietowe w rękach brodatych fanatyków, wycelowane w ich dom.

– Cóż takiego cholernie ważnego się stało, że zerwaliście mnie z łóżka przed świtem? – spytał Burgess, kiedy wpadł do domu.

– Znikli, szefie – odparł Linwood.

Burgess podrapał się po głowie.

– Jak to znikli? Kto? Gdzie?

– French i Brody – powiedział posterunkowy Jones, który zdaniem Burgessa właśnie przypieczętował swój długoletni brak awansu. – To znaczy Ciaran i Darren.

– Czekaście, czekaście – przerwał mu Burgess. – Chcecie powiedzieć, że postawiłem was na czujce, a wy mi tu meldujecie, że ludzie, na których czekaliśmy, właśnie odjechali? Trafiłem?

– Musieli już być w środku – wyjaśnił Linwood. – Skąd mogliśmy wiedzieć?

– Boże, nie przewidziałem tego – jęknął Burgess, opadając na fotel. Pociągnął łyk coli.

– Chce pan kawy, szefie? – spytał Jones. – Mają dobrą kolumbijską kawę Fairtrade i rewelacyjny ekspres Bodum.

– Może być – odparł Burgess. Odstawił puszkę na stół. Zostawiła po sobie lekki okrąg. – Czarna, dwie łyżeczki cukru i mocna. – Jones znikł w kuchni, a Burgess spytał: – Przypomnij mi, o której byliście na miejscu?

– O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt cztery.

– Ciaran i Darren. O której wyszli?

– Trzecia trzydzieści sześć rano.

– Sporo czasu. Jesteś pewien, że ich nie przeoczyliście?

– Mowy nie ma, szefie – odparł i dodał z uśmiechem: – Mam człowieka na tyłach domu, choć pracuje w gorszych warunkach...

– Ktoś musi dostawać po tyłku.

– Jak mówiłem, musieli być już w środku, kiedy przybyliśmy na miejsce.

– To oznacza, że dostali cynk od kolesia z Yorkshire zanim my poszliśmy na rękę naszym przyjaciołom z północy.

– Szczerze mówiąc, szefie, to mamy fart, że cokolwiek zdziałaliśmy.

– Siedzieli tam ponad cztery godziny?

– Na to wygląda.

– Nikt inny nie wchodził ani nie wychodził?

– Nie.

Jones wrócił z kubkami i dzbankiem kawy na srebrnej tacy.

– Niech się jeszcze zaparzy, sir – powiedział.

– Skąd przyjechali? – spytał Burgess.

– Ferguson i Wilkes śledzili ich do hotelu na Old Compton Street. Nic wielkiego, sporo turystów, głównie z Ameryki.

– Nie muszę znać jego pieprzonej historii – przerwał Burgess. – Mam nadzieję, że Fergie i Wilkes byli czujni?

– Tak. Nic się nie dzieje bez naszej wiedzy, sir.

Jones nalał kawy i cała trójka z przyjemnością upiła po łyku.

– Dobrze się spisałeś, młody – powiedział Burgess. – Świetna kawa. Jeszcze zrobimy z ciebie detektywa. Brody i French strasznie długo tam siedzieli. Na mój rozum albo

czekali tam na Peverella, albo...

– Albo pracowali nad nim, aż powiedział wszystko, co chcieli usłyszeć?

– Coś w tym stylu. Tak czy inaczej, dopijamy kawę i musimy sprawdzić, jak się sprawy mają.

– To może być kurs dla karetki, szefie – powiedział Linwood. – Nie powinniśmy się pośpieszyć?

– Posterunkowy Jones zadał sobie wiele trudu, aby zaparzyć tak doskonałą kawę. Poza tym Justin Peverell był draniem, który pomagał szmuglować nieletnie dziewczynki do burdeli. – Burgess zawsze lubił mówić bez ogródek, jak twardzi gliniarze w telewizji. – Pozwólmy mu się jeszcze chwilę pomęczyć. Ludzkości wyjdzie to na dobre. Do córki inspektora Banksa doprowadzą nas French i Brody.

Dopijali w spokoju kawę, a za oknem robiło się widno. Zmęczony człowiek, najprawdopodobniej wracający z nocnej zmiany, wysiadł z samochodu, który zaparkował kilka posesji dalej. Wokoło panowały cisza i spokój, choć w oknach sypialni zaczynały się zapalać światła. Mieszkańcy wstawali do pracy. To porządna dzielnica, pomyślał Burgess. Ludzie ciężko pracowali za prawo własności do kawałka angielskiej ziemi. Choć nie byli bogaci, wiedli usatkwane, spokojne życie, pomimo kredytu nad głową. Dla człowieka pokroju Justina Peverella było to idealne miejsce na kryjówkę. Mimo że nie bywał często w domu, w jego pracy taka przykrywka stanowiła skarb. Jeśli spodziewał się sowitej zapłaty za fałszywe dokumenty, jakie wyrobił dla McCready'ego, istniała duża szansa, że postanowił dłużej zagrzać miejsce w domu.

– Dobra, panowie – powiedział Burgess, wskazując na pusty kubek. – Trzeba ruszać. Masz otwieracz, Col?

– Na dole.

Po drodze zabrali przenośny taran, którego woleli nie używać. Burgess wolał ciche wejście na teren domu niż budzenie całego osiedla. Potem musieliby wzywać wsparcie, żeby trzymać gapiów z dala, gdyby coś poszło nie tak.

Drzwi wykonane były z drewna kasztanowego z matową szybą u góry. Burgess najpierw zapukał, a potem zadzwonił. Żadnej odpowiedzi. Spojrzał na Linwooda, a ten wzruszył ramionami i nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się i cała trójka zamarła w bezruchu, po czym weszła do środka.

Znaleźli się w korytarzu, po jednej stronie dostrzegli wieszak na ubrania, po drugiej matę na buty. Burgess przypuszczał, że salon jest po prawej, za kolejnymi drzwiami. Zasłony w oknach zaciągnięto, tak że od ulicy nie można było zajrzeć do środka.

Burgess wszedł pierwszy i zapalił światło. Stał przez chwilę oniemiały, potem odwrócił się i zatoczył na Linwooda i Jonesa, po czym zwymiotował wczorajsze curry i piwo.

Podwładni wspierali go, kiedy próbował złapać oddech i kłął siarczyście. Po raz pierwszy od czasów kadeckich z wymiotował na służbie, a widział już niejedno.

Kiedy trochę się uspokoił, w czym pomogła mu szklanka wody przyniesiona z kuchni przez Jonesa, wrócili do pokoju. To, co zobaczyli, było tak dokładnie wyreżyserowane, że aż nierealne. Potrzebowali kilku chwil, aby zrozumieć, na co patrzą. Jones i Linwood wycofali się, zasłaniając usta chusteczkami. Smród odchodów i strachu był nie do zniesienia i zupełnie nie pasował do spokojnego londyńskiego przedmieścia.

W pokoju ustawiono naprzeciwko siebie dwa krzesła. Były drewniane i miały wysokie oparcia, najprawdopodobniej przyniesiono je z jadalni i dzieliły je jakieś cztery metry. Na jednym z nich spoczywało coś, co było resztkami pięknej niegdyś kobiety. Burgess podejrzewał, że to dziewczyna Peverella, Martina. Długie czarne włosy spływały po bladym nagim ramieniu. Z tego co widział, kobieta była naga.

Oglądając zwłoki, Burgess doszedł do wniosku, że dziewczyna konała w męczarniach przez kilka godzin. Szara taśma izolacyjna zalepiała jej usta. Ręce dziewczyny sklejoną z tyłu oparcia, a każdą z nóg unieruchomiono w podobny sposób, przyklejając za kostki do nogi krzesła. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić przyczynę zgonu. Jej ciało było ponacinane, skóra zerwana płatami, w kilku miejscach ziały dziury wyrwanego mięsa. Pomiędzy jej nogami zebrała się kałuża krwi. Palce wskazujący i środkowy lewej dłoni zostały związane w stawach, a następnie obrane z ciała do kości. Jedno z oczu dziewczyny spoglądało martwo w przestrzeń, drugą gałkę wybito z oczodołu. Na policzku zastygła struga krwi i płynu przypominającego białko wyciekające z rozbitego jajka.

To nie był koniec, Burgess dostrzegł rzeczy, które miały go przesładować w snach do dnia, kiedy przyjdzie mu odejść z tego świata. Popłakał się. Wiedział, że łzy płyną mu po policzkach, ale nie potrafił ich powstrzymać. Piękna dziewczyna, a skonała w takich męczarniach. Linwood i Jones byli zbyt wstrząśnięci, aby zauważyć, że płacze.

Naprzeciwko szczątków Martiny siedział Peverell. Był ubrany i zakneblowany. Jego także unieruchomiono szarą taśmą. Na pierwszy rzut oka był martwy, ale Burgess przyjrzał się uważniej i zauważył, że jego klatka piersiowa unosi się i opada. Spojrzenie miał równie puste jak martwa dziewczyna. Peverell nie odniósł najmniejszej rany, ale gdyby Burgess miał wybierać, nie wiedziałby, czyj los był gorszy.

– No dobra – powiedział Burgess, kiedy opanował się trochę. – Jonesey, przestań się gapić na jej cycki. Zawiadom Fergiego i Wilkesa. Mają zgarnąć Frencha i Brody’ego i przywieźć ich tutaj. Rozumiesz? Właśnie tutaj. Chcę osobiście zamienić z nimi kilka słów, zanim zawiadomimy przełożonych i prawnicy zaczną nam wchodzić w drogę. Col, przynieś jakieś prześcieradło z góry i nakryj dziewczynę. Dobiorą nam się za to do dupy, ale nie mogę na to patrzeć. Niech ktoś poszuka whisky, muszę się napić.

Tracy obudziło szarpanie za ramię. Otworzyła oczy i zobaczyła Jaffa. Musiała zasnąć nad ranem, podobnie jak on. Był już ubrany i rozwiązywał podarte prześcieradło, którym ją związał.

– Wstawaj. Musimy iść.

Tracy otworzyła jeszcze raz oczy i pokręciła głową. Jaff musiał wziąć wcześniej prysznic, ale nic nie słyszała. Firanki były odsłonięte i zobaczyła, że w biurowcu naprzeciwko ludzie już pracują przy biurkach. Zawinęła się w prześcieradło i ruszyła do łazienki.

– Która godzina?

– Ósma. Masz dziesięć minut.

Tracy wykąpała się błyskawicznie. Nie miała czasu na układanie fryzury, więc szybko wytarła włosy ręcznikiem. Były na szczęście krótkie i wyschły momentalnie. Niestety, nie miała czystej bielizny i musiała włożyć wczorajszą. Jedyne, co mogła zrobić, to odwrócić ją na drugą stronę. Zawsze uważała, że ma za mały biust, więc nie potrzebowała stanika. Wyrzuciła brudny do kosza. Inne rzeczy, które włożyła na siebie wczoraj w samochodzie, były czyste.

Nie skończyła myć zębów, kiedy Jaff stanął w drzwiach.

– Skończyłaś już?

– Moment – odparła. Rozejrzała się rozpaczliwie po łazience, szukając drogi ucieczki czy jakiejś broni, ale nic nie znalazła. Jaff nie pozwolił jej zamknąć drzwi od łazienki, więc nie mogła nawet przesunąć zasuwki. Zrezygnowana wróciła do pokoju. Jaff wciągał właśnie kolejną kreskę kokainy. Zapewne nie pierwszą dzisiejszego dnia.

Wypisanie z hotelu poszło gładko. Tym razem obsługiwała ich inna recepcjonistka, opalona brunetka, ale uśmiech i język ciała były takie same jak u Madison. Kiedy Jaff skończył formalności, ruszył z torbą na ramieniu i skinął na Tracy. Poszła za nim do wyjścia.

Tracy miała nadzieję, że wezmą taksówkę, ale Jaff był innego zdania. „Kierowcę można przesłuchać – wyjaśnił – samochód namierzyć”. Ostrożność i paranoja były dla niego czymś naturalnym. Całą drogę do Corn Exchange pokonali pieszo, płynąc wraz z rzeką ludzi zajętych swoimi małymi problemami. Tracy bardzo by chciała zamienić się miejscem z którymś z nich. Ich życie było takie normalne. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że są niedaleko Waterstone, gdzie pracowała. Czy dałaby radę uciec? Potem przypomniała sobie o groźbach Jaffa i wizji jego zemsty. Nie potrafiłaby żyć w strachu, przerażona, że ciągle ktoś na nią czyha. Nie chciała do końca życia oglądać się za siebie. Musiała wytrwać do końca, bez względu na to, jaki będzie.

Wsiedli w końcu do autobusu, który zawiózł ich do Harehills. Jaff przez całą drogę

wyglądał przez okno i nerwowo stukał palcami o kolano. Już wkrótce miał dostać nowy samochód i pojechać do Londynu. Tam zdobędzie nowe dokumenty, sprzeda towar i zniknie. Będzie miał dość pieniędzy, aby rozpocząć nowe życie. Pomimo wszystkiego, czego doświadczyła i co widziała, Tracy nie wierzyła, że sprzeda ją jak niewolnicę czy zabije z zimną krwią. Jeśli dopisze szczęście, a Jaff dostanie to, czego chce, straci nią zainteresowanie i po prostu ją zostawi. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– Zaraz wysiadamy – powiedział Jaff, ruszając do wyjścia. Tracy widziała, jak bada twarze pasażerów autobusu. Wyszli na Roundhay Road, zostawili za sobą Harehills Lane i zagłębili się w uliczki.

– Już niedaleko – rzucił, skręcając w lewo.

Niewielki warsztat był wciśnięty pomiędzy zakład reperujący maszyny do pisania i sklep z importowanymi płytami. Dobiegały z niego dźwięki dziwnej, azjatyckiej muzyki. Obok znajdowała się knajpka, przed którą wystawiono kilka plastikowych krzeseł i stolików. Na wewnętrznym parapecie leżały martwe muchy, a ze środka zalaływało kminkiem i kolendrą. Choć Tracy lubiła curry, nie miała ochoty jeść go na śniadanie.

Po przeciwnej stronie wznosił się budynek szkoły. Zbudowano go pod koniec dziewiętnastego lub na początku dwudziestego wieku, a obecnie przeznaczono do wyburzenia. W Leeds było wiele podobnych: zbudowanych z czerwonej cegły, która pociemniała od zanieczyszczonego powietrza, i otoczonych żelaznymi płotami. Spomiędzy pęknięć asfaltu, którym wyłożono boisko, wyrastała trawa. Niektóre okna zabito płytami dykty, inne były wybite. Ściany pokrywało graffiti. Wypłowiwały szyld informował: HAREHILLS PARK. Tracy nie widziała żadnych drzew. Okolica była ponura i przyprawiała ją o dreszcze. Obok szkoły wznosił się meczet, też z czerwonej cegły.

Tracy była tak zaabsorbowana szkołą, że nie zauważyła z początku, co się dzieje. Z zamyślenia wyrwał ją huk. To Jaff kopał w blaszane drzwi i krzyczał, aby otworzyć. Dopiero wtedy Tracy zauważyła napis: WARSZTAT NIECZYNNY. LIKWIDACJA.

– Jaff, tam nikogo nie ma – powiedziała. – Daj spokój.

Odwrócił się do niej i warknął:

– Widzę przecież. Zamiast pieprzyć, przydałabyś się na coś.

– Na co?

– Mogłabyś coś wymyślić?

– Chyba zapomniałeś, że jestem twoją zakładniczką, a nie współnikiem. Nie będę ci pomagała.

– Obydwoje w tym siedzimy po uszy, więc nie rób błędu i nie zapominaj, że twoje życie zależy ode mnie. Jeśli pomożesz, może wezmę to pod uwagę.

– Powiedziałam ci, co myślę. Puść mnie wolno i uciekaj sam. Wtedy masz jakieś

szanse.

Jaff pokręcił głową.

– Mowy nie ma. Jesteś dla mnie zbyt cenna.

– O, doprawdy? Przecież masz pistolet.

– Broń to narzędzie, ty jesteś kartą przetargową. – Jaff nagle zamilkł. – Cholera, no jasne!

– Co?

– Trzymałem cię w rezerwie, czas cię wykorzystać. No jasne! Ależ głupiec ze mnie!

– O czym myślisz? Jaff, przerażasz mnie.

Jaff wyciągnął telefon z kieszeni.

– Podaj mi numer do twojego ojca. Komórkę, a nie na pieprzony komisariat.

– Po co?

– Nie dyskutuj!

Przestraszona Tracy podała numer. Widziała, że dłoń Jaffa się trzęsie, gdy wybierał numer. Mamrotał coś do siebie, a potem przyłożył aparat do ucha.

*

– Jesteś sam?

To nie było zwyczajne przywitanie przez telefon, dlatego Banks od razu zdał sobie sprawę z potencjalnego niebezpieczeństwa.

– Tak – skłamał, nie poznając głosu po drugiej stronie słuchawki. Siedział w sali konferencyjnej zachodniej komendy głównej razem z Gervaise, Winsome, Geraldine Masterson, Harrym Potterem i Stefanem Nowakiem, rozważając implikacje związane z losem Justina Peverella i jego martwej dziewczyny, Martiny Varakovej.

Burgess zadzwonił po raz kolejny. Nadal był w domu Peverella, ale donosił, że Ciaran i Darren zostali zabrani przez karetkę w obstawie policji. Ciaran miał rękę złamaną w dwóch miejscach po tym, jak próbował uciec. Odniósł też szereg drobniejszych obrażeń, w tym dostał kopniaka w krocze, którego efektem mogła być kilkuletnia dysfunkcja erekcji. Żaden z nich nie wydał Farmera, ale Banks zamierzał złożyć draniom wizytę i ostro z nimi pogadać. Wiedział też, że jeśli ktokolwiek wpuści Burgessa do pokoju przesłuchań, sytuacja może się nieciekawie rozwinąć. Banks jeszcze nigdy nie widział go tak wściekłego i wytraconego z równowagi.

Banks przeprosił zgromadzonych i wyszedł na korytarz.

– Dobrze – powiedział głos w słuchawce. – Mam dla ciebie zadanie.

– Kim jesteś?

– To nieważne. Jest tu ktoś, kogo możesz znać. – Zapadła cisza, Banks mógł przysiąc, że słyszał muzykę graną na sitarze, chwilę później usłyszał głos: – Tato! To ja, Tracy.

Proszę, rób, co mówi, bo...

– Tracy? Nic ci nie jest?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Banks usłyszał głos mężczyzny. Jaffa.

– Wszystko w porządku. Jeśli chcesz, aby tak pozostało, musisz mnie słuchać. Jesteśmy w Leeds, na Harehills, przed zamkniętym warsztatem samochodowym. Naprzeciwko znajduje się szkoła Harehills Park. Wiesz, gdzie to jest?

– Leeds. Harehills Park. Tak. Jeśli tkniesz ją choćby palcem...

– Wiem, wiem. Za ile będziesz?

– Około godziny.

– Jeszcze czego. Wystarczy ci czterdzieści pięć minut. Ale dam ci tę godzinę i ani minuty dłużej. Zaczekamy na ciebie. Z nikim nie rozmawiaj, nie próbuj sprowadzać kumpli. Jeśli zorientuję się, że policja coś kombinuje, twoja córka dostanie kulkę w łeb. Łapiesz?

– Tak – odparł Banks. – Co mam zrobić?

– Powiem ci, jak już będziesz na miejscu. Na razie marnujesz tylko czas. Pospiesz się.

– Rozłączył się.

Banks wrócił do sali konferencyjnej i powiedział, że dzwonił jeden z jego informatorów i musi wyjść na chwilę. Gervaise skinęła głową i wszyscy wrócili do narady. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć o wszystkim Gervaise. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że zorganizowanie wsparcia wymagało masy decyzji na różnych szczeblach i papierkowej roboty. Historia z Patrickiem Doyle'em była przykładem tego, jak fatalnie może pójść pośpiesznie zorganizowana akcja. Jaff był w stresie i na pewno nie rzucał słów na wiatr, kiedy groził. Banks zabrał marynarkę i wyszedł z sali.

Bez kłopotów wypożyczył samochód służbowy. Było po dziewiątej, a więc w Eastvale kończyła się poranna godzina szczytu. Dojechał ulicami jednokierunkowymi do York Road. Pogoda była ładna, samochody poruszały się w przyzwoitym tempie. Do obwodnicy Leeds dotarł w ciągu czterdziestu pięciu minut. Nie włączył muzyki, musiał pozostać skupiony. Potrzebował planu i nie mógł sobie pozwolić na rozpraszanie uwagi.

Banks wiedział, gdzie jest Harehills, ale nie znał labiryntu mniej uczęszczanych uliczek. W tym wypadku przydatna okazała się nawigacja satelitarna. Nie dojechał do ślepej uliczki przegrodzonej murem, podczas gdy komputer twierdził, że dotarł do celu. Nie trafił do Guisborough, kiedy chciał dotrzeć do Northallerton. Zamiast tego trafił na miejsce. Zobaczył budynek zamkniętej szkoły. Wyłonił się po prawej, a kiedy Banks wjechał w uliczkę, kilka metrów dalej po przeciwnej stronie zauważył zamknięty warsztat i knajpę z azjatyckim jedzeniem. To była dziwna okolica na spotkanie. Banks podejrzewał, że Jaff spodziewał się coś tutaj znaleźć, ale się srodze zawiódł. Najprawdopodobniej celem

był warsztat. Banks obiecał sobie, że jeśli będzie miał okazję, sprawdzi nazwisko właściciela i jego powiązania z Fanthorpe'em czy McCreadym. Na razie musiał się upewnić, że Tracy jest cała i zdrowa.

Zatrzymał samochód przed warsztatem, jak mu kazano. Rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył nic dziwnego. Kilku mężczyzn w muzułmańskich strojach wyszło z meczetu, kobiety w burkach rozmawiały, niosąc zakupy. To był normalny dzień na tej ulicy.

Wzdłuż chodnika bez ładu i składu parkowały samochody, większość nadgryziona zębem czasu i rdzą. Wiele z nich miało sflaczałe opony, żaden nie wyróżniał się z tej zbieraniny. Chwilę po tym, jak Banks zaparkował obok żółtego forda fiesty bez drzwi, ulicą przejechała srebrna honda. Wysiadł z niej chłopak w ciemnoniebieskiej bluzie z kapturem i czarnym dresie. Nie patrząc na Banksa, wszedł do zakładu reperującego maszyny do szycia.

W lusterku wstecznym Banks zauważył dwie postacie wychodzące z jadłodajni. Szły przytulone jak kochankowie, jedna z nich dźwigała ciężką torbę, druga miała skórzaną torebkę. Tą drobniejszą osobą była Tracy. Na jej widok serce Banksa zadrżało. Dwójka wsiadła do jego samochodu na tylne siedzenia i głos z telefonu powiedział:

– Jedź.

Banks ruszył.

– Daj mi swój telefon – powiedział Jaff, kiedy wyjechali na główną drogę.

Banks wyjął go z kieszeni i podał do tyłu. Zauważył, że Jaff wyłączył aparat. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o długich rzęsach, złotawej cerze i wielkich brązowych oczach. Inspektor mógł zrozumieć, dlaczego kobiety za nim szalały. Tracy siedziała skulona, jak najdalej od Jaffa, blada i przerażona. Banks chciał ją zapewnić, że wszystkim się zajmie i wszystko będzie dobrze, ale słowa pociechy nie mogły mu przejść przez gardło w obecności Jaffa. Była cała, zdrowa i żywa, na razie tylko to się liczyło.

Widok skulonej Tracy przypomniał mu, jak miała dwanaście lat i przyznała się, że inna dziewczynka wymusza od niej pieniądze, które dostawała na obiad. Banks chciał przytulić córkę jak wtedy i powiedzieć, że wszystko załatwi, że nie ma już się czym martwić.

– Jedziemy do Londynu – rozkazał Jaff. – Zakładam, że wiesz, jak tam dotrzeć?

Banks skinął głową. Wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu tam jechać. Martina Varakova była martwa, a Justin Peverell ześwirował. Być może na zawsze. Paszport, który miał zapewnić Jaffowi nowe życie, trafił w ręce londyńskiej policji. Banks nie zamierzał o tym mówić. Wszystko zależało od tego, żeby wierzył, że wreszcie jedzie ku wolności.

– Gdzie dokładnie?

– King’s Cross. Wysadziś nas tam. Po półgodzinie puszcze ją wolno.

Te warunki ani trochę nie podobały się Banksowi, ale było zbyt wcześnie na negocjacje. Przed nimi jeszcze długa droga, podczas której wiele mogło się zdarzyć, a równowaga sił zmienić. Jaff i Peverell nie byli umówieni w domu w Highgate, dlatego Ciaran i Darren opuścili posesję po tym, jak załatwili Justina i Martinę. Mieli się zacząć na Jaffa i Tracy, ale gdzie dokładnie, tego żaden z nich nie wyjawiał.

– Sprawileś nam wiele kłopotów, Jaff – powiedział Banks, nie oglądając się za siebie.

– Dla ciebie to pan McCready. Możesz winić samego siebie. Żyj i pozwól żyć innym, jak mawiają.

– To powiedziałaś Annie, zanim pociągnęłaś za spust?

Na twarzy Jaffa pojawił się wredny uśmiezek.

– To twoja dziewczyna, co? Ładna sztuka, żal jej, ale zrobiłem, co było trzeba. Nie gadaj, tylko prowadź. Nie mam ochoty na gadki.

– Tracy, wszystko w porządku? Wygodnie ci?

– Powiedziałem, żebyś nie gadał i jechał! – Banks poczuł, że Jaff przytknął mu do karku coś zimnego i metalicznego. Tłumik bajkała.

– To kiepski pomysł pociągnąć teraz za spust.

– Przypominam ci, kto tu wydaje polecenia. Poza tym zawsze mogę rąbnąć ją, a nie ciebie. Wyceluję w nogę albo w brzuch. Lepiej się zamknij i prowadź. Jedź ostrożnie i nie zwracaj na nas uwagi, bo pożałujesz.

Banks skierował samochód na wschód, w stronę obwodnicy. Potem skręcił w prawo i minął Seacroft, Killingbeck oraz Cross Gates. Niedaleko Selby Road wjechali na M1. Choć wiedział, że ich przejazd rejestrowała masa kamer, nikt nie zwracał uwagi na samochód. Jego dokumenty były w porządku, nie figurował na liście skradzionych, a sam Banks nie był poszukiwany przez policję. Mógłby zatrzymać ich patrol i zacząć pytać, dlaczego zabiera samochód policyjny poza rejon, ale było to mało prawdopodobne. Nieoznakowane radiowozy ciągle jeździły to w jedną, to w drugą stronę.

– Włącz jakąś muzykę – powiedział Jaff.

– Co lubisz?

– Masz Beatlesów?

– Tak.

– To kiepsko, nie znoszę ich. Może jazz?

Banks rzadko słuchał jazzu, kiedy prowadził samochód, ale jego iPod zawierał pokaźną kolekcję.

– Coś konkretnego?

– *Kind of Blue*.

– Nie ma sprawy.

– W Bombaju jeden z chłopaków mojej mamy słuchał tej płyty na okragło – powiedział Jaff tak miękko i delikatnie, jakby zwracał się tylko do siebie. – Prosiłem go: „Puść mi Milesa. Puść mi Milesa”. Mama miała wielu przyjaciół, nauczyłem się od nich masę rzeczy.

Jaff zamilkł, kiedy pianino Billa Evansa zaczęło wygrywać wstęp do *So What*. Chwilę później włączyły się instrumenty dęte i dźwięki wypełniły kabinę: trąbka Milesa Davidsa i saksofon tenorowy Coltrane’a. Sytuacja była zupełnie nierealna: pędził M1 ku Bóg wie jakiemu celowi, desperat trzymał na muszce jego córkę i słuchali jednego z najlepszych albumów jazzowych w historii muzyki. Zapadło milczenie, nikt nie odzywał się ani słowem. Banks przestrzegał ograniczenia prędkości, nie chcąc zwracać na siebie uwagi drogówki. Raz na jakiś czas spoglądał w lusterko wsteczne. Tracy miała zamknięte oczy i ssała palec jak wtedy, gdy była mała. Nie spała, Banks dostrzegał, że jest spięta. Jej powieki drżały w niekontrolowany sposób. Jaff po prostu wyglądał przez okno.

Kiedy minęli Sheffield, Banks zdał sobie sprawę, że ich śladem jedzie srebrna honda. Tę samą widział w Harehills. Samochód trzymał się w pewnej odległości, nie rzucając w oczy. Choć Banks starał się nie myśleć stereotypami, to zdziwiło go, że człowiek w dresie i bluzie z kapturem miał do załatwienia jakieś sprawy w serwisie maszyn do szycia.

*

Nadinspektor Catherine Gervaise zdjęła okulary do czytania i potarła zmęczone oczy. Minęło kilka lat, odkąd po raz ostatni musiała obywać się bez snu przez całą noc i łapała tylko krótką drzemkę w biurze między drugą a trzecią nad ranem. Problem tkwił w tym, że czuła się po nich jeszcze bardziej zmęczona. Choć była dumna z tego, że zaczynała karierę jako zwykły krawężnik i wykonywała wiele z zadań, które zlecała narzekającym na ciężką robotę podwładnym, to jej błyskawiczna kariera usiana była kursami, szkoleniami, egzaminami i przenosinami z jednej jednostki do drugiej. Prawdę mówiąc, bardziej była administratorem niż detektywem. Teraz piekły ją oczy, bolała głowa i bardzo chciała wrócić do domu. Musiała jednak podjąć ważną decyzję.

Pociągnęła łyk mocnej kawy, którą przyniosła Winsome, ale nawet kofeina nie pomagała. Tego późnego ranka była zmęczona jak rzadko kiedy. Kawa nie mogła na to pomóc, ale przynajmniej była smaczna. Dzięki ciepłu Gervaise zachowywała szczątkową świadomość i nie zmieniała się w zombi z filmów, które uwielbiał oglądać jej syn. Winsome siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie biurka. Nie było po niej widać zmęczenia, ale była młodsza o dobre dwadzieścia lat i bardziej przyzwyczajona do pracy o nieludzkich godzinach.

– Dzwonił Brudny Dick... to znaczy komendant Burgess – powiedziała Winsome.

– Proszę, proszę, widzę, że zdążyliście się poznać. Bądź ostrożna, dla mnie ten facet to chodzący odpad radioaktywny – odparła Gervaise. – Co powiedział?

– Dwójka aresztowanych milczy na temat zaangażowania Farmera w sprawę.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknęła Gervaise.

– Jest coś jeszcze, informacja, którą podali. W zasadzie Darren Brody. Powiedział, gdzie miało dojść do spotkania.

– Justina Peverella z Jaffem i Tracy?

– Tak, był umówieni w Hampstead Heath, niedaleko Highgate Ponds.

Gervaise zastanowiła się przez chwilę.

– To oznacza, że McCready nie dotarł jeszcze na miejsce. Zabezpieczył się na wypadek, gdyby ktoś wpadł na to, gdzie mieszka Peverell.

– Raczej nie wie, co się wydarzyło u Justina.

– Jest nieświadomy, inaczej uciekałby w przeciwną stronę. A co, jeśli to właśnie robi? –

Gervaise pokręciła głową. – Sama już nie wiem. Co robimy, Winsome?

– Burgess zasugerował uzbrojony komitet powitalny czekający na McCready'ego w Heath.

Gervaise parsknęła.

– A co z Tracy Banks?

– Powiedział, że da radę wszystko tak zakamuflować, że McCready niczego nie będzie podejrzewał, aż go zapuszczujemy.

– Wątpię. Obydwie dobrze wiemy, jak szybko sprawa potrafi wziąć w łeb. Właśnie, gdzie jest inspektor Banks? Zniknął jakiś czas temu.

– Nie wiem – odparła Winsome. – Nie widziałam go od kilku godzin.

– Powiedział, że gdzie się wybiera? – spytała Gervaise, marszcząc czoło.

– Chyba miał się spotkać z informatorem, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Byliśmy zbyt zajęci losem Peverella i jego dziewczyny.

Gervaise zerknęła na zegarek

– Cokolwiek by to było, nie powinno zajmować mu tyle czasu. Zwłaszcza że chodzi o życie Tracy. Zadzwoń do niego.

Winsome wybrała numer komórki Banksa.

– Ma wyłączony telefon.

– To do niego niepodobne. Dlaczego go wyłączył w tak ważnym momencie, kiedy próbujemy ocalić życie jego córce?

Gervaise próbowała zmusić umysł do pracy, ale nie umiała wymyślić logicznego wytłumaczenia. Odpowiedź gdzieś tam majaczyła na horyzoncie, ale umykała.

– Pomóż mi, Winsome – powiedziała. – O co może chodzić?

– Sama nie wiem. Chyba że...

– Chyba że?

– Chyba że inspektor Banks... okłamał nas w sprawie informatora.

– Nie bój się tego powiedzieć. Ludzie często kłamią, czasami w dobrej wierze.

– Rozumiem – odparła cicho Winsome.

– Skoro Alan nas okłamał, to wyjaśnienie może być tylko jedno. Chodzi o Tracy. Dla niej zrobiłby to bez wahania.

– Równie dobrze mógł dzwonić McCready.

– Tak czy inaczej, Alan może być w niebezpieczeństwie.

– Prawdopodobnie McCready nadal miał kłopoty z transportem. Postanowił wykorzystać inspektora Banksa, zmuszając go, aby zawiózł go do Hampstead.

Gervaise wreszcie zdołała otrząsnąć się ze zmęczenia i odzyskała jasność myślenia.

– Musimy dowiedzieć się, który samochód wypożyczył inspektor Banks, a potem odszukać go w automatycznym systemie rozpoznawania tablic rejestracyjnych. Dowiemy się, gdzie są. Jeśli masz rację, skierują się do Londynu. Tym sposobem możemy kontrolować ich podróż.

– Mam zawiadomić patrol drogówki?

– Jeszcze nie. Nie chcę żadnych pościgów. Alan i Tracy są w jednym samochodzie z uzbrojonym McCreadym. Na razie dyskretnie ich obserwujemy. Jeśli faktycznie jadą do Hampstead, będziemy mieli trochę czasu, aby się przygotować. Zadzwoń do Burgessa i spróbuj go przekonać, że chwilowo musimy działać ostrożnie i po cichu.

– Ma pani jakiś plan?

– Dobry Boże, bardzo bym chciała. Wierz mi, Winsome, o niczym innym nie myślę.

Banks desperacko próbował wykombinować jakiś sposób działania. Jechał trasą M1 z dwójką milczących pasażerów na tylnym siedzeniu i muzyką płynącą z głośników. Odkrył już, że Jaff był podatny na gwałtowne zmiany nastrojów. Mogło to być spowodowane stresem, w jakim obecnie żył, ale swój udział miała też kokaina, którą wciągał w samochodzie. Banks wiedział, że cokolwiek wymyśli, musi działać ostrożnie i z wyczuciem chwili.

Kluczem było odebranie broni Jaffowi. Bez niej chłopak był nikim. Pistolet znajdował się z pewnością w torbie. Banks widział to po tym, jak Jaff co chwila wkładał rękę do jej wnętrza i zaciskał dłoń na czymś, co dawało mu pewność i siłę. Odebranie torby nie było łatwym zadaniem i Banks wiedział, że musi zadziałać, zanim wysadzi Jaffa i Tracy na King's Cross. Do tego nie mógł dopuścić.

– Muszę do toalety.

To była Tracy. Banks ściszył muzykę, tym razem *Someday My Prince Will Come* Milesa.

– Co mówiłaś, kochanie? – spytał. – Nie możesz. Nigdzie się nie zatrzymujemy.

– To nie zajmie dłużej niż pięć minut.

– Mowy nie ma. Nigdzie nie stajemy.

– To co mam zrobić? Złać się w samochodzie?

– Masz czekać.

– Już nie mogę dłużej. Od pół godziny czekam na postój. Niedaleko stąd jest stacja benzynowa. Tam na pewno będzie toaleta.

Jaff wsunął dłoń do torby.

– Powiedziałem ci.

Tracy spojrzała na niego.

– Jakim ty jesteś człowiekiem? Co ci szkodzi? Sądzisz, że ucieknę i ukryję się na stacji po tym, co mi naopowiadałeś? Zostawię ojca, kiedy w niego mierzysz z broni? Zacznę krzyczeć, że masz broń? Po co? Po to, żebyś postrzelił kilku niewinnych ludzi? Na litość boską, chcę się po prostu wysikać!

Po tym wybuchu Tracy w samochodzie zapadła cisza. Banks podziwiał odwagę córki, ale obawiał się, jak zareaguje nieprzewidywalny Jaff.

– Dobra – powiedział, klepiąc Banksa po ramieniu. – Słyszałeś panią. Skręć na stację i kup mi kawę.

Czy to moja szansa? – myślał gorączkowo Banks. Jeśli tak, to co miał zrobić? Chlusnąć Jaffowi kawą w twarz, wyrwać torbę, cisnąć ją Tracy i spróbować pobić chłopaka? To było jakieś wyjście.

Jaff wyglądał przez okno, nerwowo bębniąc palcami po udzie. Banks wiedział, że chłopak dochodzi do tych samych wniosków co on przed chwilą. Rozważał możliwe warianty i scenariusze, przygotowując się na wszystko, co mogło pójść źle. Kiedy wysiądą z samochodu, będzie spięty, na granicy wybuchu. Gdy Banks zjechał w kierunku stacji, spojrzał w lusterko wsteczne. Nigdzie nie widział srebrnej hondy. Może sobie ją wyobraził?

Parking był w połowie pusty. Banks zatrzymał samochód w miejscu, które wskazał Jaff, i wyłączył silnik. Otworzył drzwi i poczuł na twarzy wiatr. Zaczynało kropić.

– Hola, hola, nie tak szybko – warknął Jaff. – Zanim gdziekolwiek pójdziecie, ustalimy kilka zasad.

Banks zamknął drzwi.

– Pospiesz się – powiedziała Tracy. – Pęcherz mi zaraz pęknie.

– Trzymamy się razem. Tracy idzie obok mnie, ty z przodu. Będę trzymał broń w rękę,

więc nie myślcie o ucieczce. Pamiętajcie o tym cały czas. Jeśli któreś zniknie mi z oczu, drugie nie ma prawa się oddalić.

Banks miał na końcu języka pytanie, czy Jaff pociąg nie za spust przy tylu świadkach, ale ugryzł się w język. Tracy była u kresu wytrzymałości, dlatego chciał jak najszybciej wysiąść z auta, na zewnątrz miał choć cień szansy przejąć inicjatywę. Co więcej, najprawdopodobniej Jaff był tak nakręcony, że nie zawahał by się pociągnąć za spust. Spoglądając ukradkiem za siebie, Banks widział, że tamten wciągał kreskę za kreską. Był spięty i w każdej chwili mógł stracić nad sobą panowanie.

– Ty tu rządzisz – odparł Banks i ponownie otworzył drzwi samochodu. Wyszli z auta i ruszyli przez otwarty teren ku toaletom i części restauracyjnej. Przed wejściem do niej stało kilka automatów do gier, a naprzeciwko był sklep. Obok niego znajdowała się damska toaleta.

– Jak mamy się trzymać w grupie? – spytał Banks, wskazując na sznur ludzi wchodzących do toalet i wychodzących z nich.

– Nie bądź taki cwany – warknął Jaff. – Francesca, idź się załatwić. My tu zaczekamy.

– Ja też muszę – powiedział Banks. – Poza tym ona ma na imię Tracy.

– Wiem, ale wolę Francescę. Poczekasz na swoją kolejkę. Idź, Francesca, i nie próbuj żadnych sztuczek. Niech ci do głowy nie przyjdzie pożyczyć od kogoś telefon i dzwonić. Pamiętaj, co ci mówiłem. Mam twojego ojca na muszce.

Tracy znikła w damskiej toalecie. Jaff stał obok Banksa, trzymając rękę w torbie. Jego oczy nerwowo obserwowały okolicę.

– Wiesz, że nie uda ci się uciec? – powiedział Banks spokojnie. Chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

– Skąd ta pewność?

– Gdybyś poddał się teraz, sędzia wziąłby to pod uwagę.

– Bzdury. Strzelałem do gliniarza.

– Nie zabiłeś jej.

– Nie mogę iść do więzienia. Nie przeżyłbym tego.

– Nie unikniesz kary.

– W takim razie zrobimy wszystko po mojemu. – Jaff spojrział na zegarek. – Co ona tam tak długo robi?

– Jest kobietą.

Jaff roześmiał się głośno. To był maniakałny chichot i kilku przechodniów spojrzało na niego podejrzliwie. Na szczęście chwilę później Tracy wyszła z toalety. Jaff kazał jej czekać i weszli z Banksem do męskiej. Kiedy z niej wyszli, posłusznie czekała w tym samym miejscu, jakby zapuściła korzenie.

– Jak na razie idzie gładko – powiedział Jaff. – Zamówmy coś do jedzenia.

Weszli na górę i kupili na wynos kanapki oraz kawę. Jaff kazał je nieść Banksowi, bez wątplenia dlatego, aby móc nadal trzymać rękę na spuście broni. Sprzedawca zapakował jedzenie do torby, co utrudniało Banksowi zdjęcie pokrywki z kubka z kawą. Na szczęście czekał ich spacer do samochodu. Banks nie miał czasu wtajemniczyć Tracy w swój plan, dlatego musiał zaufać jej instynktom i ocenie chaotycznej sytuacji. Będzie musiała go słuchać.

Szli powoli do auta: Banks, tak jak mu kazano, trochę z przodu, Jaff i Tracy ramię w ramię. Chłopak trzymał dłoń we wnętrzu torby. Z jednej strony Banks czuł się narażony na atak, nie widząc, co robi Jaff, ale z drugiej mógł osłonić ciałem torbę z jedzeniem, sięgnąć do jej wnętrza i zdjąć pokrywkę kubka z kawą. Ryzykował, że poparzy Tracy, ale nic nie mógł na to poradzić. Musiał w miarę możliwości dobrze wycelować.

Szli pomiędzy zaparkowanymi samochodami, niekiedy jedno za drugim. Banks zdjął w końcu pokrywkę i gorąca kawa spłynęła mu po palcach. Skrzywił się, ale nie syknął z bólu. Musiał się potknąć lub zrobić fałszywy krok, bo Jaff kazał mu się odwrócić. Dookoła nie było nikogo, ale Banks miał wrażenie, że słyszy samochody mknące po M1. Zastanowił się przez chwilę, czy to ostatni dźwięk w jego życiu.

Banks obrócił się na pięcie z kubkiem w dłoni. Gorąca kawa parzyła go w palec wskazujący i kciuk. Jaff wyciągnął dłoń z torby. Wycelował broń w głowę Tracy. Banks pozwolił torbie wysunąć się z jego dłoni i upaść na ziemię. W tym momencie kobieta, która pomagała dwójce dzieci wsiąść do auta zaparkowanego cztery rzędy dalej, krzyknęła przeraźliwie. Jaff obrócił głowę w jej stronę, ale zasłoniła je swoim ciałem.

Jaff chwycił Tracy i przyciągnął ją do siebie za szyję. Skierował broń w stronę Banksa. Dookoła słyhać było krzyki, ludzie uciekali, uruchamiano silniki aut. Jaff stracił orientację, sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Banks wiedział, że tamten pociągnie za spust.

Kiedy szykował się na uderzenie kuli, prawa górna część głowy Jaffa zmieniła się w krwawą chmurę. Pistolet upadł na asfalt. Jaff zawinął i sflaczał jak marionetka, której odcięto sznurki. Tracy rzuciła się w ramiona ojca, który przygarnął córkę do piersi, obydwójce opadli na kolana. Tulił ją i próbował zasłonić makabryczny widok za jej plecami. Czuł, że przywarła do niego i wtuliła się mocno, kryjąc twarz w jego ramionach. Płakała i powtarzała cicho:

– Tatusiu, tatusiu, przepraszam.

W sali konferencyjnej siedziało sześcioro ludzi i żadne z nich się nie uśmiechało. Pomieszczenie oświetlone było zimnym blaskiem jarzeniówek. Zebrani zajęli miejsca przy polerowanym, owalnym stole i sprawiali równie ponure wrażenie jak portrety potentatów wełnianych z ich bokobrodami, czerstwymi twarzami i wąskimi taliami.

Banks był ledwie żywy. Nie wiedział nawet, która jest godzina. Zdawał sobie tylko sprawę, że jest już dawno po zmroku. Ale przynajmniej był tutaj. Od porannego incydentu na stacji benzynowej minęło wiele godzin. Tracy została odwieziona do mieszkania, które wynajmował, i spała. Lekarz podał jej łagodny środek uspokajający i pod opieką Winsome odpoczywała. Przynajmniej na to liczył. On z kolei miał do załatwienia kilka trudnych spraw na komisariacie. Rozmowa toczyła się za zamkniętymi drzwiami zachodniej komendy głównej. Innego dnia pewnie martwiłby się jej wynikiem, ale dziś o to nie dbał. Chciał ją mieć po prostu z głowy i wrócić do spokojnego życia z Tracy.

– Co, do jasnej cholery, pani zrobiła, funkcjonariuszko Powell? – spytał Mike Trethowan, nadinspektor nadzorujący jednostkę wsparcia i bezpośredni przełożony Nerys.

– Działalam na własną rękę, sir – odpowiedziała zapytana. Pozbyła się niebieskiej bluzy z kapturem i dresu. Teraz była ubrana w dzinsy, białą bluzkę i czarną kurtkę ortalionową. Jak do tej pory zgrywała odważną dziewczynę, uznał w duchu Banks. Wiedział jednak, że była przestraszona, choć nadal pewna, że działała w słusznej sprawie. Jeśli miała dostać po uszach, mogła pociągnąć kogoś za sobą.

Chambers teatralnie westchnął, jakby chciał powiedzieć: „Chroń nas, Boże, przed własną inicjatywą”, ale zamiast tego powiedział:

– Może zacznie pani od początku?

Nerys spojrzała na Banksa i zaczęła opowiadać:

– Podśluchałam rozmowę inspektora Banksa, sir – wyjaśniła. – Stał na korytarzu i rozmawiał z kimś przez komórkę. Byłam w pokoju naprzeciwko, czekałam na rozkazy. – Powell rzuciła znaczące spojrzenie Chambersowi. – Odkąd toczy się pańskie postępowanie, tylko marnuję czas. Przychodzę na komisariat, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będę potrzebna, żeby znowu wyjaśnić jakiś szczegół. Poza tym o niczym nas nie informują. Wracając do rzeczy, nie słyszałam, co mówił rozmówca inspektora, ale pamiętam, jak powtórzył adres szkoły w Harehills. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Mam na myśli inspektora. Wiedziałam, że jego córka zaginęła, podejrzewano, że została porwana, a ten, kto ją uprowadził, jest uzbrojony.

– Wiedziała pani, gdzie znajduje się ta szkoła?

– Nie, ale dorastałam w Leeds i wiem, gdzie jest Harehills.

– Tak, tak, wiemy, gdzie się pani wychowała. Proszę kontynuować – powiedział Chambers.

– Inspektor Banks opuścił posterunek w pośpiechu i podejrzewałam, że być może... próbuje na własną rękę pomóc córce. Nie mam do pana żalu, sir – dodała Nerys.

– Ulżyło mi – odparł sucho Banks.

Nerys obrzuciła go długim spojrzeniem zmrużonych oczu, jakby próbowała ocenić, czy jest przyjacielem, czy wrogiem. Sam Banks nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Musiał wysłuchać całej opowieści, zwłaszcza historii Nerys, zanim podejmie decyzję.

– Jak powiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że Jaffar McCready jest uzbrojony, a detektyw Banks nie miał broni. Wiedziałam, że nie zawiadomi jednostek wsparcia, ponieważ chce ratować córkę. Najprawdopodobniej będzie chciał samemu załatwić sprawę, być może obezwładnić napastnika. Uznałam, że to bardzo niebezpieczne, sir, i... cóż...

– Postanowiła pani wziąć karabin.

Nerys spojrzała najpierw na swojego szefa, potem na Chambersa.

– Można to tak określić.

– „Określić”? A jakby to pani inaczej nazwała?

– Zaufałam instynktowi, sir, i wzięłam sprawy w swoje ręce. Nieuzbrojony funkcjonariusz miał niewielkie szanse w konfrontacji z kryminalistą, który nie zawahał się pociągnąć za spust i postrzelić policjanta.

– Czy motywem pani działania była zemsta za to, co spotkało funkcjonariuszkę Cabbot? – spytał lodowatym tonem Trethowan.

– Wypraszam sobie – odparła Powell, oblewając się rumieńcem.

– Nie obchodzi mnie, co pani sobie wyprasza, funkcjonariuszko Powell. Czy chodziło pani o detektyw Cabbot, kiedy ruszyła pani śladem inspektora Banksa?

– Skłamałabym, mówiąc, że nie pomyślałam o tym, co zrobił jej McCready, ale nie ma pan...

– Jeśli pani pociąg seksualny wobec Annie Cabbot wpłynął na ocenę sytuacji, mamy pełne prawo kwestionować pani działania i motywy – przerwał jej Chambers. W jego świńskich oczkach widać było dziwny błysk, zapewne spowodowany rozbuchaną wyobraźnią. – Lecisz na nią, co?

– Panie i panowie – przerwał im McLaughlin, unosząc dłonie. – Zarzuty wobec funkcjonariuszki Powell, opierające się na jej skłonnościach seksualnych, nigdzie nas nie doprowadzą, zwłaszcza w nieoficjalnym dochodzeniu. To, czy pomiędzy funkcjonariuszką Powell i detektywem Cabbot do czegoś doszło, nie powinno nas interesować, podobnie jak natura ewentualnego związku. Chodzi nam o to, co zrobiła Nerys Powell i jakie kroki powinniśmy w związku z tym poczynić. Proszę kontynuować, Powell.

– Dziękuję, sir – odparła.

Usadzeni Chambers i Trethowan milczeli. Powell upiła łyk wody ze szklanki i kontynuowała:

– Pojechałam za inspektorem Banksem do Harehills i obserwowałam go. Zauważyłam jego córkę Tracy i Jaffara McCready’ego, jak wsiadali do auta. Wyglądało na to, że McCready miał ukrytą broń w torbie, którą niósł na ramieniu.

– Nie widziała pani pistoletu? – spytał Trethowan.

– Wtedy nie, sir, ale wiedziałam, że był...

– Wystarczy, tylko to chciałem wiedzieć. – Trethowan spojrzał na Chambersa. – Niech pani mówi dalej.

– Skąd pewność, że to byli Tracy Banks i McCready? – spytał Chambers.

– Cóż, nie sądziłam, aby inspektor Banks brał autostopowiczów – odparła Nerys.

Chambers poczerwieniał.

– Dość tego – uciął kłótnię Trethowan.

– Oczywiście, przepraszam, sir. – Powell rzuciła Chambersowi uważne spojrzenie. Po raz pierwszy ten odwrócił wzrok.

– Czy miała pani pomysł, co pani zrobi? – spytała Gervaise. – Czy próbowała pani ułożyć w głowie jakikolwiek plan?

– Nie, madame. Wiedziałam, że McCready jest uzbrojony i postrzelił Annie... to znaczy detektyw Cabbot. Wziął pannę Banks jako zakładniczkę.

– Nie pomyślałaś o tym, żeby zadzwonić do mnie lub zawiadomić kogoś wyższego stopniem? – spytał Trethowan. – Istnieją procedury, których musimy przestrzegać. Dlaczego nie zawiadomiłaś nadinspektor Gervaise o tym, że inspektor Banks zachowuje się podejrzanie?

– Wiem, że powinnam tak zrobić – przyznała Nerys. – Nie mam wytłumaczenia na swoje postępowanie. Są takie chwile, kiedy trzeba myśleć i działać w ułamku sekundy. Według mnie nie było czasu na procedury i czekanie, aż machina ruszy z miejsca. Nie miałam przy sobie komórki, a gdybym się zatrzymała, aby wypełniać kwity, zgubiłabym samochód inspektora. Gdybym wezwała wsparcie, zaalarmowałoby to McCready’ego. Wiedzialby, że jesteśmy na jego tropie. Był uzbrojony i niebezpieczny, nie chciałam, żeby czuł się osaczony przez policję. Istniała możliwość, że znajdował się pod wpływem narkotyków. Tacy ludzie są nieprzewidywalni i działają nieracjonalnie, tak zresztą było.

– Całą drogę ćpał – wtrącił Banks.

– A więc użyła pani broni na parkingu publicznym obok stacji benzynowej – powiedział Trethowan, ignorując Banksa. – Ryzykując zranienie Bóg wie ilu mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Celowałam w Jaffara McCready’ego, sir. Jestem dobrym strzelcem, najlepszym w całym oddziale. Sam pan dobrze o tym wie. Moja broń jest celna do tysiąca metrów, a mnie od celu dzieliło góra trzysta.

– Pomyślała pani o tym, co stanie się z pociskiem, kiedy przejdzie przez ciało? Gdzie poleci dalej? – spytał Chambers.

– Zająłam pozycję na szczycie wzgórza. Biorąc pod uwagę kąt strzału, oceniałam, że kula ugrzęźnie w samochodzie za McCreadym. I tak się stało. Chce mnie pan oskarżyć o uszkodzenie prywatnej własności? Moje ubezpieczenie chyba to pokryje.

– Dość tego! – ryknął Trethowan, uderzając dłonią w stół. – Po dziurki w nosie mam twojej postawy. To bardzo poważna sprawa, ważą się losy twojej kariery, Nerys. Nie pomagasz sobie takim zachowaniem. Sarkazm cię nigdzie nie zaprowadzi. Ani ja, ani nadinspektorzy Chambers, Gervaise czy pan McLaughlin nie lubimy takich pyskówek. A to od nas zależy, co się z tobą stanie. Zapamiętaj to. Jeszcze jedna taka odzywka, bez względu na wynik tej rozmowy, a wyciągnę wobec ciebie konsekwencje służbowe. Zrozumiano?

– Tak, sir – odparła Nerys, spuszczać głowę.

– Co się stało, kiedy dotarła pani na parking? – spytała Gervaise, próbując uspokoić sytuację.

– Zaparkowałam samochód i zbadałam okolicę na tyle, na ile pozwalały mi warunki. Znalazłam pagórek po drugiej stronie drogi, z którego mogłam niezauważona obserwować samochód inspektora Banksa. Miałam też dobrą linię strzału, gdyby zaszła konieczność użycia broni. Nie chciałam tego robić, zwłaszcza że w okolicy byli cywile.

– Czyli wspięłaś się na mokry wzgórek, tak? – spytał Chambers. Cieszył się ze świńskiego żartu, ale pozostali go zignorowali.

– Tak, sir – odparła Nerys, zagryzając wargi.

– I miałaś zamiar zastrzelić Jaffara McCready’ego, kiedy tylko znajdzie się na muszce?

– Nie, chciałam chronić życie inspektora Banksa i jego córki. Zakładałam, że może spróbować jakiegoś desperackiego czy nierozważnego ruchu. Kiedy wysiedli z auta, widziałam, że McCready był bardzo spięty.

– Nie twierdzą, że inspektorowi Banksowi takie głupie zagrania się nie zdarzały – powiedział z pyszałkowatym uśmiechem Chambers – ale skąd miała pani pewność, że spróbuje czegoś takiego?

– Nie miałam. Nie byłam pewna, ale gdybym była na jego miejscu, to spróbowałabym coś zrobić. To była najlepsza okazja, aby dopaść McCready’ego. Uznałam, że jeśli chce coś zrobić, to w tej chwili.

– Rzykując życie postronnych ludzi?

– Inspektor i jego córka też są ludźmi, sir.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Proszę kontynuować – wtrąciła Gervaise.

Chambers wyglądał na rozsierzonego, ale zadał kolejne pytanie:

– Twierdzi pani, że inspektor Banks by sobie nie poradził?

Nerys wzruszyła ramionami.

– Istniała możliwość, że mu się nie uda. McCready miał broń i nie zawahałby się jej użyć. Chciałam być przygotowana i zapewnić inspektorowi Banksowi niespodziewaną przewagę.

– Zapewne teraz powie pani, że wszystko potoczyło się tak szybko, że nie pamięta pani, co się działo, i nie jest odpowiedzialna za swoje czyny? – spytał z przekąsem Chambers.

– Wręcz przeciwnie, sir. Czas zdawał się zwalniać. Dokładnie wiedziałam, co robię. Oczekałam i uważnie wycelowałam, powoli pociągnęłam za spust. Musiałam mieć pewność, że kula poleci tam, gdzie chcę. Biorę pełną odpowiedzialność za moje działania.

Chambers zamilkł. Gervaise podjęła wątek i spytała:

– Co się stało?

– Cała trójka wracała do samochodu. Inspektor Banks szedł z przodu i widziałam, że manipuluje dłonią wewnątrz torby z jedzeniem. Nie wiedziałam dokładnie, co zamierza, ale jego poczynania wyglądały podejrzanie. Miałam wrażenie, że do czegoś się szykuje. McCready także musiał coś podejrzewać, był wystarczająco spięty i zdenerwowany.

– Dobrze, zauważyła pani, że inspektor Banks coś szykuje, tak? – upewniła się Gervaise.

– Tak.

– Co pani zrobiła potem?

– Nic. Czekałam i obserwowałam.

– Przez lunetę? – spytał Chambers.

– Przez celownik teleskopowy.

– Celownik teleskopowy karabinu snajperskiego, który przypadkiem ze sobą zabrała? – Chambers zerknął do notatek. – Parker-Hale M85, o ile się nie mylę. To nie jest standardowa broń. Skąd ją pani ma?

– Karabin należał do mojego ojca. Trzymam go w specjalnym schowku w samochodzie. Czasami ćwiczę strzelanie i uważam, że parker...

– Czy tak powinno się przewozić broń, funkcjonariuszko Powell? – wtrącił Trethowan.

– W bagażniku samochodu, jak jakiś amerykański wieśniak?

Nerys odwróciła od niego wzrok.

– Nie, sir. Sekcja broni palnej ma odpowiedni magazyn, podobnie jak nasze pojazdy, ale...

– Proszę opowiadać dalej – przerwał jej Trethowan. – Tym naruszeniem przepisów zajmiemy się później.

Nerys przełknęła ślinę, jakby zaschło jej w gardle. Choć stała przed nią szklanka z wodą, nie sięgnęła po nią. Banks podejrzewał, że dziewczyna nie chciała, aby zobaczyli, jak trzęsą jej się dłonie.

– Obserwowałam, jak cała trójka wraca do samochodu, i zobaczyłam, jak inspektor Banks syknął z bólu, jakby się oparzył. Domyśliłam się, co będzie chciał zrobić.

– Co takiego? – spytała Gervaise.

Nerys zerknęła na Banksa. Jej spojrzenie było lodowate.

– Moim zdaniem nie miał żadnych szans. Nienaturalne zachowanie i dziwne ruchy zaalarmowały McCready’ego. Inspektor Banks zamierzał chlusnąć mu gorącą kawą w twarz, ale sparzył się, zdejmując wieczko. McCready to zauważył i wiedział, że coś się święci.

– Czy to prawda, Alan? – spytała Gervaise.

Banks milcząco skinął głową.

– Co zrobił McCready? – spytała Gervaise, spoglądając na Nerys.

– Wyjął pistolet z torby. Bajkał z tłumikiem. Miał go w ręce cały czas, kiedy szli do auta, ale dopiero wtedy wyciągnął na wierzch. Kilkoro ludzi zauważyło, co się dzieje, i zaczęło krzyczeć. Mogłam przewidzieć, jak potoczy się sytuacja. Panika tylko rozwścieczyłaby McCready’ego. Mógłby stać się jeszcze bardziej nieobliczalny. W pobliżu nie było zbyt wielu osób.

– Co zrobił McCready?

– Najpierw wycelował w głowę Tracy Banks. Uznałam, że będzie chciał sterroryzować inspektora, grożąc, że ją zabije.

– A co potem?

– McCready był na skraju załamania nerwowego. Działał nieprzewidywalnie. Powiedział coś do inspektora Banksa i wycelował w niego.

– Czy inspektor Banks stał twarzą do niego?

– Tak. Stał przodem do McCready’ego, który zasłonił się Tracy.

– Co pani zrobiła? – wciął się Chambers.

– Zastrzeliłam napastnika – powiedziała beznamiętnie Nerys. – Wycelowałam w głowę i pociągnęłam za spust. To był najlepszy strzał w mojej karierze. Na szczęście McCready był znacznie wyższy od córki inspektora.

– Zabiła go pani – stwierdził Chambers.

– Tak, sir. Strzał w głowę zazwyczaj... – Nerys przerwała, widząc marsową minę Trethowana. – Tak, sir.

– A potem uciekła pani z miejsca zdarzenia?

– Wróciłam do zachodniej komendy głównej, przekazałam broń nadinspektor Gervaise i zeznałam, co się stało. Resztę państwo znacie.

– Dlaczego nie została pani na miejscu? – spytała Gervaise.

– Nie było sensu. McCready zginął, inspektorowi Banksowi i jego córce nie groziło niebezpieczeństwo, policja i karetka były w drodze.

– A pani mogłaby mieć problemy z wytłumaczeniem tego, co się stało? – spytał Chambers.

– Tak, przyszło mi to na myśl. Gdyby na miejsce zdarzenia przybyli uzbrojeni funkcjonariusze, moja obecność mogłaby spowodować niepotrzebne zagrożenie dla postronnych.

– Cóż za przemyślność – zadrwił Chambers. – Czy wie pani, ile czasu policjanci spędzili, przesłuchując świadków i próbując odkryć, kto strzelał?

– Chcecie mnie także oskarżyć o ucieczkę z miejsca zdarzenia? – spytała Nerys.

Trethowan pokręcił głową. Widząc to, Chambers parsknął i cisnął długopis na stos notatek.

– Od początku mówiłem, że marnujemy czas, Catherine! – powiedział do Gervaise. – Powell ma być natychmiast zawieszona bez prawa do pensji. Tę sytuację musi zbadać niezależna komisja.

– Ja o tym zadecyduję – odparł McLaughlin.

– To żadna strata czasu, Reg – powiedział Trethowan. – Pomijając jej żarciki, trzeba tę sprawę dogłębnie zbadać. Chodzi o moją podkomendną, która jest zamieszana w poważną sprawę. Ale mamy szansę opanować sytuację.

– Ja też nie uważam, abyśmy marnowali czas – powiedział Banks, spoglądając na Chambersa. – W całym zamieszaniu zapomnieliśmy chyba o jednej bardzo ważnej rzeczy. Funkcjonariuszka Powell uratowała mi życie. Mnie i mojej córce.

– Dawno tu nie byłam – powiedziała Tracy w południe następnego dnia, kiedy poszli na obiad do Queens Arms.

Banks obserwował wystrój lokalu. Czerwona pluszowa tapicerka tu i ówdzie była powycierana, wychodziła spod niej gąbka, miedziane stoły chwiały się, a tapeta odchodziła od ścian przy łączeniach z sufitem. Gdzieniegdzie przydałoby się odmalować wnętrze, które jednak było znajome i wygodne. W chwili obecnej ani on, ani Tracy niczego więcej nie wymagali. Mimo że jeden pub za drugim zniknął z krajobrazu miasta, Queens Arms trwał i podawano w nim dobre jedzenie.

Tracy zamówiła kurczaka z frytkami, a Banks pudding z pieczoną wołowiną w sosie cebulowym. Noc przespał na kanapie w wynajętym mieszkaniu. Sypialnię odstąpił Tracy. Choć wreszcie miał okazję zmrużyć oko, nie wypoczął. Nadal dręczyła go nagła zmiana stref czasowych, objawiająca się falami zaburzenia i oszołomienia występującymi o najdziwniejszych porach. Na szczęście był przyzwyczajony do pracy o niecodziennych godzinach i potrafił sobie z tym radzić.

– Mnie też dawno tutaj nie było – powiedział Banks między jednym kęsem a drugim. Upił łyk gorzkiego piwa Black Sheep i potoczył wzrokiem po sali. O tej porze dnia w Queens Arms nie roilo się od klientów. Stolik, który zajęli z Tracy, był wysepką pośród pustki. Promienie słońca wpadały do środka, przefiltrowane przez czerwone i błękitne romby tworzące wzór na szybie. Kilku młodziaków grało na hałaśliwych automatach w korytarzu, a w radiu, jeśli to z niego korzystał Cyril, leciały jakieś starocie. Starej szafy grającej od dawna nie używano. W tej chwili słychać było *Substitute* The Who.

– Rozumiem, że wolisz, jak mówić do ciebie Francesca?

Tracy oblała się rumieńcem.

– To było głupie, przepraszam.

– Nigdy nie daliśmy ci drugiego imienia. Przepraszam – powiedział z uśmiechem Banks. – Nie było nas wtedy na nie stać.

Tracy roześmiała się. Banks przez chwilę zobaczył córkę taką, jaką kochał, skrytą za nowym wyglądem i postawą. Dopóki była szczęśliwa, mogła się czesać i ubierać, jak chciała. Ale nie była.

– Ja też nie mam drugiego – mówił dalej Banks. – Kiedy byłem młodszy, kazałem na siebie mówić Davy. Od Davy'ego Crocketta. Obejrzałem *Alamo* chyba ze sto razy.

– Nieprawda!

– Wręcz przeciwnie. – Banks odkroił kawałek mięsa i zjadł go razem z puddingiem. – Nie chodzi mi teraz o twoje egzaminy czy studia. Wiem, że jesteś zawiedziona, i nic na to nie poradzę, ale nie czuj się, jakbyś zawiodła mnie czy matkę. Ciężko pracowałaś i jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Nie wiem, dlaczego miałaś do siebie takie pretensje, jeśli chodzi o wyniki.

– Oczekiwaliście znacznie więcej – odparła Tracy. – Ja też. I czuję, że wszystkich zawiodłam. Spójrz na mnie, zarabiam na życie, mówiąc ludziom, na której półce znajdują książki Dana Browna czy Katie Price, a w tym czasie Brian gra koncerty. Na jego występy w Nagasaki czy jakimś innym miejscu bilety wyprzedają się w mgnieniu oka. To on odniósł sukces w rodzinie.

– Kocham was obydwój. Nie chciałem, żebyście rywalizowali, starałem się traktować was tak samo.

– Ale ci się nie udało. Nie winię cię. To normalny, ludzki odruch.

– Jeśli kogoś faworyzowałem, to ciebie.

– Aż Brian odniósł sukces.

– To nieprawda – zaprzeczył Banks. – Sporo czasu zmarnowałem, próbując go przekonać, aby nie rzucał studiów. Chciałem, żeby dostał dyplom i znalazł porządną pracę. Jeśli już, to próbowałem go odwieść od kariery muzyka. Udało mu się nie z moją pomocą, tylko pomimo moich obiekcji.

– Mielście więcej wspólnego. To ty kupiłeś mu pierwszą gitarę.

– Nie możesz winić mnie za to, że kocham muzykę. Próbowałem tę pasję przekazać i tobie, ale nie jest łatwo do ciebie dotrzeć. Nie wiedziałem, jak to zrobić, jak rozmawiać o chłopakach i dziewczynskich sprawach. Kiedy pomyślałem, że będziesz się obściskować z jakimś chłopakiem, aż się we mnie gotowało. A co do muzyki... Ty lubiłaś Take That i Spice Girls, a Brian – Led Zeppelin i Boba Dylana. Przepraszam, ale muzycznie deklasowali twoich faworytów już na starcie.

Tracy spoglądała na niego przez chwilę z niedowierzaniem w oczach, a potem wybuchła śmiechem.

– Wybacz, tato. Mówisz dziwne rzeczy. Teraz wolę Unthanks, Smoke Fairies, Reginę Spektor czy Noah and the Wale. Oraz Kings of Leon.

– To już lepiej. Czuję się niezręcznie, kiedy zaczęłaś dorastać. Nie byłaś już małą dziewczynką, a brak matki nie ułatwiał nam porozumienia.

– To było lata temu. Może nie próbowałaś ostatnio?

– Może masz rację? – Banks podrapał się za uchem. – Przyznaję, bardzo często stawiam pracę na pierwszym miejscu. Miałem też trochę problemów osobistych.

– Jesteś teraz z jakąś dziewczyną?

– Nie. Nikogo nie mam. – Przez chwilę Banks myślał o Teresie, ale stwierdził, że prawdopodobnie nie zobaczy jej już nigdy w życiu. Nie zamierzał zwierzać się córce z przygody na jedną noc w San Francisco. Dzisiejszego ranka dostał e-mail z dołączonym zdjęciem. Stali na nim razem z Teresą na Burrin Street, spoglądając na plaketkę: **PRAWDOPODOBNIEM W TYM MIEJSCU MILES ARCHER, PARTNER SAMA SPADE'A, ZOSTAŁ ZAŁATWIONY PRZEZ BRYGID O'SHAUGHNESSY.**

– A co z Annie?

– Annie? To... skomplikowane.

– Dlaczego? Jest w tobie zakochana.

– Przestań. Nie gadaj bzdur, to nie taka łatwa sprawa.

– Ona cię kocha. Kobiety mają nosa do takich rzeczy.

– Ty jesteś ledwie młodą dziewczyną.

– Bez przesady, mam dwadzieścia cztery lata. Właśnie, nadal nie przysłałeś mi kartki urodzinowej. Nieważne, zapomnijmy o tym i zacznijmy wszystko od nowa.

– Pasuje mi – odparł Banks. – Ale i tak czeka nas rozmowa.

– Wiem, wiem. Boję się jej. – Odsunęła talerz z jedzeniem i dodała: – Mam już dość.

– Kiedyś lubiłaś takie potrawy.

– Tak, kiedy „byłam dziewczynką”. – Tracy upiła trochę wina. – Wtedy jadałam w McDonalddie i słuchałam Take That.

Tracy ma rację, stwierdził w duchu Banks. Jego córka była młodą kobietą, musiał to zaakceptować i nauczyć się z tym żyć.

– Chcesz mi opowiedzieć, jak do tego wszystkiego doszło? Od samego początku?

Tracy oparła łokcie na blacie.

– Wiedziałam, że to nieuniknione – powiedziała. – Ciarki mnie przechodziły na samą myśl.

Choć tego dnia Tracy nie miała makijażu, Banks uważał, że pięknie wyglądała. Nawet kolczyk w brwi czy pod dolną wargą nie mogły zakłócić tego wrażenia, jej skóra miała jasną karnację, wargi były różowe i wyraźnie zarysowane, a oczy przypominały oczy jej matki. Z krótkimi włosami dobrze wyglądała, choć Banks nie był obiektywny w swojej ocenie.

– Odetchnij głęboko i opowiadaj.

– No dobra. Zakładam, że większą część historii już znasz?

– Opowiedz mi wszystko. Jak poznałaś Jaffa?

– Przez Erin. Spotkali się w The Calls, przyszedł do restauracji, w której pracowała. Nie znałam go dobrze, ale bawił się z nami w klubach i tak dalej.

– Podobał ci się?

– Trudno w to uwierzyć, prawda? Ale tak, bardzo mi się podobał.

– Nie tak trudno. Był przystojny i pewnie czarujący – powiedział Banks. – Ale też niebezpieczny. To wybuchowa mieszanka.

– To już kłopot Erin. Jaff był jej chłopakiem, nie moim.

– Wiedziałaś, że to przestępca? Zdawałaś sobie sprawę, że handlował narkotykami?

– W życiu – oparła Tracy. – Gdybym zdawała sobie sprawę, nie zbliżałabym się do niego na kilometr. To była bardzo luźna znajomość, przynajmniej z początku. Trochę tańczyliśmy, rozmawialiśmy o muzyce i innych rzeczach. Było zabawnie... wiesz... sporo śmiechu.

Banks wyczuwał, że Tracy może unikać tematu narkotyków, ale postanowił nie drażnić sprawy. Nie wierzył, że córka była święta. Zdawał sobie sprawę, że wiele z dzieciaków bawiących się w klubach zażywało czasami ecstazy, paliło trawkę czy brało kwas. Być

może i Tracy. Miał tylko nadzieję, że była dość rozsądna i nie próbowała twardszych narkotyków – kokainy czy heroiny. Na razie nie widział sensu wypytywania o te sprawy.

– Co się zmieniło?

– Którejś nocy pocałował mnie, kiedy tańczyliśmy. Wiem, że to brzmi jak fragment jakiejś piosenki retro, ale tak się stało naprawdę. To było takie romantyczne. – Tracy oblała się rumieńcem. – Czar szybko prysł.

– Dlaczego?

– Erin nas zobaczyła i zaczęła się strasznie kłócić z Jaffem. Żenująca awantura, i choć muzyka zagłuszała jej krzyki, to wiem, że mnie wyzywała i wybiegła na zewnątrz. Nie wdając się w szczegóły, parę dni później wróciłam do domu i Rose powiedziała, że była u nas policja i przeszukała dom. Z wiadomości dowiedziałam się o panu Doyle’u i pistolecie. Zobaczyłam policję na naszej starej ulicy...

– Zwolnij trochę. Dlaczego pobiegłaś do McCready’ego?

– Chciałam mu opowiedzieć o tym, co się stało. Nadal był chłopakiem Erin. Coś poszło nie tak, jak powinno. Wiem, że się pokłócili o nasz pocałunek, ale to wszystko. Nic więcej się nie wydarzyło. Mówię szczerze, nie spałam z nim. – Dolna warga Tracy zadrżała. – Nie wtedy.

– Mów po kolei – powiedział Banks, kładąc dłoń na jej ręce. – Spokojnie.

Tracy uniosła kieliszek i spróbowała się uśmiechnąć.

– Przydałaby mi się dolewka. Pijacka odwaga.

Banks podszedł do baru i zamówił jeszcze jedną kolejkę.

– Córka? – spytał Cyril, wskazując na Tracy.

– Tak.

– Ta sama dziewczyna, którą przyprowadzał pan na hamburgera i colę, kiedy mieszkaliście niedaleko?

– Tak, ta sama.

– Całe wieki jej nie widziałem. Wyrosła na piękną młodą kobietę.

Banks obejrzał się i spojrzał na córkę.

– Masz rację, Cyril. Dziękuję.

Zapłacił za drinki i wrócił do stolika. Paul Jones śpiewał *I’ve been a bad, bad boy*. Takie starocie wprawiały Banksa w smutny nastrój. Prawie zapomniał o tej piosence.

– Co się stało, kiedy poszłaś do mieszkania Jaffa? – spytał po tym, jak Tracy upiła łyk wina.

– Odbiło mu i mnie wystraszył – powiedziała. – Pobiegł do sypialni i kiedy z niej wypadł, wyzywał Erin od głupich dziwek i tak dalej. Nie wiedziałam, że szuka broni, którą zabrała.

– Jak się wtedy czułaś?

– Byłam przestraszona – odparła Tracy. – Wiesz, zawsze był miły, aż tu nagle taka zmiana. Stał się nieprzewidywalny. Nie wiedziałam, co robi. Przecież mu tylko przekazałam wiadomość.

– Co się stało później?

– Chwył mnie i powiedział, że musimy uciekać.

– Wy?

– Tak.

– Czyli od początku byłaś zakładniczką?

– Można tak powiedzieć. Nie wiem, co zamierzał, ale ciągle powtarzał, że potrzebuje miejsca, aby się ukryć. Miałam mu towarzyszyć.

– Jak trafiliście do mojego domu?

Tracy odwróciła wzrok.

– Jaff chciał, bym go tam zawiozła. Powiedział, że musi przeczekać gdzieś zamieszanie. Spytał, czy znam takie miejsce. Byłam przerażona. To było jedyne miejsce, jakie przyszło mi do głowy. Bałam się, że zrobi mi krzywdę, jeśli powiem, że nie znam żadnej kryjówki.

– Czy myślałaś, że możesz go zostawić?

– Nie, nie wydaje mi się. Wszystko działo się tak szybko. Nie związał mnie, ale trzymał mocno za rękę. To bolało. Pomyślałam o twoim domku, bo wiedziałam, że jesteś na wakacjach. Bardzo przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć. Przesłuchujesz mnie jak podejrzanego. Czuję się zagubiona. Nie mam pojęcia, dlaczego sprawy tak się potoczyły. Wszystko się zlewa w jeden potworny koszmar. Wiem tylko, że jestem ofiarą.

– Uspokój się, Tracy – powiedział Banks. – Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie trudny temat. – Tracy otarła oczy chusteczką. Zaintrygowani ludzie spoglądali w ich stronę, ale Banks ignorował ich wścibstwo. Automaty do gier nadal zagłuszały jego rozmowę z córką, a z głośników płynęły dźwięki *Be My Baby*.

– Nie przesłuchuję cię, kochanie, ale muszę zadać kilka pytań. Dobrze?

– Tak – odparła, kiwając głową.

– Po drodze zatrzymaliście się u Victora Mallory’ego. Po co?

– Zmieniliśmy samochód. Jaff bał się, że policja będzie szukała go po numerach rejestracyjnych.

– Czyli wiedziałaś o sprawie z pistoletem, tak?

– Nie, powiedział mi o nim dopiero wtedy, kiedy dojechaliśmy do twojego domu. Gdybym wiedziała, spróbowałabym uciekać. Wtedy po prostu chciał wydostać się z Leeds. Pomyślałam: boi się, że go przymkną za prochy.

– Podobno nie zdawałaś sobie sprawy z tego, że był dilerem.

– Widziałam, że od czasu do czasu miał towar, ale nie sądziłam, że nim handlował.

– Dlaczego nie pojechaliście od razu do Londynu?

– Jaff musiał wykonać najpierw kilka telefonów. Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło, teraz sądzę, że chciał sprzedać kokainę i kupić fałszywy paszport. Miał sporo towaru w tej swojej torbie. Powiedział, że to mu chwilę zajmie i musi poczekać. Dużo rozmawiał przez komórkę.

– Słyszałaś jakieś nazwiska?

– Nie wtedy. Nie, kiedy byliśmy u Vica.

– Weszłaś do domu Mallory'ego z Jaffem?

– Nie, kazał mi poczekać w samochodzie.

– Byłaś związana?

– Nie.

– Dlaczego nie wysiadłaś i po prostu nie uciekłaś?

– Pewnie bym mogła. Teraz żałuję, że tego nie zrobiłam, ale miałam mętlik w głowie.

Kazał mi poczekać, musiałam go zaprowadzić do twojego domu. Jaff nigdy nie słyszał o Gratly. Gdybym wiedziała, co się stanie, uciekłabym tak szybko, jak potrafię.

– Dobrze, uspokój się. Nie mówię, że zrobiłaś coś złe. Próbuję po prostu wyjaśnić tę sprawę. Jak długo Jaff był u Vica?

– Sama nie wiem. Może pięć czy dziesięć minut. Góra piętnaście.

– Znałaś Victora?

Tracy wzruszyła ramionami.

– Spotkałam go kilka razy w klubach.

– Co się działo później?

– Zamienili się samochodami i pojechaliśmy do Gratly. Tato, bardzo przepraszam, że go tam zabrałam. Nie wiedziałam, jaki jest naprawdę, dopóki nie pokazał prawdziwego oblicza.

– O czym mówisz?

– O twojej kolekcji płyt. Nie widziałaś?

– Nie byłem jeszcze w domu. Kryminaliści muszą skończyć zbieranie dowodów.

Nadinspektor Gervai se obiecała, że wyśle tam ekipę sprzątającą i będę mógł wrócić. Może jutro albo pojutrze.

– Narobił potwornego bałaganu: porzucił płyty, połamał pudełka, rozlał wino.

– Nic się nie przejmuj, to nie twoja wina. Skąd dowiedziałaś się o pistolecie, który zabrała Erin?

– Oglądaliśmy wiadomości. Nie powiedzieli nic o broni, ale ktoś wspomniał, że widział,

jak policja wynosi pistolet zawinięty w obrus. Jaff wiedział, że broń znikła z jego sypialni. Erin zabrała ją, żeby go rozzłościć. Wtedy dowiedziałam się, o co chodzi.

– Czy Jaff powiedział ci, dlaczego tak bardzo przestraszył się, że broń wpadła w ręce policji?

– Nie.

– A co powiedział?

– Niewiele. W zasadzie to nic. Spytałam, dlaczego potrzebował broni i czemu Erin ją zabrała. Powiedział, że skoro wiem o pistolecie, to nie może mnie wypuścić i zostanę z nim do końca tej sprawy.

– Tak mówił?

– Tak. Tato, proszę. Znowu mnie przesłuchujesz. Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że ci wierzę – odparł Banks, choć w głębi duszy zaczynał mieć wątpliwości co do wersji wydarzeń, jaką przedstawiała Tracy. – Przepraszam, jeśli źle się przeze mnie poczułaś. Po prostu muszę sobie to wszystko poukładać w głowie.

– W mojej panuje kompletny chaos.

Banks upił łyk piwa.

– Rozumiem. Dlatego zadaję pytania, chcę, żebyś się skupiła na nich, a nie czuła się przesłuchiwana.

– Przepraszam. – Tracy zaczęła się bawić kieliszkiem. – Otworzył kilka butelek lepszego wina i wypił whisky.

– Drobiazg – odparł Banks, zastanawiając się, co tak naprawdę czeka go w domu i co znikło. Z głośników popłynęły dźwięki *Telstar*. Przypomniały Banksowi czasy, kiedy miał dwanaście lat i słuchał *Pick of the Pops* Alana Freemana. Każdego niedzielnego popołudnia siadali z kolegami w parku, włączali radio i gapili się na dziewczyny, które paradowały w odświeżonych sukienkach, flirtując i oblewając się rumieńcem na przemian. Zawsze towarzyszył im Graham Marshall, ale pewnego poniedziałkowego ranka znikł bez śladu podczas rozwożenia gazet. Wiele lat później Banks pomógł odkryć, co się z nim stało. Twarz Grahama stanęła mu przed oczyma, kiedy usłyszał dziwny dźwięk organów, który lubili w tej piosence.

Tracy pochyliła się do przodu i powiedziała cicho:

– Miał sporo kokainy i marihuany. Przynajmniej parę kilogramów, zapakowane w plastikowe torebki. Wziął dla siebie działkę i ciągle ją wciągał. Zachowywał się jak wariat.

– Wiem, ekipa znalazła narkotyki w torbie, podobnie jak pięćdziesiąt tysięcy funtów w gotówce. Wiesz, skąd je miał?

– Nie, ale zabrał je z mieszkania. Przynajmniej torbę, ale już wtedy wyglądała na

ciężką. Nie biorę kokainy. Naprawdę, tato.

– Rozumiem. Czyli pił wino, whisky, palił trawkę i wciągał kokainę. Rozrywkowy gość z tego, co mówisz. A co w tym czasie ty robiłaś?

– Siedziałam i patrzyłam. Nie miałam go jak powstrzymać. Był większy i silniejszy ode mnie.

– Wiem. Czy on...

– Mnie zgwałcił? – Tracy spojrzała ojcu prosto w oczy. – Tak, ale później. Kiedy dowiedział się, kim jestem. Zaciągnął mnie na piętro, do twojej sypialni. Próbowałam walczyć, opierać się, ale bezskutecznie. Był silniejszy. Rzucił mnie na łóżko i...

Banks poczuł, jak w gardle staje mu gula, a serce łomocze w piersi.

– Już w porządku, Tracy – powiedział. – Nie musisz o tym opowiadać. To się stało po tym, jak dowiedział się, że jesteś córką policjanta?

– Tak. Znalazł list czy coś takiego. Grzebał w twoich rzeczach.

– Jak zareagował?

– Wpadł we wściekłość, a potem powiedział, że mogę się bardziej przydać, niż początkowo myślał. Nie lubił policji. Stał się bardziej agresywny. Wtedy mnie zgwałcił. Pomyślał, że to będzie coś wyjątkowego, jeśli mi to zrobi w twoim domu i w twoim łóżku. Miał nadzieję, że dotknie cię to osobiście.

Banks poczuł się dotknięty do żywego. Gdyby McCready nie był martwy, z pewnością chciałby go udusić gołymi rękami.

– Co się wydarzyło, kiedy przyjechała Annie?

– Jaff ukrył się za drzwiami. Broń była w torbie, która stała w kuchni na stoliku. Powiedział, abym ją jak najszybciej spławiła albo ją zastrzeli. Próbowałam, tato, naprawdę. Ale znasz ją. Nie potrafi przestać, nie odpuszcza...

– Nie wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo – odparł Banks. – Myślała, że ci pomoże. Ale zgadzam się, bywa uparta.

– Wyczuła, że coś jest nie w porządku i że działałam pod presją. Wiem, że chciała mi pomóc, ale nie potrafiła zrozumieć, co to znaczy „nie”. Potem zjawił się Jaff.

– Tracy, dzwoniąc na pogotowie, najprawdopodobniej ocaliłaś jej życie.

– Krwawiła. Myślałam, że umrze. Nic więcej nie mogłam zrobić. Kiedy zadzwoniłam po karetkę, Jaff wpadł w szal. Bałam się, że i mnie zabije, ale byłam zbyt cenna. Podeptał mój telefon.

– Co się działo później?

– Samochód zepsuł się na wrzosowiskach. Musieliśmy uciec na piechotę. Jedno nieszczęście goniło drugie. Jeśli Jaff uważał się za geniusza zbrodni, to kiepsko mu szło. – Tracy uśmiechnęła się słabo.

– Całe szczęście dla nas – przyznał Banks. Spojrzał na zegarek, a potem na drzwi. –

Chcesz jeszcze drinka?

– Nie powinnam – odparła Tracy. – Już jestem wstawiona.

– To może kawę?

– Dobry pomysł.

Banks miał właśnie wstać z krzesła i iść złożyć zamówienie, kiedy w drzwiach do Queens Arms stanęły Erin i Juliet Doyle. Tracy spojrzała najpierw na przyjaciółkę, potem na ojca.

– Zaplanowałeś to, tato? – spytała.

– Wspomniałem tylko, że o tej porze będziemy na obiedzie.

Dziewczyny patrzyły na siebie, potem Tracy wstała i podeszła do Erin. Objęła ją, a Erin przytuliła się do niej. Turyści patrzyli zdziwieni. Banks podchwycił spojrzenie Juliet. Skinęła uprzejmie na przywitanie. Odetchnął z ulgą. Bał się, że dziewczęta rzucają się sobie do oczu, a Juliet i Erin nie będą chciały ze sobą rozmawiać.

Książka dla none none

Banks słyszał fragmenty adagio *Sonaty Księżycowej* Beethovena. Francoise, *au pair* Fanthorpe'a, prowadziła ich do salonu przez przypominający tunel przedpokój. Ktokolwiek grał na pianinie, zafalszował, potem zawahał się i niezdarnie podjął melodię.

– Rodzina ogląda telewizję – powiedziała Francoise. Mówiła nieskazitelną, pozbawioną akcentu angielszczyznę. – Panienska Eloise ćwiczy do egzaminów w przyszłym tygodniu.

Otworzyła przed nimi drzwi i oficjalnie go zaanonsowała. Mundurowi jeszcze czekali na polecenia w radiowozach zaparkowanych na zewnątrz.

Banks nigdy wcześniej nie spotkał żony Fanthorpe'a. Była piękną kobietą, młodszą od męża, o figurze ukształtowanej przez codzienne ćwiczenia, długich brązowych włosach i cerze, która była albo boskim darem, albo wynikiem zabiegów kosmetycznych. Spojrzała zdziwiona na męża. Mała dziewczynka z kucykami nie oderwała wzroku od czterdziestodwucalowego telewizora, na którym oglądała *Strictly Come Dancing*.

– Widzę, że zakłócamy rodzinną tradycję – powiedział Banks.

Fanthorpe zerwał się na równe nogi.

– Czego znowu chcesz, Banks? – warknął. – Dostyc mam tego nachodzenia, zadzwonię po adwokata.

– Może pan od razu umówić się z nim w siedzibie zachodniej komendy głównej – powiedział Banks. – Mamy tam celę, która na pana czeka.

Kobieta także wstała, poruszając się z gracją kota.

– Co się dzieje, George? – spytała, mówiąc z lekko wyczuwalnym wschodnioeuropejskim akcentem. – Kim są ci ludzie? Co robią w naszym domu? O co chodzi?

Farmer odłożył telefon i oparł dłonie na ramionach żony.

– Wszystko w porządku, Zenovia. Uspokój się, kochanie. Załatwię to. – Ruszył w kierunku drzwi i skinąwszy na Banksa, dodał: – Chodźmy do mnie.

– Jak pan woli. – Banks ruszył za Fanthorpe'em w stronę pokoju, w którym rozmawiali w zeszłym tygodniu.

– To nie do pomyślenia – perorował Fanthorpe, gdy znaleźli się w jego leżu. Nalał sobie whisky, nawet nie proponując Banksowi. Ten mógłby nawet przyjąć poczęstunek. – Jestem nękanym przez policję. To...

– Tak, tak, wiem, co chcesz powiedzieć – przerwał mu Banks. – Usiądźmy i pogadajmy chwilę, zanim każę tu wejść chłopakom.

– Komu?

– Przeprowadzą rewizję. – Banks wyjął z kieszeni dokumenty. – Mam tutaj nakaz

przeszukania podpisany przez magistrat, który daje nam prawo do pełnej i dogłębnej rewizji na terenie twojej posiadłości.

– Mój dom? – zapienił się Fanthorpe. – Nie macie prawa! Nie wolno wam...

– Mamy i z niego skorzystamy. Ale wszystko po kolei. Chcę, abyś wiedział, w jak głębokie szambo wpadłeś.

– O czym ty mówisz? – Fanthorpe opadł na fotel. Whisky wylała się ze szklanki i poplamiała sweter. Zaczął niezdarnie wycierać brązowe plamy chusteczką, którą wyjął z kieszeni.

Winsome usiadła naprzeciwko i wyjęła notatnik oraz długopis.

– Jeśli sądzisz, że palnę coś, co może mnie obciążyć, lepiej zastanów się ponownie – warknął Fanthorpe, mierząc w nią palcem.

– Bycie zawsze przygotowanym bardzo popłaca – odparła Winsome. – Prawda?

– Co pan wie na temat zabójstwa Marlona Kincaida, popełnionego piątego listopada dwa tysiące czwartego roku? – spytał Banks.

– Marlon Kincaid? Czy ja wyglądam na kogoś, kto mógłby znać człowieka o takim nazwisku?

– A czemu nie? Marlon Kincaid studiował na politechnice w Leeds. Ściśle mówiąc, był już absolwentem, ale nadal kręcił się wśród studentów, głównie w klubach, sprzedając im narkotyki. Nie potrafił zerwać ze starym trybem życia.

– O czym ty gadasz?

– Marlon Kincaid studiował sztuki piękne. Jego ojciec musiał być ogromnym fanem Marlona Brando, dlatego nadał mu takie imię. W każdym razie Marlon rozkręcił niewielki interes, sprzedając kokainę i kilka innych nielegalnych substancji odurzających. Jego klientami byli studenci z Leeds, którzy bawili się w miejscowych klubach i pubach.

– I co z tego?

– Marlon miał swoich dostawców i nie chciał brać towaru od pana.

– Nie rozumiem.

– Nie mógł pan sobie na to pozwolić, prawda? Widział pan siebie jako lokalnego ważniaka, aż tu nagle plany krzyżuje jakiś długowłosy, chudy gówniarz. Co gorsza, drwił z pana i się odgryzał. Od czego się zaczęło, ostrzeżeń? Kazał pan Darrenowi i Ciaranowi go pobić?

– To jakieś bzdury.

– Ale miał pan jeszcze jednego asa w rękawie. Jaffar McCready chciał udowodnić, że jest niezastąpiony. I niebezpieczny. Postanowił go pan ze sobą związać raz na zawsze. Przysięgę lojalności miało przypieczetować zabójstwo. Dał mu pan pistolet. Naładował go pan za niego, pewnie pokazał, jak użyć. Jaffar McCready zastrzelił Marlona Kincaida. Nie

wiedział jednak, że ktoś go widział. Racja, nie był to specjalnie wiarygodny świadek, zwłaszcza wtedy, ale wziął się w garść i obecnie jest duchownym. Jego pamięć się poprawiła i potwierdza to, co już sami wiemy.

– Jaki to ma związek ze mną?

– Nie wiedział pan, że z jakichś powodów Jaffar McCready zatrzymał tamten pistolet. Może to było trofeum? Albo pamiątka. W tej chwili to nieważne. Na pewno kazał mu pan pozbyć się broni i był przekonany, że Jaffar to zrobił. Po co miałby trzymać broń, z której zastrzelono człowieka? Może był sentymentalny? To było jego pierwsze zabójstwo. A może postanowił mieć na pana haka? Z jakiegoś powodu zachował broń. Którejś nocy ostro pokłócił się ze swoją dziewczyną. Ta chciała go zdenerwować i zwędziła pistolet, po czym uciekła do rodziców w Eastvale. Jej matka znalazła pistolet. Pewnie sprzątała jej pokój, jak to matki mają w zwyczaju, albo była ciekawa, czemu córka się nie odzywa i dziwnie zachowuje, odkąd przekroczyła próg domu. Znalazła broń i wtedy sprawy wymknęły się spod kontroli. Ale nie o to chodzi. Znaleźliśmy odciski palców na magazynku. Należą do pana. Jak pan to wyjaśni?

Fanthorpe zmarszczył czoło i upił łyk whisky.

– Nie muszę tego robić. Porozmawia pan na ten temat z moim adwokatem.

– Oczywiście. Jest tylko jeden sposób, aby pańskie odciski znalazły się na magazynku, musiał go pan załadować.

– Nawet jeśli, to co z tego? Moje odciski mogą się znajdować na magazynku, ale już nie na broni czy spuście.

– Skąd pan wie?

– Bardzo sprytnie, Banks. Sądzisz, że powiem: „bo je wytarłem”, a potem zakryję usta dłonią, pojmując, jaką gafę strzeliłem? Nie licz na to. To, że znaleźliście moje odciski palców na magazynku, dowodzi tylko jednego, że w pewnym momencie go dotykałem. Nie oznacza, że strzelałem z broni, i nie potrzebuję adwokata, aby to udowodnić. Skończyliśmy tę rozmowę.

– Często bawi się pan magazynkami nielegalnej broni?

– Nie przypominam sobie. Moje odciski mogły się znaleźć na magazynku na wiele różnych sposobów. Na przykład gdy łądowałem pistolet, aby dobić chore zwierzę.

– Ze smitha & wessona kalibru dziewięć milimetrów?

– Może gliniarz pokazał mi broń i spytał, co o niej sądzę?

– Proszę wymyślić coś lepszego.

– W ogóle to skąd mieliście moje odciski do porównania? Nigdy mi ich nie zdejmowano, nie figuruję w systemie.

– To potworne przeoczenie i obiecuję, że szybko je nadrobimy. Ale oglądał pan

fotografię Jaffara McCready'ego, którą podała panu funkcjonariuszka Jackman podczas naszej ostatniej wizyty. Papier fotograficzny wspaniale zachowuje odciski placów.

– To prowokacja! Wrobiliście mnie.

– Proszę nie być śmiesznym. O prowokacji moglibyśmy mówić, gdyby dokumenty były fałszywe lub gdybyśmy panu podrzucili broń. To tylko fotografia, sama w sobie nic nie oznacza.

– Gwarantuję, że wyśmieją cię w sądzie.

– Doprawdy? Nie wydaje mi się. No i cieszę się, że zgadza się pan na proces. Ostatnimi czasy prokuratura bardzo ostrożnie wybiera sprawy, które prezentuje wymiarowi sprawiedliwości. Nie lubią przegrywać, więc do sądu doprowadzają ludzi, przeciwko którym mają żelazne dowody.

– Zakładając, że macie jakieś dowody, sąd będzie dla mnie łagodny, nie popełniłem dotąd żadnego przestępstwa.

– I tutaj dochodzimy do sprawy Darrena Brody'ego.

– Darrena Brody'ego?

– Tak, proszę nie udawać, że nie wie pan, o kogo chodzi. Pańska prawa ręka w sprawach farmy. Z jakiegoś powodu ani on, ani Ciaran nie byli zamieszani w zabójstwo Marlona Kincaida. Może mieli inną mokrą robotę do wykonania albo chciał pan, żeby to McCready ubrudził sobie ręce. Dzieciak miał powąchać prochu. Ciaran i Darren mieli ostatnio pełne ręce roboty, prawda?

– O czym pan mówi?

Banks pokręcił głową.

– Ciaranowi ostatnio się pogorszyło. Powinien był pan wiedzieć, jaka to odpowiedzialność mieć na służbie kogoś jego pokroju.

– Ciaran nigdy by się nie zwrócił przeciwko mnie.

– Celną uwaga. Ciaran to psychopata, któremu krzywdzenie ludzi sprawia przyjemność. Jest lojalny i prawdopodobnie wdzięczny, że daje mu pan okazję, aby sobie pofolgował. Strasznie urządził dziewczynę Justina Peverella, Martinę Varakovą. Torturował ją i w końcu zabił, zmuszając Peverella, aby na to patrzył. Chłopak stracił zmysły, a lekarze nie robią zbyt dużych nadziei na jego powrót do zdrowia. Pan też chyba się nie otrząsnął po czymś takim, prawda? Proszę sobie wyobrazić, że ktoś tak urządził pana cudowną żonę.

– Po co ta opowieść? Co ona ma ze mną wspólnego?

– Jaffar McCready miał coś, co należało do pana: dwa kilogramy kokainy i pięćdziesiąt tysięcy funtów oraz pistolet. Wszystko to trzymamy bezpiecznie zamknięte w magazynie dowodów.

– Bezpiecznie? – parsknął Fanthorpe. – Wątpię.

– Chciał pan z powrotem ten towar. Sam pan to powiedział. Funkcjonariuszka Jackman była świadkiem.

Winsome podniosła wzrok znad notatnika i uśmiechnęła się do Fanthorpe'a.

– Tylko nie powiedział nam pan dokładnie, czego pan chce.

– I uważasz, że sam do tego doszedłeś?

– To nie było takie trudne.

– Obawiam się, że wyciągnęliście błędne wnioski. Jeśli przy Jaffie znaleźliście narkotyki, oznacza to, że nie miał tego, co myślałem, że ma. Żadna z wymienionych rzeczy nie należy do mnie.

– Darren Brody pracował z Ciaranem Frenchem od kilku lat. Wie, co to za człowiek, i zdawał sobie sprawę, że partner staje się coraz bardziej gwałtowny i okrutny. Nie miał nic przeciwko, dopóki kończyło się na zastraszaniu ludzi czy zmuszeniu ich do mówienia. Był w stanie zrozumieć kilka wybitych zębów czy złamanych kończyn. Jednak tym razem sprawy wymknęły się spod kontroli. Bardzo. Ciaran chyba wykształcił w sobie taką żądzę krwi, że przestał nad nią panować. Victora Mallory'ego i Rose Preston wystarczyło tylko nastraszyć, nie mógł sobie z nimi pofolgować. Kiedy w końcu miał okazję, nic nie mogło go powstrzymać. A Darren na to patrzył.

– Darren próbuje ocalić własną skórę. On i Ciaran to wariaci.

– Sprawę zatrudniania psychopatów pozostawimy sobie na później. Jaffara McCready'ego nie można nazwać wariatem. Wręcz przeciwnie, był chciwy, pewny siebie, ambitny, inteligentny i skłonny do stosowania przemocy, kiedy trzeba. Chciał zostać kimś ważnym. Nie lubił zabijać i nie szło mu to najlepiej. Co więcej, miał sporo kompleksów, które łatwo było wykorzystać. Wracając do tematu, Darren uznał, że ma dość. Musiał patrzeć Justinowi w oczy, kiedy Ciaran kroił Martinę Varakovą na kawałki. Nie sędzę, aby to był przyjemny widok. Jest ulepiony z twardszej gliny niż Justin i swój rozum ma. Szybko się dowiedzieli, że Justin miał się spotkać z Jaffarem i Tracy na Hampstead Heath, niedaleko Highgate Ponds, ale nie umiał powstrzymać Ciarana. Kiedy patrzył, jak Ciaran torturuje dziewczynę, doświadczył objawienia. Jak Szaweł na drodze do Damaszku zadał sobie pytanie: „Po co?”. Z jakiego powodu brał w tym udział? Racja, ta dwójka nie przejmowała się losami ludzi, których życie niszczyła. Ale i tak miał dosyć. Po prostu tego już było zbyt wiele. Jak mógłby wytłumaczyć się ze współudziału w poczynaniach Ciarana, skoro i jego przerażały? I wie pan co? Znalazł sposób. To się nazywa dobrowolna, pełna współpraca w dochodzeniu policyjnym. Darren zaczął mówić. W zasadzie wręcz śpiewał. Jak trzech tenorów w jednym ciele. Kompletny występ. Pełen zestaw płyt.

Farmer zbladł i zapadł się w sobie. Siedział w fotelu, nie tykając nawet szklanki whisky.

– Nie macie żadnego dowodu – wychrypiał. – Jego słowo przeciwko mojemu. Komu uwierzy sąd – zbirowi czy podporze miejscowej społeczności?

– Darren jest w równym stopniu głupim zbirem, jak pan szanowanym obywatelem – odparł Banks. – Sądzę, że wywrze na sędziach dobre wrażenie. Nawrócony grzesznik. Człowiek szukający odkupienia. Sędziowie lubią takich. Darren wie, gdzie są pochowane ciała. Powiedział nam także, gdzie powinniśmy szukać, jeśli mam przyskrzynić pana za kilka nielegalnych interesów. Nakaz przeszukania obejmuje pański dom, ale także siedziby firm, włączając w to skrytki pocztowe na Wielkim Kajmanie i Jersey. Winsome?

Winsome przeprosiła wszystkich i wyszła z pokoju. Kiedy stanęła w drzwiach wejściowych, włożyła palce w usta i głośno gwizdnęła. Banks zawsze zazdrościł jej tej umiejętności. W ciągu kilku chwil sześciu umundurowanych funkcjonariuszy weszło do domu i rozproszyło się po wnętrzu. Przeszukaniem dowodzili Stefan Nowak i Jim Hatchley, z którymi Banks przywitał się, kiedy wyprowadzali z Winsome zakutego w kajdanki Fanthorpe'a. Eloise nadal ćwiczyła *Sonatę Księżycową*, a Zenovia krzyczała i wygrażała policjantom. Młodsza dziewczynka spoglądała gniewnie i ustawiła głośniejszą dźwięk w telewizorze, chcąc oglądać *Strictly Come Dancing*.

Kiedy szli zwirowaną ścieżką do samochodu, Banks spojrzał na fontannę ukrytą wśród drzewek i krzewów.

– Siusiający chłopiec – powiedział do Fanthorpe'a. – To niezłe podsumowanie, nieprawdaż?

Minął tydzień. Banks szedł korytarzami Cook Hospital, które zdążył poznać jak własną kieszeń. Witał się z pielęgniarkami i lekarzami, których znał z widzenia. Przyjechał prosto ze swojego domu i choć był zadowolony, że znowu mieszka u siebie, nie mógł przestać myśleć o tym, co się tam wydarzyło. Nadinspektor Gervaise spełniła obietnicę. Po tym, jak kryminaliści zakończyli pracę, dom został dokładnie wysprzątnięty. Banks nie widział żadnych śladów krwi czy zniszczeń, o których mówiła Tracy, oprócz kilku zepsutych płyt i połamanych pudełek. Mimo to nie mógł odpocząć w oranżerii, wiedząc, że tam została postrzelona Annie. Liczył w duchu, że poczucie obcości minie. Jeśli nie, będzie musiał się przenieść. Nie potrafiłby żyć w miejscu, w którym źle się czuje. Newhope stanowiło kiedyś oazę spokoju, ale od pożaru zaczął się zastanawiać nad przeprowadzką. A teraz jeszcze doszła sprawa Annie...

Znalazł ją opartą o poduszki. Wyglądała lepiej niż podczas ostatniej wizyty i była podłączona do mniejszej liczby rurek. Przeglądała kolorowe dodatki do niedzielnej gazety.

– Trochę przestarzałe – powiedział Banks, siadając na krześle obok łóżka. Ucałował

Annie w policzek.

– To jedyna gazeta, jaką znalazłam, odkąd mam siłę czytać.

– W takim razie dziś jest twój szczęśliwy dzień – powiedział Banks. Otworzył torbę i wyjął z niej reklamówkę pełną kobiecej prasy, a także ostatnie powieści Kate Mosse i Santy Montefiore. – Powinny uchronić cię od nudy przez jakiś czas.

– Dziękuję. – Annie się uśmiechnęła. – Bałam się, że umrę tutaj z nudów. Choć nadal trudno mi czytać z jedną ręką sprawną.

– Na to również coś zaradzimy – odparł Banks, sięgając do kieszeni. – Proszę.

– Przecież to twój iPod.

– Kupiłem sobie nowy w San Francisco. Ten jest prawie pełen muzyki. Trochę klasycznej, ale znajdziesz też kilka książek. Jane Austen, opowiadania Czechowa, Trollope, Tołstoj, siostry Brönte. Jeśli cię to interesuje, masz tu kilka biografii i książek historycznych. – Banks rozejrzał się konspiracyjnie i wyjął z torby butelkę australijskiego czerwonego wina. – Wiem, że wolisz białe, ale według książki Santy Montefiore będzie pasowało do schłodzonego prosecco. Obawiam się, że nie wstawię go do lodówki. Poza tym wiem, że pijałaś czerwone wino, ale najważniejsza jest zakrętka. Korek nie jest gwarantem wysokiej jakości, a ty nie będziesz miała problemu z wypiciem odrobiny wina.

– Dziękuję – odparła Annie. – Znam to wino, jest dobre. Włóż je do szafki, póki nikt nie widzi. Już wyobrażam sobie, jak pociągam po kryjomu łyk w nocy, patrząc, czy lekarz nie wchodzi.

– To zupełnie jak ja, kiedy byłem mały. Czytałem schowany pod kołdrą i słuchałem Radia Luksemburg przez słuchawki – powiedział Banks. – Mam coś jeszcze. Kupiłem trochę słodyczy u Lewisa & Coopera. To sklep kolonialny w Northallerton. Mają doskonałe sery, warzywa, krewetki i inne przysmaki. Jeśli miałabyś ochotę na coś specjalnego, to spróbuj sucharków z mąki z wodą, fig, oliwek.

Annie roześmiała się i zakryła dłonią twarz. Banks widział, że po jej policzkach płyną łzy.

– Dziękuję, Alan. Chodź do mnie.

Przytuliła go delikatnie, poklepując dłonią. Banks czuł jej mokrą, delikatną skórę ocierającą się o jego policzek i pomyślał, że powinien był ogolić się rano. Zapach Annie i jej włosów był przyjemny.

– Nie powinnaś...

– Wręcz przeciwnie, powinnam.

Banks wrócił na miejsce, ale dalej trzymał ją za rękę.

– Obawiam się, że to koniec prezentów. Jakie dają ci jedzenie?

– Nie najgorsze. Choć muszę przyznać, że bycie wegetarianką ma swoje zalety przy

szpitalnej diecie. Ray bardzo o mnie dba.

– Gdzie jest?

– Pojechał do Londynu. Jakaś galeria wystawia jego prace i musiał dopilnować szczegółów. Nie chciał jechać, mówił, że powinien zostać ze mną, ale go zmusiłam. Wróci jutro.

– Pozdrów go ode mnie. Jak się czujesz?

– Miewam lepsze i gorsze dni. Wracam do zdrowia.

– Lepiej oddychasz. Rozmawiałaś z lekarzami.

Annie odwróciła wzrok.

– Tak. W zeszłym tygodniu miałam długą i uczciwą rozmowę z doktorem Sandharem.

Dokładnie wyjaśnił mi sytuację, wszystkie za i przeciw, ryzyko związane z operacją.

– I?

– Boję się.

Banks mocniej uścisnął jej dłoń.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jesteś w rękach świetnych specjalistów.

– Wiem, ale... zawsze się tego potwornie bałam. Nie chcę być przykuta do wózka, nie móc chodzić. Pamiętasz Lucy Payne? Jakim była potworem. Współczułam jej, ale czasami myślałam, że łatwiej by jej było, gdyby umarła.

– Nie myśl o tym. Wszystko dobrze się skończy.

– Doktor Sandhar nie ukrywał przede mną ryzyka.

– To dobrze, jest realistą.

– W pewnych sprawach mógłby mnie troszkę okłamać – powiedziała Annie, uśmiechając się lekko.

– Co masz na myśli?

Annie położyła dłoń na piersi.

– Czasami, kiedy mocniej zaczerpnę powietrza, czuję ostry ból. Lekarze mówią, że to płuco się goi. Tak samo cholerna ręka. Budzę się przez nią w nocy.

– To paskudna rana.

Annie przez chwilę milczała.

– Alan, bądź ze mną szczery. Jaffar McCready naprawdę nie żyje?

– Tak.

– Biedny dzieciak. Nie życzyłam mu tego.

– Po tym wszystkim, przez co przeszedł z jego powodu?

– Przyznam się szczerze, chciałam, aby spotkała go kara, najlepiej surowa, ale nie aż taka...

– Wszystko stało się w okamgnieniu. Nie spodziewał się kuli.

– Tak myślałam.

– Nie żałuj go. Nie zasługiwał na to. Miał sporo na sumieniu.

– Wiem. Byłeś przy tym, jak zginął?

– Tak. Ja też nie wiedziałem, co się dzieje. – Banks przyniósł sobie latte, którą kupił w Starbucksie. Upił łyk i odstawił kubek na stolik obok łóżka Annie. Wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał o kwiatkach. Idiota – powiedział do siebie w duchu. Następnym razem kupi. Albo lepiej, każde wysłać z liścikiem, kiedy tylko wyjdzie. – Znaleźliśmy broń, z której strzelał do ciebie McCready. Jak podejrzewaliśmy, bajkał z tłumikiem. To uratowało ci życie. Tłumik sprawił, że kula utraciła jedną trzecią siły uderzeniowej i była mniej celna.

– Nie przypuszczałabym – powiedziała Annie. – Czy coś się dzieje w sprawie McCready’ego?

– Media dostały kota. Prawda jest taka, że lecą za każdą nowinką, porzucając poprzednie tematy. Nie mają zbyt wielu informacji, ale roi się od spekulacji na temat mojej obecności, udziału Tracy no i „samotnego strzelca”. Góra stara się uciszyć plotki albo chociaż zdementować te najgorsze. Mieliśmy więcej spotkań na temat Nerys Powell, ale już bez jej udziału. Był nawet sam szef policji. Próbuje sprawić, aby wyglądało to na ryzykowną, choć regulaminową akcję. Niefortunny splot okoliczności, funkcjonariusz policji w niebezpieczeństwie, strzelec wyborowy, niebezpieczny przestępca i szalenciec uciekający z zakładnikiem, narkotyki i tak dalej. Wybierz, co chcesz.

– Nie zgadzasz się z tą wersją?

– Nie. Jest bardzo naciągana. Mamy nawet świadków, którzy widzieli, że ja i Tracy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Strzelec działał rozważnie, myślał o ochronie osób postronnych. To wszystko prawda. Ale w rzeczywistości Nerys była tam samowolnie, działała bez porozumienia i strzelała z własnej broni. To wszystko staramy się zamieść pod dywan, ale nadal widać, że to grubymi nićmi szyte. McLaughlin powiedział, że działania zostały podjęte bez oficjalnego zezwolenia, ponieważ nie było czasu na drogę biurokratyczną. Życie zakładników, osób postronnych i bezpieczeństwo obywateli było zagrożone. Nie kłamał, ale trochę nam się oberwie. Chambers nadal jest na wojennej ścieżce, ale to nic nowego. Przetrwają ci, którzy zachowują zimną krew.

– A co z Nerys?

Banks upił łyk kawy.

– Jej kariera w policji jest skończona. Nie chodzi o sprawę z paralizatorem i Warburtonem. To przebrzmiała pieśń, nawet Chambers zdaje sobie z tego sprawę. Na ironię zakrawa to, że wywinęliśmy się z niej dzięki tobie. Postrzelony gliniarz zawsze dobrze wygląda na pierwszej stronie. Ludzie nam bardzo współczują.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Komuś na pewno się oberwie za kiepskie rozpoznanie w domu Doyle'ów. Chambers i jego pomagierzy z Grea ter Manchester już o to zadbają. Pewnie przeprowadzą dochodzenie i przedstawią listę wniosków, ktoś dostanie po uszach, ale sprawa rozejdzie się po kościach.

– Dalsze zamiatanie pod dywan?

– Nie do końca. Jeśli chodzi o użycie paralizatora, to był po prostu nieszczęśliwy wypadek. Tym razem media dzielają naszą ocenę sytuacji. Jeśli chodzi o Nerys i McCready'ego, to już inna sprawa. Nikt nie chce, aby na pierwszej stronie gazet pojawiły się doniesienia o policjancie, samotnym mścicielu strzelającym do ludzi na parkingu obok stacji benzynowej. Dlatego próbujemy podkoloryzować sprawę. Ale Nerys nie będzie miała łatwo. Jest na przykład sprawa jej karabinu. Nie powinna go wozić w samochodzie. Na szczęście nie beknie za to, choć przyjdzie jej wziąć udział w sesjach z terapeutą. Masz szczęście do ludzi z odchyłami, Annie.

– Mów za siebie. To nie ja zaczęłam, tylko ona. Nie rozumiem, dlaczego jesteś wobec niej taki krytyczny. Ocaliła ci życie.

– Tak, wiem i jestem jej za to wdzięczny. Będzie mogła mówić o ogromnym szczęściu, jeśli uniknie poważnych zarzutów. Dobrze, że nikt w tej chwili nie potrzebuje kozła ofiarnego. Mam wobec niej mieszane uczucia, bo nie wiem, jakie motywy nią kierowały.

– O czym mówisz?

– Sądzę, że zrobiła to zarówno z mojego powodu, jak i dla siebie.

– Skąd to przypuszczenie?

– Nie udowodnię tego, ale mogę się założyć, że myślała o tobie, o tym, jak Jaff cię urządził, kiedy pociągała za spust. Zemściła się za ciebie.

Annie oblała się rumieńcem. Wysunęła dłoń z uścisku Banksa i sięgnęła po wodę. Widząc na jej twarzy grymas bólu, Banks wstał i podał jej kubek.

– Dziękuję.

– Nie dowiemy się, jak było naprawdę, chyba że Nerys sama nam powie, ale wątpię – powiedział Banks. – Bo niby dlaczego miałyby to zrobić? Sam uważam, że to nie gra żadnej roli, może dla mnie. Ludzie pokroju Chambersa i Trethowana sprowadziliby jej motywy do pociągu seksualnego i orientacji.

– A ty?

– Nie dbam o to, czy zrobiła to dla mężczyzny, czy dla kobiety. Dla mnie liczy się to, że działa z innych pobudek, niż mówi. To była zemsta, sprawa osobista. – Banks przetarł oczy dłonią. – Podobnie jak dla wielu z nas. Nie mówię, że powinniśmy ją od razu za to ukrzyżować.

– Uratowała ci życie.

– Wiem.

– Nie potrafisz spojrzeć na jej postępowanie z innego punktu widzenia?

– Nie. Wiem, że nie działałam logicznie. Potrzeba czasu, aby wszystko się ułożyło.

– Co się stanie z Nerys?

– Jeśli ma trochę oleju w głowie, opuści North Yorkshire tak szybko, jak to możliwe.

Powinna zniknąć ludziom z oczu na jakiś czas, potem być może wstąpi do oddziału antyterrorystycznego. Nie wybrzydzą przy rekrutacji, poszukują specyficznego rodzaju ludzi. Ona jest świetnym strzelcem, więc się nada. Kto wie, może zainteresują się nią Amerykanie? Pasowałyby do nich.

– Czy to nie zbyt surowa ocena?

– Kogo? Nerys czy Amerykanów?

Annie roześmiała się.

– *Touché*. Co z Farmerem?

– Kto wie? Pracujemy nad tą sprawą. Prokuratura jest cała w skowronkach, ale Fanthorpe ma dobrych prawników. Znaleźliśmy bardzo ciekawe materiały na Jersey i Kajmanach. Przyskrzyniliśmy też Victora Mallory'ego. Znaleźliśmy jego laboratorium i skrytkę z nielegalną bronią. Dranie jako przykrywkę wykorzystywali firmy ojca Jaffa. To dlatego tak długo nie mogliśmy ich nakryć.

– Co się stanie z Erin?

– Poleciałem jej dobrego adwokata. Przyzna się do winy i będzie prosić o uwzględnienie okoliczności łagodzących. Biorąc pod uwagę to, że nie była wcześniej karana, oraz całą otoczkę sprawy, otrzyma wyrok w zawieszeniu. Tak twierdzi adwokat.

– A Tracy? Jak się miewa?

Banks upił łyk kawy.

– Jest młoda i odporna. Z czasem się pozbiera.

– Nie mówisz mi wszystkiego.

– McCready ją zgwałcił – odparł Banks.

Annie milczała. Banks zastanawiał się, czy przypadkiem nie wspomina tego, co ją spotkało kilka lat przedtem, nim przeniosła się do North Yorkshire.

– Dobry Boże, Alan – powiedziała. – Jeśli tylko mogę jakoś pomóc, daj mi znać. Mogę z nią porozmawiać. Chciałabym pamiętać coś więcej z tego, co wydarzyło się przed postrzeleniem, jak Tracy się zachowywała, co mówiła. Pamiętam jedynie, że wyglądała na przestraszoną i chciała, żebym jak najszybciej sobie poszła.

– To logiczne, skoro McCready ukrywał się u mnie w domu, prawda? Chciała cię ochronić. Mówiła, że już wtedy był niebezpieczny.

– A wcześniej nie?

– Annie, sam nie wiem, co powiedzieć. Myślę, że Tracy mnie okłamuje. Opowiedziała mi historię ze swojego punktu widzenia, ale mam dość duże doświadczenie z ludźmi, którzy próbują mnie okłamać. Wiem, że coś ukrywa, w jej wersji jest zbyt dużo nielogiczności.

– Nie wspomniałeś o tym.

– Nie, bo po co? Wiem natomiast, że próbuje się wybielić, żeby wyjść na ofiarę.

– Była nią.

– Owszem, ale nie sądzę, aby McCready zmusił ją, żeby z nim jechała. Podkochiwała się w nim, i to ona zaproponowała, żeby ukryli się w moim domu. To była forma buntu, może miała nadzieję na dziką przygodę? Trudno mi powiedzieć, nie byliśmy ostatnio zbyt blisko. Myślę, że obwinia mnie o to, co się stało. Uważała, że faworyzowałem Briana i byłem niezadowolony z wyników jej egzaminów czy braku widoków na karierę. Nie chcę być podejrzliwy wobec własnej córki, Annie, ale...

– Alan, jeśli Tracy się wybiela, to dlatego, że jest jej wstyd. Była naiwna i głupia. Nie chce, żebyś tak o niej myślał. Nie widzisz? Boi się tego, jak ją ocenisz. Jesteś nie tylko jej ojcem, ale i policjantem. Niezależnie od tego, jak to wszystko się zaczęło, później była zakładniczką i ofiarą. Chyba w to nie wątpisz?

– Nie. W pewnym momencie ich stosunki uległy zmianie. Może wtedy, kiedy zostałaś postrzelona, a może nawet wcześniej.

– Właśnie. Z początku poszła za McCreadym z powodu głupiego zauroczenia. Jest młoda i naiwna. Ale to nie ona pociągnęła za spust. Nie ukradła pieniędzy i kokainy. To sprawka McCready'ego. Daj jej trochę czasu. Postaw się w jej sytuacji. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, wszystko ci powie.

– Tak myślisz?

– Tak. Gdzie teraz jest?

– U matki w Londynie. Ugrzęzłem w takim bagnie, jeśli chodzi o Sandrę, że nawet kapelusz mi nie wystaje.

Annie roześmiała się z porównania.

– Jesteś na cenzurowanym, bo o niczym nie powiedziałaś?

– Co o tym myślisz?

– Straszny bałagan się zrobił. – Annie pokręciła głową i wzięła Banksa za rękę. – Bardzo się bałam. Wtedy, w oranżerii, kiedy leżałam na podłodze, zanim wszystko pociemniało, ledwie mogłam złapać oddech. Byłam pewna, że umrę. Bardzo za tobą tęskniłam, Alan.

Banks odchrząknął i uściśnął mocniej jej dłoń.

– Ja za tobą też. Podobałoby ci się w Stanach. Te noce na pustyni, Wielki Kanion, autostrada nad Pacyfikiem. Fisherman's Wharf, most Golden Gate. To było magiczne przeżycie.

– To była podróż, którą miałeś odbyć sam.

– Tak, ale następnym razem... Kto wie?

– Jeśli będę mogła chodzić.

– Na pewno będziesz.

– Dużo mówiłeś o Nerys i Tracy, ale jak ty przez to wszystko przeszedłeś?

– Ja? – Banks wzruszył ramionami. – Nie wiem, o co pytasz. Mam spore doświadczenie w pokonywaniu takich kłopotów, zwłaszcza z Sandrą. Im dalej jest ode mnie, tym mniej się tym przejmuję.

– Nie chodziło mi o rodzinę, ale o inne sprawy. Pracę. Karierę. Przyszłość.

Banks dopił latte i wrzucił kubek do kosza na śmieci.

– Chambers łaknie krwi i ma mnie na celowniku. Z radością rzuci mnie wilkom na pożarcie. Złamałem wszystkie zasady, chyba więcej niż biedna Nerys, i wie, że zrobię to ponownie, bez mrugnięcia okiem.

– Ale?

– Nadal mam wysoko postawionych przyjaciół. Nalegają, żebym wziął jeszcze trochę wolnego, dopóki nie poukładam swoich spraw. Niestabilny emocjonalnie ojciec, przepracowany policjant, którego córka została niedawno porwana. Najbardziej pocieszające w tej sytuacji jest to, że jeśli zrobią ze mnie kozła ofiarnego, to ich głowy też się potoczą. Choćby za to, że dopuścili do takiej sytuacji. Kiepski powód do satysfakcji, ale zawsze jakiś. Koniec końców, albo mnie wyrzucą z pracy, albo wsadzą do wariatkowa, albo awansują na komendanta rejonowego.

Annie roześmiała się.

– Naprawdę się nie przejmujesz? Bo z twojego tonu słyszę, że nie dbasz o to.

– Ani trochę. – Banks spojrzał na popiskujące maszyny, przewody i rurki. – Może ten wyjazd pozwolił mi nabrać dystansu do pewnych spraw? Co zamierzam? Naprawdę, sam nie wiem. Pewnie wrócę i znów będę walczył. Choć są takie momenty, że mam dość. Szczerze mówiąc, jestem zmęczony. A ty?

– Też nie wiem. Do operacji nie mam co planować czy myśleć. Potem dokonam powtórnej oceny sytuacji, jak to mawiają.

Banks zerknął ku drzwiom, a potem wyciągnął z torby butelkę wina i dwa plastikowe kubeczki.

– Obydwoje musimy. Wypijemy za to?

PODZIĘKOWANIA

Przy pisaniu tej książki pomogło mi wielu ludzi. Na samym początku chciałbym podziękować osobie, która czytała ją pierwsza i na gorąco komentowała, mojej żonie Sheili Halladay. Wyrazy ogromnej wdzięczności należą się moim agentom: Dominickowi Abelowi i Davidowi Grossmanowi, redaktorom Carolyn Mays, Francesce Best, Carolyn Marino, Wendy Lee oraz Dinah Forbes. Zasługą Dinah było to, że zebrała wszystkie komentarze razem, co ogromnie ułatwiło mi życie. Chciałbym podziękować tym z Hodder, Morrow i McClland & Stewart, których zadaniem było usunięcie wszystkich błędów gramatycznych, typograficznych i faktograficznych.

Wielu profesjonalistów wsparło mnie swoją wiedzą z dziedzin procedur policyjnych czy medycyny sądowej. Szczególnie chciałbym podziękować inspektorowi Kevinowi Robinsonowi z policji West Yorkshire oraz Julie Kempson, którzy opowiedzieli mi, jak podchodzi się do sprawy użycia broni palnej. Wszystkie błędy, jakie mogły się znaleźć w tekście, są w nim wyłącznie z mojej winy. Specjalnie podziękowania należą się zastępcy szefa policji Philowi Gormleyowi i nadinspektor Claire Stevens za nieustanne wsparcie i rady.

Nie może się obejść bez wyrazów wdzięczności pod adresem moich wydawców: Sharyn Rosenblum i Nicole Chismar z Morrow/HarperCollins, Kerry'ego Hooda i Katie Davison z Hodder oraz Ashley Dunn z McClland & Steward. I wreszcie na koniec, choć tylko z racji tego, że jakiś porządek musi być, bardzo dziękuję księgarzom, dzięki którym moje książki trafiają w państwa ręce.